



WILLIAM SHAKESPEARE
OPERA DRAMATICHE

WILLIAM SHAKESPEARE
DZIEŁA DRAMATYCZNE

WILLIAM SHAKESPEARE DZIEŁA DRAMATYCZNE

W DWUNASTU TOMACH

Z PORTRTEM AUTORA

ŻYCIORYS SHAKESPEARA I PRZEDMOWY DO
POSZCZEOŁNYCH UTWORÓW OPRACOWAŁ
PROF. DR. ROMAN DYBOSKI. — STU-
DYUM »SHAKESPEARE W POLSCE« NAPISAŁ
DR. LUDWIK BERNACKI. — WYBORU
PRZEKŁADÓW DOKONAŁ STANISŁAW
== == KRZEMIŃSKI. == ==



WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

WILLIAM SHAKESPEARE DZIEŁA DRAMATYCZNE

TOM IV.

JAK WAM SIĘ PODOBA
W PRZEKŁADZIE L. ULRICHA.

UGŁASKANIE SEKUTNICY
W PRZEKŁADZIE J. PASZKOWSKIEGO.

WSZYSTKO DOBRE, CO KOŃCZY SIĘ DOBRZE
W PRZEKŁADZIE E. PORĘBOWICZA.

WIECZÓR TRZECH KRÓLI
W PRZEKŁADZIE L. ULRICHA.



WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 57270



BGZs 57270



57270
820(094) + 929(441) A/2 + 820-2

2-6/84/141

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI



JAK
WAN SIĘ PODOBA

TŁÓMACZENIE L. ULRICHA.

REKOPIS IV.

W zenicie twórczości komicznej Shakespeara, jak trzy gwiazdy jednakiej potęgi, widnieją trzy dzieła o tytułach pełnych wspaniałej nonszalancy: »Wiele hałasu o nic«, »Co chcecie« (czyli »Wieczór Trzech Króli«) i »Jak wam się podoba« (*As You Like It*). Której z tych trzech słonecznych komedyi należy się pierwszeństwo chronologiczne, rozstrzygnąć nie mamy możliwości. Dwie z nich, »Wiele hałasu o nic« i »Jak wam się podoba« wraz z »Henrykiem V« i jedną komedią Ben Jonsona objęte są ciekawym zapiskiem na dodatkowej kartce w rejestrze cechu księgarzy z roku 1600, gdzie figurują jako zgłoszone do publikacji, ale z dodatkiem *to be stayed* (»wstrzymać«). Kto i dlaczego postarał się o to wstrzymanie druku lub rozprzedaży — czy sama trupa shakespearewska w interesie teatru? — nie wiadomo; wszystkie wstrzymane dzieła wkrótce potem istotnie wychodzą z wyjątkiem właśnie komedyi »Jak wam się podoba«. Ta przy publikacji w zbiorowym wydaniu pośmiertnym *in folio* (1623) zapisana jest w rejestrach cechu między dziełami nie zgłoszonymi dotychczas do publikacji przez innych nakładców.

Jakkolwiek się ma rzecz z tajemniczą notatką o wstrzymaniu, tyle z niej napewno możemy wnosić, że komedia »Jak wam się podoba« w r. 1600 już istnieć lub tworzyć się musiała; jak daleko nam stąd wolno datę wstecz posunąć, to znowu wątpliwe. Nie wymienia dzieła Meres, wyliczając najcelniejsze dramaty Shakespeara w r. 1598; w drobnych rzeczowych omyłkach, widocznie od samego poety pochodzących — mówi np. o »łabędziach Junony« (I, 3) — znać ślady pośpiechu; widoczny on także w fakcie, że, podobnie jak w pisanej w tym samym okresie komedyi »Wesołe kumoszki z Windsoru«, proza znacznie przeważa nad wierszem, i to nawet w partyach, gdzie

z treścią bardziejby harmonizowała forma wierszowana, np. we wdzięcznych dyalogach dziewcząt o miłości (I, 3) lub w scenach między bohaterem a przebraną bohaterką (III, 2; IV, 1). Wolno stąd może wnioskować tyle przynajmniej, że komedia powstała w okresie bujnej i szybkiej produkcji, pod przyspieszającym naciskiem i wymaganiami repertuaru i powodzenia i własnego twórczego nastroju, w ostatnich czasach przed nadejściem reakcji pesymistycznej.

Fabuła utworu pochodzi z nader poczytnej u shakespeareowskiego pokolenia noweli, nazwanej imieniem bohaterki *Rosalind*¹⁾. Autorem jej był znany także jako pisarz dramatyczny, a później poważany jako lekarz i tłumacz klasyków łacińskich Tomasz Lodge. Opowieść, przez dodatkowy tytuł »Złota puścizna Euphuesa« (*Euphues' golden legacie*) doczepiona dla reklamy do najpopularniejszego produktu powieściopisarstwa współczesnego (»Euphuesa« Jana Lyly), wychodzi od r. 1590 w całym szeregu wydań, świadczących, jak się powszechnie podobała. Źródłem dla Lodge'a był średniowieczny wierszowany utwór angielski, »Opowieść Gamelyna«, fałszywie przypisywany Chaucerowi i często włączany do jego kolekcji »Opowiadań pielgrzymów kanterburijskich« jako »Opowiadanie kucharza«; z pewnych szczegółów wyrażenia zdawałoby się wynikać, że Shakespeareowi i ten oryginał Lodge'a był znany. Z Lodge'a przejął Shakespeare — wzbogacając je na swój sposób — wszystkie figury i ich losy, ale trzech z jego najdoskonalszych kreacji niema wcale w noweli. Jak w wielu wypadkach, tak i tutaj nie-raz nasuwa się przypuszczenie, że między shakespeareowską komedią a nowelistycznym źródłem pośrednie ogniwo stanowił jakiś zaginiony dramat.

Nowela lokalizuje rzecz dokładnie w południowej Francji koło Bordeaux; Shakespeare, jak zwykle w swych komediach, potęguje romantyczność kolorytu przez brak wyraźnych aluzji do miejsca akcji. Lodge pisał swoją opowieść podczas podróży na wyspy Kanaryjskie, i coś z ich właściwości znalazło się w atmosferze noweli: u niego w lesie ardeńskim rosną drzewa figowe i pomarańczowe; u Shakespeara słyszymy o palmach i lwicy, ale

¹⁾ Prócz tego imienia i nazw kilku podrzędnych figur, Shakespeare swoim zwyczajem nazwiska pozmieniał.

z fauną i florą podzwrotnikową, tak jak u Lodge'a, miesza się typowo angielska: »wierzbowy gaik nad strugą szemrzącą« (IV, 3) i trzody owiec; zaś życie wygnańców w shakespeareowskim lesie ardeńskim, jak to sam poeta w pierwszej zaraz scenie przez usta siłacza zapowiada, wzorowane jest na poetycznym kłusownictwie arcy-zbójnika starych angielskich ballad ludowych, Robina Hooda, i jego towarzyszy w lasach średniowiecznej Anglii za pierwszych królów normandzkich. Sama nazwa lasu, *Arden*, w umyśle ówczesnych Anglików kojarzyła się, nie jak dla nas, przedewszystkiem z pasmem lesistych wzgórz na dzisiejszem pograniczu belgijsko-francuskim, lecz budziła nasamprzód wyobrażenie o wielkim lesie tego nazwiska w rodzinnej prowincji poety, Warwickshire; las ten już pod wpływem sielanki shakespeareowskiej bogatemi barwy opisał młodszy poeta, Michał Drayton, w topograficznym poemacie *Poly-Olbion*.

W ekspozycji różnica między dramatem a nowelą jest normalna i wynika z technicznej ich odmienności: nowela rozpoczyna się krótką charakterystyką i obszernym ustnym testamentem sędziwego rycerza, któremu Shakespeare dał nazwę Sir Rowland de Bois; u Shakespeara na scenie widzimy odrazu skutki tego testamentu w pożyciu synów. Tych synów i w dramacie i w noweli jest trzech; średni poświęca się nauce, i u Lodge'a to właśnie jego pograżenie się w naukach wyzyskuje najstarszy, by go krzywdzić majątkowo; u Shakespeara o tym średnim bracie na początku tylko jest wzmianka, na końcu przemijająco się sam pojawia; jest w dramacie figurą tak małej wagi, że nawet tożsamość nazwiska z jedną z głównych postaci komedii — obu na imię Jaques — nie przeszkadza poecie i uszła jego uwagi. Niema u Shakespeara mowy o tem, żeby najstarszy brat majątkowo ukrócał tego średniego, przeciwnie, utrzymuje go w szkołach: tym sposobem jaskrawe światło od początku skoncentrowane jest na krzywdzie, jakiej dopuszcza się najstarszy brat wobec najmłodszego; w noweli i w dramacie pozbawia go wyższego wychowania i obchodzi się z nim, jak z podwładnym; tylko że to poniżenie do roli lokaja w noweli daleko silniej i wyraźniej wszędzie jest zaakcentowane; tamże ojciec sam ściągnął na najmłodszego brata zawiść najstarszego, pozostawiając najmłodszemu (wbrew zwyczajowi angielskiemu) główną część majątku; u Shakespeara chodzi tylko

o legat tysiąca koron. Z podobnemi osłabieniami drastycznych motywów noweli spotykamy się i w dalszych stosunkach do siebie tych dwóch braci. Zamierzając nadać utworowi charakter pogodnej sielanki, Shakespeare od początku rozmyślnie łagodzi gwałtowność ich starć: Orlando nie stacza walki zwycięskiej z nasłanymi przez brata ludźmi; tylko jego samego powstrzymuje, gdy go chce uderzyć. Nie odmówił natomiast poeta swej publiczności teatralnej tej przyjemności, jaką jej sprawiać musiał widok przeniesionej z noweli sceny zapasów atletycznych. Dla poety oczywiście najważniejszym w tej scenie momentem jest pierwsze zbliżenie bohatera do bohaterki i początek ich afektów. Nowelista opisuje damy dopiero w chwili, gdy się pojawiają na turnieju, Shakespeare z symetrią właściwą wcześniejszej jego twórczości, przedstawia nam Rozalindę i Celię w osobnym dyalogu, wyraźnie postawionym naprzeciw sceny między Oliwerm a Orlandem. Razem z paniami pojawia się na scenie błazen, tak jak z Orlandem pojawił się wierny stary służący: tylko że stary Adam Spencer jest postacią z noweli przejętą, a błazen tworem poety, kolegą błazna Oliwii z »Wieczoru Trzech Króli«. Przy pierwszym swem wystąpieniu pan Probieńczyk (*Touchstone*) zresztą jeszcze nie celuje tym wdziękiem w kpinach i niedorzecznościach, jaki go cechuje później; to też Furness nawet przypuszczał, że w tej scenie (I, 2) mamy do czynienia nie z prawdziwym shakespeareowskim błaznem, lecz z szablonową figurą teatralną jako wyraźnym śladem starszego opracowania dramatycznego, które stanowiło pośrednie ogniwo między Lodgem a Shakespearem.

Od szablonowości zaraz z początku odstępuje poeta w przedstawieniu stosunku Orlanda do Rozalindy. W noweli (gdzie scenę mocowania poprzedza wspaniały turniej) wszystko się odbywa w sposób tradycyjny i programowy: młodzieniec rzuca okiem na galerię widzów, grot piękności przeszysza jego serce, pod natchnieniem miłosnych wejrzeń Rozalindy zwycięża, ona mu potem przez pазia przesyła klejnot, on jej sonet. Shakespeare i przed mocowaniem i po niem tworzy sobie sposobność do rozmów między bohaterem a pannami: oba te mistrzowskie dyalogi w rozmyślnej swej nieskładności wiele mają podobieństwa do wymuszonych konceptów, jakie przy pierwszym spotkaniu na balu wymieniają oszołomieni nowem

uczuciem kochankowie werońscy, Romeo i Julia; jak Julia w scenie balkonowej, tak tu Rozalinda po pożegnaniu raz jeszcze zwraca się do ukochanego. Ze swobodą dojrzałego psychologa kreśli poeta dalsze stadya rozwoju tej miłości: nie kępuje się już tą sztuczną symetrią, jaką jeszcze w ekspozycji tego dramatu dyktowały młodocienne przyzwyczajenia techniczne: od Orlanda w trzech tylko słowach: *O heavenly Rosalind!*¹⁾ dowiadujemy się, co się z nim stało, o Rozalindzie od niej samej słyszymy więcej przy pomocy przyjaciółki, w dowcipnych i wdzięcznych dyalogach. W noweli, za wzorem »Euphuesa«, o zniszczeniach, jakie nowa miłość szerzy w sercu Rozalindy, poucza nas długi jej monolog, w którym znaczną rolę odgrywają rozważania nad ubóstwem i jej i Orlanda; Shakespeare tę ekonomiczną prozę życia, gdzie może, pomija. Długą mową także w noweli córka uzurpatora broni krewniaczki przed posądzeniami i gniewem księcia; używa przesadnego zaklęcia, że, gdyby Rozalindzie udowodniono winę zdrady, sama gotowaby stać się jej katem; przytem obie panie u Lodge'a w swych monologach i mowach obficie cytują Horacego po łacinie. Spakespeare przetapia tego rodzaju elukubracye na złoto tak czyste i szczere jak te kilka wierszy, w których Celia (I, 3), podobnie, jak Helena w »Śnie nocy letniej« (III, 2), ale jeszcze serdeczniejszym tonem, opowiada dzieje swej przyjaźni z krewniaczką. Tak robiąc z retoryki poezję, Shakespeare zarazem i tutaj łagodzi drastyczne motywy i zaciera zbyt realne kontury: w noweli ojciec w gniewie wygania z dworu córkę wraz z przyjaciółką; w dramacie powoduje nim miłość, chce uwolnić Celię od niebezpiecznej rywalki, błyszczącej pięknocią; w noweli Rozalinda, przebrana za mężczyznę, przez cały czas podaje się za pazia towarzyszki; u Shakespeara o tej funkcji, jak o lokajskiej Orlanda, mowy niema; Rozalinda jest młodym panem, towarzyszącym Alienie, i często się nazywają *cousin*, jak przedtem na dworze, gdyż zezwala na to bez zerwania incognita brak cech rodzajowych w języku angielskim.

Młodocienna technika symetrycznych kontrastów, często już przez poetę zaniedbywana, znowu się odzywa w scenach wygnania i ucieczki Rozalindy i Orlanda. By te dwa wypadki w harmonijnej proporcji sobie przeciwstawić

¹⁾ »O Rozalind! niebieski aniele!« (I, 2).

pomija dramaturg cały szereg przygód Orlanda w noweli, po części bardzo efektownych: po chwilowym pojednaniu braci, bohater noweli w końcu z bronią w ręku torowac sobie musi drogę przez policyę, która go oblega w domu brata. W sielance Shakespeara na takie jaskrawe gwałty miejsca niema.

Z tą samą symetrią, co ucieczka bohatera i bohaterki z końcem pierwszego aktu, skontrastowany jest z początkiem drugiego boski spokój wygnanego księcia i jego towarzyszków w lesie ardeńskim z popłochem i niepokojem na dworze uzurpatora. Także w losach Orlanda i Rozalindy panuje w dalszym ciągu ten geometryczny paralelizm: i ją i jego widzimy z kolei zgłodniałych i zbłąkanych w lesie; i on i ona dodają otuchy swym wyczerpanym do ostatka towarzyszom (tego bohaterskiego rysu ani on ani ona w noweli nie mają); wreszcie oboje wchodzą w bezpośrednie zetknięcie z idyllicznym życiem leśnem (II, 4; II, 6, 7). Te równoległe wypadki poeta dla urozmaicenia zręcznie przeplata nastrojowymi scenami z życia wygnanego dworu w kniei; w ten sposób, nie zacierając symetrii, jednak nie nuży czytelnika czysto mechaniczną budową dramatu, jak się to często dzieje w utworach wcześniejszych. Daleko mniej umiejętne jest to równoległe prowadzenie akcji obojga kochanków w noweli; tutaj, jak wszędzie, nęka ona czytelnika i pedanterią i retoryczną rozwlekłością; w dobitnem streszczeniu długich deklamacji naprzemian bohatera i bohaterki głównie się w tej partyi objawia sztuka Shakespeara; wdzięczne ich dialogi w III i IV akcie natomiast prawie w całości są wyłącznie jego własnością. Lodge już tutaj hojną garścią po swej prozie rozrzuca orzeźwiająco, przeważnie nader wdzięczne piosenki; Shakespeare cały przepych swej liryki swobodnie roztacza dopiero, gdy, załatwiwszy się przez jedną jeszcze scenę na dworze (III, 1) z resztą antecedensów dramatycznych, i zgromadziwszy wszystkie osoby akcji w lesie ardeńskim, którego już nie opuszczamy, — pozwala nam oddawać się bezwładnie błogiej pewności, że w tym idyllicznym lesie wszystko prędzej czy później dobrze się skończyć musi. Teraz jest miejsca poddostatkiem na pieśni miłosne, na dowcipne żarty błazna, bawiącego się prostotą pasterskiego otoczenia, na cynizm melancholika, krytykującego wszystkich z kolei, wreszcie na epizody i dyalogiczne igraszki, wypełniające w akcji głównej cały

akt trzeci, i ukazujące nam, jak różnobarwne szkiełka, miłość Rozalindy i Orlanda w coraz to nowem świetle. Jednym z tych szkiełek jest rodzące się w sercu pasterki Febe uczucie dla mniemanego panicza z obcych stron. U Lodge'a w całej tej historii — rozgrywającej się zresztą w późniejszym stadium akcji — pełno jest sentymentalnej przesady, niepotrzebnych dla dramaturga akcesoryów, niezgodnych z idyllą gwałtownych komplikacji: Febe przysięga nigdy nie wyjść za mąż; później choruje z miłości do Ganimeda; kochający ją pasterz Montanus wyidealizowany jest na szlachetnie rezygnującego amanta. Wszystko to poeta dramatyczny uprościł; tylko ze sposobności do liryki równie skwapliwie korzysta, jak Lodge; u tamtego wśród wierszyków, około tej sprawy miłosnej osnutych, jest nawet jeden po francusku; u Shakespeara krótki rymowany liścik miłosny Feby (IV, 3) zajmuje miejsce długiego i arcy-retorycznego listu prozą w noweli.

Uproszczenie okazało się potrzebnem także w momencie, gdy wreszcie po takich idyllicznych wczasach akcja upomina się o swoje prawa, i trzeba starszego brata bohatera wprowadzić w kółko leśne. W noweli szeroko i długo wprost opowiedziana jest scena, jak młodszy brat ocala starszego przed lwem; jak dopiero, gdy ten mu jako obcemu opowiedział całe swe dzieje, daje mu się poznać, poczem kilka dni spędzają na wspólnych wędrówkach po lesie. Shakespeare musiał to wszystko ścieścić i sam główny wypadek usunąć ze sceny do sprawozdania, przyczem szczególnie doraźnie skrócił medytacje Orlanda na widok uśpionego brata i dzikiego zwierzęcia: Lodge, piszący za wzorem »Euphuesa«, tutaj w długim monologu bohatera swobodnie puszcza wodze refleksyjnej retoryce. Pominął także poeta — konsekwentnie w tem dziele unikający gwałtów — scenę usiłowanego porwania Celi (Alieny) przez zbójców, co w noweli daje bohaterowi nową sposobność do odznaczenia się, a jego bratu do pewnej rehabilitacji. Tak silnego impulsu miłość Oliwera i Celi w idyllicznym dramacie nie potrzebuje; rodzi się z wejrzeń i żyje słowami; nie potrzeba jej też długich oświadczeń, któremi tutaj znowu delectuje się Lodge; krótką i typową historję ich uczuć w kilku żartobliwych słowach doskonale streszcza Rozalinda (V, 2): »Brat twój i siostra moja ledwo się spotkali, już na siebie spojrzeli; ledwo

spojrzeli, już się pokochali; ledwo pokochali, już westchnęli; ledwo westchnęli, już się wzajemnie o przyczynę pytali; ledwo przyczynę odkryli, już szukali lekarstwa; i z takich stopni złożyli schody małżeństwa, którymi chcą natychmiast wstępować, albo wszystko przed ślubem przestąpić. Porwał ich szłał miłości; żyć chcą razem, i drażniem ich nie rozdzielisz».

Równie łatwym i równie typowym, jak uczucie miłosne Oliwera, jest przebaczenie, jakie uzyskuje; u Lodge'a już opuszczając dwór, żałować poczyna swego postępowania z bratem; u Shakespeara o jego żalu dowiadujemy się z trzech wierszy relacji; na scenie nawet tych lakonicznych słów prośby o przebaczenie poeta wypowiadać mu nie każe, co podobnemu doń w raptowności nawrócenia Proteuszowi w komedyi »Dwaj panowie z Weronie«.

Tym samym sposobem, co w przeważnej ilości swych komedyi, poeta kończy rzecz zbiorowem *tableau*, w którym wszystkie sprawy dramatu wytoczone są przed trybunał osoby monarszej. Ale głównym sprawcą rozwikłania nie jest — jak np. w dramacie »Miarka za miarkę« — sam książę, lecz staje się nim — w zgodzie i z nowelą i z pogodnym nastrojem całości — figlarna bohaterka, która intryguje jeszcze dla zabawy trochę swoim *incognito*, a wreszcie improwizuje małe przedstawienie maskowe. Ona też wypowiada pełen dowcipnego wdzięku epilog — arcydzieło pomysłowości i z tego względu, że wypowiedanie epilogów przez aktorów sztuki samej było praktyką innym ówczesnym pisarzom dramatycznym prawie zupełnie obcą. U Lodge'a w niezmiernie rozwlekłej scenie końcowej nieproporcjonalnie szerokie miejsce zajmuje sprawa miłosna Feby i jej pasterza; u niego dalej istotnie dochodzi do walnej bitwy między stronnikami wygnanego księcia a uzurpatora, i ten ginie od miecza; Shakespeare kosztem jednego więcej wśród swych licznych łatwych nawróceń — tutaj dokonanego w jednym wierszu¹⁾ — i tę rzecz uchylił. Lodge wreszcie nie omieszkał obszernie nas poinformować o materyalnych nagrodach cnoty dla wszyst-

¹⁾ *After some question with him, was converted...* (V, 4).

(«...Wódz świętego spotkał pustelnika,
A po niedługiej, cichej z nim rozmowie
I swoich myśli i świata się wyrzekł...»).

kich uczestników: Shakespeare oszczędza nam w lesie ardeńskim tego podmuchu atmosfery dworskiej i pozostawia wszystko domyślności audytoryum; niema nawet kilku słów pochwały dla wiernego starego sługi, Adama — może dlatego, że cała ta kalejdoskopiczna scena końcowa i rozgrywa się, i widocznie pisana była, z wielkim pośpiechem.

Tym pośpiechem w każdym razie tłumaczyć należy rażącą w naszych oczach obojętność Celi w wobec wiadomości o nadejściu i o nawróceniu ojca: Lodge stwierdza przynajmniej, że po stracie ojca pocieszyła ją miłość męża. Zupełne milczenie Celi u Shakespeara psychologicznie zapewne to samo wyraża, co poprzednio równie obojętne zachowanie się Rozalindy wobec własnego ojca-wygnañca, gdy go spotyka w lesie i nie daje mu się poznać. »Co pleciami o ojcach, kiedy istnieje taki człowiek, jak Orlando?« (III, 4). Ten brak serca u córki był koniecznością dramatyczną: dochowanie incognita Rozalindy jest przecież warunkiem doprowadzenia rzeczy do piątego aktu; ostrożniejszy od Shakespeara Lodge nie pozwala jej wcale spotkać się w lesie z ojcem; u obu jednak przebranie jest właściwie tylko zabawką, rozmyślnie przedłużoną; a w dramacie ciągłe kokietowanie z zerwaniem maski jest jednym z głównych czynników uroku poetyckiego.

Jako całość, komedia wśród puścizny dramatycznej Shakespeara zajmuje stanowisko odosobnione: jest jedyną jego wycieczką w dziedzinę dramatycznej poezji pasterskiej czyli sielankowej. Poezja idylliczna pod wpływem włoskim rozkwitła już przed Shakespearem w całej renesansowej Europie¹⁾; w Anglii około r. 1598 spotykamy szczególnie obfite wzmianki o dramatach pasterskich i leśnych, po części może już pod wpływem dzieła shakespeareowskiego. Dla nas główny urok dzieła stanowi przewiewająca je cała atmosfera leśnej przyrody, jego *plein-air*; Shakespeara, podobnie jak jego angielskich poprzedników w tym rodzaju — głównym był Robert Greene — więcej od natury i powietrza interesują ludzie: poprzestaje na krótkich scenach, rozrzuconych po II i III akcie, by wytworzyć w wyobraźni swej publiczności środowisko sielskie; nie przedstawia, jak później w »Po-

¹⁾ W. W. Greg, *Pastoral Poetry and Pastoral Drama*. 1906.

wieści zimowej», obszerniejszych gromadnych obrazów życia i zwyczajów pasterskich; nie przez lirykę także, lecz na charakterach osób ukazuje nam różne typy i formy sielankowości. Ugrupować je można po myśli poety na trzy kategorie: Rozalinda i Celia, to dworskie damy, co odświeżają duszę w otoczeniu sielskim; Sylwiusz i Febe, to para konwencyonalnych, niezgodnych z rzeczywistością pasterzy, takich, jak ich przedstawia poezja bukoliczna wielu stuleci od Teokryta i Wergiliusza; wreszcie William i Audrey, to realistycznie nakreślone figury ze świata pasterskiego: a te dwie właśnie dodał Shakespeare do galerii postaci w noweli Lodge'a. Własne stanowisko poety wobec sielankowych aspiracji przemęczonych kulturą ludzi zdaje się być krytyczne: pastoralizm w jego widzeniu jest wdzięczną przygodną ozdobą życia, ale z jego poważnymi zadaniami połączyć się nie da; tylko gdyśmy chwilowo od nich wolni, bawić się nim możemy. Ze zaś sam Shakespeare cieszyć się wtedy począł pierwszymi materialnymi owocami swej pracy londyńskiej, że świeżo skończył cykl dramatów królewskich, a wielkich tragedii jeszcze nie rozpoczął tworzyć, można więc wyobrazić sobie, że sam czuł się wtedy jakby w swym lesie ardeńskim, że, korzystając z pogodnego *intermezzo* wśród ciężkich zadań życiowych, swobodnie oddał się w stolicy błogim marzeniom o urokach życia wiejskiego. Z takim pojęciem o genezie dzieła zgadza się jego nawskroś spokojny przebieg: Shakespeare wyraźnie unika wszelkich wypadków gwałtownych, obrazów krzywdy i cierpienia, a nawet prosto wszelkich momentów naprężenia dramatycznego; wszystko, co doraźnie posuwa naprzód akcję, zbywa krótko i bez głębszego zajęcia; zaś zyskane w ten sposób miejsce hojnie poświęca liryce i dialogom miłosnym, charakterystyce i refleksji. Upodobanie w igraszkach dyalogowych, szczególnie widoczne w scenach między kochankami w III i IV akcie, zbliża dzieło do młodocianej komedii konwersacyjnej »Stracone zachody miłosne«; do niej także utwór podobny jest przez *plein-air* — i tam całej akcji towarzyszy szum drzew ogrodowych — oraz przez cały szereg motywów drobniejszych, tak że mogła się nawet wyłonić teoria o »pierwszym szkicu« komedii, pisanej w tym samym czasie co »Stracone zachody miłosne«. Znalezione wśród drzew wierszyki miłosne, polowania, przedstawienie

maskowe na końcu, miłość dworaka do dziewczyny wiejskiej: wszystko to szczegóły wspólne obu komedyom. Z ostatnią fazą twórczości poety znowuż z historyjami rozdzielonych i potem zjednoczonych rodzin w dramatycznych romancach, łączy komedię wzruszająca końcowa scena spotkania ojca z córką.

Pośród charakterów, na których rozwinięcie poeta sobie tyle miejsca zostawił, redukując ile możliwości akcyjne, interesują nas — zajmowały też prawdopodobnie i jego — główne dwa: bohaterka i cynik. Połączenia dowcipnego wdzięku z serdeczną powagą w portrecie Rozalindy żaden komentator godnie zdefiniować, żadna aktorka z całą artystyczną równowagą oddać nie potrafi; zawsze w takiej syntezie albo element melodramatyczny albo humorystyczny górę wziąć musi. Do Beatrice w komedii »Wiele hałasu o nic« podobna błyszczącym dowcipem, ale, jak wszystko w tej idyllicznej komedii, łagodniejsza; Porcyę w »Kupcu weneckim« przypominająca przewagą intelektualną nad otoczeniem, ale mniej królewska, więcej dziewczęca; Wioli w »Wieczorze Trzech Króli« i Imogenie w »Cymbelinie« pokrewna przez losy i zachowanie, ale mniej melancholijna, — Rozalinda w całym blasku swej poetyckiej oryginalności przez te wszystkie podobieństwa daje dowód, jak jednolitem w gruncie jest pojęcie kobiecości u Shakespeara; objawia się jako jedna z najbardziej typowych jego bohaterek.

Melancholik Jaques, według orzeczenia księcia (II, 7) »z samych rozdzwięków złożony«, nader sprzecznie także przez potomnych oceniany bywał; nie brakło nawet — jak zresztą i w interpretacji innych jeszcze dramatów Shakespeara — tłumaczenia tej postaci jako studium psychopatologicznego. Wśród otoczenia, nastrojonego na pogodną, sielankową nutę, on jeden chodzi niezadowolony i ostentacyjnie smutny: już to samo musiało mu zrobić wrogów i surowych sędziów z ludzi o usposobieniu zasadniczo optymistycznym, jak młody zawsze starzec Furnivall, który mówił o nim z pogardą. Niekorzystnie dla melancholika wszystkich nas musi usposabiać okoliczność, że od księcia — osoby poważnej, prawdopodobnej, symbolu sprawiedliwości — słyszymy o występnej, pełnej zmysłowych nadużyć przeszłości Jakóba: to nadaje melancholii postać zblazowania, natrętnie moralizatorstwo piętnuje jako hipokryzję. Jeżeli dalej wolno najmiłsze pocie figury,

bohatera i bohaterkę, uważać za rzeczników jego myśli, toć zarówno Orlando (III, 2), jak Rozalinda (IV, 1) mówią do niego z drwinami i lekceważeniem. Nigdzie też poeta nie pomija sposobności, by nam dać do zrozumienia, że melancholia pana Jakóba jest dosyć powierzchowna, że on się w nią z błogością i patosem drapuje, jak wielu poetów - dandysów w nowszych czasach, jak lord Byron naprzykład. Do niego podobny przez dziwne połączenie zmysłowości z zadumą, Jaques w tym względzie nowożytnemu czytelnikowi angielskiemu, jak słusznie podniósł Dowden, szczególnie żywo inną jeszcze postać w późniejszej historii literatury narodowej przypominać musi, mianowicie sentymentalnego humorystę XVIII wieku, Wawrzyńca Sterne, co Yoricka z »Hamleta« za pseudonim sobie obrał; ten w swych powieściach *Tristram Shandy* i *A Sentimental Journey* nad bitym osłem całkiem tak samo się rozczuła, jak Jaques nad ustrzelonym jeleniem (II, 1), i w niejednej maksymie swej niezbyt głębokiej filozofii życiowej uderzająco do niego jest podobny.

Mimo niekorzystnych o nim — jakby ostrzegających — świadectw innych osób dramatu, dopatrywano się w postaci melancholika refleksu osobistego życia poety; pojawienie się jego w pogodnym świecie sielanki tłumaczono jako zapowiedź pesymizmu, co poczynił przestaniac Shakespeareowi obraz świata; pozujący swą melancholią Jaques miał stanowić stadyum przygotowawcze do głęboko i szczerze zgorzkniałego, ale także z lubością w czarny płaszcz się drapującego Hamleta. Szczególnie gorliwie snuł te kombinacje Jerzy Brandes. Żeby Shakespeare z figurą o tak nieładnych antecedensach był się instynktownie identyfikował, wątpić należy; natomiast przypuszczając można, że pojedyncze akcenty silniejsze, gdy z melancholią i sama postać melancholika zdaje się rosnać, są wyrazem pesymistycznych usposobień poety. W każdym razie atoli chodzi tylko o chwilowe, epizodyczne nastroje smutku, które i w najjaśniejszych dniach żywota przychodzą, a nie o jakiś poczynający się stan duszy, o tragiczny pogląd na świat: heroldem takiego Jaques już z tego względu być nie może, że przecież melancholia jego nie rzuca cienia na wesele innych, nie zabarwia smutkiem całej komedyi; pesymizm, ograniczony do samej osoby melancholika, zawsze tylko bawi otoczenie,

któremu niczem niezmacone dni płyną »jakby w złotym wieku«. Tak samo i czytelnikowi pesymistyczne i cyniczne refleksy osobliwego mizantropa nie zaćmiewają bynajmniej rozkosznego blasku tego słońca humoru i poezji, które po wszystkie wieki jasno i ożywczo świecić będzie nad lasem ardeńskim.

OSOBY:

Księżę wygnany.

Fryderyk, brat księcia, przywłaszczyciel jego państwa.

Amiens, }
Jakób, } towarzysze wygnanego księcia.

Le Beau (Lebo), dworak Fryderyka.

Karol, jego zapaśnik.

Oliwer, }
Jakób, } synowie Rolanda de Bois (Boa).
Orlando, }

Adam, }
Dyonizy, } słudzy Oliwera.

Probiereczyk, błazen.

Oliwer Psujtekst, proboszcz.

Koryn, }
Sylwiusz, } pasterze.

Wilhelm, wieśniak zakochany w Odrej.

Osoba, przedstawiająca Hymen.

Rozalinda, córka wygnanego księcia.

Cella, córka Fryderyka.

Febe, pasterka.

Odrej, wieśniaczka.

Panowie z dworu dwóch ksiąząt, Paziowie, Strzelcy
i inni Dworzanie.

Scena naprzód w bliskości domu Oliwera, później częścią
na dworze przywłaszczyciela, częścią w lesie Ardeńskim.

JAK WAM SIĘ PODOBA.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

Ogród przed domem Oliwera.

(Orlando i Adam).

Orlando. O ile przypominam sobie, Adamie, testamentem zapisał mi tylko biedne tysiąc talarów; ale, jak powiadasz, obowiązał mojego brata, pod utratą błogosławieństwa, aby dobre dał mi wychowanie. Tu się uczynają moje utrapienia. Brata mojego Jakóba wyprawił do szkoły, skąd złote dochodzą nas wieści o jego postępach; co do mnie, utrzymuje mnie w domu, jak chłopca, albo raczej trzyma mnie w domu bez utrzymania, bo możnaż nazwać utrzymaniem szlachcica mojego urodzenia, co się nie różni od karmi wołu w oborze? Konie jego lepsze odbierają wychowanie, bo nie tylko na obroku tyją, ale zarazem tresowane są w maneżu przez drogo płatnych ujeżdźaczy; a ja, brat jego, w domu tym tylko na wzroście korzystam, za co bydlęta jego na jego gnoju tyle mu, co ja, są winne. Za to nic, które mi tak szczerze udziela, postępowaniem swoim chciałby, zda się, wydrzeć to coś, które mi dała natura. Sadza mnie do stołu z parobkami, miejsca należnego bratu nie daje, o ile w jego mocy, podkopuje moje szlachectwo przez takie wychowanie. Ta jest przyczyna mojego smutku, Adamie. Ale duch ojca,

który, zdaje mi się, żyje w moich piersiach, zaczyna się buntować przeciw tej niewoli; nie chcę jej cierpieć dłużej, choć nie znam jeszcze środka, jakby się mądrze z niej wyswobodzić.

(Wchodzi Oliwer).

Adam. Otóż i pan mój, a brat wasz.

Orlando. Odejdź tylko na stronę, a usłyszysz, jak na mnie napadnie.

Oliwer. No, mosanie, co tu robisz?

Orlando. Nic nie robię, niczego mnie robić nie nauczono.

Oliwer. A więc, co tu psujesz, mosanie?

Orlando. Pomagam ci próżniactwem popsuć, co Bóg zrobił — twojego biednego, niegodnego brata.

Oliwer. Używaj więc lepiej czasu i zmarniej.

Orlando. Mamże paść twoje wieprze i jeść z nimi plewy? Jakiż miał marnotrawnego syna przejechałem, abym w taką popadł nędzę?

Oliwer. Czy wiesz ty, gdzie jesteś, paniczu?

Orlando. O, bardzo wiem dobrze, tu, w twoim ogrodzie.

Oliwer. Czy wiesz ty, przed kim stoisz, paniczu?

Orlando. Lepiej, niż ten, przed którym stoję, wie, kto ja jestem. Wiem, że jesteś moim najstarszym bratem; posłuszny krwi głosowi, powinienbyś poznać we mnie brata. Zwyczaję świata dały ci wyższość nade mną dlatego, że jesteś pierworodnym, ale to prawo nie odbiera mi krwi mojej, choćby nas dwudziestu braci rozdzielą. Tyle jest we mnie ojca, co w tobie, choć wyznaję, że pierwszeństwo urodzenia stawia cię bliżej jego powagi.

Oliwer. Co to ma znaczyć, dzieciuchu?

Orlando. Powoli, powoli, starszy braciszku, jeszcze na to za młody. *(Chwyta go za gardło).*

Oliwer. Śmiesz się na mnie porywać, nikczemny gburze?

Orlando. Nie jestem gburem, ale najmłodszym synem Rolanda de Bois; on jest moim ojcem, a ten jest sto razy gburem, kto śmie utrzymywać, że taki ojciec gburą splotził. Gdybyś mi nie był bratem, póty tej ręki nie spuściłbym ci z gardła, póki bym drugą nie wydarł ci języka za takie słowo. Sam się zelżyłeś.

Adam. Kochani panowie, trochę cierpliwości. Przez wzgląd na pamięć ojca, pogódźcie się!

Oliwer. Puść mnie!

Orlando. Nie puszczać, póki mnie nie wysłuchasz do końca.

Ojciec nakazał ci testamentem, żebyś mi dobre dał wychowanie, a ty wychowałeś mnie, jak parobka; zamciłeś, przygasiłeś we mnie wszystkie szlacheckie przymioty; ale duch ojca mężnie w moich piersiach i nie ścierpię tego dłużej. Albo więc daj mi ćwiczenie, jakie szlachcicowi przystoi, albo wypłać mi lichą sumę, ojcowskim testamentem przekazaną, a pójdę z nią w świat szukać szczęścia.

Oliwer. A potem żebrać, gdy wszystko przetrwonisz. Bardzo dobrze, paniczu, nie chcę się dłużej o los twój kłopotać. Będziesz miał, czego żądasz. A teraz, proszę cię, puść mnie!

Orlando. Nie chcę cię krzywdzić więcej, niż moje dobro wymaga.

Oliwer. Precz z nim i ty, stary kundlu!

Adam. Stary kundlu! to moja nagroda. Prawda, straciłem zęby na waszej usługach. Bóg z moim starym panem! onby tych słów nie powiedział.

(Wychodzą Orlando i Adam).

Oliwer. Czy to już tak? Przerastać mnie zaczynasz? Potrafię ja i bujność twoją wyleczyć i tysiąca talarów ci nie dać. Hej! Dyonizy!

Dyonizy *(wchodząc)*. Czy wielmożny pan woła?

Oliwer. Czy Karol, zapaśnik książęcy, nie był tu i nie chciał ze mną rozmawiać?

Dyonizy. I owszem, wielmożny panie, stoi u bramy i natrętnie prosi o posłuchanie.

Oliwer. Zawołaj go! *(Wychodzi Dyonizy)*. Wyborny srodek! Jutro zapasy. *(Wchodzi Karol)*.

Karol. Dzień dobry panu.

Oliwer. Kochany panie Karolu, co za nowe nowiny na nowym dworze?

Karol. Niema na dworze nowin, prócz starych nowin, jak naprzykład, że stary książę był wygnany przez młodszego swego brata, nowego księcia; że trzech lub czterech przywiązanych panów poszło z nim na dobrowolne wygnanie; ziemie ich bogacą nowego księcia, dał im też chętnie pozwolenie wędrowki.

Oliwer. A Rozalinda, córka księcia, czy także razem z ojcem wygnana?

Karol. O, nie, bo córka nowego księcia, jej krewna, z którą się wychowała od kolebki, tak ją kocha, że

alboby z nią była na wygnanie poszła, alboby umarła, zostawszy bez niej.

Oliwer. Gdzie zamierza osiąść stary książę?

Karol. Powiadają, że jest już w lesie Ardeńskim, otoczony tłumem wesolych towarzyszy, z którymi żyje, jak stary Robin Hood angielski. Słyszałem, że codzień tam ściągają nowe stada młodych panów, gdzie im czas płynie bez troski, jakby w złotym wieku.

Oliwer. Ale, ale, czy to prawda, że jutro pasujesz się w przytomności młodego księcia?

Karol. Prawda niewątpliwa i to jest właśnie powodem moich odwiedzin. Słyszałem z boku, że młodszy brat wasz, Orlando, chce, przebrany, próbować się ze mną. W jutrzejszych zapasach idzie o mój kredyt, a kto mi się wymknie bez połamanych żeber, będzie mógł sobie wieszować. Brat wasz jest delikatny i młody; przez miłość ku wam, nie chciałbym go poturbować, jak będę musiał dla mego honoru, jeśli stanie w szranki. Przychodzę więc w przyjacielskiej myśli uwiadomić was o wszystkim, żebyście mogli albo od zamiaru go odwieść, albo się nie gniewali na mnie, jeśli go spotka jaka nieprzyjemność, której sam szuka, mimo mej woli.

Oliwer. Dziękuję ci, Karolu, za ten dowód miłości, którą zobaczysz, jak sownie zapłacę. I ja także słyszałem o projektach mojego brata i starałem się pobocznie z głowy mu je wybić; ale ani chciał słuchać. Powiem ci otwarcie, Karolu, że niema w całej Francji upartszego młokosa; ambitny, zazdrosny cudzych talentów, czy uwierzysz? knuje tajemne spiski przeciw mnie, swojemu rodzonemu bratu. Rób więc, co ci się podoba. Wszystko mi jedno, czy mu kark, czy mu palec ukręcisz. Radzę ci nawet mieć się na baczności, bo jeśli go ty tylko poturbujesz lub on świetnego nie odniesie nad tobą zwycięstwa, to albo truciznę ci zada, albo tajemnymi praktykami nastawać będzie na ciebie, póki w ten lub inny sposób życia ci nie odbierze. Wierzaj mi, a prawie że łzami to wyznaję, niema dziś pod słońcem człowieka, coby tak był młody, a tak przewrotny. Mówię o nim z braterską względnością, bo, gdybym chciał ci go w całej nagości przedstawić, jabyśmy płakać i rumienić się musiał, a tybyś błądł z podziwienia.

Karol. Rad jestem, że do was przyszedłem. Jeśli się jutro

pokaże, dostanie, co mu się należy, bo jeśli on jutro będzie mógł o własnych siłach nogę za nogą postawić, wyrzekam się zapasów na zawsze. A teraz Pan Bóg z wami. *(Wychodzi).*

Oliwer. Bądź zdrow, dobry Karolu. A teraz trzeba będzie podrażnić jeszcze mego zucha. Spodziewam się, że koniec jego zobaczę, bo dusza moja, nie wiem dlaczego, nienawidzi go nad wszystko. A przecie, to chłopiec tak łagodny; uczony, choć bez szkolnego ćwiczenia; pełen szlachetnych myśli; kochany przez wszystkich, jakby ich zaczarował; tak podbił serca świata, a nadewszystko własnych moich ludzi, którzy go najlepiej znają, że ja, brat starszy, tylko drugie trzymam miejsce. Ale to nie potrwa długo; zapaśnik poradzi wszystkim. Trzeba mi tylko teraz podjudzić wyrostka i to bez zwłoki.

(Wychodzi).

SCENA II.

Trawnik przed pałacem księcia.

(Rozalinda i Celia).

Celia. Proszę cię, Rozalindo, kochana kuzynko, bądź wesola.

Rozalinda. Droga Celio, i tak już pokazuję więcej wesela, niż go mam w sercu, a ty chcesz, żebym była jeszcze weselsza? Jeśli mnie nie nauczysz zapomnieć wygnanego ojca, darmo będziesz chciała nauczyć mnie wesela.

Celia. To mi właśnie dowodzi, że mnie tak nie kochasz, jak ja ciebie. Gdyby stryj mój, twój wygnany ojciec, wygnał był twojego stryja, księcia, mego ojca, byleś ty ze mną została, nauczyłabym miłość moją uważać twojego za mego ojca; i tybyś także to samo zrobiła, gdyby miłość twoja ku mnie z moją ku tobie mierzyć się mogła.

Rozalinda. Więc dobrze, zapomnę o mojem położeniu, aby się z twojego cieszyć.

Celia. Wiesz, że mój ojciec, oprócz mnie, innych nie ma dzieci i, zdaje się, mieć nie będzie; wierzaj mi więc, po jego śmierci będziesz jego dziedziczką, bo co on

twojemu ojcu przemocą wydarł, to ja ci oddam z miłości; oddam, na honor! a jeśli przysięgę tę zgwalcę, niech się w poczwarcę zamienię. Słodka Róžo, kochana Róžo, bądź więc wesołą!

Rozalinda. Będę nią od tej chwili, kuzynko, a na dowód zaczynam rozmyślać, gdzieby znaleźć rozrywkę. Co mówisz o miłości?

Celia. I owszem, szukaj rozrywki w miłości, tylko nie kochaj żadnego mężczyzny na prawdę, a i na żart nawet nie kochaj, tylko tyle, żebyś mogła bezpiecznie wycofać się kosztem skromnego rumieńca.

Rozalinda. Gdzie więc znajdziemy rozrywkę?

Celia. Siądźmy i szyderstwem odgońmy dobrą gospodynię fortunę od jej koła, aby na przyszłość równo dzieliła swoje dary.

Rozalinda. Ach, gdyby się nam to udało! bo dobrodziejstwa jej rozdzielone są dziś w najopłakańszy sposób! dobra, ślepa staruszka najczęściej się myli w podarunkach, które kobietom rozdaje.

Celia. To prawda. Którym dała piękność, rzadko daje cnotę, a którym dała cnotę, zakazaną daje urodę.

Rozalinda. Nie, nie zwalaj na fortunę grzechów natury: fortuna jest panią darów tego świata, ale nie rysów natury. *(Wchodzi Probierezyk).*

Celia. Czy tak sądzisz? Alboż piękne stworzenie, które ulepiła natura, nie może wpaść w ogień zrzędzeniem fortuny? Choć natura dała nam dowcip do szydzenia z fortuny, czy nie fortuna przysłała nam tego błazna, aby przeciąć argument?

Rozalinda. Tu, wyznać muszę, fortuna jest bez miłosierdzia dla natury, gdy naturalnemu głupstwu każe naturalny dowcip przecinać.

Celia. A i to może nie jest fortuny ale natury dziełem, która, widząc naturalny nasz dowcip za tępy, aby o takich boginiach rozprawić, przysłała nam naturalnego błazna, jak osekłę; bo zawsze tępość błazna jest osekłą dowcipu. Dokąd droga, dowcipnisiu?

Probierezyk. Śpiesz pani do oja co prędzej.

Celia. Czy cię postem zrobiono?

Probierezyk. Nie, na honor, tylko mi szukać pani kazano.

Rozalinda. Gdzie się przysięgi tej nauczyłeś, błazenku?

Probierezyk. Od pewnego kawalera, który na swój honor przysięgał, że naleśniki były dobre, i na honor

przysięgał, że niegodziwa była musztarda, gdy ja utrzymuję, że naleśniki były niegodziwe, a dobra musztarda; pan kawaler jednak nie krzywoprzysięgał.

Celia. Jak tego dowiedziesz z całą twoją kupą nauki?

Rozalinda. Teraz pora odjąć kaganiec twojej mądrości.

Probierezyk. Przybliżcie się; połóżcie rękę na waszych podbródkach i przysięgnijcie na wasze brody, że hultaj ze mnie.

Celia. Na nasze brody, gdybyśmy je miały, hultaj z ciebie.

Probierezyk. Na moje hultajstwo, gdybym miał je, byłbym hultajem; ale jeśli przysięgacie na to, czego nie macie, nie krzywoprzysięgacie; a więc i kawaler nie krzywoprzysięgał, przysięgając na honor, którego nigdy nie miał, lub, jeśli miał kiedy, to już go wyprzysięgał długo wprzód, nim widział te naleśniki i tę musztardę.

Celia. O kim to chcesz mówić, proszę?

Probierezyk. O pewnym panu w wielkich łaskach u staro Fryderyka, twojego ojca.

Celia. Łaska mojego ojca daje mu dosyć honoru. Nie mów o nim więcej, bo lada dzień dostaniesz chłostę za twój złośliwy język.

Probierezyk. Tem gorzej, że błaznom nie wolno mówić mądrze o tem, co mądrzy po błazeńsku robią.

Celia. Przyznaję, że wielką masz rację, bo, odkąd odrobinie sensu, którą mieli błazny, milczeć nakazano, odrobina błazeństwa, którą mieli mądrzy, w całym pokazała się blasku. Ach, otóż i monsieur Le Beau.

(Wchodzi Le Beau).

Rozalinda. Z pełną gębą nowin.

Celia. Którymi będzie nas karmił, jak gołąb swoje pisklęta.

Rozalinda. Będziemy więc nowinami nadziane.

Celia. Tem lepiej, będziemy tem smaczniejsze. Bon jour, monsieur Le Beau; co za nowiny?

Le Beau. Piękne księżniczki, straciłyście rzadką zabawę.

Celia. Zabawę? jakiego koloru?

Le Beau. Jakiego koloru, pani? Jak mam na to pytanie odpowiedzieć?

Rozalinda. Jak poradzi dowcip lub fortuna.

Probierezyk. Albo, jak każą przeznaczenia.

Celia. Ruszyłeś konceptem, jak martwe ciele ogonem.

Probiereczyk. Gdybym się na mojem stanowisku utrzymać nie umiał..

Rozalinda. Przewróciłbyś koziołka.

Le Beau. Pomieszaliście mi szyki, moje panie. Chciałem wam mówić o przepysznych zapasach, których straciłyście widok.

Rozalinda. To nam opowiedz przynajmniej szczegóły tych przepysznych zapasów.

Le Beau. Opowiem początek, moje panie; jeśli bowiem chcecie, będziecie mogły widzieć koniec. Co najlepszego zostaje, tu się właśnie odbędzie, gdzie stoicie.

Celia. Opowiadaj początek, który już umarł i jest pogrzebany.

Le Beau. Był ojciec, który miał trzech synów...

Celia. To coś na starą bajkę zakrawa.

Le Beau. Trzech młodych synów, pięknego wzrostu i urody...

Rozalinda. A każdy drągał miał drąg w ręku...

Le Beau. A najstarszy poszedł w zapasy z Karolem, księżym zapaśnikiem, który go w gnieniu oka powalił z trzema żebrami potrzaskanemi, tak, że mało nadziei ratunku zostało; taką samą łaźnię sprawił drugiemu i trzeciemu. Leżą tam rozciągnięci na piasku, a biedny stary ojciec tak żałośnie nad nimi płacze, że wszyscy widze w jego łzach udział biorą.

Rozalinda. Biedny starzec!

Probiereczyk. Ale gdzie ta rozrywka, którą straciły panie?

Le Beau. Właśnie zapasy, o których mówię.

Probiereczyk. Z dniem każdym człowiek rozumu się uczy. Pierwszy raz w życiu słyszę, że połamane żebra są przepyszna dla pań rozrywka.

Celia. I ja też, zaręczam.

Rozalinda. Jestli jeszcze jaki amator tej trzaskającej muzyki we własnych bokach, w połamanych żebrach zakochany? Czy chcesz być widzem tych zapasów, kuzynko?

Le Beau. Jeśli się nie oddalicie, będziecie mimowolnymi widzami, bo tu jest plac wybrany, a zapaśnicy już gotowi.

Celia. Właśnie przychodzą. Zostańmy więc i patrzmy.

(Przy odgłosie trąb wchodzi: Książę Fryderyk, panowie, Orlando, Karol i służba).

Ks. Fryderyk. Zaczynjcie. Skoro młody ten człowiek na

przedstawienie nasze jest głuchy, niech zapłaci za swoją zarozumiałość.

Rozalinda (*pokazując Orlanda*). Czy to jest nowy zapaśnik?

Le Beau. Tak jest, pani.

Celia. Ach, on tak młody! a jednak zwycięstwo z oczu mu patrzy.

Ks. Fryderyk. Jakto, córko i kuzynko, czyście po to się tu wcisnęły, aby zapasów być świadkami?

Rozalinda. Tak jest, książę mój i panie, jeśli się to twojej woli nie sprzeciwia.

Ks. Fryderyk. Z góry mogę wam zapowiedzieć, że niewiele znajdziecie przyjemności w widowisku, tak są nierówne siły walczących. Przez wzgląd na młodość zaczepnika chciałem go odwieść od przedsięwzięcia, ale rad moich słuchać nie chce. Próbuje teraz, młode panie, czy będziecie szczęśliwsze ode mnie.

Celia. Zawołaj go tu, dobry monsieur Le Beau.

Ks. Fryderyk. Próbuje; nie chcę być świadkiem rozmowy. (*Odchodzi na stronę*).

Le Beau. Panie zapaśniku, księżniczka chce z tobą mówić.

Orlando. Słucham rozkazu z należnym hołdem i uszanowaniem.

Rozalinda. Młody człowieku, czy ty wyzwałeś księżęcego zapaśnika Karola?

Orlando. Nie, piękna księżniczko, pierwszy Karol wszystkich ogólnie wyzwiał na rękę, a ja, tak jak inni, przychodzę próbować z nim sił mojej młodości.

Celia. Młody panie, duch twój za śmiały na twoje lata. Widziałeś okrutny dowód sił tego człowieka. Gdybyś mógł sam własnem zmierzyć się okiem, lub własnem ocenić się sądem, bojaźń niebezpieczeństwa radziłaby ci wybrać stosowniejsze do sił twoich przedsięwzięcie. Prosimy cię, przez wzgląd na ciebie, pomyśl o własnem bezpieczeństwie i odstęp od twojego zamiaru.

Rozalinda. Usłuchaj naszej rady, twój honor nic na tem nie ucierpi. Naszą będzie rzeczą uprosić księcia, aby zapasom koniec położył.

Orlando. Błagam was, nie bądźcie zbyt surowe w waszym sądzie, — bo sam przyznaję się do winy, — że tak pięknych, tak dobrych pań życzeniu postuszeństwa odmawiam. Ale niech wasze piękne oczy i kłliwe życzenia towarzyszą mi w mojej próbie! Jeśli będę zwycię-

żony, wstyd spadnie tylko na człowieka upośledzonego; jeśli będę zabity, to tylko umrze człowiek, który oddawna umrzeć pragnie. Nie pokrzywdzę przyjaciół, bo nie zostawiam nikogo, co by po mnie płakał; nie pokrzywdzę świata, bo nic na nim nie posiadam; zajmuję tylko na ziemi miejsce, które lepiej będzie obsadzone, gdy je opuszczę.

Rozalinda. Chciałabym ci odstąpić odrobinę sił, które posiadam.

Celia. A ja moje w dodatku.

Rozalinda. Szczęść ci Boże! Bodajem się pomyliła w moim o tobie sądzie.

Celia. Niech się spełnią wszystkie twojego serca życzenia!

Karol. Gdzie jest ten młody zuch, co tak gorąco pragnie spocząć na łonie swojej matki ziemi?

Orlando. Gotowy; ale mniej ambitny w swoich życzeniach.

Ks. Fryderyk. Przestańcie na pierwszym powaleniu.

Karol. Jedno wystarczy, mości książe; nie będziesz potrzebował zachęcać go do drugiej próby ty, panie, który tak gorąco odwodziłeś go od pierwszej.

Orlando. Skoro masz zamiar sztydzić ze mnie po próbie, nie powinienbyś przynajmniej sztydzić przed próbą. Ale do dzieła!

Rozalinda. Niech ci Herkules w pomoc przybędzie, młody mężu!

Celia. Chciałabym zostać niewidzialną, aby tego mocarza za nogę chwycić.

(Karol i Orlando pasują się).

Rozalinda. O dzielny młodzieńcze!

Celia. Gdybym miała pioruny w oczach, wiem, któryby się z nich powalił.

(Karol pada obalony; okrzyki).

Ks. Fryderyk. Dosyć! dosyć!

Orlando. Jeszcze! jeszcze! mości książe; jeszcze wszystkich sił nie natężył.

Ks. Fryderyk. Jak ci jest, Karolu?

Le Beau. Stracił mowę, mości książe.

Ks. Fryderyk. Wynieście go. *(Wynoszą Karola).* Twoje nazwisko, młodzieńcze?

Orlando. Nazywam się Orlando, mości książe, jestem najmłodszym synem Rolanda de Bois.

Ks. Fryderyk. Wolałbym, żebyś innego był synem.

Ojciec twój zyskał świata poważanie,

Lecz dla mnie zawsze był nieprzyjacielem;

Chętniejbym patrzył na twoje zwycięstwo,

Gdybyś z innego domu ród wywodził.

Lecz bywaj zdrowy! dzielny z ciebie młodzian;

Szkoda, że ojciec twój to imię nosi.

(Wychodzą: Książe, Le Beau i dwór).

Celia. Na miejscu ojca takżebym mówiła?

Orlando. Tak jestem dumny, żem Rolanda synem,

Najmłodszym synem, żebym się nie mieniał,

Gdyby mnie książe za syna chciał przybrać.

Rozalinda. Ojciec mój kochał Rolanda, jak duszę,

A świat uczucia ojca mego dzielił.

Gdybym wiedziała, że to syn Rolanda,

Łezby strumieniem błagała go wprzód,

Nimby rozpoczął niebezpieczną walkę.

Celia. Idźmy, kuzynko, idźmy szermierzowi

I podziękować i otuchy dodać,

Bo twarde słowa mojego rodzica

Serce mi krwawią. Dzielnieś się pokazał:

Jeśli w miłości obietnic dotrzymasz,

Jak je w zapasach dzisiaj prześcignąłeś,

Szczęśliwa będzie przyszła twa kochanka.

Rozalinda *(daje mu łańcuszek, który zdjęła z szyi).*

Noś to, młodzieńcze, na moją pamiątkę.

Gdyby fortuna wierniejszą mi była,

Więcejbym dała; lecz nie mam nic więcej.

Idźmy, kuzynko.

Celia. Bądź zdrow, młody panie.

Orlando. Nie mogęż nawet powiedzieć: dziękuję?

Lepsza mnie cząstka leży powalona,

A co zostało, drzewem jest bez życia.

Rozalinda. On woła na nas. Z fortuną uciekła

I moja duma. Spytam, czego żąda.

Czy nas wołałeś? Walczyłeś, jak rycerz,

I pokonałeś więcej, niż twych wrogów.

Celia. Czas iść, kuzynko.

Rozalinda. Jedno jeszcze słowo.

Bądź zdrow, młodzieńcze! niech Bóg będzie z tobą!

(Wychodzą Rozalinda i Celia).

Orlando. Jakaż namiętność język mi związała?

Chciała rozmawiać, jam słów znaleźć nie mógł.

(Wchodzi Le Beau).

Biedny Orlando! zwyciężył cię, widzę,
Karol, lub słabszy od Karola szermierz.

Le Beau. Przychodzę dać ci przyjacielską radę:

Uciekaj śpiesznie; bo choć zasłużyłeś
Na chwałę, miłość, na poklaski ludu,
Umysł książęcy w takim dzisiaj stanie,
Że na złe wszystkie czyny twe tłómaczy;
Ile kaprysu w księcia jest uczuciach,
Łatwiej ci pojąć, niż mnie wypowiedzieć.

Orlando. Dzięki za radę! — Lecz powiedz mi, panie,
Z dwóch dam przytomnych szermierskiej rozprawie,
Powiedz mi, która córką jest księżęcia?

Le Beau. Żadna, jeżeli sądzim z charakteru,
A niższa wedle natury i prawa.

Druga jest córką wygnanego księcia,
Przywłaszczyciela wolą zatrzymana
Na towarzyszkę córki. Te panienki
Czulej, niżeli siostry, się kochają.
Od niejakiego jednak czasu książę
Powziął urazę do swej synowicy,
Dlatego tylko, że ją naród cały
Dla cnót jej wielkich poważa i ceni,
Przez pamięć ojca nad losem jej płacze.
Z boleścią widzę, że złość, dotąd skryta,
Wkrótce wybuchnie. — Bądź zdrow, młody panie!
A później, później w lepszym niż ten świecie
Będę twej bliższej znajomości szukał.

Orlando. Dzięki ci, panie, za dobre twe rady!

(Wychodzi Le Beau).

Jak mną okrutnie gorzki los pomiała!

Z tyrana dworu do tyrana brata.

O, Rozalindo, niebieski aniele!

SCENA III.

Pokój w pałacu.

(Celia i Rozalinda).

Celia. Jakto, kuzynko? jakto Rozalindo? Kupidynie, zmiłuj
się nad nami! Ani słowa?

Rozalinda. Ani jednego, żeby na psa rzucić.

Celia. Słowa twoje zbyt są kosztowne, żeby je kundłom
rzucać; rzuć je raczej na mnie i ukąś mnie twoim ro-
zumem.

Rozalinda. Toby musiano zamknąć obie kuzynki: jedną,
że pokąsana moim rozumem, a drugą, że rozum straciła.

Celia. A wszystko z przyczyny twojego ojca?

Rozalinda. Nie, trochę także z przyczyny córki mojego
ojca. O, jak ciernisty świat ten dnia powszedniego!

Celia. To tylko łopuch rzucony na ciebie wśród święte-
cznej rozpusty; jeżeli bitym nie pójdziemy gościńcem,
do naszych przyczepia się sukni.

Rozalinda. Gdyby tylko do mojej przyczepił się sukni, nie
trudno byłoby go otrząsnąć, ale ten łopuch w mojem
jest sercu.

Celia. To go odkaszl.

Rozalinda. Odkaszlałabym wprzód życie.

Celia. Trochę odwagi! pasuj się z namiętnością i własnem
uczuciem.

Rozalinda. Moje uczucie trzyma stronę silniejszego ode
mnie zapaśnika.

Celia. Szczęść ci, Boże! Przyjdzie czas próby, choćby i oba-
lić się przyszło. Ale żarty na stronę, a mówny na se-
ryo. Czy podobna, abyś tak nagle, tak namiętnie przy-
wiązała się do najmłodszego syna Rolanda?

Rozalinda. Ojciec mój, książę, kochał serdecznie jego ojca.

Celia. Nie idzie za tem, żebyś serdecznie miała kochać
jego syna; bo wedle takiej logiki byłoby moją powin-
nością nienawidzić go, bo ojciec mój ojca jego niena-
widził serdecznie, ja przecie nie mam nienawiści do
Orlanda.

Rozalinda. O, nie! nie miej nienawiści do niego przez
miłość dla mnie.

Celia. A czemu nie, proszę? czy nie zasłużył na to?

Rozalinda. Dlatego pozwól mi go kochać, a ty z twej
strony kochaj go dlatego, że ja go kocham. Lecz patrz,
książę nadchodzi.

Celia. A oczy jego gniewem płoną.

(Wchodzi Księżę Fryderyk i panowie).

Ks. Fryderyk. Jeśli twe życie cenisz, mościa panno,
Uciekaj śpiesznie.

Rozalinda. Ja, stryju?

Ks. Fryderyk. Ty sama.

Bo gdy w dni dziesięć straż cię moja schwyta
O mil dwadzieścia od naszej stolicy,
Umrzesz.

Rozalinda. Przynajmniej pozwól mi, o, księżę,
Niech z sobą wiedzę winy mej zabiorę;
Jeśli znam dobrze duszy mej skrytości,
Znam wszystkie życzeń moich tajemnice,
Jeśli nie marzę, jeśli nie szaleję,
(A czuję, że jestem zmysłów moich panią),
To nigdy, stryju, nigdy nawet myślą
Nie obraziłam twego majestatu.

Ks. Fryderyk. To wszystkich zdrajców zwykle oświad-
[czenie;

Gdyby niewinność na słów rośla gruncie,
Wszyscy niewinni, jak niewinność sama.
Tobie dość wiedzieć: nie ufam ci więcej.

Rozalinda. Twoja nieufność zdrajcą mnie nie robi.
Na czym gruntujesz twoje podejrzenia?

Ks. Fryderyk. Czy nie dość, żeś jest ojca twego córką?

Rozalinda. Byłam nią, kiedy księstwo to posiadałeś,
Byłam nią, kiedyś z ziemi go tej wygnał.
Księżę mój, zdrada nie spada dziedzictwem,
A gdyby nawet ojców była spadkiem,
Ojciec mój, księżę, nigdy zdrajcą nie był.
Nie bądź więc, błagam, w sądzie twym surowy,
Nie bierz za zradę mojego ubóstwa.

Celia. Drogi mój księżę, wysłuchaj mej prośby.

Ks. Fryderyk. Dla ciebie tylko tu ją zatrzymałem,
Inaczej, z ojcem poszłaby się włóczyć.

Celia. O jej tu pobyt nie prosiłam wtedy,
Sam ją przez litość zatrzymałeś przy mnie.
Naprzód, zbyt młoda, nie znałam jej ceny;
Dziś znam ją dobrze. Jeśli jest zdrajczynią,
I ja nią jestem, bo sen nasz jest wspólny,
Wspólna zabawa, nauka i pokarm;
Ciągłe, Junony podobne łabędziom,
Po strudze życia płyniem nierozdzielne.

Ks. Fryderyk. W twojej prostocie nie znasz jej forteli:
Twarz jej łagodna, cierpliwa, milcząca
Do ludu mówi i litość w nim budzi.
Nie widzisz, ślepa, jak ona ci kradnie
Hołd ci należny; gdy jej tu nie będzie,
Blask twój i cnota piękniej zajaśnieją.

Lecz skończmy na tem, bo moje wyroki
Są nieugięte i nieprzełamane.
Jest i zostaje wygnana.

Celia. Więc, księżę,
Drugim wyrokiem skaż mnie na wygnanie,
Bo żyć nie mogę bez jej towarzystwa.

Ks. Fryderyk. Nie wiesz, co mówisz. A ty, synowico,
Jeżeli termin przewleczesz, na honor,
I na księżęce słowo — umrzesz!

(*Wychodzi Księżę i panowie.*)

Celia. O, siostrze moja, gdzie obrócisz kroki?
Chcesz ojców zmienić? odstąpię ci mego.

Przez Boga! nie bądź smutniejsza ode mnie.

Rozalinda. Mam więcej przyczyn.

Celia. Nie masz, droga siostrze.
O, bądź wesoła! czy nie wiesz, że księżę
Mnie, córkę własną, na wygnanie skazał?

Rozalinda. Nie.

Celia. Więc miłości nie znasz, co cię uczy,
Że ciała nasze jedną mają duszę.

Słodka dziewczyno, mamy się rozłączyć?
Nie; niech dziedziczki innej szuka ojciec.
Więc radźmy, jakby razem stąd uciekać,
Gdzie się obrócić i co z sobą zabrać.
Nie sama będziesz smutku dźwigać ciężar,
Od twych mnie cierpień i łez nie wyłączysz;
Świadcę się niebem, które z żalu zbladło,
Mów co chcesz, wszędzie pobiegnę za tobą.

Rozalinda. I gdzież pójdziemy?

Celia. Stryja mego szukać
W Ardeńskim lesie.

Rozalinda. Ile niebezpieczeństw
W dalekiej drodze dla dziewczyn jest młodych!
Więcej złodziei na piękność, niż złoto.

Celia. Ja twarz sadzami czarno pomaluję,
Ty zrób to samo, a nie znajdziem w drodze
Żadnej napaści.

Rozalinda. Czy nie lepiej będzie,
Gdy wzrostem zwykły wzrost kobiet przewyższam,
Żeby na siebie ubiór wdziała męski?
Oszczep w prawicy, kordelas przy boku,
Choć trwoga w sercu kryje się niewieścium,
Przywdzieję wszystkie junaka znamiona,

Jak tchórz niejeden przed tłumem oczyma
Oslania twogę męskośći pozorem.

Celia. Gdy będziesz mężem, jak mam cię nazywać?

Rozalinda. Nie chcę być gorszą od giermka Jowisza,

I odtąd, proszę, zwij mnie Ganimedem.

A twoje imię?

Celia. Z losem moim zgodne:

Nie jestem Celią, ale Alieną.

Rozalinda. Co mówisz, siostrze, gdybyśmy w ucieczce

Zabrały z sobą książęcego błazna?

On byłby dla nas pociechą wśród drogi.

Celia. On chętnie za mną w świat pójdzie daleki,

To rzecz jest moja. Więc śpieszmy się teraz,

Zbierzmy klejnoty i bogactwa nasze,

I czas obmyślny i najlepsze środki,

Jak zmylić pogoń za nami wysłaną.

Teraz nie w smutku idźmy, lecz radości,

Nie na wygnanie, ale do wolności.

(Wychodzą).

AKT DRUGI.

SCENA I.

Las Ardeński.

(Książę wygnany, Amiens i Panowie w ubiorze strzeleckim).

Książę. Powiedzcie teraz, bracia na wygnaniu,

Czy przywyknieniem życie nasze nie jest

Nad malowany przepych dworu słodsze,

Lasy mniej groźne, niż dwór podejrzliwy?

Tu z Adamowej uczuwamy kary

Tylko pór zmianę; lecz gdy wiatr zimowy

Szczypie nam ciało lodowatym tchnieniem,

Skostniały cały z uśmiechem powtarzam:

To nie pochlebstwo, szczyry to przyjaciel,

Który dobitnie mówi mi, czem jestem.

Przeciwność słodkie wydaje owoce,

Jak jadowita i szpetna ropucha

Kosztowny klejnot w głowie swojej nosi.

Tu życie, wolne od tłumnych zbiegowisk,
W strumieniu księgi, w drzewach ma języki,
Kazania w skałach, a korzyść we wszystkim.

Amiens. Nie pragnę zmiany. Błogo ci, o książę!

Gdy możesz gniewy zawziętej fortuny

Tłómaczyć stylem słodkiego pokoju.

Książę. Pójdziemyż teraz ubić co dziczyny?

Wyznaję przecie, że serce mnie boli,

Gdy centkowane, biedne te głupiątko,

Tych państw samotnych pierwi właściciele,

W granicach własnych, pod strzał naszych ostrzem

Okrągłe biodra krwią własną rumienią.

Pierwszy Pan. Posępny Jakób ten sam czuje smutek,

Klnie się, że gorsze twoje przywłaszczenie,

Niż brata, który wygnał cię z twej ziemi.

Dziś ja i Amiens zasłiśmy ukradkiem,

Gdzie w cieniu dębu leżał zadumany;

Drzewo nurzało stare swe korzenie

W wodach potoku szumiących wśród boru;

Tam właśnie jeleni samotny, przez strzelca

Ciężko raniony, przywłóknął biedne ciało,

I śmierci czekał; a prawdziwie, książę,

Z bólu tak ciężkie wydawał westchnienia,

Że wzdęta skóra na jego się bokach

Pękać zdawała; łyzy wielkie, okrągłe,

Kropla za kroplą, po niewinnym pysku

Smutnie ściekały; kosmate głupiątko,

Mierzone wzrokiem posępnym Jakóba,

Stało nad brzegiem i wody potoku

Łzami zwiększało.

Książę. A Jakób co na to?

Czy na ten widok nie prawil moralów?

Pierwszy Pan. O książę, tysiąc znalazł tam porównań.

Naprzód, gdy krople ciekły w zdroj obfity,

»Biedny jeleniu — mówił — twój testament

Piszesz, jak wszyscy światowi panowie:

Zbyt już bogatym skarb twój przekazujesz».

Potem, gdy widział, że jeleni samotny,

Przez aksamitnych opuszczony braci,

»Tak bywa zawsze — zawołał — niedola

Rozgania tłumy mnogich przyjacieli».

Nadbiegło stado opasłych jeleni,

Lecz żaden, żaden nie wstrzymał racy,

Pozdrowić brata. »O! — zawołał Jakób —
 O, lećcie kraśni pustyni mieszkańce,
 To moda dzisiaj; co macie poglądać
 Na ubogiego konanie bankruta?«
 Tak szczypiącemi wyszydzał słowami
 Dwór, miasta, kraje i nasze tu życie.
 Klął się, że wszyscy w lesie tym jesteśmy
 Bandą tyranów i przywłaszczycieli,
 Gdy siejem trwozę i śmierć wśród dziczyny
 W dziedzinach, które dała jej natura.
Książę. I zostawiłeś go wśród tych rozmyślań?
Drugi Pan. Wśród łez i uwag nad biednego zwierza
 Ciężkiem konaniem.
Książę. Prowadź mnie do niego;
 Lubię go widzieć w takich paroksyzmach,
 Bo wtedy pełny głębokich jest myśli.
Pierwszy Pan. Nie trudno, książę, znaleźć nam go będzie.
 (*Wychodzą.*)

SCENA II.

Pokój w pałacu.

(*Książę Fryderyk, panowie i służba.*)

Ks. Fryderyk. Jak to być może, by ich nikt nie widział?
 To niepodobna, albo na mym dworze
 Muszą być zdrajcy, spisku uczestnicy.
Pierwszy Pan. Nikt jej nie widział, zapewniam cię, książę.
 Dworskie jej damy widziały ją w łóżku,
 Nad rankiem łóżko znalazły bez pani.
Drugi Pan. Parszywy błazen, z którego tak często
 Śmiałeś się, panie, zniknął także dzisiaj.
 Hesperya, dama księżniczki, zeznaje,
 Że podслуchała, jak córka twa, książę,
 I jej kuzynka z zapałem mówiły
 O zapaśnika cnotach i przymiotach,
 Co barczystego powalił Karola;
 Zdaniem jej, młokos zbiegom towarzyszy,
 Gdziekolwiek swoje obróciły kroki.
Ks. Fryderyk. Posłać do brata, aresztować gacha;
 Jeżeli zniknął, brata przyprowadzić,
 On mi go znajdzie; zrobić to natychmiast,

Póty nie szczeni zachodów i pracy,
 Póki szalonych nie schwytny zbiegów.
 (*Wychodzą.*)

SCENA III.

Przed domem Oliwera.

(*Orlando i Adam spotykają się.*)

Orlando. Kto tam?

Adam. Mój panie, młody, dobry panie,
 Żywy obrazie starego Rolanda,
 Po co do tego wracasz znowu domu?
 Na co masz cnotę? na co ludzką miłość?
 Na co masz dobroć, siłę i odwagę?
 Skąd ci myśl przyszła powalić o ziemię
 Kościste ciało zapaśnika księcia?
 Wieść twojej chwały zbyt cię wyprzedziła.
 Czy nie wiesz, że są ludzie, którym cnota,
 Własna ich cnota jest nieprzyjacielem?
 I ty należysz do liczby tych ludzi,
 Dla ciebie także wszystkie twoje cnoty
 Uświęconymi są tylko zdrajcami.
 O, świat przeklęty, gdzie wszystko, co dobre,
 Dla posiadacza trucizną jest tylko!

Orlando. Co się toaczy?

Adam. Od drzwi tych uciekaj,
 Biedny młodzieńcze! Pod dachem tym żyje
 Wszystkich przymiotów twoich nieprzyjaciel.
 Twój brat — nie, nie brat, syn przecie, — nie, nie syn —
 Bo nie chcę, nie chcę nazywać go synem
 Męża, którego ojcem nazwać chciałem —
 Wie już o wszystkim, słyssał o twej chwale,
 I chce tej nocy w izbie tej cię spalić;
 Jeśli to chybi, inne znajdzie środki,
 Jakby cię zgubić, bo go podслуchałem,
 Jak z współnikami knuł na ciebie spiski.
 Dom ten dla ciebie na jatki się zmienił:
 Strzeż się! przeklętych nie przestępuj progów!
Orlando. Gdzież chcesz, Adamie, bym kroki obrócił?
Adam. O, wszędzie, wszędzie, byleś tu nie został!
Orlando. Czy chcesz, bym poszedł o żebrany chlebie?

Czy chcesz, bym podtą i zbrodniczą ręką
Rozbijał ludzi na wielkim gościńcu?
Bo co mam robić, gdy tego nie zrobię?
A tego nie chcę, cokolwiek mnie czeka;
Lecz wolę raczej smutną paść ofiarą
Krwi mej wyrodnej i krwawego brata.

Adam. Nie, nie rób tego. Mam pięćset talarów,
Którym uciułał za twojego ojca;
Myślałem, że to kawał da mi chleba,
Kiedy wiek członki me z siły obedrze,
Gdy starca ludzie odepchną z pogardą.
Weź je, a starość moją niech pocieszy
Ten, który krukom daje pożywienie,
I wróblích piskląt w gnieździe nie opuszcza!
Oto jest złoto — wszystko ci oddaję.
A teraz pozwól, bym sługą był twoim.
Mam starca minę, ale jestem czerstwy,
Bo za lat młodych krwi nie przepalałem
Gorących trunków zdradliwą trucizną,
Ni się z bezwstydnym czołem uganiałem
Za tem, co daje chorobę i niemoc.
Starość też moja jest jak czerstwa zima:
Chłodna, lecz świeża. Weź mnie z sobą, panie,
We wszystkich twoich sprawach i przygodach
Będę ci służył, jak młodszy ode mnie.

Orlando. O, dobry starcze! ty piękny obrazie
Sług starej daty! gdy sługa pracował
Nie dla zarobku, ale z powinności!
Nie dla dzisiejszych rodziłeś się czasów!
Dziś w pracy każdy wyniesienia szuka,
A gdy je znajdzie, żegnaj, wierna służbo!
To nie twój zwyczaj. Ale, biedny starcze,
Spróchniałe tylko hodować chcesz drzewo,
Które w nagrodę pracy twej i trudu
Nie wyda nawet ubogiego kwiatka.
Lecz mniejsza o to, idźmy razem w drogę!
A nim ostatni twój szeląg wydamy,
Może gdzie ciche szczęście napotkamy.

Adam. Więc w drogę! Wszędzie pójdę z tobą, panie,
Wiernie, uczciwie, póki ducha stanie.
Od lat siedmnastu służyłem w tym domu,
Z ósmym krzyżykiem rzucam go bez sromu.
Młodemu wolno w drzwi fortuny pukać,

Z ósmym krzyżykiem nie czas szczęścia szukać.
Próśb moich wszystkich fortuna wysłucha,
Gdy ci nie dłużny, w Bogu oddam ducha.
(*Wychodzą.*)

SCENA IV.

Las Ardeński.

(*Rozalinda, w męskim ubiorze; Celia, przebrana za pa-sterkę; Probiarczyk.*)

Rozalinda. O, Jowiszu! jak znużona moja dusza!

Probiarczyk. Mniejsza o duszę, gdyby tylko moje nogi
nie były znużone.

Rozalinda. Niewiele trzeba, żebym się jak kobieta rozpla-
kała, na wstyd mojego męskiego ubioru; ale powinno-
ścią jest moją pocieszać starsze naczynia, bo powinno-
ścią jest płaszczą i rajtuzów dawać przykład spodnicom.
Więc śmiało naprzód, dobra Alieno!

Celia. Ach, znieście cierpliwie moje niedołęstwo! Nie je-
stem w stanie iść dalej.

Probiarczyk. Co do mnie, wolę znieść cię, niż nieść cię,
choć niosąc cię, nie niośłbym krzyża, bo, jeśli się nie
myślę, niema szeląga w twojej sakiewce.

Rozalinda. Jesteśmy nakoniec w lesie Ardeńskim.

Probiarczyk. Więc jestem nakoniec w lesie Ardeńskim!
tem większy ze mnie błazem; kiedym był w domu,
lepiej mi było; ale podróżny musi przestać na małym.

Rozalinda. Zrób tak, dobry Probiarczyku. Ale któż to się
zbliża? Młodzieniec i starzec w uroczystej rozmowie.
(*Wchodzi Koryn i Sylwiusz.*)

Koryn. To nie odmieni wzgardliwych jej tonów.

Sylwiusz. Korynie, gdybyś wiedział, jak ją Kocham!

Koryn. Pojmuję, jam też kochał w swoim czasie.

Sylwiusz. Nie, nie pojmujesz; nadto jesteś stary,
Choć dawniej mogłeś, jak wierny kochanek,
Sen o północy płoszyć westchnieniami.
Lecz jeśli miłość twa równą mej była,
(Choć wiem, że nigdy nikt jak ja nie kochał),
Powiedz, do jakich najśmieszniejszych czynów
Miłość cię wiodła mimo twojej woli?

Koryn. O, do tysiąca, tylko, żem zapomniał.

Sylwiusz. Więc nigdy, nigdy jak ja nie kochałeś.

Jeśliś zapomniał tysiacych śmieszności,
W które cię oczy kochanej wtrąciły,
To nie kochałeś.

Jeśliś nie siedział, jak ja teraz siedzę,
Nudząc słuchacza lubej pochwałami,
To nie kochałeś.

Jeżeliś nigdy, namiętnością gnany,
Od ludzkich twarzy jak ja nie uciekał,
To nie kochałeś. Febe! Febe!

(*Wychodzi*).

Rozalinda. Biedny pasterzu! twą sondując ranę,
Na me nieszczęście, własną mą odkrywam.

Problerczyk. I ja też moją. Pamiętam, kiedym był zakochany, pałasz mój o kamień strzaskałem. To twoja zapłata, rzekłem, za to, że o północy byłeś u mojej Anusi Śmieszki. Pamiętam, że całowałem jej kijankę i wymię krowy, które doity jej piękniuchne, popadane rączęta. Pamiętam, że, jak do niej, paliłem koperczaki do strączka grochu; dostałem od niej dwa strączki w prezencie, a zwracając je zapłakany, rzekłem: »Noś to na moją pamiątkę«. My, wierni kochankowie, dziwne stroimy figle; ale gdy wszystko jest śmiertelne w naturze, wszelka zakochana natura śmiertelnem dotknięta jest szaleństwem.

Rozalinda. Sam nie wiesz, jak mądrze mówisz.

Problerczyk. Nie, nie dowiem się, że mam rozum, póki o niego nóg nie połamie.

Rozalinda. Szał pasterza romansowy
Mego szału ma narowy.

Problerczyk. I mojego także, tylko, że mój już trochę wywietrzył.

Celia. O, błagam, idźcie, spytajcie pasterza,
Czyli za złoto nie sprzeda nam chleba.
Omdlewam prawie z głodu i znużenia.

Problerczyk. Hej, słuchaj, chłopie!

Rozalinda. Milcz! to nie twój krewny.

Koryn. Kto woła?

Problerczyk. Lepsi od ciebie, prostaku.

Koryn. To rzecz nie trudna.

Rozalinda. Milcz! powtarzam jeszcze!

Dobry ci wieczór, przyjacielu!

Koryn. Dobry

I panu także i wszystkim wam razem!

Rozalinda. Jeśli w tej puszczy dostanie za złoto,
Lub dobre słowo trochę pożywienia,
Wiedź nas, gdzie znajdziem pokarm i spoczynek.
Widzisz, jak dziewiczę to długą podróżą
Mdleje zmęczone.

Koryn. Lituję się nad nią
I chciałbym, dla niej raczej, niż dla siebie,
Więcej mieć środków dania jej pomocy;
Lecz jestem tylko innego pasterzem:
Ja pasę owce, nie ja strzygę weinę.
Twarde jest serce w piersiach mego pana,
Mało się troszczy, jakby gościnnością
Niebieskie bramy mógł sobie otworzyć.
Zresztą, te jego trzody, dom i łąki
Stoją na sprzedaż; w niebytności pana,
Pasterska buda lichą da wam strawę;
Lecz chodźcie ze mną; zastawię, co mogę,
A dobra wola niech resztę zastąpi.

Rozalinda. Kto chce zakupić trzodę i pastwiska?

Koryn. Ten młody pasterz, co tu był przed chwilą;
Choć dziś o kupno niewiele się troszczy.

Rozalinda. Jeśli to można uczciwym sposobem,
Zakup pastwiska i chatę i trzody,
Potrzebny na to damy ci kapitał.

Celia. Na służbie naszej lepsze znajdziesz strawne.
Tu chętnie resztę spędziłabym życia.

Koryn. Majątek cały jeszcze jest na sprzedaż.
Idźmy! gdy cały poznacie inwentarz,
Jeżeli ziemia, dochód, sposób życia,
Są wam po myśli, wszystko wam zakupię
I waszym wiernym sługą pozostanę.
(*Wychodzą*).

SCENA V.

Las Ardeński.

(*Amiens, Jakób i inni panowie*).

PIEŚŃ.

Amiens. Kto drzemać chce ze mną,
Gdzie strumień ten płynie,

Pieśń nucić przyjemną,
 Jak ptaszek w gęstwinie,
 Niech za mną, niech za mną iść raczy,
 Tu nie zobaczy
 Innego wroga wśród kniei,
 Prócz zimy, oprócz zawiei.

Jakób. Jeszcze! jeszcze! proszę cię, jeszcze!

Amiens. To cię o melancholię przyprawi, panie Jakóbie.

Jakób. Właśnie tego pragnę. Jeszcze, proszę cię, jeszcze!
 Mogę z piosenek wysysać melancholię, jak łasica wysysa jaja. Jeszcze! proszę cię, jeszcze!

Amiens. Głos mój chrapliwy nie może ci się podobać.

Jakób. Nie proszę cię, żebyś mi się podobał, proszę cię tylko, żebyś śpiewał. Dalej, zaczynaj drugą zwrotkę; wszak się to u was nazywa zwrotką?

Amiens. Jak ci się podoba, panie Jakóbie.

Jakób. Mniejsza o nazwisko; nic mi nie winno. Chceszli śpiewać?

Amiens. Raczej na twoje żądanie, niż dla mojej przyjemności.

Jakób. Za to też, jeśli kiedykolwiek dziękować komu będę, tobie podziękuję; tylko, że co ludzie komplemtem nazywają, jest jak dwóch małych spotkanie. Kiedy mi kto serdecznie dziękuje, zdaje mi się, że mu grosz dałem, za który dziadowską płaci mi monetą. Dalej, zaczynaj! a kto śpiewać nie chce, niech trzyma język za zębami.

Amiens. Niech i tak będzie; skończę piosenkę. Tymczasem stół zastawcie; książę chce pić pod tem drzewem i dzień cały cię szuka.

Jakób. A ja dzień cały przed nim uciekam. Nadto zapalczywy dla mnie z niego dysputant. Rozmyślał o tyłu, co i on, rzeczach, ale, dzięki Bogu, nie szukam z tego chluby. Dalej, świegotaj!

PIEŚŃ.

Wszyscy. Kto nie chce częściej sławy,
 Na słońcu czas pędzi,
 Sam szuka swej strawy,
 Je, co ma, nie zrędzi,
 Niech za mną, niech za mną iść raczy,
 Tu nie zobaczy

Innego wroga wśród kniei,
 Prócz zimy, oprócz zawiei.

Jakób. Dodam do twojej melodyj jedną zwrotkę, którą wczora, na przekór mojej wienie, napisałem.

Amiens. Chętnie ją zaśpiewam.

Jakób. Słuchaj.

Przez głupie natchnienie
 Kto osłem chce zostać,
 Porzucić swe mienie,
 Do puszczy się dostać,
 Ducdame, ducdame, ducdame,
 Tu takie same,
 Jak on jest, osły zobaczy,
 Jeśli tu do mnie przyjść raczy.

Amiens. Co się rozumie przez ducdame?

Jakób. To greckie zaklęcie, żeby głupców w koło zebrać.

A teraz pójdę spać, a jeśli nie będę mógł zasnąć, będę ze wszystkich pierwotnych Egiptu szczył.

Amiens. A ja pójdę szukać księcia, bo ucztą już gotowa.
(Rozchodzą się).

SCENA VI.

Las Ardeński.

(Orlando i Adam).

Adam. Kochany panie, nie mogę iść dalej; umieram z głodu. Tu się położę i mój grób wymierzę. Żegnam cię, dobry panie.

Orlando. Jakto, Adamie? nie więcej masz serca? Żyj jeszcze trochę, zbierz sił trochę; pokrzep się trochę. Jeśli w tym strasznym lesie błąka się jaki zwierzę dziki, albo sam pokarmem jego będę, albo ci go na pokarm przyniosę. Bliżej jesteś śmierci wyobraźnią, niż brakiem sił. Przez miłość dla mnie, pokrzep się Adamie! przez chwilę jeszcze trzymaj śmierć na długość ramienia; wrócę niebawem; jeśli nic nie przyniosę, pozwolę ci umrzeć, lecz jeśli umrzesz przed powrotem, powiem, że pogardziłeś moją pracą. Wybornie! rzeźwość powraca, i ja też za chwilę wrócę. Ale tu za zimne dla

ciebie powietrze; poniosę cię do jakiego dogodniejszego schronienia. Nie umrzesz dla braku żywności, jeśli w całej tej pustyni jest jedna żywa dusza. Nie trać otuchy, dobry Adamie.

(Wychodzą.)

SCENA VII.

Las Ardeński. — Stół zastawiony.

(Książę wygnany, Amiens, panowie i służba.)

Książę. Zapewne w jakie przemienił się zwierzę,
Bo darmo w ludzkiej szukam go postaci.

Pierwszy Pan. Chwila jest ledwo, jak się stąd oddalił;
Dobrej był myśli i słuchał piosenek.

Książę. Jeśli on, z samych rozdźwięków złożony,
Harmonię kocha, to lękać się trzeba
W niebieskich sferach jakiego rozdźwięku.
Powiedz mu, proszę, że mówić z nim pragnę.

(Wchodzi Jakób.)

Pierwszy Pan. Sam wraca, żeby oszczędzić mi pracy.

Książę. Cóż to jest, panie? coż to jest za życie?

Dlaczego biedni twoi przyjaciele
Żebrać o twoje muszą towarzystwo?
Lecz skąd ta radość?

Jakób. Napotkałem błazna,

Błazna w tym lesie, pstrokatego błazna,
Jak chlebem żyję, napotkałem błazna.
Leżał na ziemi, na słońcu się kapał,
Z pani fortuny w pięknych szydził słowach,
W słowach dobranych, choć pstrokaty błazen.
»Dzień dobry, błaznie«, rzekłem, a on na to:
»Nie zwij mnie błaznem, póki mi fortuny
Niebo nie ześle«. Tu dobył kompasu,
A poglądając zagasłem nań okiem,
Rzekł bardzo mądrze: »Dziesiąta godzina;
Tu widzieć można, jak świat nasz się kręci.
Godzina temu, a była dziewiąta,
Godzina jeszcze, będzie jedenasta;
Tak, co godzina, rośniem, dojrzewamy,
Tak, co godzina, gnijemy, gnijemy,
I tak się kończy powieść«. Na te słowa,

Pełne morału, pstrokatego błazna,
Jak kogut płuca moje piac zaczęły,
Że błazen takim filozofem został.
Bez przerwy całą śmiałem się godzinę,
Na własnym jego mierzonoj kompasie.
O, zacny błazen! o, szlachetny błazen!
Niema ubrania, jak pstrokata odzież.

Książę. Cóż to za błazen?

Jakób. Błazen wielkiej ceny!

Był też dworakiem i mówi, że damy,
Byleby młode były i urodne,
Wszystkie dar mają dziwny, że to wiedzą.
Mózg jego suchy, jak suchar ostatni
W końcu podróży, dziwne ma komórki,
Sposprzeżeń pełne, które posiekane
Na świat wyrzuca. O, gdybym był błaznem!
Pstrokata odzież, to cel mej ambicji.

Książę. Dam ci ją chętnie.

Jakób. O nią tylko proszę,
Lecz pod warunkiem, że z waszych umysłów
Chwast wyplewicie: dziwne przywidzenie,
Że jestem mądry; że dacie mi wolność,
Jak wiatr na morzu wiać, na kogo zechcę,
Bo to odwieczny błaznów jest przywilej.
Komu najbardziej błazeństwo dogryzie,
Ten się najgłośniej śmiać musi; a czemu?
Przyczyna widna, jak wielki gościnniec:
Ten, kogo błazen mądrym słowem draśnie,
Błazeństwo robi, jeśli mimo bólu,
Nie przyjmie ciosu obojętną twarzą;
Inaczej, błazna strzał na wiatr puszczoney,
Wykryje światu mądrego błazeństwo.
Daj mi pstrokatą odzież, daj mi wolność
Mówić, co myślę, a ja ci powoli
Oczyszczę świata chorowite ciało,
Byle cierpliwie moje brał lekarstwo.

Książę. Wstydz się, Jakóbie! Czy wiesz, co byś zrobił?

Jakób. O zakład, wiele zrobiłbym dobrego.

Książę. Na grzech fukając, grzech zrobiłbyś wielki:
Bo w swoim czasie byłeś rozpustnikiem,
Jak bydlę żądłem zmysłowości klute,
A wszystkich wrzodów naciąg jadowity,

W latach rozpustnej zebrany swawoli,
Pragnąłbyś teraz na świat cały rozlać.

Jakób. Czyż, kto na ludzką piorunuje dumę,

Jedną ma tylko osobę na oku,
Gdy grzech ten kraje zalewa, jak morze,
Aż do ostatnich granic swej potęgi?

Któraż kobietę w mieście oskarżyłem,
Jeżeli powiem: w mieście tem kobiety
Książąt skarb noszą na niegodnem ciebie?

Któraż mi powie: mnie miałeś na myśli,
Gdy jest do swojej podobna sąsiadki?

Lub gdzie jest prostak, coby mi powiedział:

Nie ty płaciłeś za moje świecidła,
Gdyby do siebie słów mych nie stosował,

I sam swych błazeństw piętnem ich nie znaczył?

Pokaż więc, w czym go język mój pokrzywdził.

On sam się krzywdzi, jeśli prawdę mówię,

A byle tylko do winy się nie czuł,

Nagana moja leci, jak gęś dzika —

Bez właściciela. — Lecz któż to nadbiega?

(Wbiega Orlando z dobytą szablą).

Orlando. Stójcie! przestańcie na tem, coście zjedli.

Jakób. Jeszczem nic nie jadł.

Orlando. I nic jeść nie będziesz,

Póki zgłodniały części swej nie weźmie.

Jakób. Cóż to za kogut, co tak dziwnie pieje?

Książę. Czy niedostatek robi cię zuchwałym,

Lub czy z pogardy dobrych obyczajów,

Tak obcym wszelkiej zdajesz się grzeczności?

Orlando. Odgadłeś prawdę; ostre głodu ciernie

Zdarły mi słodkiej grzeczności znamiona;

Wyrosłem jednak wśród ćwiczonych ludzi,

I odebrałem trochę wychowania.

Ale powtarzam, umrze, kto się ręką

Dotknąć odważy jednego owocu,

Póki nie wezmę potrzebnej mi cząstki.

Jakób. Jeśli rozsądna, uczciwa odpowiedź

Nie dość dla ciebie, umrzeć będę musiał.

Książę. Czego ci trzeba? Dobrocią wymożesz

Więcej, niż gwałtem zmusisz do dobroci.

Orlando. Jeść mi co dajcie, bo umieram z głodu.

Książę. Więc jedz i siadaj i bądź naszym gościem.

Orlando. Ach, co za dobroć! Darujcie mi, proszę!

Jam myślał, że tu wszystko jest okrutne,
Dlatego postać surową przybrałem.

Ale ktokolwiek jesteście, panowie,

Co w tej dalekiej, niedostępnej puszczy,
W posępnym cieniu dębów starożytnych,

Zapominacie, jak płyną godziny,

Jeśliście kiedy dnie piękniejsze znali,

Tam gdzie dzwon wołał ludzi do kościoła,

U dobrych ludzi siadali za stołem,

Jeśli z ócz waszych łaza kiedy ściekała,

Jeśli nie obce wam jest miłosierdzie,

Niech wasza dobroć przymus mój zastąpi,

I w tej nadziei ze wstydem miecz chowam.

Książę. Tak jest, znaleźmy kiedyś dnie piękniejsze,

I do kościoła dzwon święty nas wołał,

U dobrych ludzi byliśmy za stołem,

Ży nam z ócz święta wyciskała litość,

Dlatego usiądź i dla twej potrzeby

Z tego, co mamy, bierz z całą ufnością.

Orlando. O, jeszcze krótką zaczekajcie chwilę,

Abym, jak sarna, po kozłę me pobiegł,

I dał mu pokarm. Tam biedny jest starzec,

Który przez miłość dla mnie długą drogę

Włókł słabe kroki; do ust nic nie wezmę,

Aż on pokrzepi ciało powalone

Od dwóch tyranów: głodu i starości.

Książę. Idź, śpiesz się! wszystko na powrót wasz czeka.

Orlando. Za waszą dobroć niech Bóg wam zapłaci!

(Wychodzi).

Książę. Nieszczęście, widzisz, nie nas tylko ściga;

Szeroka ziemia, jak teatr olbrzymi,

Smutniejsze widzom przedstawia dramata,

Niż ten, na którym odgrywamy rolę.

Jakób. Świat jest teatrem, aktorami ludzie,

Którzy kolejno wchodzą i znikają.

Każdy tam aktor niejedną gra rolę,

Bo siedem wieków dramat życia składa.

W pierwszym więc akcie słabe niemowlątko

Na piersiach mamki ślini się i kwili;

Następnie, student z teką, zapłakany,

Z rumianą twarzą, jak poranne niebo,

Ślimaczym krokiem wlecze się do szkoły;

Potem kochanek, jak miech wdychający,

Pisze sonety do brwi swej kochanki;
 Z kolei żołnierz, dziwnych przekleństw pełny,
 Z brodą jak kozieł, drażliwym honorem,
 Żywy, gwałtowny, do sporów pochopny,
 Leci, w gardzieli armat szukać sławy,
 Tej pustej bańki; następnie więc sędzia,
 Z okrągłym brzuchem, na kapłonach spasy,
 Z surowem okiem, podstrzyżoną brodą,
 Zdań mądrych pełny i nowych przykładów,
 Gra swoją rolę: później, w szóstym wieku,
 Chudy pantalon w pantoflach się zjawia,
 Nos w okulary ujął, a u boku
 Sakwy zawiesił; w przestronnych pończochach,
 Które zachował od lat swej młodości,
 Gubią się drżące, pokurzone łydki,
 Głos męski wrócił do dziecka dyszkantu,
 Cienki, świszczący, jak piszczałki tony;
 Aż i na koniec przychodzi akt siódmy,
 Koniec historii zdarzeń dziwnych pełnej,
 Pamięć zagasła w drugim niemowlęctwie,
 Bez zębów, oczu, smaku, bez wszystkiego.

(*Wchodzi Orlando z Adamem*).

Książę. Witaj nam! posadź szanowny twój ciężar,
 Niech się pokrzepi.

Orlando. Dziękuję za niego.

Adam. I dobrze robisz, bo zbyt jestem słaby,
 Bym sam dziękował.

Książę. Więc żwawo, do łyżki!
 Wasze mi losy później opowiecie.

A ty, kuzynie, śpiewaj nam co teraz.

PIEŚŃ.

I.

Amiens. Zimne wiatry od północy
 Dmijcie, dmijcie z całej mocy,
 Ząb wasz kąsa mniej głęboko,
 Niż ząb krwawy niewdzięcznika,
 Bo choć kości dreszcz przenika,
 To nie widzi was me oko.
 Hej dana! śpiewajmy, co siły nam stanie,
 Bo przyjaźń szalbierstwem, szaleństwem kochanie.
 Więc dana! hej dana! póki stanie tchu,
 Bo niema żywota, jak żywot nasz tu.

II.

Niech śniegami niebo prószy,
 Zimniej leży na dnie duszy
 Dobry czyn nie zawdzięczany;
 I wiatr, co górami wstrząsa,
 Mniej dotkliwym zębem kąsa,
 Niż przyjaciel zapomniany.

Hej dana! śpiewajmy, co siły nam stanie,
 Bo przyjaźń szalbierstwem, szaleństwem kochanie.
 Więc dana! hej dana! póki stanie tchu,
 Bo niema żywota, jak żywot nasz tu.

Książę. Jeśliś jest synem dobrego Rolanda,
 Jak mi otwarcie szepnąłeś do ucha,
 I jak me oczy w wszystkich twoich rysach
 Jego żyjący spozstrzegają obraz,
 Stokroć nam witaj! Widzisz we mnie księcia,
 Który serdecznie ojca twego kochał.
 I ty nam witaj, starcze!

(*Do jednego ze sług*).

Daj mu rękę.

Ty daj mi twoją; po chwili wychnienia
 Opowiesz smutne twoje przeznaczenia.

(*Wychodzą*).

AKT TRZECI.

SCENA I.

Pokój w pałacu.

(*Książę Fryderyk, Oliwer, panowie i służba*).

Ks. Fryderyk. Odtąd na oczy ci się nie pokazał?
 To być nie może. Gdyby mej natury
 Dobroć nie była najlepszą połową,
 Skoro cię trzymam, nie szukałbym dalej
 Zemsty mej celu. Lecz słuchaj mnie dobrze:
 Znajdź twego brata, gdziekolwiek się kryje;
 Szukaj go z świecą, rok ci na to daję,
 Przyprowadź mi go żywym lub umarłym,
 Albo uciekaj z granic mego państwa;

Ja sekwestruję twój dom, twoje ziemie,
Dopóki brat twój, ust własnych zeznaniem,
Mym podejrzeniom nie położy końca.

Oliwer. O, książę, gdybyś w sercu mojem czytał!

Ja nigdy brata mego nie kochałem.

Ks. Fryderyk. Łotrze obrzydły! Wypchnijcie go za drzwi!

A z mych urzędów, komu to należy,

Niech wszystkie dobra jego oszacuje,

I niech bez zwłoki z domu go wyrzuci.

SCENA II.

Las Ardeński.

(*Orlando, z papierem w ręku.*)

Orlando. Tu zawieszę me pieśni, jak uczuć mych znaki:

A ty, czysta Dyano, śród niebios otchłani,

Czytaj pogodnem okiem, blade mierząc szlaki,

Imię twojej kapłanki, życia mego pani.

O Rozalindo! drzewa te będą księgami,

Wryję myśli moje na twardej ich korze,

Aby się wszędzie karmit twoich cnót świadkami

Wędrowiec, zabłąkany w tym samotnym borze.

Niechaj więc drzewo każde imię tej zachowa,

Która czystsza, piękniejsza nad wszystkie jest słowa.

(*Wychodzi. — Wchodzi: Koryn i Probiarczyk.*)

Koryn. Jakże ci się podoba to pasterskie życie, panie Probiarczyku?

Probiarczyk. Muszę wyznać, pasterzu, iż ze względu na samo siebie niezłe jest to życie, ale ze względu, że to jest pasterskie życie, życie to nic niewarte. Ze względu, że jest samotne, bardzo mi się podoba; ale ze względu, że jest odosobnione, obrzydzenie mi sprawia. Ze względu, że jest na wolnem powietrzu, lubię je; ale ze względu, że nie na dworze, nudzi mnie. Ze to jest życie skromne, bardzo mi jest po myśli; ale że jest ubogie, wcale mi nie do smaku. Czy masz w sobie co filozofii, pasterzu?

Koryn. Nie więcej, jak że wiem, iż im kto słabszy, tem z nim gorzej; że kto nie ma pieniędzy, dostatków, uciechy, nie ma trzech dobrych przyjaciół; że własnością deszczu jest moczyć, a ognia palić; że na dobrem

pastwisku tyją owce; że wielką przyczyną nocy jest zachód słońca; że komu nie dała rozumu natura lub sztuka, żalić się może na brak dobrego wychowania, lub też z tępego pochodzi rodu.

Probiarczyk. To jest naturalna filozofia. Czy byłeś kiedy na dworze, pasterzu?

Koryn. Nie, nigdy.

Probiarczyk. Będziesz więc w piekle się smażył.

Koryn. Uchowaj Boże! Mam nadzieję...

Probiarczyk. Będziesz się smażył, jak źle upieczone jaje — po jednej stronie.

Koryn. Dlatego, że nie byłem na dworze? Jak tego dowiedziesz?

Probiarczyk. Bardzo łatwo. Jeśli nigdy nie byłeś na dworze, nie widziałeś nigdy dobrych obyczajów; jeśli nigdy nie widziałeś dobrych obyczajów, musisz mieć złe obyczaje, a złe obyczaje są grzechem, a grzech prowadzi do piekła. Jak widzisz, krucho z tobą, pasterzu.

Koryn. Bynajmniej, Probiarczyku; bo co na dworze jest dobrym obyczajem, byłoby na wsi tylko śmiesznym obyczajem, jak wiejskie maniere byłyby śmieszne na dworze. Mówiłeś mi, że na dworze nie kłaniacie się, ale całujecie rękę na znak pozdrowienia; byłoby to brudne pozdrowienie, gdyby dworzanie byli pasterzami.

Probiarczyk. Dowiedz mi tego jasno a krótko; słucham.

Koryn. Nic łatwiejszego. Ciągłe macamy owce, a owcze skóry, jak ci wiadomo, są pełne tłuszczu.

Probiarczyk. A czy się nie pocą dworzanie? a barania tłustość czy nie tak zdrowa, jak pot ludzki? Lichy dowód, lichy dowód! Szukaj lepszego. Czekam.

Koryn. Prócz tego nasze ręce są twarde.

Probiarczyk. Tem łatwiej je poczną wasze usta. I to lichy dowód; szukaj lepszego; dalej!

Koryn. Ręce nasze smarowane są często dziegiem lekarstw na owcze choroby; chceszli, żebyśmy dziegiem całowali? Ręce dworzan pachną piżmem.

Probiarczyk. O, pusta głowo! ty zgniłe mięso przy dobrej pieczeni! Słuchaj mędrszych i ucz się rozumu: piżmo gorszego jest od dziegiu pochodzenia; to nieczysty wpływ kota. Raz jeszcze powtarzam, szukaj lepszego dowodu.

Koryn. Za dworski dla mnie twój dowcip; poddaję się.

Probiarczyk. Poddajesz się dyabłu w szpony? Boże ci

dopomóż, pusta pałko! Boże, zdejm ci bielmo, boś głupiutki.

Koryn. Mospanie, jestem uczciwy parobek i co jem i co noszę, zarobiłem; nie mam do nikogo nienawiści; nie zazdrozczę niczyjemu szczęściu; raduję się z cudzej pomyślności, a cierpliwie znoszę własną biedę; najdumniejszy jestem, gdy widzę, że moje owce szczypią trawę, a moje jagnięta ssą maciory.

Probiereczyk. Nowy tylko grzech twojej głupoty; parzyć owce z trykami i żyć wszeteczeństwem bydła! Być rajfurem barana i zaprzedać w najniedobrańsze małżeństwo dwunastomiesięczną owieczkę krzyworoziemiu. staremu rogalowi trykowi! Jeśli nie pójdziesz do piekła, to chyba, że dyabeł nie chce u siebie pastuchów. Nie widzę innego dla ciebie ratunku.

Koryn. Otóż nadchodzi Ganimedes, młody brat mojej nowej pani.

Rozalinda (*wchodzi czytając*).

Od Paryża do Berlina
Pierwszą perłą Rozalina.
Każdym wiatrem tknięta trzcina
Szumi: piękna Rozalina.
Wszelka piękność czoło zgina,
Gdzie zabłyśnie Rozalina.
Świat o wszystkim zapomina,
W myślach jedna Rozalina.

Probiereczyk. Podejmuję się przez ośm lat tak rymować, z wyjątkiem godzin obiadu, wieczerzy i snu; wiersze idą gęsiego, jak na targ przekupki.

Rozalinda. Milcz, błaznie!

Probiereczyk. Słuchaj tylko próbki:

Gdy samicy chce płaszyna,
Niech szuka, gdzie Rozalina.
Zakochana co kocina
Miauczy? — gdzie jest Rozalina?
Bez podszewki zła płaszczyna,
Chce podszewki Rozalina.
Wiąże w snop, kto zboże ścina,
Z snopem na wóz Rozalina;
Słodki orzech, zła łupina,
Taki orzech Rozalina.
Najwonnejsza róż krzewina
Ma kolce, jak Rozalina.

Fałszywy to galop poetyczny. Skąd ci myśl przyszła takiego rodzaju wierszami się zarazić?

Rozalinda. Uspokój się, tępy błazenku, wiersze te znalazłam na drzewie.

Probiereczyk. To wyznać trzeba, że kwaśne jabłko drzewo to wydaje.

Rozalinda. W jego więc płonkę zaszczipię ciebie, a potem niespliki, a wyda najwcześniejszy ze wszystkich drzew owoc, bo zgnije, nim napół dojrzeje, co stanowi główną zaletę niesplika.

Probiereczyk. Powiedziałaś; ale czy do sensu lub nie do sensu, niech los rozsądzi.

(*Wchodzi Celia, czytając*).

Rozalinda. Cicho! zbliża się siostra moja zaczytana; odejźmy na stronę.

Celia (*czyta*). Puszczą ta puszcza dłużej nie będzie,

Choć niema chatki ni ludzi;

Krocie języków nawieszam wszędzie,

A każdy piosnkę rozbudzi.

Ten będzie śpiewał, jak szybko bieży

Pielgrzymka ludzkiego życia,

Skoro pięćdziesiąt drogę rozmierzy

Do mogiły od powicia.

Jak łatwo pęka, niech tamten śpiewa,

Przyjacieli węzeł bratni,

Lecz najpiękniejsze gałęzie drzewa,

Wiersz zwrotki każdej ostatni

Niech Rozalindy głosi przymioty;

Niech wszystkie czytają oczy,

Że nieba piękność i nieba cnoty

Wzór jeden mały jednocy.

Wielka natura, jak niebo chciało,

W alembiku swoich cudów,

Dystylowała na jedno ciało

Piękności słynne u ludów.

Greckiej Heleny jasne oblicze,

Oczu Kleopatry żywość,

I Atalanty wdzięki dziewicze,

Smutnej Lukrecji wstydlivość.

Takie ze szczodrej natury ręki

Rozalinda wzięła dary;

Od jednych oczy, od drugich wdzięki,

Od wszystkich urok bez miary.

Takim urody Bóg ubrał ją wieńcem,
Mnie zrobił wiecznym urody tej jeńcem.

Rozalinda. O miłosierny Jowiszu! Jak nudną homilią miłości nudziłaś twoich parafianów, a nie zawołałaś ani razu: dobrzy ludzie, proszę o chwilę cierpliwości.

Celia. A to co znowu? na zasadzce przyjaciele? Oddał się, pasterzu, a i ty z nim, błazenku.

Probiereczyk. Dalej, pasterzu, rejterujemy z honorem, a jeśli nie z bronią i bagażami, to przynajmniej z torbą i rupieciami. (*Wychodzą.*)

Celia. Czy słyszałaś te wiersze?

Rozalinda. Słyszałam wszystkie, a nawet trochę więcej, bo niektóre miały więcej stóp, niż znieść mogły wiersze.

Celia. Mniejsza o to; jeśli stóp nie mogły znieść wiersze, to może stopy poniosą wiersze.

Rozalinda. Kiedy stopy także były koślawe, a że nie mogły same ostać się bez wiersza, stanęły koślawo do wiersza.

Celia. Ale czy słyszałaś bez zadziwienia, że imię twoje wisí na gałęziach, stoi ryte na korze?

Rozalinda. Z dziewięciu dni dziwu minęło już siedm przed twojem przybyciem, bo patrz, co znalazłam na palmowym drzewie. Nie orymowano mnie tak od czasów Pitagoresa, kiedy byłam irlandzkim szcurem — co sobie ledwo przypominam.

Celia. Czy domyślasz się, kto je pisał?

Rozalinda. Czy jaki mężczyzna?

Celia. Z łańcuszkiem na szyi, który kiedyś nosiłaś. Bledniejsz?

Rozalinda. Kto? powiedz, proszę.

Celia. O, Panie! Panie! kochankom spotkać się niełatwo; lecz i góry spotkać się mogą, jeśli je trzęsienie ziemi poruszy.

Rozalinda. Lecz przecie, kto je pisał?

Celia. Czy podobna?

Rozalinda. Błagam cię najpokorniej, najnatrętniej, powiedz, kto je pisał?

Celia. O, cuda! cuda! najcudowniejsze cuda! i raz jeszcze cuda, cudowniejsze nad wszystkie cuda!

Rozalinda. Przez Boga! czyż myślisz, iż dlatego, że noszę męski ubiór i cierpliwość moja także nosi kamizelkę i spodnie? Jeszcze odrobina zwłoki, a zginię na oceanie przypuszczeń. Błagam cię, powiedz, kto je pisał,

a pędko. Chciałabym, żebyś się jąkała, aby z ust twoich wylało się tajemnicze imię poety, jak wino z butelki o wężkiej szyi: albo za wiele na raz, albo nic. Odkorkuj usta, żebym mogła pić twoje nowiny.

Celia. Tylko pij ostrożnie, bo możesz połknąć człowieka. **Rozalinda.** Czy boże z niego stworzenie? Co za gatunek człowieka? Czy głowa jego warta kapelusza, a brody podbródek?

Celia. Jak na teraz, niewielką ma brodę.

Rozalinda. Bóg mu da większą, jeśli będzie wdzięczny.

Ale gotowa jestem czekać, aż mu broda urośnie, byles mi dała poznać bez zwłoki jego podbródek.

Celia. To Orlando, który jednym zamachem podbił zapaśnika i twoje serce.

Rozalinda. Precz z żartami! mów poważnie, jak uczciwej dziewce przystoi.

Celia. Na uczciwość, kuzynko, to on.

Rozalinda. Orlando?

Celia. Orlando.

Rozalinda. Ach, Boże, mój Boże! co ja pocznę z moją kamizelką i spodniami? Co robił, gdyś go spostrzegła? Co powiedział? jak wyglądał? jak był ubrany? co tu robi? czy pytał się o mnie? gdzie mieszka? jak rozstał się z tobą? kiedy zobaczysz go znowu? Odpowiedz mi jednym słowem.

Celia. To pożycz mi wprzódy ust Gargantuy, bo słowo takie za długie na usta dzisiejszej miary. Na tyle pytań tak lub nie odpowiedzieć, to trudniejsza sprawa, niż wyrecytować katechizm.

Rozalinda. Ale czy wie, że jestem za mężczyzną przebrana? Czy wygląda tak świeżo, jak w dniu zapasów?

Celia. Łatwiej atomy policzyć, niż odpowiedzieć na pytanie zakochanej. Lecz pokosztuj trochę, jak go znalazłam, i smakuj powoli każde słowo. Znalazłam go pod drzewem, jak opadłą żołądz.

Rozalinda. Sprawiedliwie drzewo to można nazwać drzewem Jowisza, kiedy z niego takie spadają owoce.

Celia. Ale słuchaj dalej powieści, dobra pani.

Rozalinda. Więc słucham.

Celia. Leżał tedy rozciągnięty, jak rycerz raniony.

Rozalinda. Widok, jakkolwiek smutny, przystoi dobrze miejscu.

Celia. Okiełznaj, proszę, język, bo bryka nie w porę. Miał na sobie ubiór strzelca.

Rozalinda. O, ubiór złowróżbny! przychodzi przeszyć mi serce.

Celia. Chciałam wyśpiewać moją piosenkę bez przegrywki, ale mi ciągle mącisz melodyę.

Rozalinda. Czy zapomniałaś, że jestem kobietą? co myśłę, muszę wypowiedzieć. Ale moja droga, mów dalej.
(*Wchodzą: Orlando i Jakób.*)

Celia. Mącisz mi szyki. Lecz cicho, czy to nie on?

Rozalinda. To on. Odejdźmy na stronę i słuchajmy.
(*Celia i Rozalinda odchodzą na stronę.*)

Jakób. Dziękuję ci za twoje towarzystwo, choć na uczciwość, równie chętnie byłbym sam został.

Orlando. I ja to samo; przez grzeczność jednak dziękuję ci za twoje towarzystwo.

Jakób. Bóg z tobą! a im rzadziej spotkamy się, tem lepiej.

Orlando. Bądźmy sobie, ile można, obcymi.

Jakób. Proszę cię tylko, na przyszłość nie psuj drzew, ryjąc miłosne wiersze na ich korze.

Orlando. A ja cię proszę, nie psuj na przyszłość wierszy lichem czytaniem.

Jakób. Imię twojej kochanki Rozalinda?

Orlando. Zgadłeś.

Jakób. Nie podoba mi się jej imię.

Orlando. Przy chrzcie jej nikt nie myślał, żeby ci się podobać.

Jakób. Jakiego jest wzrostu?

Orlando. Właśnie na wysokość mojego serca.

Jakób. Nie zbywa ci na pięknych odpowiedziach. Czy nie miałeś przypadkiem zażyłości z żonami jubilerów i czy twojej mądrości na ich pierścionkach nie wyczytałeś?

Orlando. Bynajmniej, znalazłem je na tych samych tapetach, na których ty nauczyłeś się twoich pytań.

Jakób. Żywy masz dowcip, jakby z pięć Atalanty ulepiony. Siadaj przy mnie, a wspólnie szydzić będziemy z naszych kochanek, ze świata i z naszej biedy.

Orlando. Nie chcę szydzić z żadnego żyjącego stworzenia, siebie wyjąwszy, bo najlepiej znam swe liczne, własne wady.

Jakób. Twoja największa wada jest, że jesteś zakochany.

Orlando. A tej wady nie wymienię na twoją najlepszą cnotę. Nudzisz mnie.

Jakób. Na uczciwość, szukałem błazna, gdym cię spotkał.

Orlando. Błazen ten utonął w strumieniu; spojrzysz na dno, a zobaczysz go.

Jakób. Zobaczę własną postać.

Orlando. Która dla mnie warta jest błazna albo zera.

Jakób. Nie chcę bawić z tobą dłużej. Bądź zdrow, piękny panie Amorku!

Orlando. Cieszę się z twego odejścia. Bądź zdrow, dobry panie Melancholio!

(*Wychodzi Jakób. — Rozalinda i Celia zbliżają się.*)

Rozalinda. Przemówię do niego, jak paź bezczelny, a korzystając z ubioru, spróbuję z nim roli fanfarona. Hej, gajowy, czy słyszysz?

Orlando. Bardzo dobrze. Czego żądasz?

Rozalinda. Powiedz, proszę, która godzina?

Orlando. Pytaj raczej, jaka dnia pora, bo w lesie niema zegarów.

Rozalinda. Więc w lesie niema także wiernych kochanek; bo westchnienie co minuta, a jęk co godzina znaczyłyby tak dobrze jak zegar leniwą nogę czasu.

Orlando. A czemu nie szybką nogę czasu? czy wyraz nie byłby równie właściwy?

Rozalinda. Bynajmniej. Czas krok zmienia ze zmianą osób. Powiem ci, z kim czas idzie stępa; z kim czas idzie kłusem; z kim czas idzie galopem, a z kim nie rusza się wcale.

Orlando. Jestem ciekawy. Z kim więc czas kłusuje?

Rozalinda. Kłusuje ciężko z młodą dziewczyną między dniem kontraktu a ślubu; choćby przedział nie wynosił i tygodnia, kłus czasu tak jest ciężki, że zdaje się siedmioletnią podróżą.

Orlando. A z kim idzie stępa?

Rozalinda. Z księdzem bez łaciny i z bogaczem bez podagry. Pierwszego sen łagodny, bo nie może ślepczyć nad foliałami, drugi żyje wesoło, bo nie czuje boleści; pierwszy nie dźwiga ciężaru chudej, nieużytecznej nauki, drugi nie zna ciężaru męczącego i nieznośnego ubóstwa; dla nich czas idzie stępa.

Orlando. A z kim galopuje?

Rozalinda. Ze złodziejem na szubienicę; bo choć ledwo

rusza nogami, zawsze mu się zdaje, że za prędko do-
szedł do celu.

Orlando. A z kim nie rusza się wcale?

Rozalinda. Z adwokatami podczas feryi; bo, śpiąc od ka-
dencyi do kadencyi, nie widzą, jak czas przechodzi.

Orlando. Gdzie mieszkasz, piękny młodzieńcze?

Rozalinda. Z tą pasterką, moją siostrą, tu na krawędzi
lasu, jak frędzla u spodnicy.

Orlando. Czy stąd jesteś rodem?

Rozalinda. Jak królik, który żyje, gdzie się uląga.

Orlando. Twoja jednak wymowa zbyt jest poprawna, że-
byś jej mógł nabyć w tak odludnem mieszkaniu.

Rozalinda. Już mi to nieraz mówiono. Ale miałem sta-
rego stryja, księdza, który mnie wymawiać nauczył. Za
młodu był to człowiek światowy; na rzeczach serca
znał się zbyt tylko dobrze, bo kiedyś szalenie był za-
kochany. Słyszałem go nieraz, jak piorunował przeciw
miłości; dziękuję Bogu, że nie jestem kobietą i nie
mogę dopuścić się kroci szalonych grzechów, o które
całą ich pięć obwiniał.

Orlando. Czy nie przypominasz sobie choć główniejszych
wad, o które oskarżał kobiety?

Rozalinda. Nie było główniejszych; wszystkie były po-
dobne, jak trojak do trojaka. Każda zdawała się naj-
większą, aż przyszła druga i pokazała się jej równą.

Orlando. Wylicz mi kilka, jeśli łaska.

Rozalinda. Nie, chowam moje lekarstwo tylko dla cho-
rych. Wałęsa się tu po lesie człowiek, który zabija na-
sze młode drzewa, pisząc na ich korze imię Rozalindy;
rozwiesza ody po głogach, a po cierniach elegie,
wszystko na ubóstwienie Rozalindy. Jeśli mi się uda
spotkać tego dziwaka, dam mu dobrą radę; zdaje mi
się, że ma codzienną febrę miłości.

Orlando. Chory ten stoi przed tobą; daj mu twoje lekar-
stwo.

Rozalinda. Nie widzę na tobie żadnego ze znaków mo-
jego stryja; nauczył mnie, jak poznać zakochanego;
wiem, że nie jesteś więźniem w klatce z tego sitowia.

Orlando. Jakież to są znaki zakochanego?

Rozalinda. Twarz wychudła, której nie masz; zapadłe
i podbite oczy, których nie masz; myśl niedopytana,
której nie masz; zaniedbana broda, której nie masz;
ale uwalniam cię od tego warunku, bo włosy na two-

jej brodzie są jak młodszego brata dochody. Prócz
tego, twoje pończochy nie powinnyby mieć podwiązek,
twój kapelusz wstążki, guzików twoje rękawy, rzemy-
ków twoje trzewiki; cała twoja osoba powinnaby no-
sić ślady boleści na wszystko obojętnej. U ciebie
wszystko inaczej; twój ubiór, jakby dopiero z igły,
świadczy, że więcej kochasz siebie, niż kogo innego.
Orlando. Chciałbym jednak przekonać cię, dobry mło-
dzieńcze, że kocham serdecznie.

Rozalinda. Przekonać mnie? Równieby ci łatwo było prze-
konać o tem tę, którą kochasz; co, zaręczam, pręde-
j ci się uda, niż otrzymać wyznanie, że ci się udało, bo
to jest punkt delikatny, w którym zawsze kobiety su-
mieniu swojemu kłamstwo zadają. Ale szczerze wy-
znaj, czy to ty rozwieszasz po drzewach wiersze,
w których tak sławisz Rozalindę?

Orlando. Przysięgam ci, młodzieńcze, na białą rękę Ro-
zalindy, że ja jestem tym poetą, tym nieszczęśliwym
poetą.

Rozalinda. I tak jesteś zakochany, jak powiadają twoje
rymy?

Orlando. Niema ani rymu, ani sensu, coby miłość moją
wyrazić potrafiły.

Rozalinda. Miłość jest prostem szaleństwem, i tak dobrze
jak szaleństwo zasługuje na ciemną izdebkę i batogi.
Jeśli ludzie tak jej nie karzą i nie leczą, to stąd po-
chodzi, że rodzaj ten waryacyi tak jest powszechny, iż
i sami dozorczy są nią dotknięci. Co do mnie, podej-
muję się wyleczyć ją zapomocą dobrej rady.

Orlando. Czy wyleczyłeś kiedy tem lekarstwem?

Rozalinda. Wyleczyłem jednego, a to w następujący spo-
sób. Musiał sobie wyobrazić, że jestem jego ulubioną,
jego kochanką. Przepisałem mu codziennie smalić do
mnie cholewki, gdy ja z mej strony, jak zmienna luna-
tyczka, byłem raz smutny, drugi raz wesoły; to namię-
tny, to zakochany; dopiero dumny, to znowu kapryśny,
swawolny, pusty i niestały; to pełny łez, to śmiechu;
każdej namiętności trochę, a żadnej naprawdę, jak
zwykle u kobiet i dzieci; to go kochałem, to się nim
brzydziłem; dopiero go głaskałem, złorzeczyłem mu za
chwile; tom płakał za nim, to plułem na niego; aż na-
koniec kochanek mój z szaleństwa miłości wpadł
w prawdziwe szaleństwo, usunął się z prądu świata,

a zamknął się w mniszej celi. I tak go wyleczyłem. Tego samego użyję sposobu, aby twoje serce oczyścić, jak wątrobę barana, żeby w niem nie zostało i plamki miłości.

Orlando. Nie myślę, żeby uleczyć mnie to mogło.

Rozalinda. Ulczy cię niezawodnie i nazywaj mnie tylko Rozalindą, przychodź codzień do mojej chatki i praw mi oświadczenia miłosne.

Orlando. Jeśli tylko o to chodzi, na moją miłość, przystaję. Gdzie twoja chatka?

Rozalinda. Chodź ze mną, a pokażę ci: po drodze powiesz mi, w której stronie lasu twoje mieszkanie. Czy chcesz pójść ze mną?

Orlando. Z całego serca, dobry młodzieńcze.

Rozalinda. Przedewszystkiem nazywaj mnie Rozalindą. Dalej, siostrze, w drogę z nami.

(Wychodzą).

SCENA III.

Las Ardeński.

(Probierezyk, Odrej i Jakób w odległości, przysłuchuje się).

Probierezyk. Tylko prędzej, Oderko! zgonię twoje kozy, Oderko; czy zawsze jestem twoim mężulkiem, Oderko? Czy podobają ci się zawsze moje proste rysy?

Odrej. Twoje rysy? Chryste Panie! jakie rysy?

Probierezyk. Jestem tu z tobą i między twojemi kózkami, jak niegdyś najfantastyczniejszy poeta Owidyusz między kozakami.

Jakób *(na str.)*. Nauka w takiej czuprynie, to gorzej, niż Jowisz pod słomianą strzechą.

Probierezyk. Kiedy słuchacz naszych wierszy nie rozumie, a rozum, to bystre dziecko, naszego nie podtrzymuje dowcipu, to nas bardziej z nóg zbija, niż wielki rachunek na małym świstku. Pragnąłbym, wyznaję, aby cię bogowie stworzyli byli poetyczną.

Odrej. Poetyczną? Co się to znaczy? czy to co uczciwego w uczynku i słowie? czy to co prawdziwego?

Probierezyk. Prawdziwego? ani okruszyny; bo najprawdziwsza poezya, to największe kłamstwo; a że kochan-

kwie oddają się poezyi, można więc powiedzieć, że kłamią ci, co, jak kochankowie, przysięgają w poezyi. **Odrej.** I tybyś pragnął, żeby mnie bogowie stworzyli byli poetyczną?

Probierezyk. Bez wątpienia. Przysięgasz mi, że jesteś uczciwą; gdybyś była poetą, mógłbym się jeszcze przynajmniej spodziewać, że to poetyczne kłamstwo.

Odrej. Tybys nie chciał, żebym była uczciwą?

Probierezyk. Tylko na przypadek, gdybyś była brzydką; bo uczciwość, dodana piękności, to miód ocukrzony.

Jakób *(na str.)*. Nie taki to błazen, jak się zdaje.

Odrej. Skoro więc nie jestem piękną, proszę bogów, żeby mnie zrobili uczciwą.

Probierezyk. Uczciwość jednak w brzydkiej fładrze, to jak dobra potrawa w nieczystem naczyniu.

Odrej. Nie jestem fładrą, choć, dzięki Bogu, jestem brzydką.

Probierezyk. A więc dzięki Bogu za twoją brzydotę: fładerstwo może przyjść później. Bądźcobądź, biorę cię za żonę, i w tym celu byłem u proboszcza najbliższej wsi, księdza Oliwera Psujteksta; obiecał mi przyjść tu do lasu, aby nas sparzyć.

Jakób *(na str.)*. Chciałbym być świadkiem tego spotkania.

Odrej. Szczęść nam, Boże!

Probierezyk. Amen. Człowiek słabego serca mógłby zachwiać się w tem przedsięwzięciu, bo tu za kościół mamy las, a za zgromadzenie wiernych tylko rogata bydłeta. Lecz cóż stąd? Tylko śmiało naprzód! Rogi, choć niemile, są potrzebne. Powiedziano jest: niejednen człowiek nie wie, gdzie koniec jego szczęścia; wielka prawda; niejednen człowiek ma dobre rogi, a nie wie, gdzie ich koniec. Zresztą to posag jego żony, a nie jego własny dorobek. Rogi! Czy rogi dane tylko biednemu człowiekowi? Bynajmniej. Najszlachetniejszy jeleń tak dobrze je nosi, jak najchudsze kozłę. Czy dlatego bezzenny ma być szczęśliwy? Nie wcale; bo jak wieżami otoczone miasto od wsi lepsze, tak czoło żonatego poważniejsze od nagiej czupryny kawalera; a o ile broń jakakolwiek lepsza od gołej ręki, o tyle róg droższy od braku rogów. *(Wchodzi Oliwer Psujtekst)*. Otóż i ksiądz Oliwer. Księżę proboszczu, witamy! Czy chcecie skończyć nasz interes tu, pod drzewem, czy też mamy pójść z wami do waszej kaplicy?

Oliwer. Czy masz tu kogo, któryby ci oddał pannę młodą?

Probierezyk. Nie chcę jej od nikogo w prezencie.

Oliwer. Trzeba jednak koniecznie, żeby ci ją kto oddał, lub małżeństwo jest nieważne.

Jakób (*pokazuje się*). Dalej! dalej! Jeśli tylko o to chodzi, ja mu ją oddam.

Probierezyk. Dobry wieczór, dobry panie »Jak się nazywasz«. Jakże zdrowie? Przyszedłeś w samą porę. Bóg ci zapłać za te ostatnie odwiedziny. Rad cię widzę. Zawsze to cacko w rękę? Proszę cię, nakryj głowę.

Jakób. Czy chcesz gwałtem się ożenić, pstrokaczu?

Probierezyk. Jak wół ma swoje jarzmo, koń swoje wędzidło, a sokół swoje dzwonki, tak człowiek ma swoją żadzę; a jak się dziobią gołąbki, takby się chciało dziobać i małżonkom.

Jakób. I ty, przy twojem wychowaniu, chcesz żenić się pod krzakiem, jak jaki żebrak? Idź do kościoła, weź dobrego księdza, któryby wam wytómaczył, co to jest małżeństwo, bo ten tu jegomość połączy was, jak stolarz futrowanie; jedno z was będzie spaczoną deską i, jak mokre drzewo, codzień będzie krzywsze.

Probierezyk (*na str.*). Wszystko mi się zdaje, że najlepiej będzie dla mnie, jeśli ten, a nie inny ksiądz nas ożeni, bo zapewne da nam ślub nieważny, co później będzie doskonałą dla mnie wymówką, gdy porzucę żonę.

Jakób. Chodź ze mną i słuchaj mojej rady.

Probierezyk. Idźmy, droga Oderko! trzeba będzie wziąć ślub, albo żyć grzesznie. Do zobaczenia, dobry księżu Oliwerze!

Ach! mój słodki Oliwerze!

Ach! mój dobry Oliwerze!

Idź, gdzie oko cię poniesie!

Bo nie jestem już w potrzebie

Błogosławieństw brać od ciebie

W twej kaplicy lub w tym lesie.

(*Wychodzą*).

Oliwer. Mniejsza o to. Nigdy podobny tobie błazen nie odbierze mi konceptami mojego powołania.

(*Wychodzą*).

SCENA IV.

Las przed chatką.

(*Rozalinda i Celia*).

Rozalinda. Ach, daj mi pokój! pozwól mi płakać!

Celia. Płacz, i owszem; proszę cię tylko, nie zapominaj, że łzy nie przystoją mężczyźnie.

Rozalinda. Alboż nie mam przyczyny płakać?

Celia. Trudno żądać lepszej; płacz więc.

Rozalinda. Nawet włosy jego mają kolor zdrady.

Celia. Trochę ciemniejsze od judaszowych; a jego pocałunki? to własne dzieci Judasza.

Rozalinda. A jednak włosy jego pięknego są koloru.

Celia. Cudownie pięknego! nic nad kolor brunatny.

Rozalinda. A jego pocałunki tak pełne świętości, jak dotknięcie błogosławionego chleba.

Celia. Kupił u Dyany parę ust na urząd fabrykowanych: mniszka z klasztoru Zimy nie całuje święciej; czuć w nich sam lód czystości.

Rozalinda. Przysięgł, że przyjdzie dziś rano. Czemu nie przyszedł?

Celia. To prawda; niema w nim okruszyny szczerości.

Rozalinda. Tak sądzisz?

Celia. Ani wątpliwości. Nie powiadam, że jest rzezimieszkiem lub złodziejem, ale co do szczerości w kochaniu, zdaje mi się, że jest pusty, jak wychylona szklanka, lub orzech robaczywy.

Rozalinda. On nieszczery w miłości?

Celia. Jest szczery, jeśli ją czuje, ale zdaje mi się, że jej nie czuje.

Rozalinda. Czy słyszałaś, jak przysięgał, że ją czuł głęboko?

Celia. Czuję — nie jest czuje. Zresztą przysięga kochanka nie więcej warta, niż słowo szynkarza; oba stwierdzają fałszywe rachunki. On mieszka w tym lesie i należy do dworu księcia, twojego ojca.

Rozalinda. Spotkałam księcia wczoraj i miałam z nim długą rozmowę. Pytał mi się o moje pochodzenie. »Tak dobre, jak twoje« — odrzekłam; uśmiechnął się na to i pożegnał mnie. Ale co plecimy o ojcach, kiedy tu mieszka taki człowiek, jak Orlando.

Celia. O, nielada to człowiek! Pisze nielada wiersze, prawi nielada rzeczy, składa nielada przysięgi i z nielada łatwością je łamie o samo serce kochanki, jak niedoświadczony rycerz na turniejach, który z jednej tylko strony spina konia ostrogą i łamie lancę opacznie, jak gęś wysokiego rodu. Ale każdy rumak jest nielada, na którym miłość jedzie, a którym szaleństwo kieruje. Lecz ktoś nadchodzi.

(Wchodzi Koryn).

Koryn. Pani, paniczu, pytałście nieraz,
Kto był ten pasterz miłością raniony,
Który na trawie, przy mym leżąc boku,
Swej pogardliwej, a dumnej pasterki
Nucił pochwały.

Celia. I cóż mu się stało?

Koryn. Jeśli być chcecie świadkami komedyi,
Granej naprawdę przez wybladłą miłość,
I przez pogardę czerwoną od dumy,
Śpieszcie się tylko, ja was poprowadzę.

Rozalinda. O, idźmy! idźmy! Pokarmem są bowiem
Zakochanemu zakochanych bole;
Idźmy! a ja ci po drodze opowiem,
Jak ważną w sztuce tej odegram rolę.
(Wychodzą).

SCENA V.

Inna część lasu.

(Sylwiusz i Febe).

Sylwiusz. Nie gardź mną, Febe! nie gardź, słodka Febe!
Że mnie nie kochasz, powiedz gorzkie słowo,
Lecz bez goryczy. Kat, którego serce
Stwardniało częstym śmierci widowiskiem,
Nim szyję więźnia toporem uderzy,
O przebaczenie prosi; a ty, Febe,
Chcesz być od kata surowszą i krwawszą?
(Rozalinda, Celia i Koryn pokazują się w odległości).
Febe. Twoim być katem żadnej nie mam chęci;
Unikam ciebie, żeby cię nie dręczyć.
Mówisz, że oczy moje śmierć miotają;
Jaka w tem prawda, jakie podobieństwo,

Ażeby oko, rzecz słaba i wąfla,
Co trwożne bramy przed pyłkiem zamyka,
Mogło być zbójcą, tyranem, rzeźnikiem!
Patrz, z całej duszy marszczę się na ciebie,
Niech więc me oczy położą cię trupem;
Obal się przecie i udaj zemdlenie;
Jeśli nie możesz, miejże trochę wstydu,
Nie kłam, że oczy moje są zbójcami.
Pokaż mi rany, przez wzrok mój zadane.
Draśnij się szpilką, a zostanie blizna,
Choćby na chwilę dłoń oprzyj na trzcinie,
A trzcina wycisk na ręce zostawi;
Gdy wzrok mój, choć go rzuciłam na ciebie,
Żadnej ci krzywdy nie robi, bo w oczach
Niema potęgi zdolnej ranę zadać.

Sylwiusz. O, droga Febe! jeśli ujrzysz kiedy
(A może bliżej to kiedy, niż sądzisz)
Na świeżych licach miłości potęgę,
O, wtedy poznasz niewidome rany,
Które zadaje stal miłości ostra.

Febe. Aż do tej chwili nie zbliżaj się do mnie;
Gdy przyjdzie, śmiej się ze mnie bez litości,
Ja, do tej chwili, śmiać się z ciebie będę.

Rozalinda *(zbliżając się).* Dlaczego, proszę? Kto matką jest
[twoją,

Że tak się możesz urągać biednemu?
Gdybyś i wdzięków nawet miała trochę,
(Lecz daję słowo, cała piękność twoja
Śmiało po ciemku iść może do łóżka)
Maszli być razem dumną i okrutną?
Cóż się to znaczy? Czemu patrzysz na mnie?
Tylko tandetny widzę w tobie towar
Matki natury. Na honor, ta panna
I mnie chce także w sidła swoje złapać.
Nie, dumna pani, nie łudź się nadzieją:
Ni brwi twe czarne, ni włos twój jedwabny,
Ni jasne oczy, śmietankowe lica,
Twey mnie urody nie zrobią czcicielem.
A ty znów czemu, szalony pasterzu,
Wśród ciągłych westchnień uganiaś się za nią,
Jak wiatr ciężarny wieczną mgłą i deszczem?
Wszak ty piękniejszym stokroć jesteś chłopcem,
Niż ona dziewczką. Tacy, jak ty, głupcy

Świat kapryśnemi zaludniają dzieci.
 Nie jej zwierciadło, lecz ty jej pochlebiasz;
 W twoich się słowach urodniejszą widzi,
 Niżby się mogła w własnych widzieć rysach.
 Poznaj się, panno. Poszcząc, na kolanach,
 Podziękuj Bogu za uczciwą miłość.
 Słuchaj mej rady, sprzedaj się, gdy możesz,
 Bo nie na każdym targu znajdziesz kupca.
 Przepróż go, weź go, a kochaj go z serca:
 Najbrzydszy z brzydkich, brzydki jest szyderca.
 Weź ją, pasterzu, i bądźcie mi zdrowi!

Febe. Słodki młodzieńcze, przez rok burcz mnie cały:
 Gniew mi twój milszy, niż jego zaloty.

Rozalinda. On zakochał się w twojej brzydocie, a ona zakocha się w moim gniewie. Jeśli tak jest, ilekroć ona odpowie ci gniewnem spojrzeniem, tylekroć ja gorzkiem dogryzę jej słowem. Czemu tak na mnie spoglądasz?

Febe. Nie ze złej ku tobie woli.

Rozalinda. Proszę cię tylko, nie kochaj się we mnie,
 Bom jest fałszywszy od przysiąg pijaka,
 Prócz tego, nie mam miłości dla ciebie.
 Jeśli chcesz wiedzieć, dom mój niedaleki,
 Skrył się przed okiem w oliwnych drzew cieniu.
 Siostrze, czas na nas. Pasterzu, bądź śmiały.
 Idźmy! Pasterko, patrz na niego chętniej,
 Przestań być dumną, bo jak świat szeroki,
 Choćby cię wszyscy oczyma mierzyli,
 Gorzej od niego nikt się nie omyli.
 Teraz do trzody!

(Wychodzą: Rozalinda, Celia i Koryn).

Febe. Dziś, zmarły pasterzu,
 Słowa twe w całym pojmuję znaczeniu:
 »Nie kochał ten, co w pierwszym nie kochał spoj-
 [rzeniu.«¹⁾

Sylwiusz. O, słodka Febe!

Febe. Co chcesz mi powiedzieć?

Sylwiusz. Febe, miej trochę litości nade mną!

Febe. Żal mi cię, wierzaj, dobry Sylwiuszu.

Sylwiusz. Gdzie żal się znalazł, pociecha się znajdzie.

¹⁾ Wiersz ten jest wyjęty z poematu »Hero i Leander«, napisanego przez Marlowe'a.

Jeśli żal czujesz dla mych trosk miłości,
 Daj mi twą miłość, a razem przypadną
 Żal twój, me troski.

Febe. Więc ci miłość daję;

Cóż więcej mogę dla bliźniego zrobić?

Sylwiusz. Chciałbym cię dostać.

Febe. To grzech jest łakomstwa.

Febe. Był czas, żem czuła ku tobie nienawiść,

A choć i teraz nie kocham cię wcale,

Twe towarzystwo, nieznośne mi dawniej,

Dziś mogę ścierpieć, skoro o miłości

Umiesz tak piękne opowiadać rzeczy.

Może czasami posłużę się tobą;

Ale na inną nie rachuj zapłatę,

Jak na pociechę, że mi służyć możesz.

Sylwiusz. Tak święta, tak jest czysta moja miłość,

Ja tak ubogi w urodę i wdzięki,

Że zbierać kłosa poronione w polu,

Po szczęsnym plonu całego żniwiarzu,

Jeszcze bogatem żniwem mi się wyda.

O, ja szczęśliwe żyć będę miesiące

Na jednym twoim zgubionym uśmiechu!

Febe. Czy znasz młodzieńca, który mówił ze mną?

Sylwiusz. Niewiele, chociaż spotykam go często.

On u mojego zakupił sąsiada

Dom i pastwiska.

Febe. Nie myśl tylko, proszę,

Że się w nim kocham, choć o niego pytam.

To młody prostak — dobrze jednak mówi —

Lecz wiatrem słowo — miłe jednak słowa,

Jeśli mówiący miły słuchaczowi.

To ładny młodzik — nie, nie bardzo ładny.

I dumny, zda się — do twarzy mu duma,

Wyrośnie kiedyś na pięknego męża.

Co najpiękniejsze u niego, to cera.

Prędzej, niż język jego ranę zadał,

Wzrok ją wyleczył. Choć nie jest wysoki,

Jest dość na wiek swój; chociaż jego noga

Ot sobie noga! patrzeć na nią miło.

Piękna czerwoność rumieni mu wargi,

Trochę ciemniejsza od róż jego lica.

Inna kobieta, gdyby tak uważnie

Zmierzyła każdą ciała jego cząstkę,

Jużby szalenie w nim się zakochała;
Lecz ja nie czuję miłości ni wstrętu,
Chociaż do wstrętu więcej mam powodów,
Bo skąd ma prawo, żeby fukał na mnie?
O czarnych oczach, czarnych moich włosach
Mówił wzgardliwie, jak postrzegam teraz.
Nie wiem, dlaczego zaraz nie odrzekłam,
Jak należało; ale nic nie straci;
Co się odwlekło, jeszcze nie uciekło.
List mu napiszę, w nim przytrę mu czuba.
Czy chcesz być listu mojego oddawcą?

Sylwiusz. Z całego serca.

Febe.

Napiszę go zaraz,
Bo treść już całą w głowie mam i sercu.
List będzie krótki, ale węzłowy.
Idźmy, Sylwiuszu.

(*Wychodzą*).

AKT CZWARTY.

SCENA I.

Las Ardeński.

(*Rozalinda, Celia i Jakób*).

Jakób. Pozwól mi, piękny młodzieńcze, bliższą zabrać
z tobą znajomość.

Rozalinda. Powiadają, że wielki z ciebie melancholik.

Jakób. I powiadają prawdę; wolę to, niż śmiać się.

Rozalinda. Kto w jednym lub drugim przesadza, równie
nieznośny i więcej, niż pijak, wystawia się na powsze-
chną naganę.

Jakób. A jednak dobra to rzecz byś smutnym i milczeć.

Rozalinda. A więc dobra jest rzecz także być klockiem.

Jakób. Nie mam ja ani melancholii uczonego — zazdrości;
ani melancholii muzykanta — dziwactwa; ani melan-
cholii dworaka — dumy; ani melancholii żołnierza —
ambicyi; ani melancholii prawnika — wykrętów; ani
melancholii kobiety — przesady; ani melancholii ko-
chanka — mieszaniny wszystkich rodzajów; moja me-
lancholia jest swojego rodzaju, złożona z wielu pier-

wiastków, wyciągnięta z wielu ingrediencji, a, żeby
prawdę powiedzieć, długie rozważanie i przeżuwanie
moich podróży pograżyło mnie w najzabawniejszym
smutku.

Rozalinda. To pan wojażer! na honor, masz słusność, że
się smuczysz; bo zapewne sprzedałeś własną ziemię, aby
zwieździć cudzą. Kto wiele widział, a nic nie ma, bo-
gate ma oczy ale ubogie ręce.

Jakób. Zbogaciłem się przynajmniej w doświadczenie.

(*Wchodzi Orlando*).

Rozalinda. A to doświadczenie robi cię smutnym. Co do
mnie, wolałbym mieć wesołe błazeństwo, niż smutne
doświadczenie, i podróżować jeszcze na to!

Orlando. Dzień dobry, dobre szczęście, droga Rozalindo!

Jakób. A więc Bóg z wami, jeśli macie nierymowym roz-
mawiać wierszem. (*Wychodzi*).

Rozalinda. Szczęśliwej drogi, panie wojażerze! Nie zapo-
mnij tylko z cudzoziemska szczebiotać i z cudzoziemska
się ubierać; spotwarzaj, co dobre w twojej ziemi;
brzydź się swoim pochodzeniem i gniewaj się z Pa-
nem Bogiem, że cię, jak jesteś, stworzył, bo nie uwie-
rzę inaczej, że w gondoli pływałeś. Ach, to ty, Orlando?
gdzież to bywałeś do tej pory? Ty zakochany? Jeśli
drugi raz jeszcze podobnego wypłatasz mi figla, nie
pokazuj mi się na oczy.

Orlando. Piękna Rozalindo, przychodzę godziną tylko póź-
niej, niż obiecałem.

Rozalinda. W miłości o godzinę słowa nie dotrzymać?
Podziel minutę na tysiąc, kto w sprawach miłości nie
dotrzyma słowa tylko o cząstkę tysięcznej cząstki mi-
łości, tego Kupidyn po ramieniu tylko poklepał, bo co
do serca, zaręczam, jest całe.

Orlando. Przebacz mi, droga Rozalindo.

Rozalinda. Jeśli masz się spóźnić, siedź lepiej w domu;
równie chętnie wzięłabym za kochanka ślimaka.

Orlando. Ślimaka?

Rozalinda. Ślimaka; bo choć przychodzi powoli, niesie
przynajmniej dom swój na grzbiecie, czego o tobie po-
wiedzieć nie można, a oprócz tego jeszcze przynosi
z sobą swoje przeznaczenie.

Orlando. Jakie przeznaczenie?

Rozalinda. Rogi, za które podobni tobie żonom są dłużni,

gdy on przychodzi własną fortuną zbrojny i żonę od wszelkiej broni potwarzy.

Orlando. Cnota nie przyprawia rogów, a moja Rozalinda jest cnotliwa.

Rozalinda. A ja jestem twoją Rozalindą.

Celia. Tak mu się podoba nazywać cię; ale jego Rozalinda piękniejszą ma twarz od twojej.

Rozalinda. Dalej! umizgaj się do mnie, umizgaj się do mnie! bo jestem w świętecznym humorze i na wszystko przystać gotowa. I cóżbyś mi powiedział, gdybym była twoją prawdziwą, prawdziwą Rozalindą?

Orlando. Pocałowałbym cię, nim mówićbym zaczął.

Rozalinda. Lepiejbyś zrobił, gdybyś od słów zaczynał, dopiero gdybyś się zaciął z braku przedmiotu, miałbyś powód wziąć się do pocałunków. Niejeden dobry mowca, gdy mu konceptu braknie, pluć zaczyna; tak i dla kochanków, gdy im materyi nie stanie (od czego uchowaj nas, Boże!), najpewniejszą ucieczką będzie pocałowanie.

Orlando. A jeśli pocałować się nie da?

Rozalinda. Da przedmiot próby, a więc nowy przedmiot rozmowy.

Orlando. Któremuż kochankowi braknie konceptu w przytomności kochanki?

Rozalinda. Tobie pierwszemu, gdybym był twoją kochanką; chyba, żeby cnota połknęła cały mój dowcip.

Orlando. Więc myślisz, żebyś mi wszystkie pogmatwał nici.

Rozalinda. Tak, żebyś nigdy potem dwóch słów zszyć nie potrafił. Alboż nie jestem twoją Rozalindą?

Orlando. Chętnie cię tak nazywam, bo tym sposobem przynajmniej mówić o niej mogę.

Rozalinda. Słuchaj więc, mówię ci w jej osobie: nie chcę cię.

Orlando. Więc ja w mej własnej osobie umrę.

Rozalinda. Radzę ci umrzeć przez pełnomocnika. Świat ten biedny liczy już blisko lat sześć tysięcy, a przez cały ten przeciąg czasu ani jeden człowiek nie umarł w własnej osobie z miłości. Troilus zdruzgotaną miał czaszkę od greckiej maczugi, poprzednio jednak robił, co mógł, aby umrzeć z miłości, bo to jeden ze wzorowych kochanków. Leander przeżyłby niejedną wiosnę, choć Hero została mniszką, gdyby nie gorąca noc le-

tnia. Zaczny ten młodzieniec poszedł kąpać się w Helesponcie, tam kurcz go złapał i utonął, a gąsięta, współcześni kronikarze osądzili, że przyczyną jego śmierci była Hero z Sestos. Ale to wierutne kłamstwo. Od czasu do czasu umierali ludzie i zjadały ich robaki, ale to nie z miłości.

Orlando. Nie chciałbym, żeby tak myślała moja prawdziwa Rozalinda, bo przysięgam, że jedno brwi jej zmarszczenie zabiłoby mnie mogło.

Rozalinda. A ja ci na tę rękę przysięgam, że muchy nie zabije. Lecz teraz będę twoją łaskawszą Rozalindą; proś, o co chcesz, wszystko otrzymasz.

Orlando. Więc kochaj mnie, Rozalindo.

Rozalinda. Bardzo chętnie; w piątki, soboty i codzień.

Orlando. Czy chcesz mnie?

Rozalinda. Ciebie i takich, jak ty, dwudziestu.

Orlando. Co mówisz?

Rozalinda. Wszak jesteś dobry?

Orlando. Tak się przynajmniej spodziewam.

Rozalinda. Kto może pragnąć za wiele dobrej rzeczy?

Dalej, siostrze, bądź naszym księdzem i skojarz nas.

Daj mi rękę, Orlando. Co mówisz na to, siostrze?

Orlando. Proszę cię, skojarz nas.

Celia. Nie umiem roty ślubnej przysięgi.

Rozalinda. Mnieisz zacząć od słów: czy chcesz, Orlando...

Celia. Przypominam sobie teraz. Czy chcesz, Orlando, wziąć za żonę tę tu przytomną Rozalindę?

Orlando. Chcę.

Rozalinda. Chcesz, ale kiedy?

Orlando. Natychmiast, tak prędko, jak prędko ożenić nas jest w stanie.

Rozalinda. Trzeba więc, żebyś powiedział: Rozalindo, biorę cię za żonę.

Orlando. Rozalindo, biorę cię za żonę.

Rozalinda. Mógłbym pytać, czy masz upoważnienie, lecz mniejsza o to. Biorę cię za męża, Orlando. Otóż i panna młoda, która przed księdzem bieży; aleć zawsze podobno myśl kobieca leci przed jej czynami.

Orlando. Jak wszystkie myśli, bo wszystkie mają skrzydła.

Rozalinda. Powiedz mi teraz, jak długo będziesz pragnął ją zatrzymać, gdy będziesz raz w jej posiadaniu?

Orlando. Na wieki i dzień jeden.

Rozalinda. Powiedz: dzień jeden, a opuść na wieki. Nie, nie, Orlando; mężczyźni są kwietniem przed ślubem, a grudniem po ślubie. Panny są majem, gdy są pannami, ale zmienia się niebo, gdy zostały żonami. Co do mnie, będę zazdrośniejsza, niż grzywacz afrykański dla swej gołębiczy, będę krzykliwsza, niż papuga na szaszcu, dziwaczniejsza, niż małpa, a w żądzach mych szaleńsza, niż koczokodan. Będę płakała bez powodu, jak Dyana w wodotrysku, właśnie gdy ty będziesz chciał się bawić, a śmiać się będę, jak hyena, gdy tobie spać się będzie chciało.

Orlando. Czy i moja Rozalinda będzie tak samo robiła?

Rozalinda. Ręczę ci mą głową, że będzie robiła, co ja robię.

Orlando. Ona jednak tak roztropna!

Rozalinda. Gdyby nią nie była, nie miałaby dosyć dowcipu, żeby tak robić; im rozropleniejsza, tem złośliwsza. Zamknij drzwi kobiecemu dowcipowi, a wymknie się oknem; zamknij mu okno, ucieknie dziurką od klucza; zamknij dziurkę, a z dymem przez komin poleci.

Orlando. Kto ma żonę z takim dowcipem, może jej śmiało zapytać: »Dokąd tak pędzisz, dowcipie?«

Rozalinda. Zachowaj to pytanie na przypadek, jeśli zobaczysz dowcip twojej żony w drodze do sąsiadowego łóżka.

Orlando. Jakiż dowcip znalazłby wtedy jej dowcip na wymówkę?

Rozalinda. Jaki dowcip? powiedziałby, że szedł cię tam szukać. Nie weźmiesz żony bez odpowiedzi, chyba, że ją weźmiesz bez języka. Kobieta, która swojej winy na męża zwalić nie umie, niech sama swojego dziecka nie karmi, bo wykarmi tylko dudka.

Orlando. A teraz, Rozalindo, muszę cię opuścić na dwie godziny.

Rozalinda. Ach, drogi kochanku, nie mogę żyć bez ciebie tak długo.

Orlando. Muszę służyć księciu podczas obiadu. O drugiej będę z powrotem.

Rozalinda. Więc idź, gdzie cię poniosą oczy! Wiedziałam dobrze, jak się to wszystko skończy. Ostrzegali mnie przyjaciele i ja sama nieraz myślałam, że mnie twój ocukrowany język uwodził. To jedna tylko ofiara wię-

cej! więc, śmierci, przybywaj! O drugiej godzinie, mówisz?

Orlando. Tak jest, słodka Rozalindo.

Rozalinda. Moje słowo, a bez żartu, tak dopomóż mi Boże! na wszystkie piękne a nie niebezpieczne przysięgi, jeśli obietnicy nie dotrzymasz co do joty, jeśli przyjdiesz minutę po drugiej, uważać cię będę za najpatetyczniejszego krzywoprzysięcę, za najzdradliwszego kochanka, za najniegodniejszego tej, którą nazywasz Rozalindą, z pomiędzy całej ogromnej bandy niewiernych. Strzeż się mojego gniewu, a dotrzymaj słowa!

Orlando. Dotrzymam z tą samą wiarą, jakgdybyś była prawdziwą Rozalindą. Więc do zobaczenia.

Rozalinda. Czas, ten stary sędzia, rozstrzyga wszystkie tego rodzaju przestępstwa, niech czas cię osądzi. Bądź zdrów!

(Wychodzi Orlando).

Celia. Oszkalowałaś pęć własną twojem miłosnem szczeniakiem. Wartabyś, żeby ci twoje męskie suknie podwinęto na głowę i pokazano światu, co zrobił ptak we własnem gnieździe.

Rozalinda. O, kuzynko, kuzynko! moja piękna mała kuzynko! gdybyś ty wiedziała, na ile sążni głęboko zapadłam w miłość! ale tego ani zgruntować; uczucie moje tak niezgłębione, jak zatoka portugalska.

Celia. Albo raczej tak bezdenne; co wlejesz uczucia, to się wyleje.

Rozalinda. Nie, niech ten sam niedobry bękart, Wenery myślą splodzony, ze smutku poczęty a urodzony z szaleństwa, niech ten ślepy łotrzyk, który zwozi wszystkie oczy, bo swoje własne utracił, niech on rozsądzi, jak głęboka moja miłość. Wyznam ci, Alieno, nie mogę żyć daleko od spojrzeń Orlanda. Idę szukać cienia i wdychać, póki nie wróci.

Celia. A ja idę spać.

(Wychodzą).

SCENA II.

Inna część lasu.

*(Jakób i panowie w ubiorze myśliwskim).***Jakób.** Kto zabił jelenia?**Pierwszy pan.** Ja.**Jakób.** Przedstawmy go księciu, jak rzymskiego tryumfatora. Byłoby dobrze wsadzić mu na głowę jelenie rogi, niby palmę zwycięstwa. Czy nie masz, strzelcze, jakiej stosownej do okoliczności piosenki?**Drugi pan.** I owszem.**Jakób.** Więc śpiewaj! Mniejsza o harmonię, byle nie braćło hałasu.

PIEŚŃ.

Pierwszy pan. Zabił jelenia i coś mu dacie?**Drugi pan.** Damy mu skórę, damy mu rogi.

Nie gardź rogami, strzelcze mój drogi,

Bo ten herb starszy, niżli ty, bracie.

Pierwszy pan. On twego dziada nobilitował.**Drugi pan.** I twój się ojciec nim pieczętował.**Wszyscy.** Niech żyją rogi zawsze i wszędzie!

Kto nimi gardzić, śmiać się z nich będzie?

(Wychodzą).

SCENA III.

Las Ardeński.

*(Rozalinda i Celia).***Rozalinda.** Co mówisz? czy nie minęła już druga? a o Orlandzie ani słychu.**Celia.** Ręczę, że z czystej miłości a pomaconego rozumu wziął łuk i strzały i poszedł, poszedł — spać. Lecz któż się zbliża?*(Wchodzi Sylwiusz).***Sylwiusz.** Piękny młodzieńcze, list ci ten oddaję

Z rozkazu drogiej kochanki mej Febe.

(Oddaje list).

Nie znam ja treści listu, ale wnoszę

Z chmurnych jej spojrzeń i ruchów jaszczurczych,

Gdy na papierze litery kreśliła,
Że treść jest gniewna; lecz przebac mi, proszę,
Bo jestem tylko niewinnym posłańcem.**Rozalinda.** Cierpliwość samą listby ten oburzył;
Ten, co to znieśie, wszystko znieść potrafi.
Zwie mnie brzydałą, bez żadnej grzeczności,
Śmiesznym pyszałką, dodaje, że nawet
Gdyby mężczyzna jak Fenix był rzadki,
Nawetby wtedy kochać mnie nie chciała.
Ależ jej miłość nie jest tym zającem,
Za którym gonię; czemuż mi to pisze?
Słuchaj, pasterzu, o zakład, że list ten
Ty sam pisałeś.**Sylwiusz.** Przysięgam na Boga,
Że Febe własną kreśliła go ręką.**Rozalinda.** Widzę, że miłość rozum ci odjęła.Ja znam jej rękę, ręka jest skórzana,
Piaskowca farby; zdało mi się zrazu,
Że wzięła jakie stare rękawiczki,
Lecz to jej była gospodarska ręka.Lecz mniejsza o to; raz jeszcze powtarzam,
Widać tu rękę i pomysł mężczyzny.**Sylwiusz.** Wierząc mi, panie, list pisała Febe.**Rozalinda.** To jest styl dumny, twardy i okrutny,
Czyste wyzwanie — jakby z chrześcijaninem
Turek traktował: czuła myśl niewiasty
Takich olbrzymich nie rodzi pomysłów,
Słów etyopskich w swym czarniejszych skutku,
Niż ich atrament. Chcesz, bym ci przeczytała?**Sylwiusz.** Proszę, bo nie znam listu, choć znam dobrze,
Jak jest okrutne serce w piersiach Feby.**Rozalinda.** Tyranka tak mi pisze po swojemu:*(Czyta).*»Czy w pasterza Bóg się zmienił,
Tak mi serce rozpromienił?«

Powiedz, czy może sztydzić tak kobieta?

Sylwiusz. I ty sztyderstwem nazywasz te słowa?**Rozalinda.** »Nieboś rzucił, aby z nami

Toczyć wojnę dziewczycami?«

Słyszałeś kiedy podobne sztyderstwo?

»Dotąd spojrzeń ludzkich siła

Serca mego nie raniła.«

To się ma znaczyć, że jestem bydłem.

•Jeśli gniewny ócz twych promień
Taki nieci we mnie płomień,
Jak zachwyci duszę biedną
Twoje tklive słowo jedno!
Tam, gdzie mogła tyle groźba,
Czegoż nie otrzyma prośba?
Ten, co miłość ci tę wręczy,
Nie wie, co ma duszę dręczy;
Powiedz przez niego pasterce,
Czyli twoje młode serce
Przyjmie, co ci chętnie składa:
Siebie i to, co posiada.
Odmów — a serce w żalobie
Odpoczynek znajdzie w grobie•.

Sylwusz. I ty to nazywasz łajaniem?

Celia. Biedny pasterzu!

Rozalinda. Litujesz się nad nim? nie, on nie wart litości.

I ty możesz kochać podobną kobietę? Pozwalasz, aby wzięła cię za instrument, na którym fałszywe wygrywa tony? To rzecz nie do zniesienia. Więc dobrze. Wracaj do niej z Bogiem, bo widzę, że miłość zrobiła cię obłąskawionym węzem; wracaj i powiedz jej: że jeśli mnie kocha, rozkazuję jej, żeby ciebie kochała; jeśli nie chce, i ja jej nie chcę, chyba, że sam prosić za nią będziesz. Jeśli jesteś prawdziwym kochankiem, oddał się, a nie odpowiada, bo widzę nadchodzących nowych gości.

(Wychodzi Sylwusz. Wchodzi Oliwer).

Oliwer. Dzień dobry! Mogęż spytać, piękna paro,
Gdzie szukać chaty pasterskiej w tym lesie,
Którą otacza bukiet drzew oliwnych?

Celia. Idź stąd, na zachód znajdziesz niedaleko
Wierzbowy gaik nad strugą szemrzącą,
Tam się na lewo zwróc, a chatę znajdziesz.
Ale się teraz chata sama strzeże,
I darmo będziesz w zamknięte drzwi pukał.

Oliwer. Jeśli się język oczom na co przyda,
To was z opisu poznają oboje;
Ten wiek, ten ubiór: •chłopiec jest urodny,
Kobięcych rysów i tylko się zdaje
Siostrą być starszą; dziewczyna mniej smukła,
I twarzy trochę smagławszej od brata•.
Czy tamta chatka nie waszą własnością?

Celia. Bez samochwalstwa przyznać to możemy.

Oliwer. Więc się wam obu Orlando poleca.

Temu, którego Rozalindą zowie,

Tę zakrwawioną śle chustkę. Czy tobie?

Rozalinda. Mnie, lecz to wszystko jak mamy tłumaczyć?

Oliwer. Na moją hańbę, gdy wszystko opowiem,

Kto jestem, kiedy, jak i gdzie ta chustka

Krwiał się zboczyła.

Celia. Opowiedz nam, proszę.

Oliwer. Gdy was Orlando ostatni raz rzucił,
Obiecał wrócić przed końcem dwóch godzin.

Kiedy szedł lasem w myślach zatopiony,

Z których wysysał gorycze i słodycz,

Na stronę rzucił przypadkiem spojrzanie,

I co za straszne ujrzął widowisko!

Pod dębem mchami od wieku brodatym,

A na wierzchołkach łysym od starości,

Spał jakiś człowiek, odarty, zarosły,

A jego szyję owijał kłębami

Wąż cętkowany zielenią i złotem,

I migające, groźne żądło zbliżał

Do ust otwartych; lecz ledwie zobaczył

Postać Orlanda, kłęby swe rozwinął

I zniknął nagle w krzaków blizkiej kępie.

Lecz patrz! w tych krzaków cieniu była lwica

Z piersią od głodu do kropelki wyschlą;

Jak kot na czatach, przysiadła do ziemi,

Czekając, aż się śpiący człek rozbudzi;

Bo we lwie jest ten królewski obyczaj,

Że gardzi strawą, co się trupem zdaje.

Orlando wtedy zbliżył się do człeka,

Spojrzał i poznał w nim starszego brata.

Celia. Nieraz nam mówił o tym starszym bracie,

Jak o bezdusznym wyrodku natury.

Oliwer. Mówiąc tak o nim, mówił sprawiedliwie,

Bo wiem, że brat ten wyrodnym był bratem.

Rozalinda. Ale Orlando czy zostawił brata

Na żer zgłodniałej lwicy i jej szczeniąt?

Oliwer. W myśli tej głowę odwrócił dwa razy;

Od zemsty jednak szlachetniejsza litość,

Natury popęd silniejszy od gniewu

Ze lwicą mierzyć mu się rozkazały.

Wnet ją powalił, starcia tego łomot
Z niebezpiecznego snu i mnie rozbudził.

Cella. Ty bratem jego?

Rozalinda. Ciebie uratował?

Cella. Coś tak na życie jego często godził?

Oliwer. Mnie; lecz nie jestem już, czem byłem dawniej.

Bez wstydu dzisiaj wyznaję, czem byłem,

Taką słodyczą napawa mnie skrucza.

Rozalinda. A krwawa chustka?

Oliwer. O wszystkim się dowiesz.

Gdyśmy wzajemnie, wśród łez rozczulenia,

Opowiedzieli sobie dzieje nasze,

Ledwo usłyszał powód mej ucieczki,

Wiódł mnie uprzejmie przed księcia oblicze,

Który mnie przyjął, ubrał i nakarmił,

I jego bratniej miłości polecił.

Brat mnie do swojej poprowadził groty,

Tam zdjął odzienie, bo lwica w zapasach

Z jego ramienia wydarła część ciała,

A krwi upływem osłabiony zemdłał

I, mdlejąc, szemrał imię Rozalindy.

Gdym mu opatrzył ranę, wrócił zmysły,

Po krótkiej chwili wyprawił mnie do was,

Choć obcy puszczy nie znam jej przesmyków,

By powieść moja wymówką mu była,

Dlaczego nie mógł dotrzymać wam słowa,

I żebym oddał chustkę zakrwawioną

Temu, co żartem zwie się Rozalindą.

(Rozalinda mdleje).

Cella. Co ci jest, słodki, dobry Ganimedzie?

Oliwer. Wraca do zmysłów.

Rozalinda. Pragnąłbym być w domu.

Cella. Pójdziem tam. Proszę, daj mu twoje ramię.

Oliwer. Bądź dobrej myśli! Ażebyś był mężem,

Brak ci męskiego serca, mój młodziku.

Rozalinda. To prawda, wyznaję. Kto mnie widział, przyznać musi, że wybornie odegrałem moją rolę. Proszę cię, powiedz bratu, jak doskonale ją odegrałem. Ha! ha! ha!

Oliwer. To nie była sztuka. Bładość twojej twarzy zbyt jasno pokazuje, że to było prawdziwe uczucie.

Rozalinda. Wierzaj mi, czysta komedia.

Oliwer. Niechże i tak będzie. Bądź dobrej otuchy, a staraj się równie dobrze odegrać rolę mężczyzny.

Rozalinda. Staram się, ile mogę, ale widzę, że z prawa mi się należało być kobietą.

Cella. Idźmy! Coraz bardziej błędniejsz. Śpieszmy się do domu! odprowadź nas, dobry panie.

Oliwer. Bardzo chętnie; bo muszę zanieść odpowiedź mojemu bratu, jak przyjmujesz jego tłumaczenie, Rozalindo.

Rozalinda. Pomyślę nad nią, a tymczasem nie zapomnij powiedzieć mu, jak dobrze odegrałem moją rolę. Idźmy!

(Wychodzą).

AKT PIĄTY.

SCENA I.

Las.

(Probierezyk i Odrej).

Probierezyk. Znajdziemy porę, Tedziu, cierpliwość, słodka Tedziu!

Odrej. Na uczciwość, ksiądz ten był do tego aż nadto dobry, mimo wszystkiego, co nam stary pan nagadał.

Probierezyk. Najniegodziwszy Oliwer, najhaniebniejszy Psujtekst! Ale, Tedziu, jest tu w lesie młokos, który do ciebie rości sobie jakieś pretensye.

Odrej. Znam go; ale on do mnie najmniejszego nie ma prawa. Właśnie nadchodzi człowiek, którego masz na myśli. *(Wchodzi Wilhelm).*

Probierezyk. Mięsem jest dla mnie i winem spotkanie takiego błazna. Daję słowo, że my, ludzie dowcipu, ciężki będziemy musieli zdać rachunek; chcąc nie chcąc, musimy wyśmiewać.

Wilhelm. Dobry wieczór, Tedziu.

Odrej. Dobry wieczór, Wilhelmie.

Wilhelm. I tobie, panie, dobry wieczór.

Probierezyk. Dobry wieczór, miły przyjacielu. Wdziej czapkę, wdziej czapkę, proszę cię, wdziej czapkę. Jaki wiek twój, przyjacielu?

Wilhelm. Dwadzieścia pięć lat, panie.

Probierezyk. Wiek dojrzały. Imię twoje Wilhelm?

Wilhelm. Wilhelm, panie.

Probierezyk. Piękne imię. Urodziłeś się w tym lesie?

Wilhelm. Tak jest, panie, dzięki Bogu.

Probierezyk. Dzięki Bogu, dobra odpowiedź. Jesteś bogaty?

Wilhelm. O tak, tak, panie.

Probierezyk. Tak, tak, to dobrze, bardzo dobrze, przebornie; ale nie, tylko tak, tak. Masz rozum?

Wilhelm. Co do tego, nie zbywa mi na spryście.

Probierezyk. Dobrze mówisz. Przypominam sobie teraz zdanie: głupi myśli, że ma rozum, ale mądry wie dobrze, że jest głupim. Pogański filozof, ile razy chciał jeść winogrona, otwierał usta, żeby je włożyć do gęby, dając przez to do zrozumienia, że winogrona Bóg stworzył, żeby je ludzie jedli, a usta, żeby je otwierali. Czy kochasz tę dziewczynę?

Wilhelm. Kocham, panie.

Probierezyk. Daj mi rękę. Czy jesteś uczony?

Wilhelm. Nie, panie.

Probierezyk. Naucz się więc ode mnie tego, co następuje: Miec, jest to miec; bo to jest retoryczna figura, że kto płyn z kubka w szklanekę przelewa, napełniając jedną, wypróżnia drugą, a wszyscy pisarze wasi jednozgodnie utrzymują, że ipse znaczy ten, a ty nie jesteś ipse, bo ja jestem ten.

Wilhelm. Jaki ten, panie?

Probierezyk. Ten, który tę kobietę weźmie za żonę. A zatem, prostaku, opuść, lub, jak mówi pospólstwo, porzuć kompanię, po chłopsku: towarzystwo tej białogłowy, gminnie: kobiety; co razem wzięte znaczy: opuść kompanię tej białogłowy, albo inaczej, chłopie, zginięsz, lub, żebyś lepiej mnie zrozumiał, umrzesz, albo dobitniej jeszcze, zabiję cię, zaduszę cię, twoje życie na śmierć przemienię, a twoją wolność na niewolę, użyję przeciw tobie trucizny, pałki lub żelaza; wywołam przeciw tobie spiski stronnictw, zniszczę cię podstępem, zabiję cię sto pięćdziesięciu sposobami; drzyj więc i uciekaj!

Odrej. Uciekaj, dobry Wilhelmie!

Wilhelm. Więc daj wam, Boże, szczęście.

(*Wychodzi*).

(*Wchodzi Koryn*).

Koryn. Pan i pani szukają cię wszędzie; śpiesz się! śpiesz się!

Probierezyk. Dreptaj, Tedziu, dreptaj! Idę! idę!
(*Wychodzą*).

SCENA II.

Las.

(*Orlando i Oliwer*).

Orlando. Byćże może, abyś ją polubił po tak krótkiej znajomości? abyś ją pokochał na pierwsze spojrzenie? po zakochaniu o rękę prosił? na prośbę przychylną odpowiedź otrzymał? Chcesz zawsze wziąć ją za żonę?

Oliwer. Nie mów mi o gwałtowności mojego szału, o jej ubóstwie, krótkiej znajomości, nagłym oświadczeniu, nagłym przyzwoleniu; lecz powiedz ze mną: kocham Alienę, powiedz z nią, że mnie kocha; zgódź się wspólnie z nami, żebyśmy się pobrali, bo to na dobre ci wyjdzie. Dom mojego ojca, wszystkie dochody starego Rolanda na ciebie przekażę, a sam żyć tu będę i umrę pasterzem. (*Wchodzi Rozalinda*).

Orlando. Masz moje przyzwolenie. Jutro wasz ślub; zaproszę księcia i wszystkich jego chętnych towarzyszy. Idź teraz i przygotuj na to Alienę, bo, jak widzisz, zbliża się moja Rozalinda.

Rozalinda. Bóg z tobą, bracie!

Oliwer. I z tobą, piękna siostró!

Rozalinda. Drogi mój Orlando, jak boleję, widząc, że nosisz serce na temblaku!

Orlando. To tylko moja ręka.

Rozalinda. Myślałam, że twoje serce ranione było lwa pazurami.

Orlando. Moje serce jest ranione, ale tylko spojrzeniem kobiety.

Rozalinda. Czy ci brat twój powiedział, jak dobrze udało mi zemdleć na widok twojej chustki?

Orlando. I to i większe jeszcze cuda.

Rozalinda. Wiem, o czym chcesz mówić. Wszystko prawiada. Nie widziano nic naglejszego na ziemi, chyba starcie się dwóch baranów i przesadzoną chwałbę Cezara: przyszedłem, zobaczyłem, zwyciężyłem. Brat twój

i siostra moja ledwo się spotkali, już na siebie spojrzeli; ledwo spojrzeli, już się pokochali; ledwo pokochali, już westchnęli; ledwo westchnęli, już się wzajemnie o przyczynę pytali; ledwo przyczynę odkryli, już szukali lekarstwa i z takich stopni złożyli schody małżeństwa, którymi chcą natychmiast wstępować, albo wszystko przed ślubem przestać. Porwał ich szat miłości; żyć chcą razem, a drągiem ich nie rozdzielisz.

Orlando. Jutro ślub ich; zaproszę księcia na wesele. Ale jak gorzko patrzeć na szczęście oczyma innego! Tem większy ciężar będzie mi jutro na sercu leżał, im więcej będę myślał, jak brat mój jest szczęśliwy, gdy otrzymał, czego pragnął.

Rozalinda. Jakto? alboż nie mogę ci służyć jutro za Rozalindę?

Orlando. Nie mogę żyć dłużej wyobraźnią.

Rozalinda. Nie chcę cię dłużej nudzić próżną gadaniną. Wiedz więc, a mówię teraz bez żartu, iż wiem, że jesteś szlachcicem wysokich zdolności. Jeśli to mówię, to nie dlatego, żeby ci dać dobrą opinię o moim rozumie, gdy poznałam twoją wartość, ani się ubiegam o więcej twojego szacunku, niż koniecznie potrzeba, żeby cię natchnąć odrobiną wiary dla twojego własnego dobra, a nie dla mojej chluby potrzebnej. Wierząc więc, proszę, że mogę dziwy wyprawiać. Od trzeciego roku życia rosłem w towarzystwie czarnoksiężnika, głęboko ćwiczonego w swojej sztuce, bez grzesznych jednak tajemnic. Jeśli tak serdecznie kochasz Rozalindę, jak zewnątrz pokazujeś oznakami, pojmiesz ją za żonę w tej samej chwili, w której brat twój pojmie Alienę. Wiem, w jak smutnem znajduje się dziś ona położeniu, i mogę, jeśli nie masz nic przeciw temu, stawić ci ją jutro przed oczyma w jej ludzkiej postaci bez żadnego niebezpieczeństwa.

Orlando. I mówisz to bez żartu?

Rozalinda. Na moje życie, które szczerze kocham, choć jestem czarnoksiężnikiem. Przywdziej więc niedzielne szaty, sproś przyjaciół, bo jeśli chcesz ożenić się jutro, ożenisz się, a z Rozalindą, jeśli tego pragniesz. (*Wchodzi: Sylwiusz i Febe*). Patrz, wchodzi zakochana we mnie pasterka i zakochany w niej pasterz.

Febe. Młodzieńcze, wielką zrobięś mi krzywdę, list pokazując, który ci pisałam.

Rozalinda. Wszystko mi jedno. Dla ciebie mam tylko Surowe słowa gniewu i szyderstwa.

Wszak masz przy sobie wiernego pasterza, Szanuj go, kochaj, bo on cię ubóstwia.

Febe. Powiedz, pasterzu, temu młodzikowi, Co to jest miłość.

Sylwiusz. Być tylko westchnieniem, I łąż być tylko, tak jak ja dla Feby.

Febe. Jak ja dla Ganimeda.

Orlando. Jak ja dla Rozalindy.

Rozalinda. Jak ja dla żadnej kobiety.

Sylwiusz. Być tylko wiarą, tylko poświęceniem, jak ja dla Feby.

Febe. Jak ja dla Ganimeda.

Orlando. Jak ja dla Rozalindy.

Rozalinda. Jak ja dla żadnej kobiety.

Sylwiusz. Tylko marzeniem, tylko namiętnością,

Tylko być zbiorem żądz i ubóstwienia,

I tylko hołdu, tylko posłuszeństwa,

Tylko pokory, czystości i względów,

I cierpliwości i niecierpliwości,

I rezygnacyi, tak jak ja dla Feby.

Febe. Jak ja dla Ganimeda.

Orlando. Jak ja dla Rozalindy.

Rozalinda. Jak ja dla żadnej kobiety.

Febe (*do Rozalindy*). Gdy tak jest, czemu miłością mą gardzisz?

Sylwiusz (*do Feby*). Gdy tak jest, czemu miłością mą gardzisz?

Orlando. Gdy tak jest, czemu miłością mą gardzisz?

Rozalinda. Której kobiecie pytanie to robisz?

Orlando. Której tu niema, która mnie nie słyszy.

Rozalinda. Dostyc tego; powiedziałby kto, że irlandzkie wilki na księżyc wyją. (*Do Sylwiusza*). Przyjdę ci w pomoc, jeśli potrafię. (*Do Feby*). Kochałbym cię, gdybym mógł tylko. Jutro przyjdźcie do mnie wszyscy. (*Do Feby*). Poślubię cię jutro, jeśli kiedykolwiek poślubię kobietę, a poślubię jutro. (*Do Orlando*). Zaspokoje twoje życzenia, jeśli kiedykolwiek zaspokoilem mężczyznę, a jutro pojmiesz żonę. (*Do Sylwiusza*). Zrobie cię jutro szczęśliwym, jeśli, otrzymując czego pragniesz, będziesz szczęśliwy, a jutro pojmiesz żonę. (*Do Orlando*). Jak kochasz Rozalindę, przybądź! (*Do Sylwiusza*).

sza). Jak kochasz Febe, przybądź! a ja, jak żadnej nie kocham kobiety, przybędę. A teraz, bądźcie zdrowi! znacie moje rozkazy.

Sylwiusz. Jeśli dożyję, przybędę.

Febe. Przybędę.

Orlando. Przybędę.

(*Wychodzą*).

SCENA III.

Las.

(*Probiereczyk i Odrej*).

Probiereczyk. Jutro dzień szczęśliwy, Tedziu, jutro się pobierzemy.

Odrej. Pragnę tego z całej duszy, a nie myślę, żeby było grzechem pragnąć zostać panią. Ale otóż dwaj paziowie wygnanego księcia.

(*Wchodzą dwaj paziowie*).

Pierwszy paź. Szczęśliwe spotkanie!

Probiereczyk. Szczęśliwe, na uczciwość. Dalej, siadajcie i zanućcie nam jaką piosenkę.

Drugi paź. Na rozkazy. Siadajcie między nami.

Pierwszy paź. Mamyż rzecz gracko poprowadzić, bez ceremonii, bez spluwania, bez skarg na chrypkę, tych zwykłych przegrywek lichego głosu?

Drugi paź. Rozumie się; a oba do jednego tonu, jak dwie cyganki na jednym koniu.

PIEŚŃ.

I.

Szedł z kochanką zakochany,
Śpiewał: dana, dana, dana!
Szedł przez łąki, szedł przez łąny,
Szedł wśród wiosny, pory pieśni;
Ptactwo nuci hymn miłosny,
A kochankom trzeba wiosny.

II.

Gdzie wśród łąków szumi zboże,
Nuć: dana, dana, dana!
Tam kochankom wonne łoże,
Pośród wiosny, pory pieśni,

Gdy ptak nuci hymn miłosny,
Bo kochankom trzeba wiosny.

III.

Tak gdy młodość im ucieka,
Nuć: dana, dana, dana!
Kwiatkiem tylko życie czeka
Pośród wiosny, pory pieśni,
Gdy ptak nuci hymn miłosny,
Bo kochankom trzeba wiosny.

IV.

Zbieraj kwiaty, gdy czas służy,
Nuć: dana, dana, dana!
Bo nie znajdziesz pączków róży
Tylko w wiosnie, porze pieśni,
Gdy ptak nuci hymn miłosny,
A kochankom trzeba wiosny.

Probiereczyk. Wyznaję, młodzi panicze, że choć niewiele było sensu w piosence, to nuta niewiele miała harmonii.

Pierwszy paź. Mylisz się, przyjacielu, harmonia była dobra, zachowaliśmy takt, nie pomyliliśmy się w tempie.

Probiereczyk. I ja się nie pomyłę, gdy powiem, że tępą ma głowę, kto się takim przysłuchuje błazeństwu. Bóg z wami! Bóg napraw wasze głowy! Idźmy, Tedziu!

(*Wychodzą*).

SCENA IV.

Inna strona lasu.

(*Księżę wygnany, Amiens, Jakób, Orlando, Oliwer i Celia*).

Księżę. I ty przypuszczasz, Orlando, że młodzik wszystko to robi, co zrobił przyrzeka?

Orlando. Czasami wierzę, nie wierzę czasami,
Jak przelekniony nadziei nie traci,
Chociaż się lęka.

(*Wchodzą: Rozalinda, Sylwiusz i Febe*).

Rozalinda. Chwila cierpliwości;
Zgódźmy się wprzód na wszystkie warunki.
(*Do Księcia*). Przyrzekasz, księżę, gdy ci córkę wrócę,
Córki tej rękę oddać Orlandowi?

Książę. A z nią królestwa, gdybym je posiadał.
Rozalinda (*do Orlanda*). Ty ją chcesz pojąć, jeśli ją spro-
 [wadzę?

Orlando. Gdybym był nawet wszystkich królestw królem.
Rozalinda (*do Feby*). Ty chcesz za męża wziąć mnie, gdy
 [zezwołę?

Febe. Choćbym godzinę później umrzeć miała.

Rozalinda. Ale, jeżeli rękę mą odrzucisz,
 To oddasz twoją temu pasterzowi?

Febe. Taki jest układ.

Rozalinda (*do Sylwiusza*). Ty chcesz pojąć Febe,
 Jeśli zezwoli?

Sylwiusz. Gdyby ją posiadać
 A umrzeć potem znaczyło się jedno.

Rozalinda. Wszystko przyrzekłem pogodzić. O, książę,
 Dotrzymaj słowa, że mu córkę oddasz,
 I ty, Orlando, że córkę tę weźmiesz,
 I ty, o, Febe, że będziesz mą żoną,
 Albo, mnie nie chcąc, tego tu pasterza,
 I ty, o, Sylwio, że, gdy mnie odrzuci,
 Chętnie ją pojmiesz. A teraz odchodzę,
 Aby te wszystkie trudności rozwikłać.

(*Wychodzi z Celią*).

Książę. W młodzika tego twarzy nieraz widzę
 Zyjące ślady rysów mojej córki.

Orlando. Kiedym go, panie, raz zobaczył pierwszy,
 On mi się córki twojej bratem wydał;
 A przecie on się urodził w tej puszczy,
 Pierwszych się zasad czarnoksięskiej sztuki
 Tutaj wyuczył od swojego stryja,
 Który jest wielkim, mówi, czarodziejem
 W głębokim cieniu lasów tych ukrytym.

(*Wchodzi: Probierezyk i Odrej*).

Jakób. Zapewne nowy potop niedaleko, bo wszystkie pary
 do arki się schodzą. Otóż i nowa para dziwnych zwier-
 rząt, które we wszystkich językach nazywają błaznami.

Probierezyk. Ukłon i pozdrowienie wszystkim!

Jakób. Przyjm go łaskawie, mój książę. To właśnie jego-
 mość pstrokatych myśli, którego tak często w lesie
 spotykałem. Przysięga, że był dworakiem.

Probierezyk. Kto o tem wątpi, niech mnie na próbę weź-
 mie. Tańczyłem menueta; prawilem komplementy da-
 mie; politykowałem z przyjaciелеm, a z nieprzyjacielem

byłem słodziuchny; zrujnowałem trzech krawców, mia-
 łem cztery zajścia, a w jednym o mało nie przyszło do
 pojedynku.

Jakób. Jakże się skończyło zajście?

Probierezyk. Kiedyśmy stanęli na placu, pokazało się, że
 kłótnia doszła siódmego stopnia.

Jakób. Jaktó siódmego stopnia? Książę mój, bądź łaskawy
 dla tego człowieka.

Książę. Bardzo mi się podoba.

Probierezyk. Bóg wam zapłać, panie, i daj wam równą
 miłość u ludzi! Przybiegam tu, jak i inne wiejskie pary,
 żeby przysięgać i krzywoprzysięgać, stosownie do tego,
 jak wiąże ślub, a krew rozwiązuje. Biedna dziewczka, pan-
 nie, straszdełko, panie, ale moja. Bo biedne moje
 przywidzenie — wziąć, czego nikt inny wziąć nie chciał.
 Bogata cnota mieszka, jak skąpiec — w szpitalu, jak
 wasze perły — w brudnej ostrzydze.

Książę. Bystry to człowiek i pełen sentencji.

Probierezyk. Jakie może znaleźć błazen w chorej czuprynie.

Jakób. Ale wróćmy do siódmego stopnia: jakże się to po-
 kazało, że zajście doszło siódmego stopnia?

Probierezyk. Przez siedm razy odparte kłamstwo. Trzy-
 maj się lepiej, Tedziu. A to jak następuje: nie był mi
 po myśli sposób strzyżenia brody pewnego dworzani-
 nina; on na to przysłał mi słowo, iż jeśli powiedzia-
 łem, że broda jego nie dobrze była ostrzyżona, jemu
 się zdaje, że ostrzyżona była dobrze. To nazywa się
 u nas »odpowiedź grzeczna«. Gdybym mu raz jeszcze
 powtórzył, że broda jego źle była ostrzyżona, onby mi
 odesłał w odpowiedzi, że ją ostrzygł, jak mu się po-
 dobało. To nazywa się u nas »skromny przygrzyzek«.
 Gdybym raz jeszcze powtórzył, że nie była dobrze
 ostrzyżona, onby mi powiedział, że straciłem rozum.
 To się nazywa u nas »grubiańska odpowiedź«. A gdyby
 jeszcze broda źle była ostrzyżona, odrzekłby, że nie mó-
 wię prawdy. To się nazywa u nas »waleczna replika«.
 Gdyby raz jeszcze źle była ostrzyżona, powiedziałby
 mi, że kłamię. To się u nas nazywa »swarliwe zaprze-
 czenie«. Idzie z kolei »kłamstwo warunkowe« i »kłam-
 stwo wręcz«.

Jakób. A ty ile razy powtórzyłeś, że broda jego nie była
 dobrze ostrzyżona?

Probierezyk. Nie śmiałem pójść dalej, niż kłamstwo wa-

runkowe, a on nie śmiał mi zadać kłamstwa wręcz, zmierzylśmy więc szpady i rozeszli się.

Jakób. Czy mógłbyś mi wyliczyć wszystkie stopnie kłamstwa po kolei?

Probierczyk. Nic łatwiejszego. Na wszelkie zajście jest tekst drukowany, jak są manualy grzeczności. Wyliczę wszystkie stopnie po kolei. Pierwszy stopień — grzeczna odpowiedź; drugi — skromny przygryzek; trzeci — odpowiedź grubiańska; czwarty — waleczna replika; piąty — swarliwe zaprzeczenie; szósty — kłamstwo warunkowe; siódmy — kłamstwo wręcz. Z wszystkich tych nietrudno się wycofać, wyjąwszy kłamstwa wręcz, a i z tego można się wyratować za pomocą: »Jeżeli«. Znam sprawę, której siedmiu sędziów załagodzić nie mogło, ale gdy strony spotkały się na placu, przyszło jednemu na myśl »Jeżeli«. Naprzykład: Jeżeli pan powiedziałeś tak, to ja powiedziałem tak; na te słowa podali sobie ręce i przysięgli sobie braterstwo. Rzadki to sędzia pokoju wasze »Jeżeli«; wielkie są cnoty w »Jeżeli«.

Jakób. Czy nie rzadki to kamrat, mój książę? Doskonały we wszystkim, a przecie błazen.

Książę. Błazeństwo jest mu tarczą, z za której strzela konceptami.

(*Wchodzi Hymen, prowadząc Rozalindę i Celię. — Muzyka.*)

Hymen. Cieszą się niebieskie chóry,
Ile razy ziemskie spory
Święta zgoda znów jednoczy.
Przyjmij córkę, dobry panie,
Na niebieskie rozkazanie
Hymen wiódł ci ją przed oczy,
Byś ją temu oddał w dłonie,
Co swe serce ma w jej łonie.

Rozalinda (*do Księcia*). Tobie się daję, twoją bowiem jestem.

(*Do Orlanda*). Tobie się daję, twoją bowiem jestem.

Książę. Lub oczy kłamią, lub córką mą jesteś.

Orlando. Lub oczy kłamią, lub to Rozalinda.

Febe. Jeśli mnie nie mylą oczy,

Żegnaj, kochanku uroczy!

Rozalinda (*do Księcia*). Nie chcę innego ojca mieć jak ciebie.

(*Do Orlanda*). Nie chcę innego męża mieć jak ciebie.

(*Do Feby*). Innej zaślubić kobiety jak ciebie.

Hymen. Pokój! zgoda! dość już wrzawy,

Rozwikłane wszystkie sprawy,

Skończyć wszystko czas.

Jeśli dotrzymacie wiary,

Zakochane cztery pary,

Hymen złączy was.

(*Do Orlanda i Rozalindy*).

Nigdy nic was nie rozdzieli,

Wy dwie dusze w jedną zleli.

(*Do Feby*).

Wierny pasterz dziś zwycięża,

Albo dziewczę masz za męża.

(*Do Probierczyka i Odrej*).

Wy tak wierni wśród żywota,

Jak jest ziemie wierna słota.

Gdy my nucim ślubne pieńie,

Ona da wam wyjaśnienie

I rozpląta sprawy wątek,

Koniec równie jak początek.

PIEŚŃ.

Małżeństwo wieńcem wielkiej Junony;

Święty jest węzeł męża i żony!

Hymen zaludnia miasta i ziemie,

Niech więc małżeństwo ludzkie czci plemię,

Niechaj wciąż godność Hymenu wzrasta,

Bo on jest bogiem każdego miasta.

Książę. Witam cię, Celio, z tą samą radością,

Z jakąm powitał córkę mą kochaną.

Febe (*do Sylwiusza*). I ja też spełnię przysięgę raz daną,

Twoją ci miłość zaplącę miłością.

(*Wchodzi Jakób de Bois*).

Jakób de Bois. Dozwól mi, książę, słów kilka powiedzieć.

Sira Rolanda drugim jestem synem,

A takie, panie, przynoszę ci wieści:

Książę Fryderyk, słysząc, że codziennie

Ludzie poważni fortuną i wiekiem

Do tej się puszcy tłumami zbiegali,

Pieszego ludu silny zebrał zastęp

I sam na czele w te strony wyruszył,

Aby własnego brata zamordować.

Już stało wojsko na krawędzi lasu,

Gdy wódz świętego spotkał pustelnika,

A po niedługiej, cichej z nim rozmowie

I swoich myśli i świata się wyrzekł;

Wraca koronę wygnanemu bratu,
Wraca majątki jego towarzyszom.

Za prawdę słów mych głową odpowiadam.

Książę. Witaj, młodzieńcze! Dla twoich dziś braci

Piękne przynosisz ślubne podarunki:

Jednemu ziemie zabrane, drugiemu

Rozległe włości i potężne księstwo.

Niech się w tym lesie szczęśliwie przód skończy,

Co się w tym lesie szczęśliwie poczęło,

A potem każdy z szczęśliwego koła,

Który wytrzymał ze mną ciężkie próby,

I nowe szczęście pójdzie ze mną dzielić,

Wedle swych zasług i swojego stanu.

O wielkich zmianach zapomnijcie, proszę,

I na wsi wspólne przyjmijcie rozkosze.

Zagrzmij, muzyko, a wy, młode pary,

Cieszcie się wspólnie i skaczcie do miary.

Jakób. Proszę o słowo. Jeśli zrozumiałem,

Książę w klasztornej ciszy się zamyka,

Na zawsze dworskiej wyrzeka się pompy.

Jakób de Bols. Tak jest.

Jakób.

Do niego i ja więc pobiegnę,

Bo wiele rzeczy mają opowiadać,

Wiele nauczać nowo nawróceni.

(Do Księcia). Tobie, mój książę, przekazuję księstwo:

Twoja cierpliwość daje ci doń prawo.

(Do Orlanda). A tobie miłość wiary twojej godną.

(Do Oliwera). A tobie ziemie, miłość, koligacye.

(Do Sylwiusza). A tobie rozkosz dawno zasłużoną.

(Do Probiarczyka). A tobie swary; na miłosną podróż

Na dwa miesiące tylko żywność macie.

A teraz naprzód, taneczników koła!

Lecz mnie do innych piasów serce woła.

Książę. Nie, nie, Jakóbie, zostań jeszcze z nami.

Jakób. Nie dla mnie tańce. Na twoje zlecenia

Czekam, o książę, w opuszczonej grocie.

(Wychodzi).

Książę. Więc rozpocznijmy święto zaślubienia.

Bóg niech da po niem świątecznych dni krocie!

(Taniec).

EPILOG.

Rozalinda. Rzecz to niezwykła widzieć kobietę w epilogu, nic w tem przecie nieprzystojniejszego, niż widzieć mężczyznę w prologu. Choć to prawda, że dobre wino nie potrzebuje wiechy, a dobra sztuka epilogu. Ale w jak wielkim znajduję się kłopotcie, ja, co ani jestem dobrym epilogiem, ani odzywam się do was w sprawie dobrej sztuki! Nie jestem ubrana, jak żebraczka, nie przystoi mi więc żebrania; mojem rzemiosłem zakłęcia; zaczynam więc od was, piękne panie. Wzywam więc was, panie, w imię waszej miłości dla mężczyzn, dajcie poklask wszystkiemu, co się wam w tej sztuce podoba; a was, mężczyźni, wzywam w imię waszej miłości dla kobiet, — a z waszych uśmiechów wnoszę, że żaden z was nienawiści ku nim nie czuje, — wzywam was, dajcie poklask temu, czemu nie przyklasnęły kobiety. Co do mnie, gdybym była kobietą¹⁾, dałabym każdemu z was pocałunek, którego mi się podobała broda, albo cera, albo którego oddechby mnie nie odstraszył. Spodziewam się więc, że i z was każdy, który ma piękną brodę, albo cerę, albo wonny oddech, za moje dobre chęci, po moim ukłonie pożegna mnie oklaskiem. *(Wychodzą).*

¹⁾ Za czasów Shakespearu mężczyźni grali role kobiet.



UGŁASKANIE SEKUTNICY.

TŁÓMACZENIE J. PASZKOWSKIEGO.

Komedia *The Taming of the Shrew* pojawia się w zbiorowym wydaniu dzieł poety z r. 1623; poprzedniego jej tekstu *in quarto* nie posiadamy. W braku wszelkich zewnętrznych świadectw kierując się właściwościami dzieła samego, radziłyśmy mu, jako farsie, wyznaczyć miejsce w grupie najwcześniejszych komicznych utworów poety, w sąsiedztwie »Komedyi omyłek« i »Straconych zachodów miłosnych«. Tego dowodziłby także styl: autor, jak zwykle w tym okresie, często jeszcze się posługuje staroświeckim czterotaktowym wierszem zamiast pięcio-jambowego; z młodzieńczą próżnością popisuje się urywkami konwersacyi w obcym języku — *perdonate mi, Signore* (I, 1), *ben trovato, ben venuto* (I, 2) — cytatami po łacinie, świeżo jeszcze tkwiącymi w głowie z gramatyki szkolnej — *redime te captum, quam queas, minimo* (I, 1) — wreszcie aluzjami do podań i dziejów klasycznej starożytności: *Dydona* (I, 1), *Sybilla*, *Xantypa* (I, 2).

Podobało się Shakespearowi oprawić komedię tym razem w osobne ramy dramatyczne, przedstawiając ją jako graną przez wędrujących komedyantów przed pijanym chłopem, dla żartu przebranym za pana. Motyw ten, do połowy tylko wyzyskany w »Indukcyi«, ponownie ironicznie potrącony z końcem 1 sceny¹⁾, a potem zupełnie zarzucony²⁾ — jest tematem komicznym wielokrotnie przed-

1) Słowa te opuszczone w tłumaczeniu polskim; sly budzi się z drzemki i, pytając, czy długo jeszcze będzie trwało przedstawienie, chwali dramat, ale z dodatkiem, osłabiającym wartość pochwały: »chciałbym, żeby już był koniec!«

2) Tak przynajmniej w tekście *in folio*; może być, że zaginął lub w druku opuszczony został epilog, przedstawiający przebudzenie chłopca; nie brakuje tego epilogu w starym druku *The Taming of a Shrew*, o którym poniżej.

stawianym w literaturach od Wschodu do Zachodu. Błaskiem swej poezji otoczył go między innymi Calderon w dramacie *La vida es sueño* (»Życie snem«), a w naszej literaturze reprezentuje go komedia Piotra Baryki »Z chłopą król« (1637). W języku angielskim przedmiot podobny opracował prozą w r. 1570 Ryszard Edwardes; my posiadamy tylko fragment niedatowanego druku, może identyczny z jego wersją. Shakespeare mógł poznać historię przebranego chłopą przez opowieść Edwardesa; dramatyzując rzecz, dodał jej rodzimego uroku przez lokalizację w miejscowości Wincot (Wilnecote) we własnej prowincji rodzinnej Warwickshire.

Główna akcja komedii, określona tytułem, w założeniu także należy do starego inwentarza literatury komicznej. Poskromienie złej żony przez bicie, to motyw pospolity w wierszowanych opowieściach średniowiecznych; jest wśród nich osobna grupa, gdzie mąż, zupełnie jak u Shakespeara, udaje złoźnika i przez to żonę zastrasza. Nie zachowała się nam jednak żadna wersja angielska, któraby chociaż w przybliżeniu była podobna do shakespeareowskiej. Wszędzie prawie pojawia się teściowa, namawiająca córkę do rebelii małżeńskiej; u Shakespeara jest potulny i zahukany ojciec bohaterki. W jednej tylko wersji gwałtownica ma obok siebie łagodną siostrę, jak w komedii.

O ile więc niepewnym pozostać musi, skąd Shakespeare wziął pomysł do historii Petrucchia i Kasi, o tyle jasnym jest pochodzenie akcji dodatkowej, którą poeta częstym w ówczesnej dramaturgii angielskiej wyciągał skombinował z główną. Dzieje miłosne Bianki i Lucentia niewątpliwie mają swe źródło w komedii Ariosta *I Suppositi*, przetłómaczonej na angielskie w roku 1566 przez Jerzego Gascoigne'a pod tytułem *The Supposes*. Różnice między tym oryginałem a scenami, poświęconemi Biance u Shakespeara, przeważnie wolno uważać za poprawki w interesie ciągłości psychologicznej, dobrego smaku lub efektu teatralnego: Shakespeare przedstawia nam sprawę miłosną w całym jej rozwoju od początku, zaś Ariosto prowadzi nas od razu w środek sytuacji; u Shakespeara zakochani przez tajemny ślub stawiają ojców przed faktem dokonany, u Ariosta zaraz w pierwszej scenie dowiadu-

jemy się o stworzeniu faktu dokonanego w daleko do-
rażniejszy sposób; Shakespeare dodaje trzeciego konkurenta o rękę Bianki, Hortensya, przez co tworzy sobie podstawę do zabawnego epizodu kłótni dwóch nauczycieli o uczennicę (III, 1); pozbywa się potem Hortensya poprostu przez małżeństwo z wymyśloną *ad hoc* bogatą wdową¹⁾. Wreszcie Shakespeare także korzysta scenicznie z efektu licytacji, zarządzanej przez ojca panny między konkurentami, o to, który zapewni jej największą fortunę (II, 2): u Ariosta o tym fakcie dowiadujemy się tylko z relacji.

Jako dodatkowe źródło już nie akcji, ale pewnych w komedii typów, trzeba jeszcze wspomnieć komedję improwizowaną aktorów włoskich (*Commedia dell' arte*), którą Shakespeare mógł czasem i w Anglii oglądać. Do jej szablonów należał pretensjonalny i zakochany stary człowiek, — u Shakespeara Gremio, który nawet za pierwszym swem wystąpieniem we wskazówce scenicznej tekstu *in folio*, zaopatrzony jest w przydomek, jaki mu przysługuje według włoskiej terminologii technicznej: *a Pantalonne*. Tak samo »kommissant«, użyty później, by przedstawiać osobę starego Vincentia (IV, 2, 4; V, 1) stale w *folio* nosi techniczną nazwę *Pedant*, i poeta nawet szczegółły charakterystyki i zewnętrzne wykonania tej roli, jako szablonowej, najwidoczniej zupełnie pozostawia aktorom. Aktorzy także z pewnością niejednym efektem komicznym uzupełniali sceny między służącymi, tego rodzaju, co początek czwartego aktu; tak jak je mamy w tekście, figury służących i ich błazeństwa także noszą wyraźne ślady pochodzenia z komedii włoskiej.

Nawet do bardziej odległego jeszcze wzoru, bo do komedii starożytnej, sięga utwór przez nazwy służących Tranio i Grumio, które jako imiona niewolników spotykamy w komedii plautyńskiej *Mostellaria*.

W rozważaniach zarówno nad źródłami jak nad chronologią dzieła shakespeareowskiego poważną acz problematyczną rolę zawsze odgrywał stary dramat pod nieco odmiennym tytułem *The Taming of A Shrew* (»Poskro-

¹⁾ Podobnie wygodnym a prostym środkiem jest wynalezienie drugiego służącego Lucentia, Biondella (I, 1), który, gdy pierwszy służący przybiera rolę pana, a pan ma inne w dramacie zajęcie, wstępuje w funkcję tamtego sługi.

¹⁾ A. von Weilen, *Shakespeares Vorspiel zur Gezähmten Widerspenstigen in der Welt-Literatur*, Frankfurt 1882.

mienie pewnej złoŹnicy*), drukowany bez nazwiska autora w roku 1594. JeŹeli Shakespeare, jak wielokrotnie przypuszczano, z tego dramatu korzystał, to kopiował go daleko ściślej aniŹeli którekolwiek ze znanych nam Źródeł literackich, jakich do swych dramatów używał. Prawdopodobniejszą jest teoria, obszernie uzasadniona przez Creizenacha¹⁾, Źe anonimowy autor popełnił plagiat na dziele Shakespeara. W szczególności przebieg akcji pobocznej między Bianką a Lucentiem u Shakespeara podobniejszy jest do przedstawienia rzeczy u Ariosta, niŹ u anonima: Shakespeare zdaje się stanowić ogniwo pośrednie między nimi obydwoma. Tylko u Shakespeara i u Ariosta, miejscem akcji jest włoskie miasto uniwersyteckie (Ferrara — Padwa); tylko u anonima, całkiem niepotrzebnie, obok dwóch siostr pojawia się trzecia; niema za to u niego komicznej figury starego konkurenta, którą spotykamy i u Ariosta i u Shakespeara.

W akcji głównej o zależności anonima od Shakespeara zdaje się świadczyć głównie ta okoliczność, Źe pewne efektowne teatralnie momenty Shakespeare przygotowuje i uzasadnia, zaś anonim posługuje się tymi samymi efektami, ale zaniedbuje ich umotywowanie: niema u niego Hortensya, ale sceny kłótni z nauczycielem muzyki i rozbicia lutni (u Shakespeara II, 1) autor pominąć nie chce, więc umożliwia ją sobie w ten niezgrabny sposób, Źe służący musi się na rozkaz pana przebierać za nauczyciela muzyki, niewiadomo w jakim celu. Tak samo celu i sensu nie ma u anonima samo przebieranie się służącego za pana: u Shakespeara jest organiczną częścią akcji. U anonima zresztą to przebranie urzeczywistnione jest tylko w scenie ostatniej, jedynie dla wyzyskania efektu spotkania z ojcem pana. Podobnie komiczny epizod, jak poskromiona Źona z rozkazu męża pozdrawia sędziwego przechodnia jako pannę, u Shakespeara (IV, 5) wpojony jest w akcję przez to, Źe przechodniem jest Vincentio; u anonima epizod postawiony jest luźnie.

Autor *Taming of a Shrew* lubuje się w bombastycznej retoryce, wyraźnie naśladowującej styl Marlowa²⁾; w końcu

¹⁾ *Geschichte des neueren Dramas*, IV, 693—8.

²⁾ Przypuszczano nawet, Źe sam Marlowe dramat napisał. Szczególnie częste są w anonimowym dramacie aluzje do przedmiotu pieśni pickickiej Marlowa »Hero i Leander«; z ojczyzny tych kochanków, Se-

wej apostrofie Katarzyny nuŹy nas wywodami nad historią rodu niewieściego od upadku pierwszych rodziców; z drugiej strony oszczędza na charakterystyce: gwałtowność Kasi demonstruje nam tylko przez rozbicie lutni, i to nie bez winy muzyka i nie na jego głowie. WyŹszość Shakespeara mogła się objawić w przerabianiu tego wszystkiego, ale z luźnego traktowania poszczególnych motywów jednak raczej wynika, Źe *Taming of a Shrew* to błada i nieudolna kopia jego komedii, pisana prawdopodobnie dla rywalizującej z trupą shakespeareowską kompanii aktorów pod protektoratem hrabiego Pembroke: ta kompania wymieniona jest na tytule anonimowego druku, i jej agent Henslowe zapisuje w swym dzienniku utwór pod tą nazwą, co prawda w czasie, gdy obie trupy chwilowo występowały razem.

Jakkolwiek był stosunek Shakespeara do anonima, z porównania obu ich dzieł w każdym razie wynika, Źe utwór Shakespeara przewyŹsza anonimowy przez zręczność i spoistość w budowie dramatycznej. W porównaniu jednak z owocami dojrzalszej juŹ sztuki Shakespeara faktura dzieła istotnie jest dosyć prymitywną i charakterystycznie młodocianą. Początki ekspozycji mają jeszcze ten charakter mechanicznie recytujący, który cechuje i komedye i tragedye najwcześniejszego okresu. Jak Ryszard III na początku dramatu w obszernym monologu wyjawia nam swoje zbrodnicze zamiary, tak i tu Lucentio własnemu służącemu udziela dokładnych wiadomości o tem, kim jest i kto go rodzi; właściwy geniusz dramatyczny Shakespeara na scenę wchodzi dopiero z postacią Katarzyny; jej ognisty temperament ożywia cały dyalog, co się i formalnie objawia przez bujną mieszaninę prozy i poezyi w pierwszych momentach naszej z nią znajomości. W dalszych fazach pierwszego aktu, podobnie jak w późniejszej farsie »Wesołe kobiety windsorskie«, zależy pocię przedewszystkiem na tem, Źeby natłoczyć scenę jak najzabawniejszymi figurami: postawiwszy więc ze zwykłą w młodocianych dziełach symetrią bohatera w osobnej scenie naprzeciw przedstawionej nam poprzednio bohaterki, wysuwa z kolei Grumia, Gremia, Trania, całą galeryę maryonetek, mają-

stos, pochodzi nawet jeden z bohaterów sztuki; rozgrywa się ona bowiem w Grecyi.

cych towarzyszyć akcji swemi śmiesznościami i w ten sposób nie dopuszczać do znudzenia widza.

Akt drugi prawie w całości wypełnia eksplozyami swego charakteru bohaterka, zarówno w scenach poświęconych sprawom jej siostry Bianki, jak i we własnym dyalogu z Petrucchiem. Dlaczego w tej scenie, pełnej naturalnego wdzięku, Katarzyna ostatecznie w milczeniu ulega impetycznym zalotom bohatera, — to wyraźniej od Shakespeara dał do zrozumienia anonim, który wprost każe jej wypowiadać słowa: »Za długo pono żyję już w panieństwie«¹⁾.

W akcie trzecim akcja Bianki odłącza się od akcji Katarzyny i oddzielnie od niej postępuje aż ku końcowi, gdzie się znowu łączą. W epizodycznej komice scen, poświęconych młodszej siostrze i jej zalotnikom, w szabloności wielu humorystycznych efektów — jak lekcyja łaciny z tłumaczeniem Wergiliusza na deklarację miłosną (III, 1), co jest żartem żakowskim o starej i rozległej tradycji, — wielu komentatorów dopatrywało się ręki nie-shakespearowskiej. Istotnie w akcji starszej siostry jest więcej teatralnej siły i koncentracji: efekt komiczny zabrany w kilku jednolitych w kompozycji obrazach, równomiernie rozdzielonych między poszczególne akty: w drugim zaloty Petrucchia, w trzecim jego wesele, w czwartym samo jądro dzieła — systematyczne poskromienie złoŃnicy, upstrzone błazeństwami figur dodatkowych. Na zabawnym egzaminie, jaki ugłaskana żona składa z absolutnego posłuszeństwa małżeńskiego (IV, 5), kończy się właściwa akcja dramatu; zarazem przez utożsamienie spotkanego wędrowca z ojcem amanta Bianki jej sprawa znowu się kojarzy ze sprawami starszej siostry, a że i małżeństwo młodziej tymczasem już jest zawarte, więc pozostaje cały piąty akt na epilog, polegający znowu, jak już zakoŃczenie czwartego, na demonstrowaniu doskonale wytresowanej żony, tym razem nie bez wymownego morału. Nie odmawia sobie poeta jeszcze zabawnego epizodu interwencji ojca Lucentia w sprawie Bianki, co żadnym poważniejszym konfliktem grozić już nie może, a daje sposobność do powtórzenia efektu, wyzyskanego już w »Komedyi omyłek« (IV, 4), że poważny i stateczny obywatel wskutek nieporozumień ma być uwięziony jako szaleniec;

¹⁾ *For I methinks haue liude too long a maid.*

nie posuwa się tu jednak poeta do tych dalszych, dla naszego uczucia już niemiłych konsekwencji, co i w »Komedyi omyłek« i później jeszcze w »Wieczorze Trzech Króli« (IV, 2).

Głębiej od sklecania akcji komicznej, obfitej w bicie i inne drastyczne żarty, a nader ubogiej w poezję, interesuje Shakespeara rysunek charakterów, nadewszystko dwóch głównych. Petrucchio, w pragnieniu posagu jako treści konkurów (I, 2) podobny do Fentona w »Wesołych kumoszkał windsorskich«, rubasnym cynizmem wszystkich swych powiedzeń pokrewny nieco Mercutiowi w tragedyi »Romeo i Julia«, zwycięską pewnością siebie w scenie zalotów przypomina ukochanego przez poetę bohatera późniejszego dramatu, Henryka V, w tej samej sytuacji (V, 2), w postępowaniu zaś jego z żoną odlegle się zapowiada wdzięk scen małżeńskich między Henrykiem Percy a imienniczką poskromionej Kasi w »Henryku IV« (część pierwsza, II, 3; III, 1).

Piękna Katarzyna, czarnowłosa i śniada, jak uszczypliwa Rozalinda w »Straconych zachodach miłosnych« i jak demoniczna dama »Sonetów«, jest postacią niezmiernie uroczą; ale zaprzeczyć nie można, że niewiele sobie poeta psychologicznego trudu zadał z jej charakterystyką. Podobnie jak bohater młodocianej tragedyi, król Ryszard III, gdy nam staje przed oczyma, jest gotowym potworem zbrodni od czuba do pięt, tak i ona, gdy nam ją poeta ukazuje, już jest skończoną złoŃnicą, i tylko domyślać się nam wolno, w jaki sposób do powstania jej tyranii przyczyniła się słabość ojca i niższość umysłowa młodziej siostry. Przemiana samowładczyni domowej w uległą żonę dokonywa się właściwie poprostu przez głód, zmęczenie i strach; porównanie z tresurą sokoła, użyte przez Petrucchia (IV, 1), jest równie typowo shakespearowskie jak trafne, ale w oczach nowożytnego człowieka chluby przynosić nie może ani bohaterowi ani jego twórcy. Istotnie cała farsa, choć usiłujemy brać ją jako żart dramatyczny, jednak pozostawia niesmak, wywołany zbyt raziącą różnicą między shakespearowskim a naszym pojęciem o godności kobiety; podobną całkiem przykrość sprawia nam w dramacie tego samego okresu »Henryk VI«, epizod buntu chłopskiego, gdzie także dzisiejszy wielbiel Shakespearu ku wielkiemu swemu rozczarowaniu nic u niego nie odnajduje ze swych nowożytnych ideałów

demokratycznych. Moralizacya Katarzyny, określająca stanowisko żony terminologią feudalnego poddaństwa, wydawać nam się musi bardzo staroświecką, a jej twierdzenie, że męża należy słuchać, bo ciężko pracuje na utrzymanie żony, nie zgadza się z faktem, że przecież dopiero małżeństwo z nią uregulowało stosunki majątkowe Petrucchia; słusznie ten logiczny defekt podchwyciła feministka angielska, pani Stopes. W nieco wyższą i bliższą naszemu myśleniu sferę moralną usiłowano podnieść całą sprawę Katarzyny, interpretując ją jako symbol żywiołowej potęgi i dumy kobiecej, porównywając ją nawet, jako taki, z Amazonką Hippolitą i z germańską walkiryą Brunhildą; wszystko to rojenia mózgów nowożytnych, obce koncepcyi renesansowego poety.

Shakespeare chciał stworzyć zabawną i scenicznie efektowną farsę, i to mu się wysmienicie udało; mimo powierchowej psychologii i niezgodności głównego tematu z myśleniem późniejszym, Petrucchio i Katarzyna zawsze stanowić będą wdzięczne i pożądane role popisowe dla dobrych aktorów, i już przez tę właściwość komedia zapewniony ma niegasnący żywot i sukces na scenie. Z historii jej powodzenia u najbliższych pokoleń potomnych jako ciekawy fakt literacki wyszczególnić warto, że najpopularniejszy wśród młodszej konstelacyi pisarzy dramatycznych, Fletcher, stworzył dalszy ciąg shakespeareowskiej komedyi »Kobieta zwycięska, czyli poskromiciel poskromiony« (*The Woman's Prize, or the Tamer Tamed*), gdzie damy dworu Karola I miały satysfakcyę oglądać Petrucchia po śmierci Kasi równie doskonale trzymanego pod pantoflem przez drugą żonę, jak sam niegdyś ujarzmił pierwszą. Tego uzupełnienia przez epigona — w szczegółach niesmacznego i nieudolnego — komedia shakespearewska już dlatego wcale nie potrzebowała, że w jego własnej twórczości moralną tezę »Poskromienia złośnicy« doskonale przeciwważy pisana w tym samym okresie komedia »Stracone zachody miłosne«, w której czwórka bohaterów analogicznemu ulega upokorzeniu, co tu bohaterka, poznając, że bez drugiej płci żyć nie potrafi. Z tego do siebie stosunku dwóch dzieł młodocianych wypłynęło nawet przypuszczenie, że Franciszek Meres te dwie farsy miał na myśli, wymieniając w r. 1598 wśród komedyi Shakespeara zaraz obok »Straconych« także »Skuteczne zachody miłosne« (*Love's Labours Lost — Love's Labours Won*).

OSOBY:

Dziedzic.	}	Osoby, występujące we wstępie.
Krzysztof Szlaj, szewc, pijak.		
Karczmarza, Paź, Aktorzy, Strzelcy i Słudzy.		
Baptysta, bogaty Paduańczyk.		
Wincencjusz, stary obywatel z Pizy.		
Lucencjusz, syn jego.		
Petrycy, obywatel z Werony.		
Gremio	}	ubiegający się o Biankę.
Hortensjusz		
Tranio	}	słudzy Lucencjusza.
Biondello		
Grumio	}	słudzy Petrycego.
Kurtys		
Komisant.		
Katarzyna	}	córci Baptysty.
Bianka		
Pani Dorota, wdowa, idąca za mąż za Hortensjusza.		
Krawiec, Modniarka, Służba Baptysty i Petrycego.		

Rzecz dzieje się po części w Padwie, po części w domu Petrycego na wsi.



UGŁASKANIE SEKUTNICZY.

PROLOG.

SCENA I.

Przed karczmą w lesie.

(Wchodzi Szlaj, za nim Karczmarka).

Szlaj. Ejże, bo wasanię pogłaszczę kułakiem.

Karczmarka. W dybach ci siedzieć, ty łobuzie.

Szlaj. Cicho, babo. Szlajowie nie łobuzy. Zajrzyj do kronik: przybyliśmy tu z Ryszardem Zdobywcą. Stul więc swój pytel i zostaw świat w pokoju.

Karczmarka. Zapłacisz mi za potłuczone szklanki, czy nie?

Szlaj. Ani szeląga. Odczep się, kobieto. Wleź w zimne łóżko i rozgrzej się.

Karczmarka. Już ja sobie z tobą poradzę: pójdę sprowadzić konstabla. *(Wychodzi).*

Szlaj. Sprowadź ich dziesięciu; nie boję się: znam prawo. Zebym zmarniał, jeżeli ci na włosok ustąpię. Sprowadź go, sprowadź, tylko w galop!

(Kładzie się na ziemi i zasypia).

(Odgłos myśliwskich rogów. Dziedzic, wracający z polowania, wchodzi ze strzelcami i służbą).

Dziedzic. Mości nadleśny, miej o psach staranie:

Każ je na story pobrać. Biedny Zagraj

Strasznie się zmachał. Skupluj Śpiewkę z Pisklą;

Czyś widział, jak się Grznilas popisował

Na zimnym tropie, tam na skrucie płota?

Nie oddałbym go za dwadzieścia funtów.

Nadleśny. Puzan jest równie dobry, Jaśnie Panie;

On przecie pierwszy dziś doławić zaczął

I dał dwukrotnie obrót rogaczowi;

Bodaj czy nawet on nie lepszy.

Dziedzic. Brednie!

Gdyby Przygrywka była równie chyża,

Wyżejbym ceniał ją, niż tuzin takich.

Karmże je dobrze i miej o nich pieczę.

Jutro mam zamiar znowu zapolować.

Nadleśny. Stanie się wszystko, jak Jaśnie Pan każe.

Dziedzic *(sposstrzegając Szlaja)*. Co to jest? Ktoś nieżywy
[albo spity.

Pójdźcie-no i zobaczcie, czy oddycha.

Leśniczy. Oddycha, Jaśnie Panie. Sznaps go grzeje,

Inaczej hultaj nie spałby tak twardo,

W tak zimnem łóżku.

Dziedzic. O, plugawe bydłę!

Leży, jak świnia. Jak odrażający

Jest taki obraz śmierci! jak ohydny!

Wiecie co, muszę sobie z tym pijakiem

Jaki żart zrobić. Gdyby go, naprzykład,

Przenieść do łóżka, dać mu ciepłe szaty,

Drogich pierścieni nakłaść mu na palce,

Przy łóżku sutą ucztę mu postawić,

A wpodłe strojną służbę, coby skinieł

Jego czekała, skoro się przebudzi?

Czyliżby grądał ten nie stracił głowy?

Nadleśny. Niechybnieby tak było, Jaśnie Panie.

Leśniczy. Dziwnemby mu się to wydało.

Dziedzic. Prawda?

Jak sen łudzający; rozkoszne marzenie.

(Do służby).

Weźcież go, zręcznie żart ten przeprowadźcie.

Złóżcie go w głównej sali mego zamku;

Porozwieszajcie w koło malowidła

Drażniące zmysły; brudną jego głowę

Woniejącymi zlejcie olejkami,

A sałę drzewem obkadźcie laurowem;

Niechaj muzyka będzie w pogotowiu

Zabrmieć mu słodkim hymnem, jak się ocknie;

A gdy przemówi, poskoczcie co żywo,

I w kornej, pełnej atencji postawie,
 Spytajcie: co nam Jaśnie Pan rozkaże?
 Niech jeden srebrną poda mu miednicę
 Z różaną wodą, ustrojoną w kwiaty;
 Drugi niech trzyma dzbanek, trzeci ręcznik —
 I zapytajcie: czy Wasza Cześć życzy
 Ochłodzić sobie ręce? Inny znowu
 Niech przed nim stanie z bogatemi szaty,
 I niech go spyta, jaką chce wdziać suknię.
 Inny o koniach i psach niech mu prawi,
 I o zmartwieniu, jakie jego słabość
 Małżonce jego sprawia. Wmówcie w niego,
 Że był waryatem, jeśli zaś wam powie,
 Że jest Maciejem, Wojtkiem albo Bartkiem,
 Powiedzcie mu, że marzy, bo w istocie
 Nie jest czem innem, jedno wielkim panem.
 Zróbcie to, moi drodzy, tylko gładko:
 Tem więcej będzie pociech, im się gładziej
 I naturalniej ten żart poprowadzi.

Pierwszy sługa. Wywiążem się z ról naszych, Jaśnie Panie,
 I otumanim go tak, że da wiare,
 Iż jest tym, kim go tytułować będziem.

Dziedzic. Podnieścież go ostrożnie i do łóżka!
 A jak się zbudzi, każdy pełnij swoje.
(Kilka sług wynosi Szlaja).
(Trąbka się odzywa).
 Kogoż ta trąbka zwiastuje? — Idź zobacz.
(Wychodzi sługa).
 Może to jaki wielki pan, co w drodze
 To miejsce sobie obrał ku wytchnieniu.
(Sługa powraca).

No, i cóż?
Sługa. Proszę łaski Jaśnie Pana,
 To komedyanci, którzy sobie życzą
 Polecić służby swoje Jaśnie Panu.

Dziedzic. Każ im przyjść.
(Wchodzą aktorzy).
 Witam was, moi panowie.

Pierwszy aktor. Dziękuję Jaśnie Wielmożnemu Panu.

Dziedzic. Czybyście u mnie chcieli spędzić wieczór?

Drugi aktor. Jeżeli Jaśnie Wielmożny Pan raczy
 Przyjąć usługi nasze.

Dziedzic. Jak najchętniej.

Ten tu jegomość jest mi znany: pomnę,
 Jak raz grał syna dzierzawcy i chwacko
 Smalił cholewki do córki dziedzica;
 Imię waćpana wyszło mi z pamięci,
 Aleś grał z wielką prawdą, z wielką werwą.

Pierwszy aktor. W roli Sołona zapewne?
Dziedzic. W tej samej;
 Odegrałeś ją waćpan przewybornie.
 No, bardzom kontent, moi przyjaciele,
 Żeście przybyli, tem bardziej, że właśnie
 Mam pewien żart na myśli, do którego
 Wasz talent wielce może mi dopomódz.
 Jest u mnie w zamku pewien pan, co jeszcze
 Nie zna teatru i pierwszy raz będzie
 Na przedstawieniu waszem. Otóż nie wiem,
 Czy potrafiacie być panami siebie,
 Patrząc na jego minę ogłupiała,
 I czy zdołacie nie parsknąć od śmiechu,
 Coby go obraziło, jest on bowiem
 Na takie rzeczy niezmiernie drażliwy.

Pierwszy aktor. Może być Jaśnie Wielmożny Pan o to
 Spokojny; będziem mieli moc nad sobą,
 Choćby wyglądał śmiesznie, jak sam Komus.

Dziedzic *(do jednego sługi).* Idź ich zaprowadź do gościnn-
 [nej izby;
 Przyjm ich uprzejmie i niech im nie zbywa
 Na niczem, na co stać memu domowi.
(Wychodzi sługa z aktorami).
(Do innego sługi).
 A waść pobiegnij do mojego pazia
 Bartolomea i każ mu się ubrać,
 Jak dama, poczem wejdź z nim do pokoju
 Tego pijaka; nazywaj go panią,
 I bądź z najgłębszem dlań uszanowaniem.
 Powiedz mu, jeśli dba o moją łaskę,
 Żeby się względem tego pijanicy
 Tak zachowywał, jak widywał nieraz
 Zachowujące się szlachetne damy
 Względem swych mężów. Niech przemawia słodko,
 Nadskakująco chodzi koło niego,
 I niech mu powie: co rozkażesz, panie,
 W czemby twa żona i powolna sługa
 Mogła ci swoje posłuszeństwo, swoją

Miłość okazać? Ściskając go potem
I obsypując pocałowaniem,
Na piersi jego pochylając głowę,
Niech łzy wylewa, jakoby z radości,
Że jej szlachetny pan do zdrowia wrócił,
Po siedmiu latach szafu, w ciągu których
Sądził się biednym, nikczemnym prostakiem.
Jeśli zaś chłopak nie ma właściwego
Kobietom daru lania łez udanych,
Cebula k'temu dobrym będzie środkiem:
Niech ją nieznacznie w chustkę sobie włoży,
I trze nią oczy, a pewnie się zwilżą.
Spraw to, jak tylko będziesz mógł najprędzej;
Niedługo dam ci inne polecenia.

(Wychodzi sługa).

Wiem, że ten chłopiec uda doskonale
Układ, głos, ruchy i maniry damy.
Pilno mi słyszeć, jak on tego draba
Swoim małżonkiem tytułować będzie,
I patrzeć, jak się będą moi ludzie
Krzusić od śmiechu, służąc temu chłopu.
Idę ich wesprzeć moją obecnością:
Powstrzyma ona zbytnią ich wesołość,
Któraby całą popsuka uciechę.

(Wychodzi ze swym orszakiem).

SCENA II.

Pokój w zamku dziedzica.

(Szlaj siedzi na łóżku, ubrany w paradny szlafrok; wkoło niego stoją służby: jedni z szatami, inni z miednicą, z dzbankiem i z innymi sprzętami. — Dziedzic wchodzi przebrany za lokaja).

Szlaj. Na miłość boską, półkwaterek wódki!
Pierwszy sługa. Czy nie chce Jaśnie Pan kieliszka wina?
Drugi sługa. Może pozwoli Jaśnie Pan tych konserw?
Trzeci sługa. Jakie dziś szaty Wasza Cześć przywdzieje?
Szlaj. Ja jestem Krzysztof Szlaj; nie nazywajcie mnie Waszą Cześcią ani Jaśnie Panem: jak żyję, wina nie piłem, a jeżeli mi chcecie dać jeść, to mi dajcie flaków albo bigosu, a nie jakichś tam kęsów. Co wy mnie

pytacie, jakie szaty przywdzieję? Ja mam tyle sukman, ile grzbietów, tyle pończoch, ile łydek, a tyle butów, ile nóg: ba, czasem więcej nóg, niż butów, albo takie buty, co mi z nich palce wyglądają.

Dziedzic. Oby łaskawe nieba oddaliły
Ten opłakany obłęd Waszej Cześci!
O, żeby człowiek tak świetnego rodu,
Zacny, zamożny i pełen znaczenia,
Tak był od złego ducha nagabany.

Szlaj. Cóż to? czy wy mnie chcecie wykierować na wariata? Nie jestem Krzysztof Szlaj, syn starego Szlaja z Bartonhet, kramarz wedle pochodzenia, gręplownik wedle edukacji, niedźwiednik wedle niestałości, a wedle terazniejszej profesji szewc? Zapytajcie tej tłustej karczmarki z Winkot, Maryanny Haket, czy mnie nie zna: jeżeli wam nie powie, że stoję u niej na rachunku za czternaście półkwaterek sznapsa, to niech tu nie stoję żywy. Przecieżem u dyabła nie oczarowany. Oto jest.

Pierwszy sługa. Toć to jest, co tak dręczy Jaśnie Panią
Drugi sługa. Toć to jest, co nam z oczu łzy wyciska.

Dziedzic. Tenci to powód, o dostojny panie,
Że krewni twoi stronią od twych progów,
Zrażeni dziwnem twojem obłąkaniem.
Szlachetny panie, wspomnij cnych swych przodków;
Przywołaj dawne zmysły twe z wygnania,
I wygnaj z głowy te niegodne mary,
Patrz, jak twój wierny orszak w koło ciebie
Czuwa i skinień oczekuje twoich.
Chcesz-li muzyki? Patrz, już gra Apollo,
(Muzyka słyszeć się daje).

I w kłatkach śpiewa dziesięć par słowików.
Chcesz-li spać? Miękkie czeka cię postanie,
I rozkoszniejsze od owego łoża
Zgotowanego dla Semiramidy.
Chcesz się przejść? Drogę ci posypiem kwieciami.
Chcesz się przejechać? Wierzchowiec twój strojny
W rzędy kapiące złotem i perłami
Stoi tuż. Chcesz-li polować z sokołem?
Sokoły twoje wyżej od skowronka
Ulecą. Chcesz-li polować z gońcami?
Głos ich obje się aż o strop niebios
I zbudzi echo we wnętrzościach ziemi.

- Pierwszy sługa.** Może z chartami zapolować wolisz?
Charty twe szybsze od sarn i jeleni.
- Drugi sługa.** Może się kochasz w pięknych malowidłach?
Wraz ci przyniesiem jedno z Adonidem,
Spoczywającym nad brzegiem strumienia,
Kędy Cyterę trzcina całkiem kryje,
I od jej tchnienia chwieje się, tak właśnie,
Jakgdyby lekki wietrzyk ją kołysał.
- Dziedzic.** Damy ci widzieć nadobną Jonę,
Gdy jeszcze była panną, jak została
W mglistym obłoku zdradnie napadnięta
I uwiedziona. Obraz ten ma tyle
Życia i prawdy, ile i rzecz sama.
- Trzeci sługa.** Albo ci damy widzieć śliczną Dafnę,
Uciekającą przez cierniste krzaki
I nogi sobie o nie kaleczącą;
Przysiągłbyś, że się zraniła naprawdę,
I że Apollo płacze na ten widok,
Tak są mistrzowsko krew i łzy oddane.
- Dziedzic.** Tyś panem z panów, panem, niczem innym,
Masz żonę, która pod względem piękności
Jest istnym cudem w tym znikomym świecie.
- Pierwszy sługa.** Póki łzy, które wylała nad tobą,
Ciec nie zaczęły po jej hoźych licach,
Była zaiste najpiękniejszą z niewiast;
I teraz jednak nie ma sobie równej.
- Szłaj.** Jestem ja panem? Mamże taką żonę?
Czy ja śpię, czy też spałem do tej pory?
Ale nie, nie śpię; patrzę, słyszę, mówię;
Wącham kadzidła, czuję mięką pościel.
Dalipan, jestem panem, w rzeczy samej;
Nie żadnym szewcem, nie Krzysztofem Szłajem.
No, dobrze, niech tu przyjdzie moja żona,
I niech mi dadzą półkwaterek wódki.
- Drugi sługa.** Czy Wasza Wielkość życzy umyć ręce?
(Służba podaje miednicę, dzbanek i ręcznik).
O, co za radość, że Wasza Dostojność,
Czem jest, poznała, odzyskała zmysły!
Przez lat piętnaście śniłeś, Jaśnie Panie,
A gdyś się zbudził, byłeś jakby śpiący.
- Szłaj.** Przez lat piętnaście? Patrzenie! tom się zaspiał!
I nic-żem przez ten cały czas nie gadał?
- Pierwszy sługa.** I owszem, panie, ale nie do rzeczy:

Bo choć tu leżysz w tej pięknej komnacie,
Mówiłeś, że cię wysadzono za drzwi,
Lżyłeś karczmarę z Winkot i, klnąc srodze,
Groziliś, że ją zapozwiesz do wójta
Za to, że wódkę dobiera pół na pół.
Czasem wzywałeś Kunegundy Haket.

Szłaj. Aha! tej dziewczki z karczmy.

Trzeci sługa. Nie masz, panie,
Żadnych stosunków z szynkiem, ni z dziewczkami,
Ni z nikim takim, jak Jan Duda z Kępy,
Stach Leń, Nicibor Struk, Tomek Pimpernel,
I inni, których nazwy wymieniłeś,
Których nie było nigdy i nikt nigdy
O nich nie słyszał.

Szłaj. No, to chwałaż Bogu,
Żem się nareszcie opamiętał!

Wszyscy. Amen.

Szłaj. Dziękuję wam, na dobre ma to wyjdzie.
(Paź, przebrany za damę, wchodzi z orszakiem).

Paź. Jakże się ma mój pan?

Szłaj. Ta jużci nieźle,

Kiej jestem panem. A gdzie moja żona?

Paź. Oto jest, panie. Czego żądasz od niej?

Szłaj. Tyś moja żona i nie mówisz do mnie:

Mężu? Niech moi ludzie zwą mię panem,

Ty mię po prostu zwij samczykiem swoim.

Paź. Mężu i panie, panie mój i mężu,

Jam twoja żona uległa.

Szłaj. Wiem o tem.

Jakże ja mam ją nazwać?

Dziedzic. Magnifiką.

Szłaj. Hm! magnifiką! Kaśką magnifiką,

Czy Baśką magnifiką?

Dziedzic. Magnifiką,

Bez żadnych innych dodatków: panowie

Tak zwą swe żony.

Szłaj. Magnifiko, żono,

Oni mi mówią, żem spał i to dyabło,

Bo przez piętnaście lat, może i więcej.

Paź. Niestety, tak jest; i te lat piętnaście

Zdawały mi się jakby trzydziestoma,

Bom przez te lata nie znała twych pieszczoł.

Szłaj. To długo. Służba! zostaw nas sam na sam,
Muszę popieścić moją magnifikę.

Paż. Szlachetny panie, choć twych pieszczoł łaknę,
Na teraz jeszcze muszę się ich wyrzec,
Lekarz twój bowiem zlecił najwyraźniej,
Żebyś się jakiś czas po wyzdrowieniu
Wstrzymał od wszelkich objawów czułości,
Jako mogących wrócić twą chorobę.

Szłaj. Co tam!

Paż. Nie, panie; już stanęło na tem,
Że będziesz dla mnie jakiś czas nieczuły.

Szłaj. Tak-ci stanęło, że mię niecierpliwi. Ale z drugiej
strony nie chce mi się wrócić do dawnego stanu; będę
więc nieczuły rad nie rad. (*Wchodzi sługa*).

Sługa. Panie, aktorzy twoi, posłyszawszy
O polepszeniu twego zdrowia, pragną
Odegrać wobec ciebie krotofilę;
Doktorzy bowiem ze wszech miar są za tem,
Bacząc, że zbytek smutku krew twą zgęścił,
A melancholia jest obłędu matką.
Taka rozrywka usposobi, panie,
Jak mówią, umysł twój do wesołości,
Która z trosk szydzi i przedłuża życie.

Szłaj. A no, zgoda, niech grają z Bogiem. Czy to ma być
komendya, czy maryonетки, czy jakie szprynce?

Paż. Nie, panie, ma to być ucieszna sztuka.

Szłaj. Co? sztuka mięsna?

Paż. Rodzaj dykteryjki.

Szłaj. No, to się gapmy, skoro tak sądzono.
Pójdź, usiądź przy mnie, magnifiko żono.
(*Zasiadają w głębi na wzniesieniu*).

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

Padwa. Plac publiczny.

(*Wchodzi: Lucencyusz i Tranio*).

Lucencyusz. Skoro, pałając chęcią zobaczenia
Wspaniałej Padwy, tej matczynej nauk,
Stanąłem wreszcie na lombardzkiej ziemi,

W tym wdzięcznym wielkiej Italii ogrodzie,
Za pozwoleniem kochanego ojca,
I w towarzystwie twojem, Tranio, wierny,
Wypróbowany słuگو: chcę niezwłocznie
Obmyślić sobie i ułożyć naprzód
Plan i tryb moich naukowych zajęć.
Piza, to gniazdo znakomitych mężów,
Dała mi życie; tam też jest osiadły
Mój ojciec, kupiec, znany w całym świecie,
Zacny Wincencyusz, z rodu Bentywogliów.
Syn jego, wychowany we Florencyi,
Obowiązany jest ziścić nadzieje
W nim pokładane i pięknymi czyny
Ozdobić dary z rąk fortuny wzięte.
Chcę się więc uczyć cnoty i przykładać
Do tego głównie działu filozofii,
Który wskazuje, jakim się sposobem
Szczęście przez cnotę otrzymuje. Tranio,
Powiedz, co myślisz; bom ja, w rzeczy samej,
Opuścił Pizę i przybył do Padwy,
Jak ktoś, co płytki pozostawia strumień,
I szuka głębi, aby w niej dowoli
Pierś mu palące ugasił pragnienie.

Tranio. *Mi perdonate, signore*, ja myślę
Zupełnie tak, jak signor, z duszy serca
Ciesząc się, że pan trwasz w postanowieniu
Ssania nektaru z piersi filozofii.
Tylkoż, oddając hołd surowej cnotie
I moralności, nie stańmy się, panie,
Na miłość boską, stoikami, co to
O świat nie stoją, ni tak żarliwymi
Stróżami reguł arystotelicznych,
Żeby aż z błotem mieszać Owidyusza.
Ćwicz się pan w gronie uczonych w logice,
A w retoryce w potocznych dyskursach.
Muzykę tudzież poezyę uprawiaj,
By się orzeźwić, a matematyką,
Metafizyką reguluj się w miarę,
Jak będziesz do nich czuł apetyt. Za nic
Wszystko, do czego bierzem się bez gustu:
Słowem, przykładaj się do tego, panie,
Do czego będziesz miał upodobanie.

Lucencyusz. Dzięki ci, Tranio: walną radę dajesz.

Szkoda, że jeszcze Biondello nie przybył,
Bobyśmy mogli zaraz się urządzić,
I nająć lokal zdatny do przyjęcia
Przyjaciół, jakich tu zapewne znajdę.
Ale patrz, co to za grono się zbliża?

Tranio. To deputacya do nas powitalna.
(*Wchodzą: Baptysta, Katarzyna, Bianka, Gremio i Hortensyusz. Lucencyusz i Tranio stoją na boku.*)

Baptysta. Moi panowie, proszę was, przestańcie
Na mnie nalegać; już wam jest wiadomem
Postanowienie moje nieodmienne,
Że młodziej córki mej nie wydam za mąż,
Dopóki losu starszej nie ustalę.
Jeśli z was który kocha Katarzynę,
Temu nie bronię — ile że was obu
Lubię i cenię — dobijając się o nią.

Gremio. Chyba rozbijać się o nią; dziękuję,
Za twarda ona dla mnie. Hortensyuszu,
Może ty masz ochotę i odwagę?

Katarzyna (*do Baptysty*). Proszę cię, ojczu, czy mnie chcesz
[wystawić

Na targ tym gachom?

Hortensyusz. Gachom, piękna pani?
Nikt tu gachować jej oskomy nie ma:
Wprzódby jej trzeba mniej szorstką być, słodką.

Katarzyna. Waćpan tu nie masz czego się obawiać:
Jeszcze go sto mil dzieli od jej serca.
A gdybyś miał jej serce, jej staraniem
Byłoby miotłą głowę mu uczesać,
Policzki zamalować i z kretesem
Wystrychnąć go na dudka.

Hortensyusz. Broń mię, Panie,
Od podobnego dyabła!

Gremio. I mnie także!

Tranio (*do Lucencyusza*). Słyszysz pan? to mi cięta dobro-
[dzika:

Albo ma we łbie kielbia albo bzika.

Lucencyusz (*do Trania*). A jak z milczenia tamtej i z oblicza
Wieje łagodność i skromność dziewicza!
Milcz, Tranio.

Tranio. Milczę; rób pan dalej studia.

Baptysta. A zatem wolny macie wóz i przewóz,
Moi panowie. — Bianco, idź do domu:

Niech cię to nie zasmuca, moje dziecko,
Boś przeto nie mniej drogą memu sercu.

Katarzyna. Filigranowe pieścidełko! lepij
Wsadź w oko palec i zakwil, jak malec.

Bianka. Bądź rada, siostrze, z tego, co mnie smuci. —

Ojczu, z pokorą woli twej ulegam:
Zamknę się w domu; książki i muzyka
Będą jedynem mojem towarzystwem.

Lucencyusz (*do Trania*). Słyszysz? Te słowa godne ust
[Minerwy.

Hortensyusz. Signor Baptysto, nie bądźże tak twardym:
Maż biedna Bianka pokutować za to,
Że ją kochamy?

Gremio. Chcesz-li ją uwędzić,
Signor Baptysto, gwoli tej dyablicy,
I kazać jej za język tamtej cierpieć?

Baptysta. Moi panowie, co postanowiłem,
To się stać musi — Bianco, idź do domu.
(*Wychodzi Bianka.*)

Ma ona wielki pociąg do muzyki
I do poezyi; będę przeto w domu
Trzymał maistrów, którzy ją w tych sztukach
Wydoskonalą. — Signor Hortensyuszu,
I waćpan, mości Gremio, jeśli znacie
Kogoś takiego, to mi go nastreczcie;
Umiem ja cenić ludzi z talentami,
I nie żałuję grosza tam, gdzie idzie
O dobre wychowanie moich dzieci.
Bądźcież mi zdrowi. Katarzyno, zostań.
Mam jeszcze z Bianką coś do pomówienia.
(*Wychodzi.*)

Katarzyna. Doprawdy? Mniemam, że także pójść mogę.
Będę mieć sobie czas przepisywany?
Jeszczeby! cóż to? czy ja nie wiem sama,
Co mam przedsięwziąć, a czego zaniechać?
Ha! (*Wychodzi.*)

Gremio. Idź sobie do prababki Belzebuba! Twoje talenta
są tak szacowne, że cię nikt zatrzymać nie pragnie.
Jeszcze nam niezupełnie klamka zapadła, signor Hor-
tensyuszu: co się odwlecze, to nie uciecze. Bądź zdrow.
Radbym dla miłości mojej Bianki wynaleźć kogoś zda-
tnego do uczenia jej tego, co jej przyjemność sprawia,
i zarekomendować go jej ojcu.

Hortensyusz. Postaram się i ja o to. Ale jeszcze słowo, signor Gremionie. Jakkolwiek stosunek nasz nie dopuszczał dotąd między nami porozumienia, trzeba, żebyśmy teraz wzięli na uwagę to, co się obydwu nas dotyczy, i wspólnie pracowali nad przywiedzeniem do skutku jednej rzeczy, przez którą będziemy mogli mieć znowu przystęp do naszej bogdanki i swobodnie się o nią współubięć.

Gremio. Cóż to takiego? Ciekawym.

Hortensyusz. Trzeba nam się wystarać o męża dla jej siostry.

Gremio. O dyabła chyba, nie o męża.

Hortensyusz. O męża, mówię.

Gremio. A ja mówię, o dyabła. Czy myślisz, Hortensyuszu, że, niezależnie od majątku jej ojca, byłby kto tak szalonym, żeby się chciał z piekłem ożenić?

Hortensyusz. Pozwól tylko: choć ten dzwon spękany nieźnośnie brzmi mnie i tobie, są jednak na świecie ludzie zgodnej natury (byle ich tylko odkryć można), coby ją wzięli ze wszystkimi wadami, przy posagu, jaki mieć będzie.

Gremio. Być może, ale mnieby jej posag równie nęcił, jak codzienna chłosta pod pręgierzem.

Hortensyusz. Masz słuszność: ocet zawsze octem, choć w złotem naczyniu. Ale słuchaj, Gremio: ponieważ ten prejudykat czyni nas przyjaciółmi, utrzymajmyż przyjaźń dopóty, dopóki starszej córce Baptysty nie wyjednamy męża, a tem samem młodszej do męża nie uprzątniemy drogi; wtedy zaś naprzód do niej obadwa! O Bianco, luba Bianco! Szczęsny, kto cię posiędzie! Kto ostrzej jedzie, tem prędzej, mówią, staje u mety. Cóż ty na to, signor Gremionie?

Gremio. Piszę się na to, i gotówbym najlepszego konia, jaki jest w Padwie, podarować temu, coby się chciał puścić do mety panny Katarzyny; rozczulić ją i przytulić ją i zabrać ją z domu jak najprędzej. Idźmy.

(Wychodzą Gremio i Hortensyusz).

Tranio. Na miłość Boską, panie, czy podobna, żeby tak nagle miłość mogła zatleć?

Lucencyusz. O, Tranio, pókim tego nie doświadczył, I jam nie wierzył, aby to być mogło, Aż oto stojąc tu biernie i patrząc, Poczułem nagły skutek tej bierności;

I szczerze teraz ci wyznaję, tobie,
Coś jest tajemnic moich powiernikiem,
Jak Anna była królowej Dydony,
Tranio, ja płonę, schnę, ja umrę, Tranio,
Jeśli nie nazwę moją tej dziewczycy.
Poradź mi, Tranio, bo ja wiem, że możesz;
Pomóż mi, Tranio, bo ja wiem, że zechcesz.

Tranio. Nie pora teraz łajać cię, signore;
Afektu z serca nie wyгнаć gderaniem;
Jeśli cię Amor spętał, moja rada:

Redime te captum quam queas minimo.

Lucencyusz. Niech ci Bóg płaci, człowieku! cóż dalej?
Słowa twe rzeźwią, rada twoja światła.

Tranio. Byłeś pan zatopiony w kontemplacyi,
I najważniejszą rzecz pewnieś przeoczył.

Lucencyusz. O nie! widziałem cudny wdzięk jej lica,
Wdzięk owej niegdyś Agenora córki,
Gdy Jowisz, ręką jej powodowany,
Ku brzegom Krety pruł morskie bałwany.

Tranio. Widziałeś, panie, tylko to, nic więcej?
Nie uważałeś, jak jej starsza siostra
W złość wpadła i gniew wzionęła taki,
Że od słyszenia uszy mogły spuchnąć?

Lucencyusz. Widziałem, jak się jej usteczka śliczne
Otwarły i wraz tchnienie balsamiczne
Rozeszło się w powietrzu. Doskonałem
I świętem było wszystko, co widziałem.

Tranio. Czas go już z tego marzenia ocucić.
Signore, przebudź się. Jeżeli kochasz
To piękne dziewczę, to zwróć myśl ku temu,
Jakby je posiadać. Rzeczy tak się mają:
Starsza jej siostra jest zła, jak jędzonka,
A ojciec wprzód się jej chce pozbyć z domu;
Co nim nastąpi, twa kochanka, panie,
Kwasić się będzie między czterma ścianami
W panieńskim stanie. Pod klucz ją wziętą ojciec,
By ją zasłonić przed konkurentami.

Lucencyusz. Ach, Tranio! Cóż to za okrutny ojciec!
Ale czyś słyszał, że on chce wziąć do niej
Nauczycieli utalentowanych?

Tranio. Słyszałem, panie, i plan mój gotowy.

Lucencyusz. Mój także.

- Tranio.** Bravo! bravissimo! tak więc
Dowcipy nasze spotkały się.
- Lucencyusz.** Powiedz
Swoją pierwej.
- Tranio.** Chcesz pan być nauczycielem
I kształcić swoją ulubioną: prawda?
- Lucencyusz.** Tak jest; nie możeż to być?
- Tranio.** Niepodobna.
Któżby tu, w Padwie, miejsce pana zajął,
I był za niego Wincencyusza synem?
Wertował książki, odwiedzał przyjaciół,
Prowadził dom i gości w nim przyjmował?
- Lucencyusz.** O to się nie troszcz; obmyśliłem wszystko;
Jeszcze nas w żadnym nie widziano domu,
I nikt nam z twarzy poznać nie potrafi,
Kto pan, kto sługa: za tem idzie, Tranio,
Że ty na mojem miejscu będziesz panem;
Będziesz miał pański ton i dom i służbę,
Tak, jakbym ja był miał; ja zaś zostanę
Chudopachołkiem, tylko co przybyłym
Z Florencyi, Pizy albo Neapolu,
To rzecz już ułożona. Zmieńmyż zaraz
Nasz ubiór: oto mój płaszcz i kapelusz.
Biondello będzie na twoje rozkazy,
Ale mu pierwej muszę zaszyć gębę,
Ażeby trzymał język za zębami.
- Tranio.** Niechże tak będzie. Dobrze rzecz zważywszy
Ponieważ taka wola twa, signore,
A obowiązkiem mym jest słuchać ciebie,
(Bo mi to ojciec twój przykazał, mówiąc:
»Bądź użytecznym mojemu synowi«;
Chociaż, na dobrą sprawę, miał on pewnie,
Mówiąc te słowa, co innego w myśli);
Słowem, ponieważ taka pańska wola,
Z całego serca będę Lucencyuszem,
Bo całym sercem kocham Lucencyusza.
- Lucencyusz.** Bądź Lucencyuszem, bo Lucencyusz kocha:
On zaś z całego serca będzie sługą
Gwoli tej, której zjawienie się nagłe
Olśnione jego oczy ujarzmiło.
(*Wchodzi Biondello*).
Oto ten urwis. — Gdzieżeś to był wasze?

- Biondello.** Gdziem był? Do licha! gdzież pan jesteś?
[Cóż to?
Czy Tranio panu, czy pan mu skradł suknie?
Czy vice-versa? Cóż mam o tem myśleć?
- Lucencyusz.** Słuchaj, Biondello: nie pora żartować;
Przeto zastosuj humor swój do czasu,
Twój kamrat, aby życie mi ocalić,
Przybrał na siebie odzież mą i postać,
A ja, ratując się, przybrałem jego.
Zaledwie bowiem tu przybyłem, w kłótni,
Nieszczęsnym trafem, zabiłem człowieka,
I teraz boję się odkrytym zostać.
Bądź niby jego sługą, czyń na oko
Wszystko, co każe; ja się stąd tymczasem
Wymknę, salwując zagrożone życie.
Rozumiesz?
- Biondello.** Ani słówka.
- Lucencyusz.** Ani razu
Nazwisko Trania niech z twych ust nie wyjdzie:
Tranio jest teraz Lucencyuszem.
- Biondello.** Tem-ci
Lepiej dla niego.
- Tranio.** Lepiej wtedy będzie,
Gdy młodszą córkę Baptysty posiędzie.
Bądźże roztropnym, bracie, i nie bróźdz mi,
Kiedy będziemy razem między ludźmi:
Sam z tobą, będę Traniem, twym socyuszem;
Wśród ludzi, panem twoim, Lucencyuszem.
- Lucencyusz.** Jeszcze ci jedna rzecz zostaje, Tranio:
Trzeba ci będzie być współzawodnikiem
Tamtych ichmościów. Dlaczego i po co,
Nie pytaj: ważną będzie to pomocą
Dla moich planów. Pójdź.
(*Wychodzą*).
- SCENA II.
Inna ulica tamże.
(*Wchodzi Petrycy i Grumio*).
- Petrycy.** Bądź mi na jakiś czas zdrowa, Werono,
Którąm opuścił w celu odwiedzenia
Moich przyjaciół w Padwie. Z tych najpierwszym,

Najbliższym mego serca, jest Hortensyusz.

Tu on podobno mieszka: zapukajmy. —

Hej, Grumio, przyłóż pięść.

Grumio. Mam pięść przyłożyć?

Komu, signore? Czy kto konsultował

Waszą Wielmożność?

Petrycy. Przyłóż mi pięść, mówię,

A mocno! — Cóż to? nie słyszysz, hultaju?

Grumio. Pięść mam przyłożyć Waszej Wielmożności?

A gdzieżbym ja to śmiać uczynić, panie!

Petrycy. Przyłóż mi zaraz pięść tu, u tej bramy;

I ostro uderz: bo się pogniewamy.

Grumio. Nie głupim: gdybym panu pięść przyłożył,

Wiem, ktoby potem głową to nałożył.

Petrycy. A nuże! długoż każesz się zapędzać?

Jeśli mi będziesz swoją pięść oszczędzać,

To wnet poczujesz moją. Nuże, draniu!

Takiemu przecież ulegniesz wezwaniu.

(Pociąga Grumia za uszy).

Grumio. Gwałtu! na pomoc! mój pan kark mi łamie.

Petrycy. A co? przyłożysz mi pięść teraz, chamie!

(Wchodzi Hortensyusz).

Hortensyusz. Cóż to jest? Skąd ten krzyk? — Co widzę?

[Grumio?

I mój kochany przyjaciel, Petrycy?

Petrycy. Signor Hortensyo, jeżeli przychodzisz

Jako rozjemca, wykrzyknę ci na to:

Con tutto il cuore ben trovato.

Hortensyusz. A ja wykrzyknę tobie: *ben venuto*

A nostra casa — molto onorato

Signor Petrucchio. — Powstań, Grumio; zgoda.

Grumio. Co on tam panu prawi po łacinie!

W tem wszystkim niema rzeczy. Każdy inny

Podziękowałby mu za chleb, bo proszę,

Niech pan uważa tylko — on chciał, żebym

Pięść mu przyłożył i uderzył ostro.

No, proszę pana, czy przystoi słudze

Tak się obchodzić z panem? Czyliż niżnik,

Jak ja, nie świetny, może bić pamfila?

A potem, gdybym był to, co chciał, zrobił,

Nie byłęby mi jeszcze gorzej obić?

Petrycy. Zakuty bałwan! Ja mu, Hortensyuszu,

Kazałem do twej bramy pięść przyłożyć,

I wymódz tego na nim w żaden sposób

Nie mogłem.

Grumio. Pięść do bramy! miły Boże!

Czyliżes mi pan nie mówił wyraźnie:

»Hultaju, przyłóż mi pięść, tu, a mocno —

I ostro uderz — przyłóż mi pięść, draniu«;

A teraz prawisz pan o przykładaniu

Pięści do bramy.

Petrycy. Idź precz, do kaduka,

Albo milcz, głupcze jakiś, tak ci radzę.

Hortensyusz. Uspokój się, Petrycy: Grumio we mnie

Ma adwokata. Niech w niepamięć pójdzie

To niefortunne zajście między tobą

A twym pocziwym, starym, wiernym sługą.

Powiedz mi raczej, co za wiatr przyjazny

Z Werony popchnął żagiel twój do Padwy.

Petrycy. Wiatr, który zwykle młodzień w świat popycha,

Próbować szczęścia gdzieindziej, niż w domu,

Gdzie plon doświadczeń skąpy. Krótko mówiąc,

Rzecz się ma ze mną tak, mój Hortensyuszu:

Antonio, ojciec mój kochany, umarł,

A ja puściłem się, na chybił trafili,

Szukać powodzeń, żony, co się znajduje.

W kiesce mam złoto, w domu dobra — zatem

Chcę się przewietrzyć i poznać ze światem.

Hortensyusz. Jeśli-ć o żonę idzie, mój Petrycy,

Jest tu do wzięcia jedna sekutnica,

Do której mógłbym przystęp ci ułatwić,

Nie bardzo byłbyś mi obowiązany

Za tę przysługę; uprzedzam cię jednak,

Że ta, o której mówię, jest bogata,

Bardzo bogata. Lecz tyś mój przyjaciel:

Nie mówmy o tem.

Petrycy. Signor Hortensyuszu,

Między starymi, jak my, przyjaciółmi,

Niewiele trzeba słów: znaszli więc jaką

Posażną pannę, któraby być mogła

Z tego tytułu, Petrycego żoną,

(Dźwięk złota bowiem musi mi przygrywać

Do weselnego tańca), to niech będzie

Jak Florencyusza połowica szpetną,

Starą i pomarszczoną jak Sybilla,

A złą i swarną jak Sokratesowa

Ksantypa, gorszą nawet; niech się dąsa
I tak gwałtownie miota, jak Adryatyk,
Burzą wzruszony, nie stępi to ostrza
Moich afektów. Przybyłem do Padwy
Dla ożenienia się bogato, jeśli
Tego dokonam, mniejsza mi o resztę.

Grumio. Widzisz pan, teraz on przynajmniej jasno
Mówi, co myśli; sypnij mu pan złotem,
A weźmie lada otłuka za żonę,
Lada wywłokę, babsztyla, co nie ma
Jednego zęba, a chorób ma więcej,
Niż tuzin koni wyranżerowanych.
Co mu to szkodzi? On o nic nie pyta,
Tylko, czy jejmość dobrze jest podszyta.

Hortensyusz. Skorośmy, mój Petrycy, w tę materyę
Tak już daleko zaszli, dopowiedzieć
Muszę na seryo, co zacząłem żartem.
Mogęć w istocie sprokurować żonę
Wcale majątną, młodą, nawet piękną,
I wychowaną, jak przystoi damie;
Jednakże nie bez wady, a ta wada
Leży w tem, że jest zła nie do zniesienia,
Nad wszelką miarę harda i kłótniwa,
Tak, że chociażbym był znacznie uboższy,
Za miny pełne złota bym jej nie wziął.

Petrycy. O, Hortensyuszu, nie znasz siły złota. —
Powiedz mi, jak się nazywa jej ojciec;
Więcej nie żądam; wezmę ja się do niej,
I wręc bosakiem okręt jej zahaczę,
Chociażby grzmiała, jak jesienna chmura.

Hortensyusz. Ojciec jej zwie się Baptysta Minola.
Jest to przyjemny, ukształcony człowiek;
Jej zaś na imię Katarzyna, której
Zły język sławny jest na całą Padwę.

Petrycy. Nie znam jej, ale ojciec jej mi znany,
I z nieboszczykiem moim ojcem znał się.
Nie zasnę, póki jej nie ujrzę: *ergo*
Wybacz mi, Hortensyuszu, że tak zaraz
Po przywitaniu rozstaję się z tobą.
A może zechcesz mi tam towarzyszyć?

Grumio. Puść go pan, póki jest w takim humorze.
Zaprawdę, gdyby ona tak go znała,
Jak ja znam, toby wiedziała zbyt dobrze,

Że z nim fochami nic nie wskóra. Choćby
Dwadzieścia razy błaznem go nazwała
Lub czemś podobnem, toby jak nic przełknął,
A jak on zacznie jeździć, to bądź zdrów.
Wierz mi pan, gdyby ona z nim zadarła,
Wyrysowałby on jej na jagodach
Figurę tak ją defigurującą,
Żeby jej oczy potem wyglądały,
Jak kocie. Ho! ho! jeszcze go pan nie znasz.
Hortensyusz. Czekać, Petrycy, pójdę i ja z tobą:
Baptysta bowiem ma pod strażą skarb mój,
Prześliczną Biankę, młodszą swoją córkę,
Której odmawia mnie i wielu innym
Współzalotnikom, mając to za istne
Niepodobieństwo, aby kto z powodu
Tych właśnie przywar, które wymieniłem,
Zapragnął ręki panny Katarzyny:
Zadekretował przeto uroczyscie,
Że nikt do Bianki nie znajdzie przystępu,
Dopóki jego Kasia Sekutnica
Nie znajdzie męża.

Grumio. Kasia sekutnica!
Taki przydomek panny nie zaszczyca.

Hortensyusz. Uczni mi jedną łaskę, mój Petrycy,
I przebranego przedstaw mię Baptyscie,
Jako maestra w muzyce biegłego,
Który jest gotów Biance lekcyce dawać.
Przez taki fortel zyskałbym przynajmniej
Sposobność wynurzenia jej mych uczuć
I postarania się o jej wzajemność.

Grumio. Nie jestże to szalbierstwo? Miły Boże,
Jak to ci młodzi łamią sobie głowę
Nad sposobami oszukania starych! —
Panie, obejrzyj się pan, ktoś tu idzie.

Hortensyusz. Psst, to mój rywał; usuńmy się nieco.
(*Odstępują na stronę.*)

(*Grumio i Lucencyusz wchodzą przebrani; ostatni niesie książki pod pachą.*)

Grumio (*na str.*). Piękny gagatek! Istny amoroso!
Grumio. Dobrze, przejrzałem spis tych książek: każ
Waćpan oprawić. Same romansowe!
Pamiętaj waćpan nie używać innych;
Rozumiesz? żadnych innych. Niezależnie

Od wspaniałości signora Baptisty,
Nagrodzę-ć hojnie. Weźże i kajety,
I wyperfumuj każdy należycie,
Bo ta, do której idziesz, jest wonniejsza
Od wszelkich perfum. Cóż z nią czytać będziesz?

Lucencyusz. Cokolwiek będę czytał, twoją, panie,
Jako mojego dobrodzieja, sprawę
Popierać będę z taką usilnością,
Jakgdybyś zawsze był przy tem obecny;
A kto wie, może nawet i skuteczniej,
Niż pan sam, chyba, że uczonym jesteś.

Gremio. O wiedzo, wiedzo, jakimżeś ty skarbem!

Grumio (*na str.*). O głupstwo, głupstwo, jakimżeś ty
[garbem!

Petrycy. Cicho!

Hortensyusz. Milcz, Grumio. — Witaj, signor Gremio.

Gremio. Witaj nawzajem, signor Hortensyuszu,

Czy wiesz, gdzie idę? idę do Baptisty.
Zobowiązałem się, że mu wynajdę
Nauczyciela do nadobnej Bianki;
Jakoż szczęśliwym trafem napotkałem
Tego młodzieńca, który się nauką
Oraz osobą swoją najzupełniej
Kwalifikuje dla niej: zna poezye
I inne dzieła — dobre, rękę za to.

Hortensyusz. Bardzo się z tego cieszę. Ja się także
Spotkałem z jednym dobrym przyjacielem,
Który mi kogoś zdolnego zalecił
Do udzielenia królowej serc naszych
Lekcyi muzyki. Tak więc o krok jeden
Nie pozostaję w tyle w usłudzeniu
Tej, którą kocham.

Gremio. Ja ją kocham także;
Stwierdzą to czyny.

Grumio (*na str.*). Stwierdzą to cekiny.

Hortensyusz. Gremio, nie pora teraz się przechwalać
Sentymentami. Powiem ci nowinę,
Zarówno dla nas obu pożądaną:
Ten tu pan, z którym świeżo się poznałem,
Godząc interes nasz z skłonnością własną,
Chce o sierzdzistą Kasię konkurować
I pojąć ją za żonę, jeśli posag
Okaze się stosownym.

Gremio. Bravissimo!

A czy łaskawca ten wie o jej wadach?

Petrycy. Wiem, że to sztuczka cięta i przekorna:

Jeżeli na tem kończą się jej wady,

Moi panowie, to cóż stąd za kłopot?

Gremio. Co stąd za kłopot? A to święty człowiek!

Z jakiegoż, panie, kraju pochodzicie?

Petrycy. Werończyk jestem, panie, syn Antonia:

On umarł, ale złoto jego żyje,

By mi zapewnić długie lata uciech.

Gremio. Życie byłoby nędzą z taką jędzą:

Jeżeli jednak masz pan k'temu kuraż,

To w imię Boże, naprzd! my cię wesprzem. —

Ale bez żartów, czy pan chcesz na seryo

Zaślubić tego żbika?

Petrycy. Jak żyć pragnę!

Grumio. Czy chce? powiesić się dam, jeśli nie chce.

Petrycy. Po cóżem przybył tu, jeśli nie po to?

Myślicieź, że mię razi lada hałas?

Czyliżem w życiu ryku lwów nie słyshał?

Nie słyshał morza spiętrzonego burzą,

Wściekającego się i spienionego,

Jak rozjuszony dzik? Czyliżem nie słyshał

Grzmiącego huku dział w polu, a w chmurach

Piorunującej artyleryi niebios?

Czyżem nie słyshał pośród wrzącej bitwy

Dźwięku trąb, rżenia koni, szczęku broni?

I mnież ma trwożyć białości język,

Który daleko mniej obraża ucho,

Niż pękający kasztan na ognisku?

Strachy na ptaki.

Grumio. Tych on się nie lęka.

Gremio. To mi chwat! Dobra nasza, Hortensyuszu:

Przybycie tego pana, coś mi mówi,

Przyniesie szczęście nam i jemu także.

Hortensyusz. Przynieśli, że mu dopomagać będziemy

I koszta jego zalotów poniesiem.

Gremio. Dobrze: niech tylko trafi z nią 'do ładu!

Grumio. Obym tak pewnym był wkrótce obiadu!

(*Wchodzi Tranio wystrojony, za nim Biondello.*)

Tranio. Wybaczcie, moi panowie, że spytam,

Którędy droga prowadzi najbliższa

Do domu signor Baptisty Minoli?

Gremio. Co ma dwie piękne córki? Czy do niego
Masz pan interes?

Tranio. Tak jest. — Hej, Biondello!

Gremio. Nie do niej przecie?

Tranio. Do niej. Cóż to pana
Obchodzić może, do niego, czy do niej?

Petrycy. Byleby nie do tamtej, co się złości.

Tranio. Ze złemi żadnej nie miewam styczności.
Idźmy, Biondello.

Lucencyusz (*na str.*). Brawo, Tranio!

Gremio. Zaraz
Więc pan, jak widzę, o tamtą się starasz?
Tak, czy nie?

Tranio. Może być, czyż to kryminał?

Gremio. Nie, byleś dalszych rozmów tu nie wszczynał
I zszedł nam z drogi.

Tranio. Mnież droga wzbroniona
Bardziej, niż panu?

Gremio. Droga nie, lecz ona.

Tranio. Mogęz się spytać dlaczego?

Gremio. Dlatego,
Że ją pan Gremio kocha, *alias ego*.

Hortensyusz. I pan Hortensyusz, sługa pański, także.

Tranio. Moi panowie, jeśli, jak się zdaje,
Jesteście ludzie dobrze wychowani,
To wysłuchajcie mię cierpliwie, proszę.
Baptysta zacnym jest obywatelem
I zna on z tejże strony mego ojca.
Co się zaś tyczy jego pięknej córki,
Dlatego właśnie, że jest piękną, mniemam,
Że wielu o nią może się ubiegać,
Więc i ja także. Córka pięknej lady
Miała tysiące konkurentów; niechże
I piękna Bianka ma jednego więcej:
Tym zaś, do usług, pan Lucencyusz będzie,
I ma nadzieję, że cel swój zdobędzie,
Choćby sam Parys stał w rywalów rzędzie.

Gremio. Ten panicz myśli nas wszystkich zjeść w kaszy.

Lucencyusz. Daj mu pan pokój; figę on dostanie.

Petrycy. Na co ta cała gadanina, pytam?

Hortensyusz. Pozwól się jeszcze spytać, drogi panie,
Czyś już Baptysty córki widział kiedy?

Tranio. Nie, tylko słyszał, że ich ma dwie: jedna
Zarówno sławna z wyparzonej gęby
Jak druga z wdzięków i obyczajności.

Petrycy. Starsza jest moją, panie, wara od niej!

Gremio. Herkulesowi zostaw pan tę pracę,
Cięższą jest bowiem od wszystkich dwunastu.

Petrycy. Zaraz ja panu całą rzecz wyjaśnię.
Młodsza z siostr, której tyłu wam się żąda,
Pod kluczem trzyma ojciec i żadnemu
Nie chce jej przyrzec adoratorowi,
Póki się starszej z domu nie pozbędzie:
Wtedy dopiero, a nie pierwej, młodsza
Będzie do wzięcia.

Tranio. Skoro tak, i skoro
Pan masz nam wszystkim, a więc i mnie także
Torować drogę, łamże lody, działaj,
Weź sobie starszą i wyswobódź młodszą,
Abyśmy do niej przystęp mogli znaleźć:
Kto zaś pozyskać ją będzie miał szczęście,
Ten się znać przecie będzie na wdzięczności.

Hortensyusz. Dobrze pan mówisz i wcale rozsądnie;
Skoro zaś stawiasz się, jako konkurent,
Na równi z nami, trzeba ci się przeto,
Jak my, wywiązać temu panu, który
Ma nam wyświadczyć tak ważną przysługę.

Tranio. Słusznie: uczynić tego nie zaniedbam.
Jakoż zapraszam panów na ten wieczór
Do siebie, byśmy spełnili toasty
Za zdrowie damy naszych serc. Uczyńmy,
Jak adwokaci stron przeciwnych: walczmy,
Jak wrogł, jedzmy i pijmy, jak bracia.

Grumio i Biondello. Otóż to światłe zdanie!

Hortensyusz. W rzeczy samej;
Wiele w niem sensu i dowcipu suto. —
Idźmy, Petrycy; tyś nasz *ben venuto*.
(*Wychodzą*).

AKT DRUGI.

SCENA I.

Tamże. Pokój w domu Baptysty.

(*Katarzyna i Bianka*).

Bianka. Siostrze, uwłaczasz mnie i sobie samej,

Tak się obchodząc ze mną: to mnie boli!

Co się zaś tyczy ubrania mojego,

Jeżeli ci się ono nie podoba,

Zrzucę je zaraz, tylko mi puść ręce,

Zrobię, co tylko każesz, tak dalece

Znam obowiązki moje względem starszych.

Katarzyna. Powiedz, którego z twoich konkurentów

Najbardziej kochasz? Słyszysz? tylko nie skłam.

Bianka. Wierzaj mi, siostrze, że mi jeszcze dotąd

Żaden mężczyzna taki nie wpadł w oko,

Cobym go w sercu przeniosła nad innych.

Katarzyna. Kłamiesz, kochanie, kłamiesz: a Hortensyusz?

Bianka. Jeśli mu sprzyjasz, siostrze, to przysięgam

Sama się starać, abyś go dostała.

Katarzyna. Wiem już, wiem; tybyś rada być bogatą

I wolisz Gremia, aby móżdżek się stroić.

Bianka. O, jeśli jesteś zazdrosna o niego,

To żart, i teraz jestem przekonana,

Żeś ciągle ze mną tylko żartowała.

Proszę cię, siostrze, Kasiu, puść mi ręce.

Katarzyna. Jeżeli to żart, to nim wszystko było.

(*Uderza ją. — Wchodzi Baptysta*).

Baptysta. Stój, jędzo! Cóż to za zapamiętałość?

Usuń się, Bianco! Biedne dziewczę płacze.

Weź się do szycia i z nią się nie wdawaj. —

O, ty dyablico wcielona, jak możesz

Krzywdzić tę, co cię nie skrzywdziła nigdy?

Kiedyś od niej złe słyszała słowo?

Katarzyna. Ona mi swoim milczeniem urąga,

Muszę się zemścić.

(*Przyskakuje do niej*).

Baptysta. Jakto? w moich oczach?

Bianko, wyjdź.

(*Wychodzi Bianka*).

Katarzyna. Ojciec zawsze na mnie bije,

Ona jest pierwszym oczkiem w głowie ojca;

Ją trzeba wydać za męża, a mnie przyjdzie

Na jej weselu boso tańczyć, mały

Piastować w piekle, z poświęcenia dla niej?

Nie mów mi ojciec słowa; pójdę płakać,

Póki nie znajdę okazji do zemsty.

(*Wychodzi*).

Baptysta. Znosiłże kiedy ojciec utrapienia

Podobne moim? — Ale któż to idzie?

(*Wchodzi Gremio z Lucencyuszem, niepozornie ubranym, Petrycy z Hortensyuszem, jako nauczycielem muzyki, a Tranio z Biondellem, niosącym lutnię i książki*).

Gremio. Dzień dobry, signor Baptysto.

Baptysta.

Dzień dobry

Signor Gremionie. Bądźcie pozdrowieni,

Moi panowie.

Petrycy.

Pozdrowienie nasze

Przyjm pan nawzajem. Masz pan, jak słyszałem,

Córkę, bogatą w wdzięki i przymioty,

Imieniem Katarzynę.

Baptysta.

Mam, w istocie,

Córkę, imieniem Katarzynę.

Gremio (*do Petrycego po cichu*). Zwolna:

Za obcesowo *ad rem* przystępujesz.

Petrycy. Pozwól mi, mości Gremio, wiem, co zrobię.

Werończyk jestem, panie, który, słysząc

O jej piękności i o jej rozumie,

O jej skromności, jej słodkim obejściu

I rzadkich cnotach, poważa się w dom wasz

Wejść nieproszony, aby się przekonał

O prawdzie tego, co tylekroć razy

Doszło do jego uszu. Chcąc zaś wstępne

Czem tem opłacić, przyprowadzam panu

Jednego z moich znajomych.

(*Przedstawia Hortensyusza*).

Biegłego

W matematyce i w muzycznym kunszcie,

Dla douczenia jej tych nauk, w których,

Ile wiem, znacznie już jest posunięta.

Przyjm go pan, nie martw mię odmową, proszę:

Zowie się Licyo, jest z Mantui rodem.

Baptysta. Miłym pan jesteś gościem w moim domu

I ten pan także; ale Katarzyna —
Muszę wręcz wyznać, chociaż mi to przykro —
Nie jest stosowną dla pana.

Petrycy. Jak widzę,
Nie chcesz pan z nią się rozstać; albo może
Moja osoba mu się nie podoba.

Baptysta. Nie bierz pan moich słów w opaczny sensie;
Mówię, co myślę. Skądże pan przybywasz?
I jak się zowiesz, jeśli wolno spytać?

Petrycy. Zwę się Petrycy, ojcem zaś był moim
Antonio, dobrze znany w całych Włoszech.

Baptysta. Znałem go, miło mi, żem poznał syna.

Gremio. Mości Petrycy, z całą czcią powinna
Dla sprawy, którą przyprowadzasz, prosim,
Byś i nam także, biednym suplikantom,
Dał przyjść do słowa. *Per Baccho*, galopem
Dążysz do celu.

Petrycy. Wybacz, signor Gremio,
Raz już zaczawszy, chciałbym targu dobić.

Gremio. Bylebyś później nie chciał go odrobić!
Sąsiedzie, że ci grzeczność tego pana
Bardzo jest miłą, łatwo temu wierzę;
Aby ci równą okazać z mej strony,
W dank życzliwości, z jaką byłeś dla mnie,
Pozwalam sobie oddać do twych usług
Tego młodego uczonego.

(Przedstawia Lucencyusza).

Który

W Reims przez czas długi się kształcił, a który
W greckim, łacińskim i w innych językach
Równie jest biegły, ręcę ci, sąsiedzie,
Jak ów w muzyce i matematyce.

Nazwisko jego Kambio: przyjm go, proszę.

Baptysta. Tysiączne dzięki, signor Gremio. — Witaj,
Kochany panie Kambio.

(Do Trania).

Ale z wami,

Signore, jeszcze znać się nie mam szczęścia,
Mogę się spytać, co was tu przywiodło?

Tranio. Wybacz, signore, że świeżo przybyły
Do tego miasta i jeszcze w nim obcy,
Śmiem stawać jako konkurent do ręki
Twjej córki, pięknej i cnotliwej Bianki.

Nie jest mi tajem, panie, niewzruszone
Postanowienie twoje co do dania
Starszej twjej córce pierwszeństwa w zamęściu,
Dlatego proszę o to tylko, abym
Po wyjawieniu mego pochodzenia
Mógł znaleźć, tak jak inni konkurenci,
Wstęp i łaskawe przyjęcie w twym domu.
Chcąc zaś przyłożyć się choć w małej części
Do ukształcenia twjej córki, signore,
Śmiem ofiarować ten prosty instrument,
I ten plik greckich i łacińskich książek:
Wartość ich wielką będzie, gdy je przyjmiesz.

Baptysta. Lucencyusz miano pańskie? a skąd jesteś?

Tranio. Z Pizy, signore, ojcem mym Wincencyusz.

Baptysta. Można to człowiek: znam go ze słyszenia.
Dom mój dla jego syna jest otwarty. —

(Do Hortensjusza).

Weź waćpan lutnię.

(Do Lucencyusza).

A waćpan te książki;

Zaraz poznacie swoje uczennice.

Hej! jest tam który?

(Wchodzi służący).

Zaprowadź tych panów

Do moich córek; niech ich grzecznie przyjmą,
Powiedz im, jako swych nauczycieli.

(Wychodzi służący, a z nim Hortensyusz, Lucencyusz i Biondello).

Pójdziemy przejść się trochę do ogrodu,
A potem obiad. Cieszę się serdecznie
Z przybycia panów, chciejcie temu wierzyć.

Petrycy. Signor Baptysto, liczne mam zajęcia,
I codzień chodzić w zaloty nie mogę.
Znałeś mego ojca, więc tem samem
Znasz i mnie, który zostałem jedynym
Jego majątku i dóbr spadkobiercą;
Ten zaś majątek i dobra w mych rękę
Powiększyły się raczej, niż zmalały:
Powiedz mi przeto, jaki posag wezmę
Z twą córką, jeśli miłość jej pozyskam?

Baptysta. Po mojej śmierci pół mego mienia,
A pod poduszkę w dzień ślubu, dwadzieścia
Tysięcy koron.

Petrycy. Ja zaś jej zapewnię,
 Jako oprawę wdowią na przypadek,
 Gdybym zmarł pierwej, wszystko, co posiadam,
 Tak w ruchomościach jak w nieruchomościach.
 Spiszmyż te punkta naszego układu,
 I niech nas kontrakt zobowiązny zwiąże.
Baptysta. Głównym tu punktem jest, zechce-li ona?
 To grunt.

Petrycy. To fraszka; bo widzicie, ojczyste,
 Jeżeli ona bodzie, ja bez rogów
 Nie jestem także, a gdzie się dwa silne
 Zetkną płomienie, tam one niweczają
 To, co żywiołem było ich wściekłości.
 Mały wiatr wzmaga mały płomień, wicher
 Gasi pożogę: tym ja będę dla niej,
 I tuszę, że się z sobą wnet zgodzimy,
 Bo ja nie kocham się, jak żak z infimy.

Baptysta. Życzę ci, panie, szczęścia: lecz sprzedam,
 Że musisz ciężką wytrzymać przepawę.

Petrycy. Jak góry parcie wiatru wytrzymują:
 Ani drgną, choćby dął nieustający.
 (*Wchodzi Hortensyusz z rozbitą głową.*)

I cóż, braciszku? Czegożeś tak pobladł?

Hortensyusz. Z przestraczu, jeśli pobladł.

Baptysta. No, i jakże?

Czy moja Kasia się kwalifikuje
 Na wirtuozkę?

Hortensyusz. Na dragana chyba,
 Karabin dźwżyć jej, ale nie lutnię.

Baptysta. To więc jej waćpan nauczyć nie możesz,
 Jak się o struny instrumentu trąca?

Hortensyusz. Nie, bo instrument roztrąciła o mnie.

Rzekłem jej tylko, że chybia w ujęciu,
 A ona zaperzona zawołała:

•Uczyć mię waćpan chcesz, jak się ujmuję?

Zaraz ja lepiej ujmę; to wyrzekłszy,

Palnie mię lutnią tak, że moja głowa

Przebiła sobie drogę środkiem lutni.

Stałem tak przez czas jakiś odurzony,

Z lutnią na szyi, jak delinkwent w kłamrze:

Ona tymczasem lżyła mię nazwami

Gajdy, brzdąkały, rzepoły i mnóstwem

Innych podobnych terminów, jakgdyby
 Umyślnie ich się wyuczyła dla mnie.

Petrycy. A to rozkoszne, wesolutkie dziecko!

Teraz ją jeszcze dwakroć bardziej kocham,

Jakże mi pilno mieć z nią pogadankę!

Baptysta (*do Hortensyusza*). Pójdź waćpan ze mną, nie
 [bądź tak zwarzony;

Poświęć swe trudy młodszej mojej córce:

Pojętna ona i umie być wdzięczną. —

Signor Petrycy, zechcesz-li pójść z nami,

Czy też tu mam ci przysłać Katarzynę?

Petrycy. Prześlij ją, panie; będę na nią czekał.

(*Wychodzą Baptysta, Gremio, Tranio i Hortensyusz*).

A skoro przyjdzie, przyzwawszy na pomoc

Cokolwiek sprytu, zacznę zalecani.

Będzie-li miotać obelżywe słowa,

Powiem, że śpiewa przyjemnie, jak słowik;

Będzie-li groźnie marszczyć czoło, powiem,

Że tak promiennie wygląda, jak róża,

Kiedy się ranek świeżą zwilży rosą;

Będzie-li milczeć, zaciśnie-li zęby,

Wtedy pochwałę jej rozmowność, powiem,

Że jej wymowa jest porywająca;

Jeśli mi każe pójść precz, korne za to

Złożę jej dzięki, jakby mi kazała

Przez cały tydzień zostawać przy sobie:

Jeśli mi powie, że nie pójdzie za mnie,

To się jej spytam, na kiedy zamówić

Mam zapowiedzi i kiedy ślub weźmiem.

Otóż i ona: no, Petrycy, przemów.

(*Wchodzi Katarzyna*).

Dzień dobry, Kasiu, bo tak, jak słyszałem,

Zowią waćpannę.

Katarzyna. Dobrześ waćpan słyssał,

Ale masz w uszach skrzywione bębenki:

Kto o mnie mówi, zwie mię Katarzyną.

Petrycy. Kłamiesz waćpanna, bo wiem, że po prostu

Zowią cię Kasią, krotofilną Kasią.

Niekiedy i złą Kasią, ale zawsze

Kasią najmiłszą w chrześcijańskim świecie.

A zatem Kasiu, Kasienko, Kasiuniu,

Pieszczoto moja, bo w Kasi, Kasiénce,

Jest w każdym razie coś pieszczotliwego,

Następujące czynię-ć oświadczenie:
 Słyszac, jak cały świat chwali twą słodycz,
 Głosi twe cnoty, wdzięki twe wynosi,
 Nie tyle jednak, ile tego warte,
 Takem wieściami temi był wzruszony,
 Że zapragnąłem pojąć cię za żonę.
Katarzyna. Wzruszony? proszę! Skoro o ruch idzie,
 Jużem ja zaraz na wstępie poznała,
 Że waćpan jesteś ruchomością.
Petrycy. Jaka?
Katarzyna. Butem.
Petrycy. Wybornie! wzuć mię, moja Kasiu.
Katarzyna. Kobiety butów nie noszą.
Petrycy. I owszem;
 Noszą.
Katarzyna. Nie takie przynajmniej, jak waćpan.
Petrycy. Nie będę cię naciskał, luba Kasiu;
 Bo wiedząc, żeś jest tak młodą i lekką...
Katarzyna. Tak lekką, że mię taki cap nie złapie,
 Dość jednak ważną w rzeczy samej.
Petrycy. Ważną
 Będiesz dopiero, zostawszy poważną.
Katarzyna. Powagi pewnie nie nada mi taki
 Raróg, jak waćpan.
Petrycy. Jeżeli ja raróg,
 To cię ułowię, moja turkaweczko.
Katarzyna. Turkawka głucha, a więc strzeżę się mnie,
 Bo mogę gruchnąć tak, żeć uszy spuchną.
Petrycy. Idź, oso, widzę, żeś jest zła nad miarę.
Katarzyna. Jeżeli ja osa, to radzę waćpanu
 Lękać się mego żądła.
Petrycy. Przeciw żądłu
 Najlepszym środkiem jest jego wyrwanie.
Katarzyna. Tak, tylko głupcy nie wiedzą, gdzie ono.
Petrycy. Gdzie osy mają żądło, to nie sekret.
Katarzyna. Gdzież więc?
Petrycy. Nie w pyszczku.
Katarzyna. To zapewne w łapkach.
(Uderza go).
Petrycy. Kasiu, uprzedzam cię, że jestem szlachcic;
 Szlachcica bić nie wolno, a kto bije,
 Ten bywa bity.
Katarzyna. Tak?

Petrycy. Tak, mój klejnocie.
Katarzyna. Tobys się waćpan targnął na swój klejnot,
 Gdybyś mię obit i zakałbyś przyniósł
 Swemu szlachectwu.
Petrycy. Heraldyczką jesteś?
 Umieścisz moją tarczę w swoim polu.
Katarzyna. Jakiż herb pański? Bałwan?
Petrycy. Bałwan wodny,
 Co będzie szparki okręt twój kołysał.
Katarzyna. Długo się będzie tłukł, nim mię dosięże.
Petrycy. Ejże, Kasięńko, nie bądź mi tak kwaśną.
Katarzyna. Taką ja zawsze jestem, kiedy patrzę
 Na kapuściane głowy.
Petrycy. Tu ich niema.
Katarzyna. I owszem.
Petrycy. Pokaż, gdzie?
Katarzyna. Nie mam zwierciadła.
Petrycy. Czyliby moja?
Katarzyna. Proszę, co za dowcip
 W tak młodym wieku!
Petrycy. Prawdęś powiedziała,
 Za młody jestem dla cię.
Katarzyna. A już zwiędły
Petrycy. Skutkiem trosk.
Katarzyna. Oto wcale się nie troszczę.
(Chce odejść).
Petrycy. Zaczekaj, Kasiu, tak mi się nie wymkniesz.
Katarzyna. Rozgniewałabym pana, dłużej bawiąc,
 Proszę mnie puścić.
Petrycy. Bynajmniej, bynajmniej:
 Owszem, znajduję-ć we wszęch miar przyjemną.
 Mówiono, żeś jest szorstką, prędką, cierpką,
 Istna to potwarz, jasno widzę teraz:
 Boś ty wesola, żartobliwa, grzeczna,
 Nie popędliwa w mowie, raczej słodka,
 Jak kwiat wiosenny; ty nie jesteś zdolna
 Gniewać się, marsa stawiać, krzywo patrzeć;
 Ty nie masz w sobie ducha przeciwieństwa;
 Uprzejma jesteś dla swych konkurentów,
 Łatwa w obejściu, skromna i potulna.
 Co ludzie prawią, że Kasia kuleje?
 O, złe języki! Kasia jest tak prosta,
 Smukła i zgrabna, jak pręt leszczynowy;

Brunatnej cery, jak laskowy orzech,
A dwakroć słodsza, niż orzecha jądro.
Przejdźno się; wszak nie chromasz?

Katarzyna. Idź precz, błaznie:
Rozkazuje takim, jakeś sam.

Petrycy. Czyż kiedy
Chód Dyany w lesie wydał się tak pięknym,
Jak w tym pokoju królewski chód Kasi?
O, bądź ty Dyana, a jej daj być Kasią!
Niech wtedy Kasia będzie nieprzystępną,
A Dyana zmięknie.

Katarzyna. Gdzieżeś się to waćpan
Tej patetycznej nauczył oracyi?

Petrycy. Ot, ułożyłem ją tak, *ex tempore*:
Mam dowcip z matki.

Katarzyna. O, dowcipna matko
Niedowcipnego syna.

Petrycy. Czy rozumiesz,
Że ja mam tępe objęcie?

Katarzyna. Tak ostre,
Jak bicz furmański.

Petrycy. Sprawdzisz to, Kasieńko,
Gdy w mem objęciu spocznieś i dlatego,
Czczą gadaninę odkładając na bok,
Oświadczam pani krótko, węzłowato,
Że mi jej ojciec daje ją za żonę:
Co do posagu rzecz już ułożona,
Będziesz więc moją, chcesz, czy nie chcesz. — Ejże
Jam jest mąż właśnie dla ciebie, Kasieńko,
I na to światło, przy którym twa piękność
Tak się uroczym przedstawią mym oczom,
Nikt twoim mężem nie będzie, tylko ja.
Jam jest stworzony, Kasiu, nie kto inny,
Do ugłaskania cię, do przerobienia
Z lwicy na kotkę, taką jak i inne,
Obłaskawione kotki. — No, koteczko,
Twój ojciec idzie; nie bądźże mi krzywą:
Chcę cię za żonę pojąć, taki muszę.

(*Baptysta, Gremio i Tranio powracają.*)

Baptysta. I cóż? jakże ci poszło z moją córką,
Signor Petrycy?

Petrycy. Jakże mi pójść miało?
Dobrze. Nie mogło, panie, pójść inaczej.

Baptysta. No, moja córko? I cóż? Zachmurzona
Swoim zwyczajem?

Katarzyna. Cóрко! W rzeczy samej,
W tkliwy mi sposób ojciec okazuje
Swą rodzicielską miłość, chcąc mię wydać
Za półwaryata, burdę, szłaawiłę,
Co junakieryą myśli świat zwojować.

Petrycy. Rzecz, ojczu, tak się ma: i wy i każdy,
Kto o niej mówił, błędnie o niej mówił.
Jeżeli zła jest, to przez politykę,
Bo w gruncie jest łagodna, jak gołąbek;
Jej temperament wcale nie gwałtowny,
Umiarkowany raczej, jak powietrze
W majowy ranek; cierpliwością swoją
Na pamięć ona przywodzi Gryzeldę,
A wstydlivością Lukrecyę, Rzymiankę,
Słowem, tak dobrze sobie przypadamy,
Że w tę sobotę nasze weselisko.

Katarzyna. Prędeż mi będziesz wisiął w tę sobotę.

Gremio. Signor Petrycy, słyszysz? ona mówi,
Że prędeż będziesz wisiął.

Tranio. Czy to taka
Dobra harmonia? Nasze więc widoki
W łeb wzięły.

Petrycy. Bądźcie spokojni, panowie,
Jam ją dla siebie wybrał, nie dla kogo;
Jeśli ja kontent i ona kontenta,
Co się wam troszczyć? Myśmy się tu z sobą,
Sam na sam będąc, zgodzili, że ona
Przy ludziach zawsze złą udawać będzie.
Zaprawdę, mówię wam, to nie do wiary,
To rzecz bajeczna, jak ona mię kocha;
Ona mi zwiśla oburącz u szyi
I pocałunki za pocałunkami,
Przysięgi tak szły chyżo po przysięgach,
Że w oka mgnieniu serce me musiało
Kapitulować. O, wy, nowicyusze,
A potem jest to nie do uwierzenia,
Jak lada cymbał najzaciętszą jedzę,
W słodkiem sam na sam, może udobruchać.
Kasiu, daj rękę; jadę do Wenecyi
Ślubne ubranie sobie sprawić. — Pomyśl

O sutej uczcie, ojczu, zaprosz gości.

Wiem, że Kasieńka galante wystąpi.

Baptysta. Cóż mam rzec na to? Podajcie mi ręce,

Kochane dziatki; niechaj wam Bóg szczęści!

Gremio i Tranlo. Amen z całego serca! My świadkowie.

Petrycy. Bądźcie mi zdrowi, ojczu, narzeczona

I wy, panowie. Jadę do Wenecyi.

Sobota wkrótce: trzeba przygotować

Obrączki, stroje i inne drobiazgi.

Dajże mi, Kasiu, całuska: w sobotę

Sakramentalny węzeł z tobą splecę.

(Petrycy i Katarzyna rozchodzą się w przeciwne strony).

Gremio. O, to się prędko para skojarzyła!

Baptysta. Jestem, jak kupiec, co swój kram wysła

Na targ niepewny.

Tranlo.

Z zleżałym towarem.

Teraz ten towar, zamiast być ciężarem,

Albo ci, panie, niedobór wypłaci

I zysk przyniesie, albo bierz go kaci.

Baptysta. W jej spokojności znajdę korzyść hojną.

Gremio. Już on to zrobi, że będzie spokojną.

Ależ z porządku rzeczy przejdźmy teraz,

Signor Baptysto, do twej młodszej córki;

Dziś jest dzień z dawna od nas upragniony,

A jam twój sąsiad i pierwszy konkurent,

Nie zapominaj.

Tranlo.

We mnie zaś ma Bianka

Zakochanego w niej na śmierć kochanka.

Gremio. Ty jej nie możesz tak kochać, młokosie,

Jak ja.

Tranlo.

Tatulu, o zbiałym włosie,

Pogrzeb już swoją miłość, skrzepła ona.

Gremio. A twoja jeszcze jest niedowarzona.

Zejdź z drogi, smyku: starość to was żywi.

Tranlo. Ale dziewczętom nie smakują siwi.

Baptysta. Pokój, panowie, ja wasz spór rozstrzygnę:

Gotówka prym mieć będzie. Kto z was większą

Będzie mógł Biance zapewnić oprawę,

Ten ją posiędzie. — No, signor Gremionie,

Cóż ty jej możesz zostawić po zgonie?

Gremio. Wszak wam wiadomo, że mój dom tu w Padwie

Zaopatrzony jest dostatnio w sprzęty

Złote i srebrne, dzbany i miednice

Do obmywania jej pieszczonych rączek.

Moje obicia pochodzą wprost z Tyru;

W skrzyniach z słoniowej kości mam schowaną

Złotą monetę; w cyprysowych kufrach

Szale, kosztowne kołdry i kobierce,

Drogie materye, batysty, kotary,

Perłami tkane tureckie poduszki,

Weneckie frędzle przerabiane złotem,

Naczynia z cyny i miedzi i wszystko,

Co w gospodarstwie jest potrzebne. Przytem

Mam sto krów dojnych na wsi, sto dwadzieścia

Opasłych wołów w stajniach, oraz wszelki

Inny inwentarz w liczbie odpowiedniej.

Co do mnie, jestem już letni, przynaję,

A gdybym jutro żyć przestał, to wszystko,

Co wymieniłem, stanie się jej własnością,

Będzie-li tylko moja, pókim żywy.

Tranlo. To tylko było stosownie wtrącone. —

Chciejże mnie teraz posłuchać, signore.

Jestem jedynym mego ojca synem

I spadkobiercą; jeżeli otrzymam

Rękę twej córki, zapiszę jej zaraz

Trzy albo cztery kamienice w Pizie,

Pod żadnym względem nie ustępujące

Tej, jaką signor Gremio tu posiada;

A nadto parę tysięcy dukatów

Rocznej intraty z ziemskiego majątku.

No, mości Gremio, czemu to odeprzesz?

Gremio. Parę tysięcy dukatów dochodu

Ze wsi? mnie moja tyle nie przynosi:

Ale do intrat z niej w zapisie dodam

Kupiecki statek, który teraz właśnie

W marsylskim porcie stoi. No, mój panie,

I cóż, nie daję ci mata tym statkiem?

Tranlo. Wiadomo, mości Gremio, że mój ojciec

Ma aż dwa wielkie kupieckie okręty,

Trzy galeasy i dwanaście galer:

Te jej zapiszę i dwa razy tyle,

Ilebyś jeszcze mógł jej ofiarować.

Gremio. Ofiarowałem wszystko, więcej nie mam,

I więcej, niż sam mam, dać jej nie mogę;

Jeżeli przeto zostaną przyjęte,

Posiędzie ona mnie i wszystko moje.

Tranio. Moją jest ona zatem, podług tego,
Co sam wyrzekłeś, ojczy, signor Gremio
Zakasowany.

Baptysta. W istocie, przyznaję,
Że twa ofiara, panie, jest największą,
I niech ją tylko ojciec twój zatwierdzi,
A Bianka będzie twoją nieochybnie:
W przeciwnym razie wybac: możesz umrzeć
Pierwej, niż ojciec, gdzież wtedy oprawa?

Tranio. To tylko wykręt: on stary, ja młody.
Gremio. Nie umrzesz młody tak dobrze, jak stary?

Baptysta. Moi panowie, posłuchajcie: oto
Ostatnie moje słowo. W tę sobotę
Ma być, jak wiecie, ślub mej starszej córki:
Owóż więc, od tej soboty za tydzień
Połączę z Bianką signor Lucencyusza,
Jeśli mi złożysz zapewnienie ojca,
A nie, to dam ją signorowi Gremio.
Co powiedziawszy, żegnaj was obudwu,
Moi panowie, i dziękuję obu.

(*Wychodzi*).

Gremio. Bądź zdrow, sąsiedzie. — No, mój młody zuchu,
Teraz mi wcale strasznym już nie jesteś.
Ojciec twój byłby chyba postrzelony,
Gdyby ci wszystko oddał i na starość
Żył z twojej łaski. Nie zgrzeszy, *per Baccho!*
Stary lis włoski uprzejmością taką.

(*Wychodzi*).

Tranio. Niech cię gęś kopnie zadnią nogą, grzybie!
Ja nie gram w pliszki i, gdy się zawezmę,
Dokazę swego. — Tak, to dobry środek
Do przysłużenia się mojemu panu;
Innej nie widzę rady; trzeba, żeby
Pseudo-Licencyusz spłodził sobie ojca
Odpowiedniego: Pseudo-Wincencyusza,
Będzie to *casus* rzadki: do tej chwili
Synów zazwyczaj ojcowie płodzili,
Teraz, w zalotach pragnąc dojść do celu,
Syn spłodzi ojca przy troszce fortelu.

(*Wychodzi*).

AKT TRZECI.

SCENA I.

Pokój w domu Baptysty.

(*Lucencyusz, Hortensyusz, Bianka*).

Lucencyusz. Skończ, mości grajku, dość tego; za wiele
Sobie pozwalasz. Zapomniałeś, widzę,
Jak cię uprzejmie panna Katarzyna
Wczoraj przyjęła.

Hortensyusz. Mości bakałarzu,
Muzyka córą jest niebios, a zatem
Chciej mi zostawić przywilej pierwszeństwa;
Skoro pogramy z sobą przez godzinę,
Z kolei będziesz mógł zacząć swą lekcję.

Lucencyusz. Zakuty głąbie, niezdolny zrozumieć,
Na co muzyka na świat jest zesłana!
Nie na toż, aby umysł nasz rzeźwiła
Po dziennych trudach, naukowych pracach?
Pozwól mi przeto popilozofować,
A gdy przestanę, wtedy kurs swój prowadź.

Hortensyusz. Nie zniosę tego tonu, mości panie.
Bianka. Zapominacie się, moi panowie,
Wiodąc spór tam, gdzie wola ma rozstrzyga.
Nie jestem dzieckiem, co się różgi boi,
Nie chcę w mych lekcjach zależeć od godzin,
Lecz brać je wtedy, gdy mi się podoba.
Aby więc przeciąć nieporozumienie,
Siadajmy.

(*Do Hortensyusza*).

Waćpan usiądź tam na boku,
Weź swój instrument i nastrój tymczasem:
Nim to uczynisz, my skończymy lekcję.

Hortensyusz. Gdy więc instrument mój nastrój zaraz,
Będę miał szczęście?

(*Oddala się*).

Lucencyusz (*na str.*). Długo będziesz stroił.

Bianka. Gdzie stanęliśmy?

Lucencyusz. Tu, w tem miejscu, pani:

Hic ibat Simois: hic est Segeia tellus;

Hic steterat Priami regia celsa senis.

Blanka. Będzieszże łaskaw pan mi to objaśnić?

Lucencyusz. *Hic ibat*, jak to już powiedziałem; — *Simois*, jestem Lucencyusz; — *hic est*, syn Wincencyusza z Pizy; — *Segeia tellus*, przebrany dla pozyskania twej miłości; — *hic steterat*, a tamten Lucencyusz, co się stara o twą rękę; — *Priami*, jest to Tranio, mój służący; — *regia*, który się przybrał w moją postać; — *celsa senis*, abyśmy Pantalona mogli podejść.

Hortensyusz. Pani, instrument mój już nastrojony.

Blanka. Zobaczmy: o fe, fe, co za dysonans!

Lucencyusz. Pluń w garść i zacznij, braciszku, na nowo.
Blanka. Spróbuję teraz sama to przełożyć: *Hic ibat Simois*, nie znam pana; — *hic est Segeia tellus*, nie dowierzam panu; — *hic steterat Priami*, strzeż się pan, żeby nas nie dosłyszał; — *regia*, nie dufaj zbyt cznie; — *celsa senis*, nie rozpaczaj.

Hortensyusz. Teraz już nastrojony.

Lucencyusz. Fałsz jest w basie.

Hortensyusz. Fałsz jest w języku twoim, mój bas czysty, I radbym ci dał uczuć jego dźwięczność. — Co, u kaduka? Ten urwisz śmie do niej Smalić cholewki? Czeka ty belferze, Będę ja ciebie lepiej miał na oku.

Blanka. Może uwierzę kiedyś, teraz wątpię.

Lucencyusz. O nie wątp, pani, jest to prawda szczerza: Eacyd w rzeczy samej był Ajaksem, Tak zwanym z dziada.

Blanka. Nauczycielowi Muszę dać wiarę, inaczej, upewniam, Nie prędko wątpićbym o tem przestała. Ale dość tego. — Teraz, mości Licyo, Na pana kolej. Szanowni panowie Nauczyciele, nie miejcie mi za złe, Żem sobie z wami pozwoiliła żartów.

Hortensyusz. Możesz się waćpan przejść teraz: tercety Nie są dziś w modzie.

Lucencyusz. Takeś waćpan ścisły? Dobrze, więc muszę poczekać; (*do siebie*) a przytem Dawać baczenie, bo mi się coś zdaje Pan metr zakrawać na zakochanego.

Hortensyusz. Zanim do ręki weźmiesz pani lutnię I poznasz moje zasady dotknięcia, Muszę-ć wprzód pierwsze początki wyłożyć;

Nauczyć panią gamy, a to prędej,
W sposób jaśniejszy, bardziej zajmującej
I gruntowniejszy, niż którykolwiek
Z nauczycieli jej dotąd uczynił.
Znajdziesz to pani skreślone w tem piśmie.
(*Podaje jej kartkę*).

Blanka. Dawnom już gamy przeszła.

Hortensyusz. Wierzę temu:

Ale chciej poznać treść mego systemu.

Blanka (*czyta*).

Gama harmonii wszelkiej jest podstawą.

C. niech wyrazi miłość Hortensyusza.

D. bądź, o Bianco, na niego łaskawą.

E. F. czyż jego wierność cię nie wzrusza?

G. A. w dwóch nutach los mój: tak lub nie.

H. okaż litość, albo zabij mnie.

I to zwiesz waćpan gamą? nie chcę takiej,

Wolę metodę dawną, nie odstąpię

Od starych reguł dla błahych nowości.

(*Wchodzi służący*).

Służący. Panienko, ojciec panny mię przysłał,

Żebyś panienka porzuciła książki

I dopomogła do przyozdobienia

Pokoju siostry: jutro jej wesele.

Blanka. Żegnam obudwu panów; muszę odejść.

(*Wychodzi ze służącym*).

Lucencyusz. Nie mam więc dłużej powodu tu bawić.

(*Wychodzi*).

Hortensyusz. Ja zaś mam powód śledztwo tu odprawić,

Bo mi ten szkolarz zda się zakochanym.

Jeżeli umysł twój, Bianco, w istocie

Tak jest spaczony, że błędny wzrok zwracasz

Na lada chłopca, to bierz cię, kto zechce.

Wobec płochości takiej, *me Hercule*,

Hortensyusz da ci abszyt na bibule. (*Wychodzi*).

SCENA II.

Inny pokój w domu Baptisty.

(*Baptysta, Gremio, Tranio, Katarzyna, Bianka i słudzy*).

Baptysta. Dziś jest dzień, w którym Kasia i Petrycy
Małżeńskim związkiem mieli się połączyć,

A pana zięcia jak niema tak niema.
Cóż na to powie świat? Jakież to będzie
Powód do żartów, z braku oblubieńca,
Gdy ksiądz już z stułą czeka? Lucencyuszu,
Cóż mówisz na to, nie wstydyż to dla nas?

Katarzyna. Wstyd tylko dla mnie. Byłam przymuszona

Wbrew sercu oddać rękę szalonemu
Grubianinowi, dzikiemu fantaście,
Co się zalecać rad, ale nie żenić.
Nie powiedziałam, że to wartogłów,
Ukrywający pod szorstkim pozorem
Złośliwe żarty? Co, aby uchodzić
Za jowialnego, gotów się ubiegać
O tysiąc kobiet, wyznaczać dzień ślubu,
Spraszać przyjaciół, głosić zapowiedzi,
Ale na seryo nie myśli o żadnej.
Palcami teraz biedną Katarzynę
Wytykać będą, mówiąc: »Patrzcie, oto
Tego waryata Petrycego żona,
Jeżeli tylko zechce ją zaślubić».

Ha!

Tranio. Cierpliwości, panno Katarzyno,
I wy, signore Baptysto: Petrycy
Ma, ręczę, dobre zamiary, cóżkolwiek
Od dotrzymania słowa go wstrzymuje.
Chociaż on szorstki, wiem, że jest roztropny,
A choć wesoły, jednakże uczciwy.

Katarzyna. Obym go była nigdy nie widziała!

(Wychodzi płacząc, za nią Bianka i studzy).

Baptysta. Idź, nieboraczko, nie ganię-ć, że płaczesz:

Taką obelgę uczułaby święta,
A cóż dopiero dziewczęcę z krwią tak żywą.

(Wchodzi Biondello).

Biondello. Nowiny, panowie! stare nowiny, takie nowiny,
jakich panowie w życiu nie słyszeli.

Baptysta. Coś starego i nowego razem? Jak to być może?

Biondello. Nie jestże to nowina, słyszeć zwiastowanie
przybycia signora Petrycego?

Baptysta. Czy już przybył?

Biondello. Tego nie mówię.

Baptysta. A cóż?

Biondello. Przybywa dopiero.

Baptysta. Jakże prędko tu będzie?

Biondello. Jak będzie stał w tem miejscu, gdzie ja stoję,
i widział panów owdzie stojących.

Tranio. Ale gdzież owe stare nowiny, których nam masz
udzielić?

Biondello. Ba! Signor Petrycy przybywa w nowym kape-
luszu i starym kaftanie; ma na sobie pantalone trzy
razy nicowane; na nogach buty, które już za schowanie
do łójówek służyły, jeden ze sprzączką, drugi sznuro-
wany, a u boku starą zardzewiałą szpadę, wziętą
z miejskiego cekhauzu, ze złamanym gifesem, z porwa-
nemi tasiemkami, bez haczyków. Koń jego przełamany
w krzyżu, w siodle starem, od robactwa stoczonym, ze
strzemionami różnego kalibru, przytem nosaty i od-
sedniony, chory na paskudnika, z nabrzmiałemi pęci-
nami, dotknięty włogacizną, zofzowaty, kołowaty, z ża-
bami w pysku i pędrakami w żołądku; dychawiczny,
wypieczony i upadający na przednie nogi; w mun-
sztuku do połowy schowanym i w nagłówkowi z bara-
niej skóry, który, dla uchronienia go od potknięcia się,
tak krótko był ściągany, że nieraz uległ pęknięciu i te-
raz, po zreparowaniu, cały jest w węzłach. Dodajcie
państwo do tego popręg zszyty w sześciu miejscach
i aksamitne podogonie od damskiego siodła, z dwiema
literami, oznaczać mającemi czyjeś nazwisko, pięknie
nabijane gwoździami i tu i owdzie połatane szpagatem.

Baptysta. Czy kto z nim jedzie?

Biondello. Jedzie jego lokaj, kubek w kubek wystrojony
tak, jak koń: z nicianą pończochą na jednej nodze,
a grubą wełnianą na drugiej, w krajcanych podwiąz-
kach, jednej niebieskiej a drugiej czerwonej; w starym
kapeluszu, u którego tekturowy Kupido zastępuje miej-
sce pióra: prawdziwy potwór pod względem przybo-
rów, a nie lokaj chrześcijańskiego szlachcica.

Tranio. To jakiś nowy wyskok z jego strony,

Chociaż się zwykle nosi niepozornie.

Baptysta. Bądź jak bądź, cieszę się, że on już jest na dro-
dze do nas.

Biondello. A kiedy on nie jest na drodze do nas.

Baptysta. Nie powiedziałeś tego?

Biondello. Że signor Petrycy jest na drodze?

Baptysta. Nie inaczej.

Biondello. Nie, signore; powiedziałem, że koń jego jest
na drodze, a on jest na koniu.

Baptysta. Toć wszystko jedno.

Biondello. Zanegować się ośmielę,
 Żleś jegomość trafił w sedno,
 Kofi i jeździec to nie jedno,
 Jednakże i tak nie wiele.

(Wchodzą Petrycy i Grumio).

Petrycy. Jest tu kto? Hola! ludzie, gdzie jesteście?

Baptysta. Przybywasz waćpan nakoniec.

Petrycy. Na koniec? Na koniec?

Na koniec czego? przecież nie wesela?

Tranio. To na waćpana czeka.

Petrycy. Dobrze robi,
 Bo ja nie lubię czekać. Gdzież jest Kasia?
 Gdzież jest nadobna moja narzeczona?
 Jak się ma teść mój? — Cóżto, moi państwo?
 Takeście oczy wytrzeszczyli na mnie,
 Jakbyście jakie dziwadło widzieli,
 Jaką kometę, lub rzadkie zjawisko?

Baptysta. Wiesz waćpan przecie, że się dziś masz żenić.

Zrazu mieliśmy kłopot, rozumiejąc,
 Że może wcale nie przyjedziesz, teraz
 W nowy nas kłopot wprawia ten twój ubiór.
 Zrzuć go do licha, niegodny on ciebie
 I nie przystojny w dniu tak uroczystym.

Tranio. I chciej powiedzieć, co za ważny powód
 Mógł cię tak długo zatrzymywać zdala
 Od twojej przyszłej, i tu cię sprowadzać
 W tak niepodobnej do ciebie postaci?

Petrycy. Nudnem-by było dla mnie mówić o tem,
 A dla was słuchać: dosyć, zem się stawił,
 I dotrzymałem słowa, choć poniekąd
 Byłem zmuszony z niem się minąć, z czego
 Usprawiedliwię się w wolniejszej chwili,
 Tak że waćpaństwo przyznacie mi słuszność.
 Ale gdzież Kasia? Za długom już bez niej:
 Już późno, czas nam ruszać do kościoła.

Tranio. Nie idźże do niej w tym cudackim stroju;

Pójdź do mnie, dam ci suknie do przebrania.

Petrycy. Dziękuję, pójdę do niej tak, jak jestem.

Baptysta. Nie staniesz przecie z nią tak u ołtarza?

Petrycy. I owszem, właśnie tak a nie inaczej.

Nie psujcie sobie próżno gąb, toć ona

Mnie ma zaślubić, a nie moje suknie.

Gdybym to, co mi przez nią się zużyje,
 Tak mógł naprawić, jak zmienić te szaty,
 Zaprawdę dobrzeby to było dla mnie,
 A dla niej jeszcze lepiej. Tam do licha,
 Jakiż cap ze mnie, że tu gwarzę z wami,
 Zamiast powitać moją narzeczoną,
 I powitanie to tak upragnione
 Zapieczętować tkliwym pocałunkiem.

(Wychodzi, a z nim Grumio i Biondello).

Tranio. Ten jego kostyum nie jest bez kozery,

Wszakże namówmy go, jeżeli da się,
 Żeby do ślubu ubrał się inaczej.

Baptysta. Muszę się za nim udać i zobaczyć,
 Co stąd wyniknie. *(Wychodzi).*

Tranio. No, signore mio,

Teraz już tedy o to tylko idzie,
 Żeby uzyskać pozwolenie ojca.
 Ku czemu, jak to waszej wielmożności
 Już oznajmiłem, znalazłem człowieka.

Kto on jest, mniejsza, dość, że się da użyć:
 Ten będzie papą Wincencyuszem z Pizy,
 I tu, na imię Bianki robi zapis
 Sum jeszcze większych nad te, com ja przyrzekł.
 Takim sposobem będziesz mógł, signore,
 Spokojnie cieszyć się celem swych życzeń,
 Pojawszy Biankę, za zgodą jej ojca.

Lucencyusz. Gdyby mi tylko nie stał na zawadzie

Ten mój kolega, nauczyciel śpiewu,
 Który tak pilnie śledzi kroki Bianki,
 Tobyśmy mogli wziąć ślub potajemnie:
 Niechby mi wtedy praw cały świat przeczył,
 Obstałbym przy nich wbrew całemu światu.

Tranio. Przeprowadzimy i to w swoim czasie,
 A bacznie każdą chwytając sposobność,
 Wywiędziem w pole siwego Gremiona,
 Dobrodusznego tatula Minole,
 Wreszcie czułego tego grajka Licya,
 I górą stanie sam signor Lucencyusz.

(Wchodzi Gremio).

A, signor Gremio! Czy z kościoła wracasz?

Gremio. Tak, i wesoło, jak niegdyś ze szkoły.

Tranio. Czy nowożeńcy są już w domu?

Gremio. Żeńcy?

Tak; piękne ona mieć z nim będzie żniwo!
Pokrzywy będzie żać lub osty.

Tranio. Jakto?

Maż on być gorszy od niej? niepodobna!

Gremio. To dyabeł, istny dyabeł, czort wcielony.

Tranio. Ona to raczej dyabeł, z piekła rodem.

Gremio. Ej, gdzie tam, gdzie tam! Ona niewiniątko

Naprzeciw niego, baranek, gołąbek.

Posłuchaj jeno, signor Lucencyusz:

Gdy go ksiądz spytał, czy chce Katarzynę
Pojąć za żonę, »chcę, do stu fur dyabłów«,
Krzyknął, i ją przeklinać tak srodze,
Że przerażony ksiądz upuścił książkę,
A gdy się schylił, ażeby ją podnieść,
Pan młody tak go pomacał po grzbiecie,
Że upadł z książką razem. »Podnieś teraz,
Zawołał, jeśli jeszcze ci potrzebna«.

Tranio. Cóż na to panna młoda?

Gremio. Drżała z trwogi.

Tych zaś wybuchów wściekłości i przekleństw

Jaki był powód, zgadnij waćpan? Oto
Uroił sobie, że ksiądz chce drwić z niego.

Skoro zaś cały obrzęd się już skończył,
Zawołał »wina!« i wykrzyknął: »wivat!«

Jakby pił w ręce swych współtowarzyszy
Gdzieś na okręcie, po burzy, a potem

Wylał podany mu kieliszek wina,
I rzucił ciasto w twarz zakrystyanowi,

Bez innej racyi, jak ta, że wyglądał

Chudo i głodno i zdawał się łaknąć

Tego kawałka ciasta. Co zrobiwszy,

Objął za szyję swą oblubienicę,

I tak głośnego wyciął jej całusa,

Że się aż echo rozległo w kościele.

Ja, patrząc na to, ze wstydu wybiegłem.

I ze mną zdąża, zda się, cały orszak.

Póki świat światem nie widziano jeszcze

Tak waryackiego ślubu. Ale cicho,

Słyszę już w sieni idącą kapełę.

(Petrycy, Katarzyna, Bianka, Baptysta, Hortensyusz i Grumio z weselnym orszakiem wchodzą przy odgłosie muzyki).

Petrycy. Bóg zapłać państwu za podjęte trudy.

Wiem, panie teściu, że się dziś spodziewasz

Wieczerać ze mną, żeś poczynił wielkie

Przygotowania do weselnej uczy;

Ale, jak na złość, nader ważne sprawy

Nie pozwalają mi tu dłużej bawić:

Muszę pożegnać cię natychmiast.

Baptysta. Jakto?

Tego wieczora jeszcze chcesz odjechać?

Petrycy. Tak, muszę; nawet jeszcze przed wieczorem,

Nie dziw się, panie teściu: gdybyś wiedział,

Co za interes mię nagli, niechybnie

Sambyś mi radził jechać jak najprędzej.

Dzięki wam, zacni panowie i panie,

Coście widzieli, jakem siebie oddał

Tej skromnej, cichej, anielskiej dziewicy.

Jedźcie i pijcie tu za moje zdrowie;

Ja muszę jechać. Bogu was polecam.

Tranio. Daj się uprosić i pozostań z nami

Do końca uczy.

Petrycy. Nie, to być nie może.

Gremio. Daj się uprosić.

Petrycy. Nie mogę, powiadam.

Katarzyna. Daj się uprosić.

Petrycy. To mi się podoba.

Katarzyna. Podoba ci się zostać?

Petrycy. Nie, kochanie;

Podoba mi się, że mię o to prosisz,

Ale nie zostać: choćbyś mię prosiła

Nie wiem jak.

Katarzyna. Zostań, jeżeli mnie kochasz.

Petrycy. Grumio, niech konie zająd!

Grumio. Tać już zaszły,

Ale czy zająd dalej, to pytanie.

Katarzyna. Dobrze więc, rób, co chcesz; ja nie odjadę,

Ni dziś, ni jutro, aż wtedy, gdy zechcę.

Drzwi są otwarte, wolna panu droga;

Jedź pan, a śpiesz się, kiedy cię tak pili:

Ja nie odjadę wprzód, aż sama zechcę.

To mi przyjemny gagatek na męża,

Co tak grubiańsko z kopyta zaczyna.

Petrycy. Ejże, Kasieńko, nie gniewaj się, proszę.

Katarzyna. Będę się gniewać. Co ty masz za sprawy

Tak wielkiej wagi? — Bądź spokojny, ojczu,

Już on zostanie tak długo, jak zechcę.

Gremio. A co, braciszku! teraz kuso z nami.

Katarzyna. Chciejcie przejść państwo do sali jadalnej. —

Kołki, jak widzę, struganoby na nas,
Gdybyśmy stawić nie śmiały oporu.

Petrycy. Weselny orszak nasz przejdzie, Kasieńko,

Tak jak kazałaś, do sali jadalnej.

Uczyńcie państwo zadość jej życzeniu:

Siadźcie do stołu, bawcie się i śmiejcie,

Gwarzcie, weselcie się, szalejcie — ale

Moja Kasieńka musi jechać ze mną.

Nie obruszajcie się o to, nie krzywcie,

Nie marszczcie; chcę być panem mej własności.

W niej mój majątek, ona jest mym domem,

Domowym sprzętem, mojem polem, gumnem,

Mym koniem, wołem, osłem, słowem wszystkim.

Biada tym, co się dotknąć jej poważą!

Kto będzie śmiał mię w Padwie zatrzymywać,

Ten popamięta hart mej dłoni. — Grumio,

Dobądź oręża! w koło nas rabusie:

Zasłoń twą panią, jeśli jesteś mężem.

Nie bój się, duszko, pójdź, nie drzyj, niczyje

Nie tkną cię ręce, gdy ja cię zakryję.

(Wychodzi, a z nim Katarzyna i Grumio).

Baptysta. Niech idą z Bogiem. — To mi słodka para!

Gremio. Szczęście, że poszli, bobym niezawodnie

Pękł był ze śmiechu.

Tranio. Takiego małżeństwa

Nie znajdzie pewnie między tysiącami.

Lucencyusz. Cóż pani mówisz na to?

Bianka. Nieszczęśliwa!

Lecz sama sobie nawarzyła piwa.

Gremio. To kwestya, czy on sobie nie nawarzył,

Boć się na całe życie zakatarzył.

Baptysta. Łaskawi przyjaciele i sąsiedzi,

Choć państwa młodych brak będzie przy stole,

Na stole smacznych nie zbraknie nam kąsków.

Ty, Lucencyuszu, zechcesz zająć miejsce

Pana młodego, a Bianka zasiądzie

Na miejscu siostry.

Tranio. Aby się nauczyć,

Jak się odgrywa rola panny młodej?

Baptysta. Tak, mój kochany Lucencyuszu, idźmy.

(Wychodzą wszyscy).

AKT CZWARTY.

SCENA I.

Pokój we dworze Petrycego na wsi.

(Wchodzi Grumio).

Grumio. Niech kaduk porwie ciężkie szkapy, szalonych panów i złe drogi! Byłże kiedy człowiek tak zbity, tak złamany, tak poniewierany, jak ja teraz? Kazali mi przodem jechać i rozniecić ogień na kominku, przy którymby się mogli rozgrzać, jak przyjadą. Owóż tedy, gdyby nie moja gorąca temperatura, usta byłyby mi przymarzły do zębów, zęby do podniebienia, a serce do żeber, nimbym się był dostał do jakiego ogniska dla odtajenia. Ale weźmy-no się do zapalenia na kominku; bo przy takim temperamencie powietrza, człowiek najgorętszej temperatury mógłby zmarznąć. — Hej! Kurtys! *(Wchodzi Kurtys).*

Kurtys. Któż to woła tak zziębniętym głosem?

Grumio. Kawalek lodu; jeżeli nie wierzysz, to możesz się ześliznąć po mnie od grzbietu aż do pięt tak szybko, jak od głowy do karku. Zapal-no na kominku, mój Kurtysie.

Kurtys. Czy nasz pan z żoną przyjeżdża?

Grumio. Niestety tak, mój Kurtysie: dlatego pomyśl o ogniu.

Kurtys. Jestże ona taką gorączką i przekorą, jak mówią?

Grumio. Była taką, mój Kurtysku, przed tym mrozem; ale zimno zdolne jest, jak wiesz, ugłaskać każdą kobietę, każdego mężczyznę i każde bydło; bo ugłaskało staro mego pana, moją nową panią i mnie samego. Ale rusz-no się i roznieć ogień, bo pani lada chwila nadjedzie, i za swoje uchybienie w służbie nieochybniebyś dostał guza.

Kurtys. Powiedz mi, proszę, Grumio, co się tam święci na świetcie?

Grumio. Oziębłość, braciszku, oziębłość wszędzie, wyjąwszy przy ciepłynie kominku. Dlatego rób ogień co żywo: nasze państwo zmarzło już chyba na śmierć.

Kurtys. Już się pali; a teraz powiedz mi co nowego.

Grumio. Cud się stał; jednego razu dziad przemówił do obrazu, a obraz do niego ani razu.

Kurtys. Idź do licha, to są niesmaczne odgrzewanki.

Grumio. Jakżeby to był odegrał, kiedy sam siebie nie mam przy czem. Gdzie kucharz? Czy wieczerza gotowa, pokoje uprzątnięte, podłogi wysypane sitowiem, pajęczyny pomiecione, pacholey w nowych opończach i białych pończochach, a lokaje w sukniach galowych? Czy naczynia szklane pomyte, kubki wypolerowane, firanki założone? każda rzecz porządku?

Kurtys. Wszystko w porządku należytym; powiedźże mi teraz co nowego?

Grumio. Dowiedz się nasamprzód, że mój koń się zhasał i że nasz pan i nasza pani wpadli na siebie...

Kurtys. Jakto? w gniew wpadli?

Grumio. Nie, w błoto; po spadnięciu z siodła. Ciekawa to historia.

Kurtys. Kochany Grumku, niechże ją usłyszę.

Grumio. Nadstaw ucha.

Kurtys. Oto jest.

Grumio. Oto masz.

(Daje mu policzek).

Kurtys. Taką historję czuje się, nie słyszy.

Grumio. Dłatego też taka historia zowie się czułą historją, a to uderzenie właściwie było tylko zapukaniem do twego ucha, z prośbą o posłuchanie. Zaczynam: *Imprimis*, zjeżdżaliśmy z błotnistej wzgórką; nasz pan jechał z tyłu naszej pani...

Kurtys. Oboje na jednym koniu?

Grumio. Co przez to rozumiesz?

Kurtys. Rozumiem jednego konia.

Grumio. Opowiedźże sobie resztę sam. Gdybyś mi nie był przerwał, byłbyś był usłyszał, jak jej koń padł, a ona padła pod konia; byłbyś był usłyszał, jak się to stało, w jak nieczystym miejscu i jak się zabrukała; jak on ją zostawił leżącą pod koniem; jak mię bić zaczęła za to, że jej koń się potknął; jak ona brnęła przez błoto, aby go ode mnie oderwać; jak on kłął; jak ona błagała; jak ja krzyczałem; jak konie uciekały, jak się jej podpinka zerwała; jak ja zgubiłem podogonie — i wiele innych rzeczy godnych pamięci, które teraz zgina w zapomnieniu, a ty w nieświadomości zstąpisz do grobu.

Kurtys. Z tego kalkulując, to on jest większy złośnik, niż ona.

Grumio. Nie inaczej; przekonasz się o tem sam i inni, jak przyjedzie. Ale czego ja tu gawędzę? — Przywołaż Natanaela, Józefa, Mikołaja, Filipa, Waltera i innych: niech sobie gładko włosy uczeszą, wyczyszczą swoje niebieskie surduty i podwiązki przyzwoicie zawiążą; niech się kłaniają lewą nogą i niech się nie ważą w ogonie konia pańskiego tknąć i włosy, dopóki sobie wprzód nie pocałują ręki. Sąż oni wszyscy w pogotowiu?

Kurtys. Są wszyscy.

Grumio. Zawołaj ich.

Kurtys. Słuchajcie-no! hej! Macie wyjść na spotkanie pana, dla zrobienia honoru naszej pani.

Grumio. Onać ma honor bez nich.

Kurtys. Któż o tem wie?

Grumio. Czegoż wzywasz ludzi, żeby jej honor robili?

Kurtys. Chciałem powiedzieć dla oddania jej honoru.

Grumio. Alboż im ona honoru pożyczyla?

(Wchodzi kilku służących).

Mikołaj. Jak się masz, Grumionie!

Filip. Witaj, Grumionie!

Józef. Nasz kochany Grumio!

Natanael. Koleżka Grumio!

Mikołaj. Cóż tam, stary?

Grumio. Jak się macie, koledzy! — Bądźcie pozdrowieni, koledzy! — Witajcie, koledzy! — Kochani koledzy! Otóż kwita z powitania. — No, moje caca-chłopcy, czy wszystko przyszykowane? Każda rzecz jak z pudełka?

Mikołaj. Jak Pan Bóg przykazał. — Dalekoż jeszcze pan od domu?

Grumio. Musi już być tuż; może już zsiada z konia: dlatego... Tam do paralusza! cicho! słyszę go już w sieni.

(Wchodzi Petrycy i Katarzyna).

Petrycy. Gdzie ci hultaje? Cóż to? Żywej duszy

Do przytrzymania mi u drzwi strzemia?

Do odebrania konia? Gdzie Mikołaj,

Filip, Pafnucy?

Wszyscy słudzy *(jeden przez drugiego)*. Tu, panie, tu, panie.

Petrycy. Tu, panie! Dam ja wam tu, panie, chamy!

Takaż to służba? takiż to porządek?

Uszanowanie takie? Gdzie ten cymbał,

Co był wysłany przodem?

Grumio.

Jest tu, panie.

Lepiej mu było być wystanym z tyłu,
Mniej byłby zbity.

Petrycy. Przemierzły wałkoniu,
Czyliżes nie miał w parku no mnie czekać
Z całą czeredą tych błaznów?

Grumio. Mikołaj
Nie miał był jeszcze wykończony sukni,
Filip przybitych podkówek do butów,
Piotr naprawionej pochwy od sztyletu,
Walter czernidła na kapeluszu, słowem
Żaden z nich nie był w przyzwoitym stroju,
Tylko Ralf, Grzegorz i Roch, wszyscy inni
Jak obszarpańcy wyglądali: wszakże
Przywiodłem ich, jak są.

Petrycy. Precz, niedołęgi!
Idźcie mi przynieść wieczerzę, a chyżo.
(*Wychodzi część sług*).

(*Śpiewa*).
Gdzież mego życia dawny tryb?
Gdzież owe — —?

Siadaj, Kasieńko, bądź tak, jak u siebie!
Hum! hum! hum! — Kiedyż dadzą? — Bądź wesołą,
Kasieńko luba. — Ściągnijcie mi buty,
Kajdaki! mamże dwa razy powtórzyć?
(*Śpiewa*).

Braciszek jeden w rewerendzie
Szedł raz do dworu po kolendzie...
A ty psie! Czy chcesz mi nogę wykręcić?
(*Uderza go*).

Masz! a pamiętaj lepiej ciągnąć drugi. —
Bądźże wesołą, Kasiu. — Wody! żywo! —
Gdzie mój legawiec, Troilus? — Hej, chłopcze!
Pójdź mi poszukać pana Ferdynanda,
Niechaj tu zaraz przyjdzie. —
(*Wychodzi jeden ze sług*).

To mój kuzyn:
Musisz go, moje serce, pocałować,
I być dla niego serdecznie uprzejmą. —
Pantofli! — Czy dziś wody nie dostanę?
(*Jeden ze sług wchodzi z miednicą i dzbankiem*).
Kasieńko, umyj się, bądź tak, jak w domu.
(*Lokaj upuszcza dzbanek*).
A, ty niezdarco, będiesz mi upuszczał? (*Uderza go*).

Katarzyna. Wybacz mu, on to zrobił nieumyślnie.
Petrycy. Bęcwał przekłętą, gap z niedźwiedzią łapą!
(*Przynoszą wieczerzę*).

Usiądź, Kasieńko, pewnie ci się jeść chce;
Czy ty odmówisz modlitwę, czy ja mam? —
Co to jest? ciele?

Pierwszy sługa. Tak.
Petrycy. A kto to przyniósł?

Pierwszy sługa. Ja.
Petrycy. To spalone i tak samo wszystko.

Co za psi naród! Gdzie ten obwieś, kucharz?
Jak wy mi śmiecie, gałgany, podawac
Jadło, którego w gębę wziąć nie można?
Precz z tem! precz! misy, farfury, precz wszystko!
(*Rzuca jadło i naczynie na ziemię*).

Ha, bydło jakieś; ha, ciemięgi! Cóż to?
Jeszcze mruczycie? Dam ja wam tu zaraz.

Katarzyna. Proszę cię, mężu, nie bądź tak drażliwy;
Jedzenie było nie złe, wcale znośne.

Petrycy. Mówię ci, Kasiu, że było spalone
I wysuszone, a takiego właśnie
Kazano mi się strzedz, bo żółc porusza
I robi ludzi skłonnymi do gniewu.
Lepiej więc pośmy (ile że oboje
Jesteśmy już z natury choleryczni),
Niżbyśmy mieli truc się takim jadłem.
Jutro to sobie powetujem, duszko:
Dziś się musimy przepościć oboje.
Pójdź, zaprowadzę cię do twej sypialni.

(*Wychodzi z Katarzyną, za nimi Kurtys*).
Mikołaj. Widziałes kiedy co takiego, Piotrze?
Piotr. On ją pobija na jej własnym gruncie.
(*Wchodzi Kurtys*).

Grumio. Gdzież on jest?
Kurtys. U niej: prawi jej kazanie

O umartwieniu i wstrzemięźliwości;
Klnie, fuka, wrzeszczy, a ona biedaczka,
Nie śmie i trunąć, stąpnąć, oczu podnieść,
I siedzi kiedy miłosierdzie w murku.
Otóż go macie znowu. Uciekajmy!
(*Wybiegają. Petrycy powraca*).

Petrycy. Tak tedy moje rozpocząłem rządy
W dyplomatyczny sposób i rozumem,

Że będę nadal panował spokojnie.
 Mój sokół głodem porządnie zmorzony,
 I póki całkiem rurka mu nie zmięknie,
 Póty mu nie dam się nażreć, inaczej
 Na moje berto nigdyby nie wrócił.
 Mam oprócz tego drugi jeszcze środek
 Na ugłaskanie mego raroga
 Tak, że apelu mego słuchać będzie:
 A tym jest niewczas, niewczas, do jakiego
 Przyniewalamy dzikiego jastrzębia,
 Gdy się trzepoce, tłucze i opiera.
 Nic dziś nie jadła i nic nie dostanie;
 Nie spała przeszłej nocy i tej także
 Nie zmruży oczu: jak pierwiej w wieczerzy,
 Tak teraz znajdę coś do naganienia
 W usłaniu łóżka: rzucę ówdzie kołdrę,
 Ówdzie poduszki, ówdzie prześcieradło:
 I czyniąc taki rejwach, klnać się będę,
 Że to jedynie z troskliwości o nią.
 Słowem, przez całą tę noc musi czuwać.
 Kiwnie-li głową, ja zaraz grzmieć zacznę,
 I krzykiem od niej sen odganiać będę.
 Tak postępując, ze zbytku czułości,
 Można kobietę zabić; tak przełamie
 Sztwywny i twardy umysł mojej żony.
 Jeśli kto umie podobnych Herodek
 Lepiej zażywać, niech mi wskaże środek.
 (*Wychodzi*).

SCENA II.

Ulica w Padwie.

(*Wchodzą: Tranio i Hortensyusz*).

Tranio. Co się waćpanu roi, mości Licyo?
 Czy to być może, aby panna Bianka
 Kogo innego bardziej miała kochać,
 Niż Lucencyusza? Jeżeli to prawda,
 To ona sobie wyraźnie drwi ze mnie.
Hortensyusz. Chcesz-li, signore, sprawdzić to, com mówił,
 To uważ jeno sład, jak on ją uczy.
 (*Usuwiają się na stronę. Wchodzi Bianka i Lucencyusz*).

Lucencyusz. Zajmujeź panią bardzo to, co czytam?
Bianka. A co pan czytasz, niech się wprzód zapytam?
Lucencyusz. Tekst, który wszystkie studia me pochłania,
 A treścią jego jest: »sztuka kochania«.
Bianka. Obyś pan mistrzem mógł w tej sztuce zostać!
Lucencyusz. Z pomocą pani łatwo temu sprostać.
 (*Idą dalej*).
Hortensyusz. Szybkie postępy, dalipan! Cóż na to
 Mówisz, signore? Wszakżeś chciał przysięgać,
 Że panna Bianka nie kocha nikogo,
 Nikogo w świecie tak, jak Lucencyusza?
Tranio. O płci fałszywa! o niestałe serca! –
 Wierzaj mi, Licyo, to rzecz niepojęta!
Hortensyusz. Dosyć już tego kłamstwa! Jam nie Licyo,
 Ani muzykus żaden, ale człowiek
 Darować sobie nie mogący tego,
 Że się, jak błazen, przebierał dla dziewczki,
 Co przyzwoitym konkurentem gardzi,
 A bóstwem swoim czyni liderlicha.
 Wiedz waćpan, że się nazywam Hortensyusz.
Tranio. Słyszałem nieraz, mości Hortensyuszu,
 O twych gorących afektach ku Biance;
 Skoro więc teraz jej lekkomyślności
 Naocznym byłem świadkiem, przedsiębiorę
 Razem z waćpanem, jeżeli chcesz, Bianki
 I jej miłości wyrzec się na zawsze.
Hortensyusz. Patrz, patrz, signore, jak się karesują!
 Oto dłoń moja: ślubuję solennie
 Nigdy się więcej o nią nie ubiegać;
 Owszem wyrzekam się jej bezpowrotnie,
 Jako niegodnej tych uczuć tak czystych,
 Jakem jej dotąd nierozsądnie święcił.
Tranio. I ja podobnież nie płonna, niezłomną
 Składam przysięgę, że jej nie zaślubię
 Nigdy, przenigdy, chociażby mię nawet
 O to błagała. — Tfy! patrz-no, signore.
 Jak się z nim ona obrzydliwie pieści.
Hortensyusz. Oby nią cały świat, prócz niego, wzgardził!
 Co do mnie, żeby tem pewniej dotrzymać
 Mojej przysięgi, ożenię się z pewną
 Bogatą wdową, która mię kochała,
 Kiedy wzdychałem do tej płochej dziewczki;

Chociażby jeszcze dziś do zobaczyska!
Dobroć nie gładkość serce me pozyska.

(*Wychodzi*).

(*Lucencyzus i Bianka wracają*).

Tranio. Signora Bianco! bogdaj nieustanna
Miłości z niebios spadała ci manna! —
Tymczasem dowiedz się, o piękna pani,
Żeś na gorącym zdybana uczynku,
I żem się w skutku tego wyrzekł ciebie,
Wraz z Hortensyuszem.

Bianka. Żartujesz, mój Tranio.
Jakto? Obadwaście się mnie wyrzekli?

Tranio. Tak jest.

Lucencyzus. Więceśmy Licya się pozbyli?

Tranio. Juźci tak; bierze sobie ciepłą wdówkę:

Dziś się oświadczy i dziś się ożeni.

Bianka. Szczęść Boże!

Tranio. I ugłaszczę ją.

Bianka. Tak mówię? Tak mówię?

Tranio. Z pewnością! idzie dlatego do szkoły
Ugłaskiwania.

Bianka. Czy jest taka szkoła?

Tranio. Jest, i Petrycy jest w niej dyrektorem.

Tam on szeroko rozwija prawidła,
Jak się na krnąbrnych używa wędzidła.

(*Wchodzi Biondello*).

Biondello. Ach, panie, byłem tak długo na czatach,
Żem się wygłodził, jak pies; ależ w końcu
Ujrzałem ówdzie schodzącego z góry
Jakiegoś *quidam* podtatusiałego,
Który się może do naszego celu
Kwalifikować.

Tranio. Któż on jest, Biondello?

Biondello. Jakiś bakafarz albo handlujący,

Kaci go wiedzą; ale z chodu, z miny,
Z ubioru całkiem wygląda na ojca.

Lucencyzus. I cóż nam po nim?

Tranio. Jeżeli da wiare

Skomponowanej przeze mnie powieści,

To rad odegra rolę Wincencyzusa,

I zrobi zapis Baptyście Minoli,

Tak, jakby był na prawdę Wincencyzusem.

Zejdźże pan teraz z swą oblubienicą

Na bok i zostaw mię tutaj samego.

(*Wychodzą: Lucencyzus i Bianka. Wchodzi komisant*).

Komisant. Bóg z wami, panie!

Tranio. I z wami podobnie.

Czy pan zostajesz tu, czy idziesz dalej?

Komisant. Przez jaki tydzień lub dwa tu zabawię;

Potem się udam dalej, aż do Rzymu;

A stamtąd, stamtąd może do Trypolis,

Jeśli Bóg życia pozwoli.

Tranio. A skądże,

Jeżeli wolno się spytać?

Komisant. Z Mantui.

Tranio. Z Mantui? — Przebóg! z narażeniem życia...

Tu?...

Komisant. Z narażeniem życia? Jakto, panie?

Toby źle było.

Tranio. Śmierć grozi każdemu,

Kto dziś z Mantui przybywa do Padwy;

Wenecya wasze zabrała okręty,

A doża, który teraz z waszym księciem

Jest w nieprzyjaźni, kazał publikować

Dekret, na mocy którego nie wolno

Wejść tu żadnemu Mantuańczykowi

Pod karą śmierci. Dziwi mię, żeś waćpan

Nie słyszał jeszcze tego ogłoszenia;

Ale to prawda, żeś dopiero przybył.

Komisant. Do licha! to mi bardzo nie na rękę,

Bo mam tu weksle, które oddać muszę,

I do Florencyi walutę wyprawić.

Tranio. Chciałbym waćpanu wyświadczyć przysługę

I dać mu dobrą radę, ale wprzód

Chciej mi powiedzieć, czyś był kiedy w Pizie?

Komisant. Byłem, i nieraz; znam dobrze to miasto,

To gniazdo sławne znakomitych mężów.

Tranio. Znasz-li pomiędzy nimi Wincencyzusa?

Komisant. Nie znam go, alem wiele o nim słyszał:

Ma to być kupiec ogromnie bogaty.

Tranio. Jest to mój ojciec, panie, i na honor,

Z twarzy podobny jest trochę do pana.

Biondello (*na str.*). Zupełnie tak, jak jabłko do ostrygi.

Tranio. To podobieństwo, fortunne dla pana,

(I nie miej tego za pomierne szczęście),

Sprawia, że pragnę tem mocniej mu pomódz
Przez wzgląd na mego ojca. Jego imię,
Jego powaga, będzie pańską tarczą,
A mój dom panu zapewni schronienie.
Bacz pan, ażebyś nie wzbudził podejrzeń:
Rozumiesz? — I tak będziesz mógł pozostać,
Póki nie skończysz swoich interesów.
Jeżeli masz to za przysługę, przyjm ją.
Komisant. Przyjmuję, panie, przyjmuję i wiecznie
Wdzięcznym ci będę, jako dobroczyńcy,
Któremu wolność winienem i życie.
Tranio. Pójdźże pan ze mną i weź się do dzieła.
Muszę mu jeszcze nadmienić nawiasem,
Że tu ma lada dzień przybyć mój ojciec
Dla podpisania aktu interczyzy
Przed moim ślubem z córką niejakiego
Signor Baptisty. Ale o tem potem.
Pójdź pan tymczasem przebrać się stosowniej.
(*Wychodzą.*)

SCENA III.

Pokój we dworze Petrycego.

(*Katarzyna i Grumio.*)

Grumio. Nie mogę! jak mi Bóg miły! nie mogę!

Katarzyna. Nie dość mę dręczyć, jeszcze sztydzi ze mnie.

Czyliż on ze mną się ożenił na to,
Żeby mnie głodzić? Żebrak, gdy zapuka
Do drzwi mojego ojca, poprosiwszy,
Zaraz dostaje wsparcia, lub jeżeli
Tam mu odmówią, znajdzie je gdzieindziej;
A ja, com nigdy o nic nie prosiła,
I prosić nigdy nie miałam potrzeby,
Umieram z głodu, z niewczasu upadam,
Cucona krzykiem, kłátwami sycona.
Lecz co mię korci gorzej niż to wszystko,
To to, że on to czyni z wielkiej niby
Miłości ku mnie; rzekłbyś, że jak tylko
Jeść i spać będę, niechybnie popadnę
W ciężką chorobę i wyzionę ducha. —

Proszę cię, przynieść mi co do zjedzenia;

Mniejsza co, byle się tylko jeść dało.

Grumio. Naprzykład nogi wołowe?

Katarzyna. Ach, dobrze!

Postaraj się o nogi, mój kochany.

Grumio. Boję się, czy to nie za ostre jądło. —

A gdyby flaki, dobrze wysadzone?

Katarzyna. I owszem, daj mi ich, kochany Grumio.

Grumio. Bogdaj czy one na krew nie działają.

Możeby lepiej bifsztyku z musztardą?

Katarzyna. Ach, to potrawa, którą bardzo lubię.

Grumio. To dobrze, ale musztarda rozpala.

Katarzyna. Niech więc sam bifszyk będzie bez musztardy.

Grumio. Sam? bez musztardy? bez musztardy bifszyk?

To nie uchodzi: weź pani musztardę.

Albo inaczej nie dam i bifsztyku.

Katarzyna. Daj więc oboje, albo jedno z dwojga.

Grumio. A więc musztardy samej bez bifsztyku?

Katarzyna. Idź precz, grubiański dowcipnisiu! cóż to?

Będziesz mię karmił nazwiskami potraw?

(*Uderza go.*)

Bodajżeś zmarniał, z całą waszą kliką,

Co się z niedoli mej tak naigrawa! —

Precz z moich oczu! — Precz!

(*Wchodzi Petrycy z półmiskiem, a z nim Hortensyusz.*)

Petrycy. Cóż tam, Kasieńko?

Kochanie, czego taka pognębiona.

Hortensyusz. Witam cię, pani.

Katarzyna. Ja nie pani.

Petrycy. Nuże,

Rozjaśnij czoło, spójrz wesoło na mnie.

Patrz, luba, jakem troskliwy o ciebie:

Samem przyrządził to, i sam przynoszę.

(*Stawia półmisk na stole.*)

Taka uprzejmość, spodziewam się, Kasiu,

Warta podzięk. — Jakto? ani słowa?

Widać, że tego nie jadasz, i cała

Moja usilność na nic się nie zdała. —

Hola! zabierzcie półmisk!

Katarzyna. Niech stoi!

Petrycy. Za grzeczność płaci się podziękowaniem,

I ty tak samo uczynisz za moją,

Nim się tkniesz jądła.

Katarzyna. Dziękuję ci, panie.
Hortensyusz. Ejże, Petrycy, przestań. — Siadaj pani,
Będę jej służył za współbiesiadnika.

Petrycy (*po cichu do niego*).
Zjedz wszystko, jak mnie kochasz, Hortensyuszu.
(*Głośno do niej*).

Niech ci to będzie, Kasieńko, na zdrowie:
Jedz prędko. — Teraz, mój aniołku drogi,
Pojedziem nazad do twojego ojca.
Tamto będziemy hulać, paradować
W jedwabnych szatach, pierścieniach, alszbantach,
W manelach, krezach, robronach, żużmantach,
W misternych haftach, złocistych upleciach,
Wstążkach i innych podobnych rupiecicach.
Zjadłaś już? krawiec czeka w przedpokoju,
By ci przymierzyć chrzęszczącego stroju.
(*Wchodzi krawiec*).
Pójdźże wasze, pani już skończyła jadło.
(*Wchodzi modniarka*).

Modniarka. Beret na waszej miłości rozkazy.

Petrycy. Co za kształt! rychtyk przykrywka od wazy;
Jedwabna miska. — Jakie to niezdarne,
Jakie niesmaczne, jakie ordynarne!
Zupełnie kieby łupina migdała,
Lub muszla, w której ostryga siedziała.
Kto się w tem wyda? Kogo to upiększy?
Zabierz go sobie wasani, zrób większy.

Katarzyna. Ten dobry: damy najlepszego tonu
Noszą berety takiego fasonu.

Petrycy. Nabierzże tonu lepszego, kochanie,
A sprawięć taki.

Hortensyusz (*na str.*). Nie prędko dostanie.
(*Wychodzi modniarka*).

Katarzyna. Cóż to? czyliż mi mówić już nie wolno?

Będę mówiła, bom nie żak, nie dziecko.
Lepsi słuchali mego zdania, jeśli
Waćpan nie możesz, to stul sobie uszy.
Z ust moich musi wyjść to, co wrae w sercu,
Boby mi serce pękło od milczenia.
Nie, nie, powiadam, nimby to się stało,
Dam z pełna wolność memu językowi.

Petrycy. Masz słuszność, serce, beret ten szkaradny;
Istna skorupa z ciasta do pasztetu.

Jakże cię za to Kocham, że go nie chcesz!
Jakże cię Kocham!

Katarzyna. Kochaj mię, nie Kochaj,
Ja go chcę; albo ten, albo żadnego.

Petrycy. Chcesz sukni? Dobrze. — Pójdź tu, krawcze, pokaż.
O miły Jezu, cóż to za cudactwo!
Co to jest? Rękaw? Chyba śmigownica.
Ukarbowany u góry i dołu,
Jak ciasto z jabłek. A co tu wykrawek
W ząbki i trąbki, w esy i floresy!
Jak u fajerki w zakładzie balwierza.
Jak ty to, krawcze, nazywasz, u dyabła?

Hortensyusz (*na str.*). Widzę, że z suknią będzie, jak z be-
[retem].

Krawiec. Kazał ją przecie wielmożny pan zrobić
Najnowszym krojem, według świeżej mody?

Petrycy. Prawda, kazałem, ale czym powiedział:
Zepsuj ją według mody? Jako żywo!
Wracaj mi wasze zaraz, skąd przyszedłeś,
Bo odtąd we mnie straciłeś kundmana.
Precz! nie chcę tego. Zrób z tem, co chcesz.

Katarzyna. Nigdy

Piękniej zrobionej sukni nie widziała,
Gustowniej, zgrabniej i staranniej! Chcesz-li
Wystrychnąć mię na maryonetkę?

Petrycy. Właśnie
On chce wystrychnąć cię na maryonetkę.

Krawiec. Ona mówiła, z przeproszeniem pańskim,
Że to wielmożny pan chce ją wystrychnąć
Na maryonetkę.

Petrycy. Czelną zuchwałości!
Kłamiesz, ty nitko, ty naparstku, łokciu,
Trzy ćwierci łokcia, pół-ćwierć-łokcia, calu!
Ty pchło, ty gnido, ty zimowy świerszczu!
Niciany motek będzie mi uragał
W mym własnym domu? — Precz, łatko! Odkrawku!
Albo ci łokciem tak przemierzę plecy,
Że ci się fątrów odechce na zawsze!
Mówię ci, żeś tę suknię sfuszerował.

Krawiec. Myli się wasza wielmożność; ta suknia
Była robiona według obstalunku
Najakuratniej: Grumio dał instrukcję.

Grumio. Jam dał materyę, instrukcyi nie dałem.

Krawiec. A jakżeś żądał, żeby była szyta?

Grumio. Ta jużci, igłą i nitką, nie inak.

Krawiec. Ale jakimżeś krojem ją zamówił?

Grumio. Waszeć krajałeś już na różny sposób?

Krawiec. Tak jest.

Grumio. Ale jeżeli teraz kroisz na to, żeby się mną zasłonić, to ci się nie uda. Powiadam ci, kazałem twojemu majstrowi skroić suknię, ale nie kazałem jej na kawałki pokrajać: *ergo*, kłamiesz.

Krawiec. Oto kartka obstalunku na dowód.

Petrycy. Przeczytaj ją.

Grumio. Ta kartka łąze, na czem świat stoi, jeżeli mówi, że ja tak obstalowałem.

Krawiec (*czyta*). »*In primis*, suknia wolno-popuszczana«.

Grumio. Jeżeliś ją o popuszczaniu choć słowo powiedział, to niech mnie pan każe zaszyć w obrąbek u tej sukni, załtuc na śmierć kłębkami szarych nici. Powiedziałem tylko: suknia wolna.

Petrycy. Dalej!

Krawiec. »Z małym okrągłym kołnierzem«.

Grumio. Przyznaję się do kołnierza.

Krawiec. »Z buchatym rękawem«.

Grumio. Przyznaję się do dwóch rękawów.

Krawiec. »Rękawy wytworknie wycinane«.

Petrycy. Otóż tu jest szelmstwo.

Grumio. Ta kartka łąze, panie, ta kartka łąze. Kazałem, żeby rękawy były wycięte, a potem zszyte napowrót; i dowiodę tego na twojej skórze, chociaż twój mały palec jest uzbrojony w napałek.

Krawiec. Nie mijam się z prawdą w tem, co mówię, i sambyś przyznał, gdybym cię miał pod ręką gdzieindziej.

Grumio. Gotów ci jestem służyć zaraz: nie jestżeś w surducie kortowym?

Krawiec. Tak jest.

Grumio. Masz więc kord przy boku; daj mi swój krawiecki łokieć i pokaż mi, gdzie raki zimują.

Hortensyusz. Ha! ha! kusoby wyszedł na tej walce.

Petrycy. Bądź jak bądź, suknia ta nie dla mnie.

Grumio.

Jużci

Ona dla pani.

Petrycy. Zdejm ją, niech z nią majster

Zrobi, co zechce.

Grumio. Ani się waź! Jakto?

On ma zdejmować suknię mojej pani,

Aby z nią jego majster, co chce, robił?

To być nie może.

Petrycy (*na str.*). Hortensyuszu, powiedz,

Że za tę suknię będzie zapłacony.

(*Głośno*). Idź wasze, zabierz to; precz, ani słowa!

Hortensyusz (*po cichu do krawca*). Słuchaj, zapłacę jutro za [tę suknię.

Wybacz mu jego zbytnią opryskliwość

I pozdrów majstra swojego ode mnie.

(*Wychodzi krawiec*).

Petrycy. No, Kasiu, jedźmyż do twojego ojca,

Tak jak jesteśmy, w starych, skromnych sukniach;

Worek nasz pyszny będzie, strój ubogi:

Boć to duch nasze ubogaca ciało;

I jako promień słońca się przebija

Przez najciemniejsze chmury, tak szlachetność

Przez najpodlejszą przebija się szatę.

Jestże ciemniejszą kraska, niż skowronek,

Przeto że pióra jej są okazalsze?

I jestże żmija lepszą od wegorza

Przeto, że pstra jej skóra oko bawi?

O nie, Kasienko; podobnież i ciebie

Nie czyni gorszą ubiór niepokazny.

Jeśli zaś wstyd ci w nim, zrzuć winę na mnie.

A zatem jedźmy raźnie i wesoło

Do twego ojca, bawić się i hulać. —

Grumio, idź powiedz, żeby nam do kopca

Przyprowadzono konie; tam wsiądziemy,

Do tego miejsca pójdziem sobie pieszo.

Teraz nie musi być więcej jak siódma;

Staniem na miejscu w sam raz przed wieczerzą.

Katarzyna. Upewniam pana, że dopiero druga,

I nim tam staniem, będzie po wieczerzy.

Petrycy. Nie rusz się stąd wprzód, aż będzie siódma.

Że mnie też musisz kontrować we wszystkim,

Co mówię, czynię i zamierzam czynić.

Kiedy tak, wcale dzisiaj nie wyjadę,

A gdy wyjeżdżać będę, wtędy taka

Będzie godzina, jak powiem, nie inna.

Hortensyusz. On słońcu nawet rozkazywać gotów.

(*Wychodzą*).

SCENA IV.

Padwa. Przed domem Baptysty.

(Wchodzą Tranio i komisant, przebrany za Wincencyusza).

Tranio. Oto dom signor Baptysty Minoli.
Mamże zawołać?

Komisant. Nie inaczej. Sądzę,
Że pan Baptysta przypomni mnie sobie:
Będzie dwadzieścia lat temu w Genui,
Staliśmy obaj w domu pod Pegazem.

Tranio. Dobrze: zachowaj pan taki charakter
Z całą powagą, jak przystoi ojcu.
(Wchodzi Biondello).

Komisant. Spuść się pan na mnie. — Wszak to sługa pański?
Dobrzeby może było go uprzedzić.

Tranio. O niego się pan nie troszcz. Hej, Biondello!
Wiesz, co masz czynić; nie podrywaj głowę:
Pamiętaj, że to Wincencyusz prawdziwy.

Biondello. No, no, wiem przecie; nie bójcie się państwo.

Tranio. A czyś Baptystę uwiadomił o tem?

Biondello. Uwiadomilem go, że ojciec pański
Wraca z Wenecyi i dziś tu ma przybyć.

Tranio. Walny chłop z ciebie; na, masz tu na piwo.
Oto Baptysta: pilnuje się waćpan.

(Wchodzą Baptysta i Lucencyusz).

Signore, szczęśny traf cię tu sprowadza!
Oto mój ojciec. Ojcze, jest to właśnie
Ów pan, o którym ci mówiłem. Zechćciej
Postąpić sobie ze mną po ojcowsku
I posiadanie Bianki mi zapewnić
Ofiarą mojej ojcowizny.

Komisant *(do Baptysty).* Zwolna,
Zwolna, mój synu. — Racz mię pan wysłuchać.
Zaledwem stanął w Padwie, gdzie przybyłem
W celu ściągnięcia niektórych zaległych
Wierzytelności, powierzył mi syn mój,
Lucencyusz, ważny przedmiot, dotyczący
Zbliżenia swego z pańską córką. Otóż,
Przez wzgląd na dobre, jakie pan masz, imię,
Oraz na miłość, jaką syn mój żywi
Ku pańskiej córce i ona ku niemu,

Nie chcę z ojcowskiej pieczołowitości
Opóźnić jego szczęścia i dlatego
Na ożenienie się jego pozwalam.
Jeśli pan równie chętnie powiesz »Zgoda«,
To gdy się z sobą wprzód porozumiemy,
Znajdziesz mię skłonny do wszelkich ustąpień
Przy podpisaniu przedślubnego aktu;
Bo niepodobnaby mi było czynić
Trudności panu Baptyście Minoli,
O którym tyle dobrego słyshałem.

Baptysta. Wybacz mi, panie, to, co mam powiedzieć.

Podoba mi się wasz otwarty, zwięzły
Sposób mówienia. Że wasz syn, Lucencyusz,
Kocha mą córkę i ona go wzajem,
To szczerza prawda, chybaby oboje
Skłonność ku sobie zręcznie udawali;
Jeśli więc nie masz pan do powiedzenia
Nic więcej nad to, jak, że chcesz z twym synem
Wyjść po ojcowsku i wystarczającą
Mojemu dziecku zapewnić oprawę,
To rzecz skończona; syn pański otrzyma
Rękę mej córki z mojem przyzwoleniem.

Tranio. Dzięki ci, panie. Gdzież ci się wydaje
Najodpowiedniej zaręczyć nas, tudzież
Sporządzić układ, jaki ma za zgodą
Jednej i drugiej strony być zawarty?

Baptysta. Tylko nie u mnie: wszak wiesz, Lucencyuszu,
Że mury mają uszy; mam sług wiele
I stary Grumio ciągle jest na czatach:
Łatwoby mogli nam przerwać.

Tranio. A zatem
W mojem mieszkaniu, jeżeli się na to
Zgadzasz, signore; tam stoi mój ojciec
I tam dziś jeszcze wieczór będziem mogli
Cicho, spokojnie załatwić tej sprawę.
Poślij po córkę swojego człowieka,
A notaryusza sprowadzi mój chłopiec.
Najgorsze to jest, że dla braku czasu
Znajdziecie państwo brak przygotowania.

Baptysta. O to nie stoję. — Kambio, bieź do domu
I powiedz Biance, żeby każdej chwili
Była gotowa pójść tam, gdzie jej wskażą.
Jeśli chcesz, to jej możesz opowiedzieć,

Co się zdarzyło: Lucencyusza ojciec,
Powiedz jej, przybył do Padwy i wkrótce
Zostanie może Lucencyusza żoną.

Lucencyusz. Aby nią była, z serca błagam bogów.

Tranio. Daj wasze pokój bogom i pośpieszaj.

Signor Baptysto, czyliż będziesz łaskaw
Pójść z nami zaraz? Jakże pyszny będę
Z takiego gościa! Ale za traktament
Z góry cię muszę przeprosić, mój teściu:
W Pizie inaczej będzie.

Baptysta. Służę panom.

(*Wychodzą Tranio, komisant i Baptysta.*)

Biondello. Panie Kambio.

Lucencyusz. Cóż mi powiesz, Biondello?

Biondello. Widziałeś, panie Kambio, jak mój pan mrugał
i uśmiechał się do ciebie?

Lucencyusz. Cóż to miało znaczyć?

Biondello. Nic nie miało znaczyć; tylko mi kazał tu po-
zostać, ażebym panu wytłómaczył i podał sens mo-
ralny tych znaków.

Lucencyusz. Słucham tego wykładu moralności.

Biondello. A zatem brzmi on tak: Baptystę mamy już
w kieszeni; rozmawia on teraz najswobodniej z kła-
manym ojcem kłamiącego syna.

Lucencyusz. Dobrze; cóż dalej?

Biondello. Masz pan przyprowadzić na wieczerzę jego
córkę.

Lucencyusz. A potem?

Biondello. Stary pleban z kościoła św. Łukasza każdej
godziny czeka na wasze wezwanie.

Lucencyusz. I cóż będzie z tego wszystkiego?

Biondello. Nie umiem powiedzieć; wiem tylko tyle, że
się oni tam teraz zajmują zmyślonem ubezpieczeniem
oprawy. Zajmijże się pan ubezpieczeniem sobie panny,
cum privilegio ad imprimendum solum, machnij co żywo
do kościoła, weź księdza, zakrystyana i parę wiarogo-
dnych świadków.

Jeśli zaś za nic ważysz moje słowa,

To powiedz Biance na zawsze: bądź zdrowa.

Lucencyusz. Słuchaj, Biondello —

Biondello. Nie mam czasu. Znałem pewną dziewczynę,
która poszła za mąż tego samego dnia po południu,
w którym poszła w ogrodzie rwać pietruszkę dla na-

karmienia nią królików; możesz i pan tak zrobić i do
widzenia. Mój pan kazał mi pójść do Św. Łukasza
i zamówić księdza, aby był na miejscu, jak pan przyj-
dziesz ze swoim aneksem.

(*Wychodzi.*)

Lucencyusz. Mogę to zrobić i chcę, jeśli tylko
Bianka nie będzie wzbronną; ale ona
Przystanie na to, dlaczegoż mam wątpić?
Niech się więc co chce stanie! Kambio, śmiało!
Byłbyś cap, gdyby ci się nie udało.

(*Wychodzi.*)

SCENA V.

Gościńnic.

(*Wchodzi Petrycy, Katarzyna i Hortensyusz.*)

Petrycy. Prędejeże, prędeje! Czyliż ci nie pilno
Uściskać ojca? Prędeje! Miły Boże!

Jak pięknie księżyc przyświeca! jak jasno!

Katarzyna. Księżyc? Skąd teraz księżyc? Wszak to słońce!

Petrycy. Mówię, że księżyc przyświeca tak jasno.

Katarzyna. Wiem, że to słońce przyświeca tak jasno.

Petrycy. Na syna matki mojej, którym jestem

W własnej osobie! musi to być księżyc

Lub gwiazda lub cokolwiek zechcę,

Wprzód nim pojedę do twojego ojca. —

Hej, odprowadźcie konie nazad! — Zawsze

Na każdym kroku sprzeczeki, wieczne sprzeczeki!

Hortensyusz. Ustąp mu pani, bo inaczej nigdy

Nie ruszyc z miejsca.

Katarzyna. Idźmyż dalej, proszę,

Skorośmy tyle drogi już przebyli.

Niechaj to będzie słońcem lub księżycem,

Lub czembądź, co ci się tylko podoba;

Chociażby ci się podobało nawet

Nazwać to świecą, powiem, że to świeca.

Petrycy. Powiadam, że to księżyc.

Katarzyna. Juźcić księżyc.

Petrycy. Patrzyć, jak kłamiesz, wszak to król dnia, słońce!

Katarzyna. Prawda, że słońce, albo i nie słońce,

Jeżeli powiesz; nie, a księżyc — księżyc

Zmienia się często, tak jak twoje zdanie.

Czembądź to nazwiesz, tem to jest w istocie

I pewnie będzie tem dla Katarzyny.

Hortensyusz. Ciesz się, Petrycy, zwycięstwo przy tobie.

Petrycy. No, jedźmyż teraz! Tym sposobem kula

W prostym kierunku biedz będzie, nie w innym

Jak jest rzuconą. — Ale cicho; cóż to

Za towarzystwo nam przybywa?

(Wchodzi Wincencyusz, ubrany po podróznemu).

(Do Wincencyusza).

Witaj,

Piękna panienko, gdzie to Bóg prowadzi?

Powiedz mi, luba Kasiu, powiedz szczerze,

Czyś kiedy dziewczę widziała tak świeże?

Jak na jej licach białość walkę toczy

Z żywym rumieńcem! A cóż to za oczy!

O nimfo, jeszcze raz pozdrawiam ciebie.

Uściśnijże ją za to, że tak piękna.

Hortensyusz. On go przypawi jeszcze o szaleństwo,

W biednego starca wmawiając panieństwo.

Katarzyna. Hoża dziewico, wdzięczny pączku róży,

Skąd idziesz? powiedz, gdzie cel twej podróży?

Szczęśni rodzice takiego dziecięcia

Szczęśliwszy młodzian, któremu objęcia

Swoje otworzysz i do swego łona...

Petrycy. Co też nie pleciesz, Kasiu? Czyś szalona?

To starzec zwiedły, pomarszczony, siwy,

A nie dziewica, którą go być mienisz.

Katarzyna. Wybacz, staruszk, ten błąd z oczu moich;

Błask słońca olśnił mię tak, że mi wszystko,

Co tylko widzę, zdaje się zielonem:

Teraz poznaję, żeś czcigodny starzec.

Jeszcze raz proszę, wybacz tę pomyłkę.

Petrycy. Wybacz, poczciwy dziaduniu, a przytem,

Chciej nam powiedzieć, dokąd dążysz: jeśli

W tę co my stronę, to nam miło będzie

Odbywać drogę w towarzystwie twojem.

Wincencyusz. Mój miły panie i ty zajmująca,

Wesoła damo, coś mię odurzyła

Tak osobliwem powitaniem, wiedzcie,

Że moje miano jest Wincencyusz, Piza

Moją ojczyzną, a dążę do Padwy

Odowiedź syna, którego od dawna

Już nie widziałem.

Petrycy. Jakże on się zowie?

Wincencyusz. Lucencyusz, panie.

Petrycy. Co za traf szczęśliwy

Dla nas, a zwłaszcza dla twojego syna!

Teraz możemy cię nazywać ojcem

Tytułem związków krwi, nietylko wieku;

Bo siostra mojej żony, tej tu damy,

Jest teraz, panie, żoną twego syna.

Nie dziw się, ani gniewaj; jest to zacna,

Młoda osoba, z przywoitem wianem,

Z dobrego domu, słowem, pełna zalet,

Jakich się żąda od żony szlachcica.

Pozwólże mi się uściskać, tatulu,

I pozwól, byśmy ci towarzyszyli

Do poczciwego syna twego, który

Z przybycia twego wielce się ucieszy.

Wincencyusz. Jestże to prawda? Czy też żart niewczesny

Z napotkanego na drodze przechodnia?

Hortensyusz. Ręczę ci, panie, że tak jest.

Petrycy. Pójdź z nami,

To się przekonasz: niedowierzasz pewnie

Z powodu naszej poprzedniej pustoty.

(Wychodzą Petrycy, Katarzyna i Wincencyusz).

Hortensyusz. Petrycy, dzięki, to mi dało serca;

Dalej do wdówki! Niech moja bogdanka

Jak chce, się sroży, zmienię ją w baranka.

(Wychodzi).

AKT PIĄTY.

SCENA I.

Padwa. Przed domem Lucencyusza.

(Lucencyusz, Bianka i Biondello; nieco później Gremio).

Biondello. Żywo a cicho! śpiesz się pan: ksiądz już czeka.

Lucencyusz. Lecę, mój Biondello, ale może będziesz potrzebny w domu. Wróć się.

Blondello. Jako żywo! wprzód państwo musicie się obrócić tyłem do kościoła, wtędy wrócę do mojego pana, jak będę mógł najprędeż.

(Wychodzą Lucencyusz, Bianka i Biondello).

(Wchodzi Grumio).

Gremio. Rzecz dziwna, gdzie to Kambio się obraca.

(Wchodzą Petrycy, Katarzyna i Wincencyusz, za nimi studzy).

Petrycy. Oto drzwi domu signor Lucencyusza;

Mój ojciec mieszka dalej, w podłe targu;

Muszę tam śpieszyć, więc zostawiam pana.

Wincencyusz. Musimy z sobą wprzód koniecznie wypić

Parę kieliszków. Sądję, że w tym domu

Będzie mi wolno rządzić się, jak w własnym,

I znajdźmi pewnie w nim jaką przekąskę.

(Puka do drzwi).

Gremio. Trzeba mocniej pukać, bo oni tam są zatrudnieni.

(Komisant ukazuje się w oknie).

Komisant. Któż to tam puka, jakgdyby chciał drzwi wysadzić?

Wincencyusz. Czy signor Lucencyusz jest w domu?

Komisant. Jest w domu, ale nie w możności widzenia się z kimkolwiek.

Wincencyusz. A gdyby mu też ktokolwiek przyniósł sto albo paręset dukatów na dzień dobry?

Komisant. Zachowaj waćpan swoje dukaty dla siebie, on ich nie potrzebuje, dopóki ja jestem przy życiu.

Petrycy. Nie powiedziałem jegomości, że wasz syn ma w Padwie przyjaciół? — Słuchaj-no, mój panie; odkładając na bok wszelkie zbyteczne omówienia, proszę cię, powiedz signor Lucencyuszowi, że ojciec jego przybył z Pizy i stoi tu przed drzwiami, chcąc z nim pomówić.

Komisant. Kłamiesz waćpan: jego ojciec przybył z Pizy i wygląda tu przez okno.

Wincencyusz. Waćpan jesteś jego ojcem?

Komisant. Nie inaczej; tak mówi jego matka, jeżeli jej wierzyć mogę.

Petrycy *(do Wincencyusza).* Cóż to jest, mój panie? Wszakże to jawne oszustwo przywłaszczając sobie cudze imię.

Komisant. Przytrzymajcie tego niecnotę: on chce pod moją pokrywką oszukiwać ludzi!...

(Wchodzi Biondello).

Biondello. Widziałem ich oboje w kościele; niechże mi

Bóg da wiatr pomyślny! — Ale któż to tu? Nasz stary pan Wincencyusz! Zgubieni jesteśmy! w niwecz obrócenie.

Wincencyusz. Pójdź-no tu, ty dezerterze od stryczka.

Biondello. Jeszcze-ć mi na to nie przyszło, Bogu dzięki.

Wincencyusz. Pójdź tu, obwiesiu. Cóż to, nie przypominasz mnie sobie?

Blondello. Czy was sobie nie przypominam? Nie mogę sobie was przypomnieć, skorom was w życiu mojem nie widział.

Wincencyusz. Jakto? wierutny łotrze, nie widziałeś w życiu swoim ojca twego pana, Wincencyusza?

Blondello. Mego starego, czcigodnego pana? Juźci, widziałem go i widzę: wygląda tam przez okno.

Wincencyusz *(uderzając go).* Doprawdy?

Blondello. Gwałtu! gwałtu! Jakiś szalony człowiek chce mnie zabić. *(Wybiega).*

Komisant. Na pomoc, mój synu! na pomoc, signor Baptisto! *(Znika z okna).*

Petrycy. Usuńmy się, Kasiu, na stronę, i patrzmy, co się dalej stanie. *(Oddalają się na stronę).*

(Wchodzą: komisant, Baptista, Tranio, za nimi studzy).

Tranio. Kto waćpan jesteś, co się poważasz bić mojego sługę?

Wincencyusz. Kto jestem, panie? a któż waćpan jesteś? Bogowie nieśmiertelni! Ten hultaj przybrany po pańsku! Jedwabny kaftan, aksamitne spodnie, płaszcz purpurowy i stosowany kapelus! Zgubiony jestem, zgubiony! Wtenczas, kiedy ja w domu kurczę się i oszczędzam, mój syn i mój służący trwonią wszystko na uniwersytecie.

Tranio. Co to wszystko ma znaczyć?

Baptysta. Czy ten człowiek cierpi obłąkanie?

Tranio. Mości panie, z ubioru wydajesz się być statecznym i rozsądnym starcem, ale wasza mowa zdradza pomieszanie zmysłów. Co waćpanu do tego, że ja chodzę w perłach i w złocie? Dzięki mojemu kochanemu ojcu, stać mię na to.

Wincencyusz. Twojemu ojcu? O, łotrze! On szyje żagle w Bergamo.

Baptysta. Mylisz się waćpan, mylisz się; powiedz mi, proszę, jak myślisz, że on się nazywa?

Wincencyusz. Jak on się nazywa? Jaźbym nie wiedział,

jak on się nazywa, ja, com go od trzeciego roku jego życia wychował? Nazywa się Tranio.

Komisant. Precz stąd, postrzelony półgłówku! On się nazywa Lucencyusz i jest jedynym synem i dziedzicem signor Wincencyusza, to jest moim.

Wincencyusz. On, Lucencyusz? Ach, on pewnie zgładził swego pana! Przyaresztujcie go, wzywam was o to w imieniu księcia. O synu, synu mój! Mów, nędzniku, gdzie mój syn Lucencyusz?

Tranio (*do sług*). Idźcie sprowadzić tu kogo z policyi.

(*Jeden ze sług wychodzi i wraca z policjantem*).

Zaprowadź waćpan tego szalonego człowieka do więzienia. Signor Baptysto, wkładam na ciebie obowiązek, aby mu ta napaść płazem nie uszła.

Wincencyusz. Mnie do więzienia prowadzić?

Gremio. Wstrzymaj się, mości policyjancie. Nie kwapcie się tak, panowie, z posyłaniem go do więzienia.

Baptysta. Nie wtrącaj się, signor Gremionie: on musi pójść do więzienia.

Gremio. Strzeż się, signor Baptysto, żebyś czasami w kłopot nie popadł w tej sprawie: gotówem przysiąc, że to prawdziwy Wincencyusz.

Komisant. Przysięż, kiedyś gotów.

Gremio. Gotówem, ale nie koniecznie zaraz.

Tranio. Możesz także gotów powiedzieć, że ja nie Lucencyusz?

Gremio. To co innego; o waćpanu wiem, żeś Lucencyusz.

Komisant. Precz z tym starym głupcem! Do więzienia z nim!

Wincencyusz. Także traktują w Padwie cudzoziemców! O, bezprzykładna zgrozo!

(*Biondello wraca z Lucencyuszem i Bianką*).

Biondello. Tak, panie, jesteście zgubieni. Otóż on; dla Boga, wyprzyj się go pan, wyprzyśiąż; inaczej zginieliśmy.

Lucencyusz (*klękając*). Przebac mi, ojcze!

Wincencyusz. Żyjesz, drogi synu?

(*Biondello, Tranio i komisant uciekają*).

Bianka (*klękając*). Ojcze mój, przebac!

Baptysta. Cóżś uczyniła?

Gdzie jest Lucencyusz?

Lucencyusz. Tu, w mojej osobie:

Prawy Lucencyusz, którego w tej dobie
Z córką twą, panie, święty ślub zjednoczył,
Gdy zwodny obłęd zmysły twoje mroczył.

Gremio. Co za niegodziwa zмова na oszukanie nas wszystkich!

Wincencyusz. Gdzież to jest Tranio, ten czart w ludzkim [ciele,

Co mi tu puszczał w nos takie szmermele?

Baptysta. Więc to nie Kambio? A, do paralusa!

Bianka. Kambio się nagle zmienił w Lucencyusza.

Lucencyusz. Miłość zrządziła ten cud. Miłość Bianki

Trania kazała mi wziąć na się postać,

Kiedy tymczasem on moją grał rolę;

I dopłynąłem nareszcie do portu

Upragnionego szczęścia. Trania winą

Jest wypełnienie mojego rozkazu.

Przebac mu przez wzgląd na mnie, ojcze drogi.

Wincencyusz. Obetnę uszy temu hultajowi,

Co mnie chciał wsadzić do więzienia.

Baptysta. Ale

Słuchaj-no waćpan: więceś się ożenił

Z Bianką, nie troszcząc się, czy ja pozwolę?

Wincencyusz. No, no, uspokój się, signor Baptysto,

Wyjdziemy z sobą jakoś tam na czysto.

Ale wprzód spoczne, bo czuję fatywę.

(*Wychodzi*).

Baptysta. A ja rozgmatwam tę niecną intrygę.

(*Wychodzi*).

Lucencyusz. Nie trwóż się, Bianco, ojciec się przebłaga.

(*Wychodzi z Bianką*).

Gremio. Dostawszy kosza, przynajmniej pospołu

Z całą kompanią zasiądę do stołu.

(*Wychodzi*).

(*Petrycy i Katarzyna występują na przód sceny*).

Katarzyna. Pójdźmy za nimi, mój mężu: ciekawam,

Jak się to skończy.

Petrycy. Pocałuj mię wprzód.

Katarzyna. Tu, na ulicy? fe!

Petrycy. Czy się mnie wstydzisz?

Katarzyna. Nie ciebie, ale wstyd mi tu całować.

Petrycy. Jedźmyż napowrót. Zawsze z kontrolaniem!

Katarzyna. Już pocałuję. — Cóż teraz? Zostaniem.

Petrycy. Czy tak nie lepiej? Nie czcze to ambaje,

Że dwakroć daje ten, co prędko daje;
Lecz nie mniej prawdy tkwi i w tym morale,
Że lepiej późno dać, niż nie dać wcale.
(*Wychodzi*).

SCENA II.

Pokój w mieszkaniu Lucencyusza.

(*Uczta zastawiona. Baptysta, Wincencyusz, Gremio, Komisant, Lucencyusz, Bianka, Petrycy, Katarzyna, Hortensyusz, Pani Dorota. W głębi Tranio, Biondello, Grumio i inni słudzy, oczekujący rozkazów*).

Lucencyusz. Nareszcie struny nasze się zgadzają,
I mogę teraz po skończonej wojnie
Śmiać się z przebytych trwóg i niebezpieczeństw.
Upadnij, Bianco, do móg memu ojcu,
Ja zaś tak samo upadnę twojemu.
Bracie Petrycy, siostró Katarzyno,
I ty, z twą miłą żonką, Hortensyuszu,
Bądźcie mi z serca pozdrowieni, przyjmcie
Skromny posiłek; siadajcie, bo siedząc
Zarówno dobrze się je i rozmawia.
(*Siadają do stołu*).

Petrycy. Koniecznie siedzieć i jeść, jeść i siedzieć!

Baptysta. Uprzejmość w Padwie jest rodzimą.

Petrycy. Wszystko,

Co jest rodzimem w Padwie, jest uprzejmem.

Hortensyusz. Oby tak było dla dobra nas obu!

Petrycy. Hortensyusz pije do swojej epuy.

Pani Dorota. Nie sądzę: przecież próżny ma kieliszek.

Petrycy. Sąd pani, zwykle tak trafny, tym razem

Nie trafił w sedno, ja chciałem powiedzieć,

Że on o pani troszczy się uprzejmość.

Pani Dorota. Kto cierpi zawrót, temu świat się kręci.

Petrycy. Wykręt niezgorszy.

Katarzyna. Co to miało znaczyć?

Pani Dorota. Nie wiem, co począć, pani, pod naciskiem

Twojego męża.

Petrycy. Pod moim naciskiem?

Nie wie, co począć? słyszysz, Hortensyuszu?

Jak ci się to podoba?

Hortensyusz. Pod naciskiem

Twoich przekąsów, to chciała powiedzieć.

Petrycy. Dobrze objaśnił. Pocałuj go za to,
Pani Doroto.

Katarzyna. Świat się kręci temu,
Kto cierpi zawrót. Niech mi wolno będzie
Spytać, coś pani przez to rozumiała?

Pani Dorota. Mąż pani myśli, że mój z swoją żoną
Będzie miał dołę jak on uprzykrzoną.
To rozumiałam, pani.

Katarzyna. Rozumienie

Dość nierozumne.

Pani Dorota. Bo dotyczy pani.

Katarzyna. Byłabym, w rzeczy samej, nierozumną,
Gdybym zważała na waćpanią.

Petrycy. Kasiu,

Dalejże do niej! huź!

Hortensyusz. Dalejże do niej,

Moja Dorotko!

Petrycy. Idzie o sto marek,

Że Kasia wsiądzie na nią?

Hortensyusz. To rzecz moja.

Petrycy. Brawo, rzeczniku! piję na twe zdrowie!

(*Pije do Hortensyusza*).

Baptysta. Cóż mówi stary nasz przyjaciel Gremio

Na to ścieranie się ostrych dowcipów?

Gremio. Cóż mam powiedzieć? ot, nieźle się bodą.

Bianka. Jakiś dowcipniś rzekłby, że pan Gremio

Przypuszcza rogi u tych, co się bodą.

Wincencyusz. Patrzenie, ten pomysł zbudził pannę młodą.

Bianka. Ale nie strwożył; więc zasypiam znowu.

Petrycy. Oho, nic z tego! Zaczepiłaś, siostró,

Musisz więc ścierpieć parę strzałów żartu.

Bianka. Czym ja zwierzyzna, żebym wam służyła

Za cel pocisków? Otóż zmieniam knieję:

Gońcież mię teraz, naprężajcie łuki.

(*Wychodzi, a z nią Katarzyna i pani Dorota*).

Petrycy. Uszła mi. — Signor Tranio, tyś celował

Do tej zwierzyzny, aleś jej nie trafił.

Niechże więc żyją wszyscy, co strzelali

I spudłowali!

Tranio. Ej, to pan Lucencyusz

Szczu! mna, jak chartem, co goni i chwytą
Dla swego pana.

Petrycy. Dobre porównanie,
Tylko psie trochę.

Tranio. Dobrześ pan uczynił,
Ześ sam polował, bo pańska zwierzyna
W ostępie trzyma pana, jak słyszałem.

Baptysta. Ach, mój Petrycy, masz za swoje teraz.

Lucencyusz. Niech ci Bóg płaci, Tranio, za to cięcie!

Hortensyusz. Przyznaj się, wszakże cię trafił?

Petrycy. Przyznaję,
Drasnął mię nieco; stawię jednak dziesięć
Przeciw jednemu, że ten pocisk, co się
Po mnie ześliznął, was dwóch tknął do głębi.

Baptysta. Już to wiadomo, mój biedny Petrycy,
Że twoja żona jest najprzekorniejszą
Ze wszystkich kobiet.

Petrycy. Ja zaś temu przeczę.
By się zaś o tem przekonać dowodnie,
Niech każdy z nas trzech pośle po swą jejmość;
Czyja największą okaże uległość,
I przyjdzie zaraz, gdy ją tu przywoła,
Ten wygra zakład, który ustanowim.

Hortensyusz. Zgoda; cóż stawim?

Lucencyusz. Dwadzieścia dukatów.

Petrycy. Tylko dwadzieścia dukatów? Ja tyle
Stawiam o mego psa albo sokoła.
Dwadzieścia razy tyle o mą żonę.

Lucencyusz. A więc sto?

Hortensyusz. Zgoda.

Petrycy. Ręka! Niechaj tak będzie.

Hortensyusz. Któż pierwszy zacznie?

Lucencyusz. Ja zacznę. — Biondello,
Idź powiedz mojej żonie, żeby tutaj
Natychmiast przyszła.

Biondello. Idę, panie.
(*Wychodzi.*)

Baptysta. Trzymam
Do spółki z tobą, że natychmiast przyjdzie.
(*Biondello wraca.*)

Lucencyusz. No, i cóż?

Biondello. Pani powiedziała panu,
Że przyjść nie może, bo jest zatrudniona.

Petrycy. Co? zatrudniona jest i przyjść nie może?
Toż to odpowiedź?

Gremio. A jakże, i grzeczna;
Niech jeno twoja żona tak odpowie.

Petrycy. Lepiej spodziewam się.

Hortensyusz. Słuchaj, Biondello:
Idź poproś mojej żony, żeby zaraz
Do mnie tu przyszła.
(*Wychodzi Biondello.*)

Petrycy. Oho! ma jej prosić?
Toć niezawodnie przyjdzie.

Hortensyusz. Zobaczymy,
Czy twoja przyjdzie, choć ją będziesz błagał.
(*Biondello wraca.*)

Cóż moja żona?

Biondello. Żona pańska mówi,
Że pan masz jakiś żart na pogotowiu,
A więc nie przyjdzie, raczej życzy sobie,
Żebyś pan do niej się pofatygował.

Petrycy. Co słyszę? Nie chce przyjść? O, zuchwałości!
Nie do zniesienia, nie do wytrzymania! —
Hej, Grumio, pójdź-no tam do mojej żony,
I powiedz, że jej przyjść tu rozkazuję.
(*Wychodzi Grumio.*)

Hortensyusz. Wiem, co odpowie.

Petrycy. Naprzykład?

Hortensyusz. Że nie chce

Petrycy. Tem gorzej dla mnie.
(*Wchodzi Katarzyna.*)

Baptysta. A wszelki duch!... Patrzenie
Oto nadchodzi Katarzyna.

Katarzyna. Jestem.
Czego chcesz, mężu; posyłałeś po mnie.

Petrycy. Gdzie twoja siostra i Hortensyuszowa?

Katarzyna. Siedzą i gwarzą ówdzie przy kominku.

Petrycy. Idź je tu sprowadź, a jeżeli będą
Wzdragać się, przypędź je *par force* do mężów.
Idź i przyprowadź je natychmiast. Słyszysz?
(*Wychodzi Katarzyna.*)

Lucencyusz. To cud, na honor! istny cud.

Hortensyusz. W istocie

Ja sam nie mogę pojąć, co to znaczy.

Petrycy. To znaczy zgodę, miłość i spokojność,

Sprężystą władzę, właściwą przewagę,
Słowem, co tylko zapewnia szczęśliwość.

Baptysta. Niechże ci będzie chwała, mój Petrycy!

Wygrałeś zakład, a ja dodam jeszcze
Do niego dziesięć tysięcy dukatów.

Inny być winien posag innej córki,
A Katarzyna jest nie do poznania.

Petrycy. Wygram ja jeszcze kompletniej ten zakład,

Bo ona musi mi okazać jeszcze
Więcej objawów swojej uległości
I posłuszeństwa.

(Katarzyna wraca z Bianką i panią Dorotą).

Patrzcież, oto idzie,

Prowadząc wasze zbuntowane żony,
Jak branki pokonane jej wymową. —
Kasiu, w tym czepcu nie jest ci do twarzy;
Zrzuć ten czupidrał, podepcz go do licha.

(Katarzyna wykonywa to wszystko).

Pani Dorota. Nie daj mi, Panie, powodów do smutku,

Póki w bezrozum taki nie popadnę!

Bianka. Taka uległość jej niedorzecznością.

Lucencyzusz. Oby uległość twoja, droga Bianco,

Była podobnie niedorzeczna! mądrość
Twejej uległości drogo mię kosztuje:
Muszę zapłacić za nią sto dukatów.

Bianka. Jakżeś dziecinny, żeby się zakładać

O coś takiego.

Petrycy. Kasiu, rozkazujęć

Tym hardym żonom wskazać obowiązki,
Jakie są winne swym mężom i panom.

Pani Dorota. Dosyć tych żartów; nie chcemy kazania.

Petrycy. Uczyni to, mówię ci, i zacznij od tej.

Pani Dorota. Daj mi pan pokój.

Petrycy. Zacznij, mówię, od tej.

Katarzyna. Wstydz się, wstydz! Rozmarszcz to groźne
[oblicze

I nie wypuszczaj z oczu gniewnych grotów
Na twego pana, króla, samowładcę,
To kazi piękność, jak mróz warzy liście,
Jak wiatr jesienny kwiatom, szkodzi sławie,
I nigdy nie jest zdobnem ni właściwem.
Gniewna kobieta jest, jak mętne źródło,
Zamiast pociągu budzące odrazę,

Tak, że nikt, choćby najbardziej spragniony,

Nie chce zaczerpnąć z niego ani kropli.

Mąż jest twym panem, twoim karmicielem,
Zwierzchnikiem, światłem, głową, on ma pieczęć
O tobie i o utrzymaniu twojem;

On swoje ciało na morzu i lądzie

Na szwank naraża, pracując, on spędza
Noce wśród burzy, dni na zimnie wtenczas,
Kiedy ty ciepło, wygodnie, spokojnie

W domu spoczywasz, i w nagrodę tego,
Niczego więcej nie żąda od ciebie,

Jedno miłości, pogodnego czoła

I posłuszeństwa. Jakże to mizerna,

Jak licha spleta tak wielkiego długu!

Żona jest w takim stosunku do męża,

Pod względem winnych temuż obowiązków,

W jakim poddany do panującego:

Jest-li zuchwałą, kapryśną, ponurą

I nie powolną słusznym wymaganiom,

To czemu innem jest, jeśli nie krnąbrnym

Rokoszaniem, występny wasalem,

Co zdradza swego dostojnego pana?

Wstydz się muszę, że kobiety tak są

Ograniczone, że szukają wojny

Tam, gdzieby winny modlić się o pokój;

Że pragną rządzić, rozkazywać, burzyć

Tam, gdzie powinny kochać, słuchać, służyć.

Dlaczegoż nasze ciało jest niezdatne

Do trudów życia, wąż, delikatne?

Czyż nie dlatego, że i nasza strona

Wewnętrzna również jest upośledzona?

Że i nasz umysł, serce, duch jest taki? —

O, wy zuchwałe, bezsilne robaki!

Byłam ja pewną, jak wy, siebie, butną,

I może bardziej niż wy rezolutną

W słowach i w czynach, terazem poznała,

Jak czczą jest w gruncie nasza dzielność cała;

Jesteśmy słabe i śmieszne, bo chcemy

Być tem najbardziej, czem najmniej możemy.

Schylcie więc czoła i niech swego pana

Z pokorą każda obejmie kolana:

Jam pierwsza tego dać gotowa przykład.

Petrycy. To mi wymowa! a co? to mi wykład!

Pójdźże uściskać mnie, mój profesorze!

Lucencyusz. Górą stanąłeś, bracie, szczęście ci, Boże!

Wincencyusz. Miłyż to widok zgodnych, dobrych dzieci!

Petrycy. Ale nie kobiet, które upór szpeci. —

No, Kasiu, pójdźmyż spocząć. — Trzech nas sprzęgło

Małżeński związek, ale dwóch nie tego;

Bo zamiast oni żony mieć w swej mocy,

One ich mają w swojej. Dobrej nocy!

(Wychodzi z Katarzyną).

Hortensyusz. Idź z Bogiem, zbierać owoc swoich trudów.

Lucencyusz. Jednakże ja to zaliczam do cudów.



TŁÓMACZENIE E. PORĘBOWICZA.

Od pogody trzech słonecznych komedii Shakespear — »Wiele hałasu o nic«, »Jak wam się podoba« i »Co chcecie« — do czarnego pesymizmu tragedyi w okresie bezpośrednio następującym prowadzi droga przez dwa utwory, które wydawcy pośmiertnego zbioru *in folio* także jeszcze między komediami postawili, bo są one istotnie zaopatrzone w konwencyonalne »szczęśliwe zakończenie«; ale w obu wypadkach zakończenie to wymuszone, główne motywy dla dzisiejszego człowieka nieznośnie przykre, a traktowanie nawet komicznych elementów często tak pełne goryczy, że na obu dziełach wyraźnie znać poczynającą się niechęć czy niezdolność poety do komiki. Bardziej ponury pesymizm, oraz pokrewieństwo w treści metafizycznych rozmyślań z monologami Hamleta nadaje dramatowi »Miarka za miarkę« miejsce późniejsze, bliżej wielkich tragedyi; bliżej komedyi w takim razie stoi dramat *All's Well that Ends Well*. Rzeczywiście główna jego komiczna figura, żołnierz samochwał Parolles, podobnie jak poprzedzający go Pistolet w »Henryku V«, jest jakby reminiscencyą czy surogatem Falstaffa, słabem odbiciem jednej strony tej bogatej natury. Przytem jednakowoż nie brak i w tym utworze znamion sąsiedztwa z wielkimi tragedjami: zaraz w pierwszej scenie sędziwa matka do odjeżdżającego syna przemawia podobnemi słowy namiętnienia, co Poloniusz do Laertesowi w »Hamlecie« (I, 3); stary Lafeu o tajemniczych źródłach dziwów i cudów mówi z transcendentalną zadumą godną Hamleta¹⁾; nawet drobniejsze szczegóły zdawałyby się dowodzić tej

¹⁾ »Mniemaną mądrością oszańcowani, w śmiech obracamy dziwy przerażające, gdy nam się należało stać w niewytłómaczonym osłupieniu.« (II, 3).

bliskości »Hamleta«: Helena w chwili bolesnej rezygnacji (II, 3) dzieje swych zawiedzionych utęsknień zbywa słowami: *all the rest is mute* — prawie zupełnie tak samo, jak Hamlet, konając, zamyka historię swych przejęć duchowych krótkim epilogiem: *the rest is silence* — »reszta jest milczeniem« (V, 2). Podobne nici drobnych aluzji wreszcie snują się między tem dziełem a problematycznym wytworem krańcowej ironii i rozgoryczenia, tragicomedią trojańską »Troilus i Kressyda«: błazen śpiewa piosenkę o zburzeniu Troi i piękności Heleny (I, 3), Lafeu, zostawiając Helenę samą na samą z królem, porównywał ją z Pandarem (II, 1): widocznie więc temat, może niedawno opracowany albo równocześnie podjęty, w czasie pisania pierwszych aktów tego dramatu chodził po głowie.

Bardziej uchwytnych świadectw o dacie utworu nie posiadamy. Styl, który zwykle, w braku innych kryteriów, dostarczać nam musi pewnej informacji, tutaj świadczy dziwnie dwuznacznie: obok białego wiersza i płynnej prozy późniejszego okresu — obok mnogości sentencji i refleksji, często zawiłych i ciemnych, a więc także cechy utworów późnych, — uderzająco wiele jest ustępów rymowanych, a obfitość rymów przeciwznamionuje młodociany okres poety. Tę nierówność w różny sposób usiłowano wyjaśnić teoryjami o wczesnym »pierwszym szkicu« i późniejszej ostatecznej formie dzieła, rozdzieleniem scen i party scen pomiędzy poszczególne okresy twórczości poety.

Źródłem Shakespearą była często przezeń używana encyklopedia nowelistyczna Payntera *Palace of Pleasure*, gdzie w pierwszym tomie znalazł historię lekarki Giletty z Narbonny, opowiedzianą według *Decamerone* Boccaccia (giornata III, novella 9). Dodane do postaci noweli dwie figury poważne i kilka komicznych uważać musimy za kreacje samego Shakespearą, chyba żeby się kiedy znalazło jakie starsze dramatyczne opracowanie noweli, pośredniczące między nią a dziełem shakespeareowskim.

Większą część owych dodanych postaci poznajemy odrazu w pierwszych scenach; przeważnie służą one tu charakterystyce bohaterki: z rozmowy między hrabiną a starym panem Lafeu dowiadujemy się o jej zaletach (I, 1), z rozmowy jej samej najpierw z żołnierzem samochwałem, potem z macierzyńską opiekunką — o jej miłości dla młodego syna domu (I, 3). Na samym początku niemiłe nas

zadziwia bohaterka przez więcej niż swobodne żarty na temat dziewictwa, jego wartości i utraty; i to i dalszą jej rolę w dramacie poeta stara się z góry usprawiedliwić przez kilka słów o wysokiej powadze¹⁾; ale nastrój, wytworzony przez tę dziwną pierwszą rozmowę, wzmocniony jeszcze jest przez wytoczone z wielką otwartością miłosno-mażeńskie kłopoty błazna (I, 3); w dalszym ciągu potem (II, 3) losy jego ze ściślejszym jeszcze satyrycznym paralelizmem stają obok pewnych przykrych faz głównej akcji.

Wyznanie miłosne Heleny, złożone przed matką ukochanego, stawia nas wobec sytuacji o tyle odmiennej od noweli, że Shakespeare, podobnie jak w sielance »Jak wam się podoba«, dla efektu dramatycznego pomija zupełnie uwydatnioną w źródle literackim ekonomiczną stronę sprawy: u Boccaccia Giletta jest niższa rodem od hrabiego Beltramo di Rossiglione, ale jest bogata; shakespearewska Helena i tej korzyści w zabiegach o swego wybrańca nie posiada.

Specygoty wyleczenia króla przez bohaterkę — nawet nazwę choroby — znalazł Shakespeare w noweli; tam od wyleczonego pacjenta wychodzi propozycja nagrody w kształcie małżonki, a dopiero warunek, żeby to był mąż przez nią samą wybrany, dodaje lekarka; u Shakespearą Helena sama, od początku stanowcza i świadoma celu, ustanawia sobie to honorarium *in natura*; król w noweli niechętnie jej oddaje hrabiego, tylko by nie złać danego już słowa; u Shakespearą król jest, jak wszędzie w jego dramatach, symbolem wyższej sprawiedliwości, i w tej funkcji wypowiedział zdumiewająco niezgodną z arystokratycznym nawskroś myśleniem poety tyradę przeciw przesądom rodowym (II, 3).

Podobnie dogodną, jak na początku dramatu dla charakterystyki bohaterki, okazuje się w dalszym ciągu hrabina Roussillon jako narzędzie do przeprowadzenia akcji

¹⁾ I, 1:

»Ach, jaka szkoda —
Ze skrzydeł nasze nie mają życzenia,
Żebyśmy biedne, które smutna gwiazda
Zamknęła tylko w ciemnych życzeń kole,
Mogły ich skutek postać przyjaciołom,
Objawić czynem, co jest tylko w myślach,
Za które nigdy nie składają dzięków!«

przez pewne dramatycznie obojętne stadya: w noweli żona, brutalnie odepchnięta i opuszczona przez męża, w jego nieobecności wzorowo zarządza jego majątkiem; wreszcie oświadcza swym podwładnym, że nie chce dłużej stać w drodze powrotowi małżonka do domu, i opuszcza zamek, uwiadamiając go, że już nie wróci. Shakespeare ekonomiczną część tej akcji przewala na ramiona matrony i wyodrębnia, jako fakt w tej postaci wysoce dramatyczny, samą tylko ucieczkę Heleny; przemówienie w noweli zmienia w rymowany list pożegnalny.

Przygotowania do właściwej intrygi dramatu poeta ile możności uprościł i skrócił: Helena we Florencji zajeżdża odrazu do wdowy, której córka jest przedmiotem zalotów bohatera, — u Boccaccia do jej sąsiadki; długa umowa między niewiastami w noweli zredukowana jest do krótkiej sceny (III, 7); w dramacie »Miarka za miarkę« potem moment porozumienia między Izabellą a Maryaną w podobnej sytuacji zupełnie poeta usunął z widowni.

Jak przygotowania, tak i samo wykonanie planu sprowadzone jest do form prostszych, krótszych, dramatycznie odpowiedniejszych: u Boccaccia jest wiele spotkań bohatera z niepoznaną żoną, u Shakespeara tylko jedno; powtórne w noweli żona dosłownie wypełnia warunki, postawione jej w brutalnym liście męża, a więc wykazuje się i pierścieniem i dzieckiem — nawet nie jednym, lecz bliźniakami; aż do ich narodzenia przebywa we Florencji, potem dopiero jedzie do męża. Shakespeare, choć w treści listu nic nie zmienił (III, 2), jednak poprzestaje potem na legitymacji przez pierścieni. Wreszcie u Shakespeara niegodny mąż — zupełnie jak podobny do niego Klaudio w dramacie »Wiele hałasu o nic« — żyje w przekonaniu, że żona umarła; u Boccaccia dowiaduje się tylko, że opuściła zamek.

Przez narodzenie dzieci stworzone są u Boccaccia warunki do wielce melodramatycznej sceny końcowej: żona z dziećmi na rękach, w stroju pielgrzymim, staje przed obliczem męża podczas bankietu w jego zamku i wobec licznych gości opowiada swe losy. Shakespeare, tworząc *tableau* odmienne, ugrupował je, jak często swe sceny sądów i wyjaśnień, wokoło osoby monarchy, którego w tym celu umyślnie sprowadza na zamek hrabiny Rousillon. Analogie do komedyi »Wiele hałasu o nic« nie ograniczają się do wiadomości o śmierci bohaterki, tutaj

jak tam roztrzaskujących żalobny nastrój nad początkami V aktu; jest inne jeszcze podobieństwo w przygotowaniach do zaślubin Bertrama z córką starego pana Lafeu: tak samo Klaudio w dramacie »Wiele hałasu o nic« ma zaślubić siostrzenicę swego dawnego teścia. Sprawa pierścienia — a raczej dwóch pierścieni — jako oś zawikłań końcowego aktu przypomina epilog »Kupca weneckiego«, a kłamliwe zeznanie Dyany, że Bertram ją posiadał, i dalsza jej retoryka, umiejętnie spleciona w kłębek sprzeczności — to jakby studjum do potężniejszego dramatycznie, fałszywego zeznania przeczystej Izabelli w V akcie dramatu »Miarka za miarkę«. Przebaczenie, jakie ostatecznie uzyskuje Bertram, należy do całej seryi rażąco łatwych amnestyi u Shakespeara; w szczególności przypomina znowu »Wiele hałasu o nic«. Zaś epilog, tutaj jak w sielance »Jak się wam podoba« wypowiedziany przez jedną z osób dramatu, ale pełen konwencyonalnych aluzji aktorskich, nie wytrzymuje porównania z wdzięcznymi słowy pożegnalnymi pięknej Rozalindy.

Jest prawie tradycją krytyki shakespeareowskiej mówić o tym dramacie krótko, nie tylko ze względu na wielce przykry główny temat, lecz także dlatego, że dzieło w całości, jak to bez ogródek miał odwagę powiedzieć historyk poezyi angielskiej, Courthope, należy do słabszych utworów poety.

Przedewszystkiem trzeba stwierdzić, że wybór niemiłego tematu, może podyktowany poczynającym się u poety pesymizmem, w każdym razie z punktu widzenia dramaturgicznego i literackiego był wysoce niefortunny. Przedmiot noweli ma stanowczo epiczny charakter; zawiera w sobie dwie długie pauzy: ośmiodniową kuracyę króla i dziewięć miesięcy czekania na dziecko; Shakespeare, choć tę ostatnią przerwę przez zaniedbanie ścisłości zupełnie wykreślił, a pierwszą do dwóch dni zredukował, jednak i przebieg tych dwóch dni w drugim akcie mozolnie zaznaczać musi przez łataninę scen obojętnych dla głównej akcji. Że dalej sam główny fakt podstawienia żony w miejsce kochanki daleko łatwiej da się opowiedzieć, niż dramatycznie przedstawić, to zdaje się odczuwać i sam poeta, traktując intrygę w scenach ostatnich aktów widocznie nieswojo i z pewnem skrepowaniem, choć zawsze jeszcze daleko swobodniej, aniżeli się to zgadza z nowoczesną delikatnością. Stopniową z rozwojem etykiety zmianę w tym

względnie studyować możemy na komedii Moliera *Le dépit amoureux*, gdzie w dwóch scenach (II, 1; V, 6) po prostu opowiedziany jest motyw podobny do shakespeareowskiego.

Do opracowania tematu mimo jego technicznych niedogodności widocznie skłonił poetę interesujący problem psychologiczny, jaki mu stawiała główna postać. Czy udało mu się ukazać nam kobietę, świadomie odwracającą tradycyjny do siebie stosunek obu płci, a jednak nie kierowaną wyłącznie grubym egoizmem i nie pozbawioną uroku niewieściego? Werdyktem potomności jest zupełna niezgoda między krytykami co do charakteru bohaterki: jedni mają dla niej litość i sympatię, drudzy — w nowszych czasach większość — bezwzględnie potępiają jej oszustwo. Słusznie zauważył Saintsbury, że wobec figury, kreślonej ze zwykłym mistrzostwem psychologicznym Shakespeara, nie byłoby miejsca na takie wątpliwości; opinia poety o bohaterce narzucałaby się publiczności z siłą przekonywającą. Shakespeare, jakby sam przeczuwał, że tej moralnej siły jego figurze nie dostaje, usprawiedliwia jej postępowanie zewnętrzną aprobacją dwóch z rzędu czcigodnych starych niewiast, hrabiny i wdowy; niewiele nam oczywiście pomagają te świadectwa moralności.

Moralnie mniej dwuznacznym od bohaterki jest bohater — nawskroś niesympatyczny nie tylko przez główny postępek, przepisany w noweli, ale i przez różne drobne szczegóły, jakie dodaje poeta. Klaudyo w dramacie *Wiele hałasu o nic* ostatecznie nas do siebie zraża niewczesnymi żartami po rzekomej śmierci narzeczonej i wobec jej najbliższych (V, 1); podobnie Bertram (IV, 3), który ponadto, oskarżony przez Dyanę przed królem, broni się potwarzą, że *bezczelna dziewczka była igraszką całego obozu* (V, 3).

Jakby wyrazem ironii samego poety wobec tak wątpliwej prawej w postępowaniu bohaterki i tak niewątpliwie nieszlachetnego usposobieniem bohatera jest trywialnie oportunistyczny morał tytułu: *Wszystko dobre, co się dobrze kończy*.

Prawdziwie udatne i miłe sylwetki przedstawiają tylko dwa charaktery w dramacie, mianowicie zacny stary Lafeu i czcigodna hrabina Roussillon, co, jak matka-Rzymianka, bierze stronę pokrzywdzonej Heleny przeciwko własnemu synowi, głośno się domagając: *Niech słuszna kara do-*

tknie winowającę (V, 3). Jeden to z najpiękniejszych portretów sędziwego wieku u Shakespeara. Ale obie postacie zajmują w dramacie miejsce bardzo podrzędne i wykonane są szkicowo; a sympatycznych obrazów starości, bardziej szczegółowo wykonanych, niż rola hrabiny w tym dramacie, mamy przecież potem jeszcze kilka w dramatycznych romancach ostatnich lat poety.

Szczególnie i znamienne słabą wydać się musi grupa figur komicznych. Parolles — to Falstaff, wyzuty z wszystkich zabawnych przymiotów prócz tchórzostwa: a i tym bawi nas niedługo i niezbyt obficie. Przez całe trzy akty różne osoby dramatu aforyzmami o nim i dyalogami z nim aż do znudzenia dokładnie go charakteryzują, tak jakby mu w utworze jakaś wielka rola przeznaczona była; potem w akcie czwartym doznajemy rozczarowania: dokładnie naprzód ukartowana scena upokorzenia tchórze w samym założeniu jest jakby słabą kopią sceny obrabowania Falstaffa na Gadshill (*Henryk IV*, cz. I, akt II, sc. 2): tam obrabowany rabuś, tu zwyciężony zwycięzca; zaś w szczegółach wykonania ta scena redukuje się do dwóch głównych efektów komicznych, także nie nowych i nie wydoskonalonych: udawanie rozmowy w jakimś obcym języku (IV, 1) to elementarniejsza jeszcze forma komiki, niż zła angielszczyzna Francuza i Walijszyka w farsie *Wesołe kobiety windsorskie*, a sposób, w jaki zdemaskowany oszczerca usiłuje się usprawiedliwić (IV, 3), daleko mniej robi wrażenie, niż podobne w treści wymówki Falstaffa w *Henryku IV* (cz. II, akt II, sc. 4); tak samo ostateczne poniżenie żołnierza samochwała (V, 2) daleko mniej jest drastyczne, niż koniec chwaly Pistoleta w *Henryku V* (V, 1). Rażąca dysproporcję między staranną i obszerną charakterystyką figury a małą jej wydatnością komiczną chcieli niektórzy usunąć, nadając Parollesowi poważniejszą godność dramatyczną; tłumaczono, że ma być systematycznie przeciwstawiony Helenie: ona — to niewiasta o męskiej stanowczości i świadomości celu, on — mężczyzna, niegodny tego nazwania; istotnie pierwszą między nimi scenę (I, 1) można by pojmować jako zapęd w takim kierunku; — inni znowu w dziwnym zaślepieniu, z jakim Bertram wbrew jednoznacznej opinii otoczenia aż do namacalnych dowodów wierzy w wartość moralną tchórze, widzieli świadectwo, że Parolles miał

niejako zdejmować coś z ciężaru winy z ramion bohatera, miał go poniekąd uniewinniać. Ale uleganie wpływom tak marnego osobnika byłoby lichem usprawiedliwieniem. Prawdopodobnie Shakespeare ani o jednej ani o drugiej funkcji moralnej Parollesa na seryo nie myślał; stworzył poprostu bladą figurę komiczną, bo silnej stworzyć nie chciał, czy nie mógł.

Jeszcze wyraźniej o zaniku pomysłowości komicznej świadczy postać błazna. Zawodowi trefnisie w najudańszych komedjach — Touchstone w »Jak wam się podoba« i Feste w »Wieczorne Trzech Króli« — towarzyszą, jakby chór, wszystkim fazom akcji swemi refleksjami; tutaj Shakespeare powraca do pierwotnej faktury dzieł młodocianych tego rodzaju, co »Dwaj panowie z Weroni«: sceny z błaznem w przeważnej ilości są nieorganicznymi epizodami, łataniną dla wypełnienia miejsca, i to łataniną w pomysłach i wyrażeniu niezbyt świetną; by się o tej niższości treści przekonać, wystarczy porównać znakomitą krytykę ideałów sielankowych, jaką z niedorzecznych przeciwieństw mistrzynie buduje Probieńczyk (»Jak wam się podoba«, III, 3), z jałowem powtórzeniem tej mozaiki sprzeczności w informacjach, jakich tu błazen udziela Helenie o zdrowiu hrabiny (II, 4).

Nie ma także błazen w tej komedji na ustach owych piosenek, jakimi w tamtych dziełach wciąż nas zachwycają jego koledzy. Wogóle styl utworu pozbawiony jest wspaniałych ornamentów lirycznych, tak bogato rozsianych po trzech najpiękniejszych komedjach; tutaj język poety staje się rażąco zawiły; autor ciągle operuje mnóstwem słów oderwanych, bez potrzeby gromadzonych jedno na drugim; w oryginale jest to dzieło jednym z najtrudniejszych do czytania i interpretowania utworów Shakespeara. Gnomika przeradza się w sentencyjność; poeta jakby co chwila się budził z głębokiego zadumania i mozolnie szukał słów na wypowiedzenie tego, o czym przed chwilą rozmyślał. Na dowód głębokiej odmiany w stylu dość zestawić czarowne siłą uczucia, kolorem obrazowania i melodyą wiersza wyznanie miłosne Oliwii wobec mniemanego paza w »Wieczorne Trzech Króli« (III, 1) z długą, skomplikowaną, pełną sofistycznych porównań i zestawień tyradą, w jakiej tu Helena wyjawia hrabinie, że kocha jej syna (I, 3). Poeta, co tym języ-

kiem pisze deklaracje afektów, już widocznie albo wskutek osobistych przeżyć duchowych albo wyczerpania natchnień swobodnie poruszać się nie może w świecie romantycznej komedji, i niebawem ostatecznie opuścić go musiał.

OSOBY:

Król francuski.

Książę Florencyi.

Bertram, hrabia Rousillonu.

Lafeu, stary szlachcic.

Parolles, dworzanin Bertrama.

Młodzi panowie francuscy, towarzysze Bertrama na wojnie florenckiej.

Ochmistrz }
Trefniś } dworu hrabiny Rousillonu.

Paż.

Hrabina Rousillonu, matka Bertrama.

Helena, szlachcianka pod opieką hrabiny.

Wdowa, mieszcza florencka.

Dyana, jej córka.

Wiolanta }
Maryana } sąsiadki, przyjaciółki wdowy.

Panowie, dworzanie króla, żołnierze francuscy i florency.

Rzecz dzieje się częścią we Francyi, częścią w Toskanie.

WSZYSTKO DOBRE, CO KOŃCZY SIĘ DOBRZE.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

Rousillon. Komnata w pałacu hrabiny.

(Wchodzą Bertram, hrabina Rousillonu, Helena, Lafeu, wszyscy w żałobie).

Hrabina. Żegnając się z synem, jakbym grzebała drugiego męża.

Bertram. A ja, pani, odjeżdżając, jakbym opłakiwał po wtórnie śmierć ojca; muszę jednak być posłuszny rozkazowi jego królewskiej mości; przeszedłszy pod jego opiekę, dwakroć stałem się poddanym.

Lafeu. Znajdziesz w królu małżonka, miłościwa pani, a wy, panie, ojca; on tak bezgranicznie i tak zawsze dobry, zachowa i dla was swe względy. Wasze zalety zrodziłyby je w sercu zupełnie obcem, a nie iżby miały wysuszyć gdzie ich jest obfitość.

Hrabina. Czy jest nadzieja ocalenia króla?

Lafeu. Odprawił wszystkich lekarzy, miłościwa pani, których leczenie polegało na podtrzymywaniu w nim nadziei, a z których nie odniósł innych korzyści, jak, że z czasem stracił i nadzieję.

Hrabina. To młode dziewczę miało ojca — (o, miało, jakie smutne przejście!) — którego kunszt był prawie tak wielki, jak uczciwość; gdyby był jej dorósł, byłby

naturę uczynił nieśmiertelną, a śmierć poszłaby igrać z braku pracy. O, zbawienie dla króla, gdyby żył jeszcze! On zadałby śmierć królewskiej niemocy.

Lafeu. Jak się zwał człowiek, o którym mówicie, pani?

Hrabina. Człowiek sławny w swej sztuce i słusznie: Gerard z Narbony.

Lafeu. Istotnie, znakomity lekarz; król niedawno mówił o nim z podziwem i żalem; mistrz tak biegły, że sam żyłby jeszcze, gdyby wiedza ważyła coś przeciw śmierci.

Bertram. Na jakąż niemoc król chory, mości panie?

Lafeu. Na fistułę, hrabio.

Bertram. Nie słyszałem o podobnej chorobie.

Lafeu. Bogdaj nie była nigdy znana. — Czy owa młoda osoba nie jest córką Gerarda z Narbony?

Hrabina. Jedynaczką, mości panie, a jest w moim fraucymerze. Spodziewam się po niej tyle dobrego, ile rokuje wychowanie; posiada charakter, który wypiększa jeszcze przyrodzone wdzięki; niestety, kiedy charakter lichy jest ubrany w formy szlachetne, nie można chwalić go bez żalu: jego zalety są jego zdrajcami. W Helenie są one tem miłsze, że pełne prostoty, która też jest źródłem jej zacności, a dopełnieniem naturalnej dobroci.

Lafeu. Pochwała wasza, miłościwa pani, rozczuliła ją do łez.

Hrabina. Słone łzy to najlepsza przyprawa pochwały dla młodych panien. Ile razy wspomnienie ojca zdraśnię jej serce, tyrania smutku spędza natychmiast wesołość z jej twarzy. No, dajmy pokój, Heleno, dajmy pokój; nie płacz, żeby się nie wydał wywołanym smutek rzeczywisty.

Helena. Smutek mój widny na mnie, bo go noszę w sobie.

Lafeu. Umiarkowana żaloba jest prawem umarłych, ale nadmierna boleść staje się nieprzyjaciółką żywych.

Hrabina. Kiedy żywy człowiek zwalcza boleść, własny jej nadmiar ją zabija.

Bertram. Pani, proszę cię o pożegnanie na drogę.

Lafeu. Co usłyszymy?

Hrabina. Błogosławieństwo moje przyjmij, synu,

Z czynów i twarzy ojca przypominaj!

Niech dobijają się w tobie pierwszeństwa

Walcząc o lepsze cnota i szlachectwo;

Niech dobroć serca zrówna urodzeniu.

Nie ufaj wszystkim, ale miłuj wszystkich;

Nie krzywdź nikogo; nieprzyjacielowi

Daj raczej poznać siłę, niż ją poczuć.

Niech ci milczenie raczej wyrzucają,

Niż zbytnie słowa. Czego niebo życzy

A co modlitwa ma wyprosić zdolna,

Niech na twą głowę spłynie. Bądź zdrow, synu!

To nieuczony dworak, mości panie;

Rad nie szczędź, proszę.

Lafeu. Najlepszych udzięk,

O ile przyjaźń jego słuchać zechce.

Hrabina. Niechże cię niebo strzeże, mój Bertramie!

(*Wychodzi*).

Bertram (*do Heleny*). Niech ci się, pani, spełnią wszystkie życzenia, które serce wymarzy. Bądź pociechą mej matce a swej pani i okazuj jej częściej niezmienną.

(*Wychodzą Bertram i Lafeu*).

Helena. Gdyby to wszystko! Nie o ojcu myślę;

Ich żal dostojny większym dlań zaszczytem,

Niżli łzy moje. Jak rodzic wyglądał,

Już nie pamiętam; wyobraźnia moja

Nie chowa innych rysów prócz Bertrama.

Jestem stracona; na nic życie moje,

Gdy on odjeżdża! Ha! co mi się marzy!

Toć jakbym chciała zakochać się w gwieździe

I brać z nią śluby; czemu ja wobec niego?

W dalekiem jego światłości odbiciu

Żyć mi już dosyć, a nie w jego sferze:

Serce się moje własną męczy pychą.

Łania, coby się z lwem chciała skojarzyć,

Zginie przez miłość. — Jak to było pięknie,

Chociaż boleśnie, widzieć go tu co dnia,

Usiadać przy nim, w sercu kreślić sobie

Te brwi wygięte, te oczy sokole,

Te włosów sploty; w sercu dość przestronnem,

By objąć każdy rys, każdy najmniejszy

Szczegół kochanej jego, słodkiej twarzy.

I już go niema, tylko bałwochwalcza

Fantazja moja została, ubóstwiać

Jego relikwie drogie... Ktoś nadchodzi.

(*Wchodzi Parolles*).

Jego dworzanin; kocham go już za to,

Chociaż wiem przecie, że to łgarz wierutny,

W trzech czwartych głupiec, tchórz w ostatniej ćwierci,
Lecz wady tak w nim zasiadły wygodnie,
Że tuczają się tam, gdzie stalowa cnota
Na wietrze kości bieli. Rzecz powszednia:
Obdarta para mądrości i cnoty
Bieduje w służbie bogatej głupoty.

Parolles. Witam cię, piękna królowo!

Helena. A ja was, monarcho!

Parolles. Nie.

Helena. I ja nie.

Parolles. Rozmyślasz pani nad kwestią panieństwa?

Helena. Tak jest. Waszmość masz minę żołnierską; pozwól, że zadam mu pytanie. Mężczyzna jest wrogiem panieństwa; jaką barykadą można się przed nim ochronić?

Parolles. Trzymajcie go w pewnej odległości.

Helena. Ale on ciągle wraca do szturmów, a nasze panieństwo, choć dzielne w obronie, jest słabe; wskaż nam waszmość lepszy środek.

Parolles. Niema; mężczyzna, obległszy twierdzę, podmiňuje ją i wysadzi.

Helena. Boże, strzeż naszego biednego panieństwa od podkopów i min. Czy sztuka wojskowa nie uczy, jak my panny możemy wzajem podsadzać mężczyzn?

Parolles. Kiedy panieństwo polęże, mężczyzna pragnie obledz je czempredzej, więc, podsadzając go, gubicie twierdzę przez własny wyłom. W naturalnej rzeczywistości jest złą mądrością stanu utrzymywać panieństwo; wyępienie go zwiększa liczbę poddanych, a nigdy nie urodziła się panna, póki ktoś nie stracił panieństwa. Materya, z której jesteście pani uformowana, jest metalem, z którego urabiają się panny. Panieństwo raz stracone można dziesięćkroć odrodzić, zachowane jest wieczystą stratą. Zbyt to chłodny przyjaciel: precz z nim!

Helena. Zachowam go jednak jeszcze czas jakiś, choćbym miała umrzeć panną.

Parolles. Co tu wiele mówić: panieństwo jest rzeczą przeciwną naturze. Stawać w jej obronie jest to czynić wyrzuty własnej matce, co się nazywa szczytem niekarności. Jeżeli kto sam sobie zakłada stryczek na szyję, to panna; panieństwo jest samobójcą i powinno być grzebane na rozstajnych drogach, za cmentarzem, jak desperat obrażający naturę. Panieństwo płodzi

liszki, jak ser, kurczy się nakształt wióra i ginie, zżarłszy siebie samo. Nadto panieństwo jest swarliwe, pyszne, próżne, zakochane w sobie, grzech najsurowiej wzbронiony. Nie noś się z niem pani; możesz na tem tylko stracić. Precz z niem; przez dziesięć lat pomnoży się dziesięćkrotnie, co znaczy przyrost nielada; sam zaś kapitał wiele nie ucierpi! Precz z niem!

Helena. Pouczcie mię waszmość, co robić, żeby się go pozbyć?

Parolles. Co robić? Źle robić: kochać takiego, który go nie znosi. Jest ono jak mebel, który traci połysk, nazbyt długo stojąc bez użytku; zależałe spada w cenie; precz z niem, póki da się sprzedać, póki jest pokup na taki towar. Panieństwo jest podobne do staroświeckiej damy dworskiej w niemodnej a pysznej fryzurze, jak te koki i fioki, które dawno zarzucono. Twoje pieprzyki, pani, lepiej wyglądają w zupie, niż na twarzy, a twoje panieństwo równa się naszym francuskim suszonym gruszkom: niepokazne i niepożywne; doprawdy, wyschła gruszka; niegdyś była lepsza, dziś uwiędła. Co pani z nią poczniesz?

Helena. Ze mną tak źle nie jest...

Wasz pan — miłością będzie żył na dworze:

W jednej kochance znajdzie matkę, druha,

Feniksa, wodza, lubą przeciwniczkę,

Gwiazdę przewodnią, bożyszczę, królowę,

Słodką mentorkę, zdrajczynię, skarb drogi

Z pokorną dumą i dumną pokorą,

Fałszywy akord, wdzięczną dysharmonię,

Dobrą złą gwiazdę, z niezliczonym rojem

Podobnie ładnych, grzecznych i stosownych

Nazw z kalendarza wziętych Kupidyna.

A wtedy będzie — nie, nie wiem co będzie...

Niech Bóg go wiedzie; dwór jest miejscem wielce

Pouczającym, a on jest tym...

Parolles. Czemu?

Helena. Któremu dobrze życzę. Szkoda...

Parolles. Szkoda?

Helena. Że się życzenia nie stają cielesne

I dotykalne, a biednym śmiertelnym,

Których podrzędne gwiazdy obdarzyły

Jeno zdolnością życzeń, że nie wolno

Iść w towarzystwie tych, których kochamy,

Wyjawić, o czym jeno myśleć wolno.
A co nie wróci nigdy dziękczynieniem.
(*Wchodzi paż*).

Paż. Mości Parolles, mój pan was woła.
(*Wychodzi*).

Parolles. Moja mała Helenko, do widzenia; jeżeli sobie przypomnę, to będę myślał o tobie na dworze.

Helena. Mości Parolles, urodziłeś się waść pod łaskawą gwiazdą.

Parolles. Urodziłem się pod Marsem.

Helena. Byłam pewna, że pod Marsem.

Parolles. Dlaczego?

Helena. Jesteś tak podległy zapałom wojowniczym, że musiałeś urodzić się pod Marsem.

Parolles. Kiedy był planetą panującą.

Helena. Raczej kiedy był planetą zacoфанą.

Parolles. Jak to waćpanna rozumiesz?

Helena. Umiesz waść cofać się, kiedy walczysz.

Parolles. To dla zyskania lepszej pozycyi.

Helena. Dlategoż ucieka się, kiedy strach radzi szukać bezpieczeństwa, ale to zespolenie odwagi i strachu staje się u waszmości dobroskrzydłą cnotą i podoba mi się jej lot.

Parolles. Jestem tak obarczony zajęciami, że nie mam głowy na trafną odpowiedź. Powrócę skończonym dworakiem, a wtedy moje wykształcenie posłuży znaturalizować waćpannę, jeżeli będziesz zdolna pojąć człowieka dworu i zrozumieć wskazówki, które ci powierzy; inaczej umrzesz w niewdzięczności, nieuctwo cię zabije; bądź waćpanna zdrowa. W chwilach wolnych mów pacierze, przy zajęciu myśl o przyjaciółach; poszukaj sobie dobrego męża i obchodź się z nim, jak on z tobą; do widzenia.

(*Wychodzi*).

Helena. Oczekiwane z niebiosów natchnienie
Często w nas samych leży; przeznaczenie
Czynem nie włada, lecz czasem oddali
Cel, gdyśmy sami biedz doń ociążali.
Co za moc rwie me serce tak wysoko?
Lśni w blaskach, lecz się nie nasycy oko.
Dwa były losem rozdarte wśród świata
Natura często kojarzy i brata.
W nadzwyczajności dopięcie nie wierzą

Ci, co zmysłami drogę ku niej mierzą,
W tem zdaniu mieszcząc swoją mądrość całą,
Że się nie stanie, co się raz nie stało.
A u kobiety czyż zasługę znaczy
Zrzec się miłości, gdy o niej zrozpaczy?
Choroba króla... plan mój może płony,
Ale w nim wytrwam; już postanowiony.

SCENA II.

Paryż. Sala w pałacu królewskim. Odgłos trąb.

(*Wchodzi Król francuski z papierem w rękę, panowie i dwór*).

Król. Florencyja z Sieną przysły do utarczki:
Walczone z równem szczęściem i odwagą,
Wojna trwa dalej.

Pierwszy szlachcic. Takie zatem wieści.

Król. I niezawodne; podobneż nowiny
Z austriackiego dworu otrzymałem;
Wraz ostrzeżenie, że o szybką pomoc
Chce nas Florencyja prosić, o czym brat nasz
Uprzedza, radę ślą nam równocześnie,
Prośbie odmówić.

Pierwszy szlachcic. Rozum i przychyłność
Tak doświadczone, Najjaśniejszy Panie,
Każą go słuchać.

Król. Rzec już rozstrzygnięta;
Odpowiedź brzmi: — »nie«, nim jeszcze pytano.
Lecz naszej szlachcie, tak chętnej do służby
W Toskanie, wolno będzie poprzeć sprawę,
Którąbądź zechce.

Drugi szlachcic. Zdrowy to jest pokarm
Dla naszej młodzi, która dyszy chęcią
Wojny i czynów.

Król. Któż tu nam przybywa?
(*Wchodzi Bertram, Lafeu i Parolles*).

Pierwszy szlachcic. To młody Bertram, hrabia Rousillonu.
Król. Żywym portretem ojca jesteś, chłopcze,
Natura widać nieśpiesznie, z czułością,
Troskliwie wdzięczną twą rzeźbiła postać!
Bogdajbyś ojca odziedziczył duszę.
Witaj w Paryżu!

Bertram. Najjaśniejszy Panie,
Dzięki i służbę do stóp twoich ścielę.
Król. O, gdybym dzisiaj cieszył się tem zdrowiem,
Co gdy rodzica twego druh w żołnierce
Pierwsze stawiałem kroki! On daleko
Zaszedł w ówczesnej sztuce, wyćwiczony
Od dzielnych mistrzów, i przetrwał też długo,
Aż na nas obu brzydki wiek zaciężył
I wyrwał z pola czynu. Jak mię krzepi
Wspomnienie twego ojca! Gdy był młody,
Miał tenże dowcip, jaki dzisiaj śledzę
U młodych panów. Lecz oni żartują
Tak, że się na nich własny żart obraca,
Nim jeszcze płochość zatrą blaskiem sławy.
To był skończony rycerz; jego duma
Nie była wzgardą, ani żart goryczą;
Jeśli ich użył, to na równych sobie.
Honor jak zegar własny znał minutę,
Gdy była pora mówić; język wtędy
Słuchał skazówki. Za innej istotę
Sfery uważał niższego od siebie,
Zniżał swą wyższość do jego poziomu,
Wzbijał go w dumę takim zstępowaniem,
A sam umniejszał się, hołdów słuchając,
On mógłby naszej młodzieży być wzorem,
Za którym gdyby szła, wnet-by poznała,
Że zacołana.

Bertram. Ojca mego sława
Większa w tych słowach, królu, niż w grobowej
Kolumnie, której napis mniej zaszczytnie
Brzmi, niżli taka królewska pochwała.

Król. Gdybym już był z nim! Zawsze on powiadał —
Zda się, że słyszę jeszcze! cenne słowa
W uszy me jak siew głęboko się wryły,
Aby plon wydać — »Niech ja żyć przestanę...«
Bo tak zaczynał w lubem spoważnieniu,
Kiedy się wyrwał z niewinnych igraszek;
»Niech mię śmierć lepiej zabierze — powiadał —
Gdy w lampie mojej zabraknie oliwy,
Abym się nie stał młodych pośmiewiskiem,
Których wyniosły umysł lekceważy
Co nie jest nowe, których rozum wszystek
Jest ojcem modnych strojów, których stałość

Mniej trwała, niżli moda«. — Śmierci pragnął,
A ja, przeżywszy go, pójść za nim pragnę;
Niezdolny wosku nosić już ni miodu,
Niech będę prędko wypędzony z ula,
Niech miejsca pszczołom roboczym ustąpię.
Drugi szlachcic. Drogi nam jesteś, Najjaśniejszy Panie,
Niechętni pierwsi za Tobą zapłaczą.
Król. Wiem, że zabieram miejsce. — Czy to dawno,
Jak umarł lekarz twego ojca, hrabio,
Ów sławny lekarz?
Bertram. Sześć miesięcy, Królu.
Król. Gdyby żył jeszcze, jemu-bym zawierzył.
Podaj mi ramię. — Drudzy mię zniszczyli
Mnogością leków; niemoc i natura
Harcują teraz po mnie. — Witaj, hrabio,
Drogi mi jesteś, jak syn.
Bertram. Dzięki składam
Za dobroć waszą, Miłościwy Panie!
(*Wychodzą. Odgłos trąb.*)

SCENA III.

Rousillon. Komnata w pałacu hrabiny.
(*Wchodzi Hrabina, ochmistrz dworu i trefniś.*)

Hrabina. Chcę usłyszeć, co waszmość powiesz o tem
dziewczęciu.

Ochmistrz. Pani, pragnę, aby pilność, jakiej przyłożyłem
dla zadowolenia waszej miłości, była zapisana w dzien-
niku mych dawnych usług; zawstydzamy bowiem skrom-
ność i mącimy jasność naszych zasług, kiedy je sami
głosimy.

Hrabina (*do trefnisia*). Co waść tutaj robisz? Idź sobie
przyjacielu. Skargom, które na waści słyszałam, nie
wszystkim wierzę, a jest to tylko moja opieszałość, bo
wiem, że do popełnienia największych szaleństw nie
brak ci fantazyi i sprytu.

Trefniś. Waszej miłości nie tajno, że jestem ubożuchny
chłopek?

Hrabina. No, dobrze.

Trefniś. Właśnie, że nie dobrze, miłościwa pani, być ubo-
żuchnym, choć wielu bogaczów siedzi w piekle; lecz

gdybym uzyskał przyzwolenie waszej miłości na ożenek, Izabela, moja żona, i ja jużbyśmy wiedzieli, co począć.

Hrabina. Chcesz waść koniecznie być żebrakiem?

Trefniś. Proszę właśnie o pozwolenie gwoli temu.

Hrabina. Gwoli czemu?

Trefniś. Gwoli Izabeli i mnie. Służba nie ojcowizna, a widzi mi się, że nigdy nie zaznam błogostawieństwa Bożego, póki nie spłodzę dzieci, bo dzieci, powiadają, są błogostawieństwem Bożem.

Hrabina. Powiedz mi waść, dlaczego chcesz się żenić?

Trefniś. Moje biedne ciało, miłościwa pani, żąda tego; mam pokusy, a musi ten dobrze biegać, kogo dyabeł goni.

Hrabina. I to są wszystkie racje waścine?

Trefniś. Owszem, mam jeszcze inne racje i świętobliwe.

Hrabina. Możemyż je usłyszeć?

Trefniś. Byłem, miłościwa pani, bezbożną istotą, jak wy i wszyscy, którzy jesteśmy z krwi i kości; żeby rzec prawdę: żenię się, bo chcę żałować.

Hrabina. Raczej małżeństwa, niż bezbożności.

Trefniś. Nie mam przyjaciół, miłościwa pani: tuszę, że ich znajdę przez moją kobietę.

Hrabina. Tacy przyjaciele to wrogowie, mój chłopcze.

Trefniś. Mało znacie, miłościwa pani, co są wielcy przyjaciele; ci pocziwi ludzie przyjdą za mnie odrabiać, kiedy się spracuję. Kto mi orze rolę, oszczędza mi chudoby, a wstawia plon do zbioru; ja jego rogal, ale on mój wyrobnik. Kto weseli moją kobietę, cieszy moją krew i ciało, kto cieszy moją krew i ciało, miłuje moją krew i ciało, a kto miłuje moją krew i ciało, jest moim przyjacielem, ergo, kto mi całuje kobietę, jest moim przyjacielem. Gdyby się chłopcy kontentowały tem, czem są, nie bałyby się ożenku; bo młody Charbon purytanin i stary Poysam papista, choć mają serca rozdzielone w kościele, głowy noszą jednakie i mogą się tak rogami trykać, jak barany w trzodzie.

Hrabina. Zawsze to będziesz miał brzydactwo i obmowę na ustach?

Trefniś. Prorok jestem, miłościwa pani, i mówię zawsze prawdę najprostszym sposobem.

Będę śpiewkę nucił zawdy,

Każdy w niej dopyta prawdy:

Żona idzie z przeznaczenia,

Kukuł kuka z przyrodzenia.

Hrabina. Idź sobie waść, nie chcę więcej słuchać.

Ochmistrz. Czy wasza miłość nie każe, aby przywołał tu Helenę? mam mówić o niej.

Hrabina. Idź waść do mojej pokojowej; chciałabym, aby tu przyszła; mówię o Helenie.

Trefniś (*śpiewa*). Więc dla jej to ładnego liczka

Zdobyli Grecy Troję?

Nie dziwno mi, że w niej z Parysem

Miał Pryjam radość swoją.

Tu zmiłkła i westchnęła biedna,

Tu zmiłkła i westchnęła biedna,

A potem tak powiada:

Na dziesięć ledwie dobra jedna,

Na dziesięć ledwie dobra jedna,

A dziewięć złych wypada.

Hrabina. Co? jedna dobra na dziesięć? Przekręcasz waść piosenkę.

Trefniś. Jedna dobra kobieta na dziesięć; honoruję śpiewkę, miłościwa pani. Niechby Bóg zdarzał tak w świecie raz do roku, byłbym kontent z dziesięciny, gdybym był proboszczem. Jedna na dziesięć, bodaj! gdyby jedna dobra na dziesięć rodziła się na każdej komicie, albo na każdym trzęsieniu ziemi, jużby poprawiła się loterya; ale dziś człowiek prędzej może z siebie wypatroszyć serce i żyć, niż dobrze trafi.

Hrabina. Czy pójdziesz sobie już waść i zrobisz, co kazałam?

Trefniś. Jak może chłop być pod rozkazami niewiasty i nie sprowadzić nie szczęścia? Jego uczciwość, choć nie jest purytanką, sama nieszczęścia nie zrządzi; będzie raczej nosiła komżę pokory na czarnej sutannie pysznego serca. Idę już, idę. Co to mam zrobić? Wiem już, sprowadzić jejmościankę Helenę.

(*Wychodzi*).

Hrabina. Mów waszmość.

Ochmistrz. Wiem, że wasza miłość lubi swoją pokojową.

Hrabina. Niezawodnie; ojciec jej mi ją powierzył, a ona sama bez innego zalecenia zyskała prawo do takiej życzliwości, jaką jej okazuję; jestem jej więcej winna, niż płacę, a płacę jej jeszcze więcej, niż w swej skromności żąda.

Ochmistrz. Pani, niedawno znalazłem się bliżej niej, niżby, jak sądzę, życzyła; była sama i rozmawiała z sobą, zwracała się słowami do własnego słuchu; była pewna, mogę to przysiąc, że nikt jej nie śledzi. Treścią tych słów było, że — jest zakochana w młodym hrabi. Fortuna — tak skarżyła się — nie jest boginią, że taką przepaścią rozdziela dwa stany; miłość nie jest bóstem, że władzę swą rozciąga jedynie na równość urodzenia i majątku; Dyana nie jest dziewic królową, gdy pozwoliła, aby jej biedna poddanka uległa bezbronna w pierwszym ataku, by ją zostawiła w niewoli bez nadziei wykupu. Mówiła to z tak gorzkim smutkiem, jak nie słyszałem jeszcze nigdy z ust dziewczyny. Więc sądziłem, pani, że mój obowiązek był donieść o tem, gdyż zależeć wam może, aby to wiedzieć na wypadek nieszczęścia.

Hrabina. Uczciwie waszmość zrobicieś, ale proszę, zachowaj sekret przy sobie; liczne wskazówki już dawniej naprowadziły mię na ślad tajemnicy, ale były tak chwytne na wadze pewności, że nie mogłam ani im uwierzyć, ani ich zwać z myśli. Proszę, zostaw mię samą; zachowaj tę rzecz dla siebie; raz jeszcze dziękuję waszmości za jego zacną troskę: pomówimy jeszcze o tem.

(Wychodzi ochmistrz. Wchodzi Helena).

Tak było ze mną, w mego życia wiośnie;
O! gdzie się dojdzie za głosem przyrody:
Ten cień na życia róży zawsze rośnie,
Krew nam, a miłość krwi panuje młodej;
Lecz to natury najprawdziwsze piętno,
Gdy młodość zadrga miłością namiętną.
To był i mój błąd — pomnę — za popędem
Chodzić; lecz wtedy nie zdał mi się błędem. —
W oczach jej mękę znać; już ja to widzę.

Helena. Co każesz, pani?

Hrabina. Wiesz, żem ci jest matką,
Heleno!

Helena. Chlebobawczynią.

Hrabina. Nie, matką.

Czemu nie matką? Gdym mówiła: matka,
Jakbyś ujrzała węża. Co jest w słowie
»Matka«, że tak się wdrygasz? Mówię: matka,
I że cię mieszczę w jednym rzędzie z dziećmi,

Które nosiłam w łonie. Widywano
Przecie, że miłość przybranego płodu
Dorównywała miłości własnego.

I że z wyboru wrastała w człowieka
Gałązka z cudzej zerwana krzewiny.
Nie znałam dla cię bólów macierzyństwa,
A przecież czuję matczyne kochanie.
Na Boga, dziewczę! czy to krew ci mrozi,
Że mówię: matka? I co za przyczyna,
Że chorobliwa ta dżdzu posłanniczka,
Liliowa tęcza, okala ci oczy?
Czy, żeś mi córką jest?

Helena. Że nią nie jestem.

Hrabina. Matkę masz we mnie, mówię.

Helena. Przebacz, pani:

Nie jest mi bratem hrabia Rousillonu;
Ja noszę niskie, on świetne nazwisko,
Ród mój nieznan, jego praszlachecki;
On moim panem, mym drogim zwierzchnikiem,
Mnie żyć i umrzeć pokorną poddanką;
On mi nie bratem.

Hrabina. Ani ja nie matką?

Helena. Wy moją matką, pani? Takbym chciała
(Jak nie chcę, aby syn wasz był mi bratem),
Abyś nią była dla mnie, jak dla niego;
Toć szczęście, równe niebieskiej rozkoszy...
Byle nie siostrą. Czyż koniecznie zatem,
Że ja twą córką, on ma być mi bratem?

Hrabina. Mogłabyś jednak być moją synową...
Nie myślisz o tem, wierzę. Co? Wyrazy
Matka i córka mieszają cię? Zbladłaś;
Mój domysł dotarł do głębi. Znam teraz
Tajną przyczynę twych samotnych dumań
I słone źródło łez; teraz mi jawne,
Że kochasz mego syna; wstyd zaprzeczać
Wbrew namiętności znakom niezawodnym
I twierdzić, że nie; zatem wyznaj prawdę,
Powiedz, że tak jest; bo patrz, twoje lica
Płonąc wyznały już jedno drugiemu,
Oczy spostrzegły w twojem zachowaniu
I na twój sposób głoszą; więc grzech jeno
Albo zły upór języka hamują,
Każąc ukrywać dłużej. Mów, czy nie tak?

Jeśli tak, ładny zamotałaś kłębek;
 Jeśli nie, przysiąż, ale w imię nieba,
 Którego wzywam dla twego ratunku,
 Mów prawdę.

Helena. Przebac mi, łaskawa pani!

Hrabina. Kochasz go?

Helena. Pani, błagam przebaczenia.

Hrabina. Kochasz go?

Helena. Czyż ty nie kochasz go, pani?

Hrabina. Nie wykręcaj się; moja miłość leży
 W węzłach konieczna; chodźże, chodź i odstoń
 Stan swego serca; patrzaj, twe wzruszenie
 Dość cię zdradziło.

Helena. A więc tak, wyznaję

Tu na kolanach przed niebem i tobą:

Więcej niż siebie, nieomal jak Boga

Kocham go, pani.

Ubodzy wszyscy moi przyjaciele,

Ale uczciwi — także miłość moja.

Nie miej urazy; wszak jego nie krzywdzi,

Że jest kochany; wszak się nie naprzykrzam

Żadną oznaką śmiałej zalotności,

Ani chcę zdobyć go, nie zasłużywszy;

Nie wiem, co czynić na taką zasługę.

Wiem, kocham próżno, dążę beznadziejnie,

Jednak w ten zdraźny i niechwytny przetak

Ciągle przelewam strumień mej miłości

I nie ubywa go; jak Indyanin

W moim przesądzie nabożna, uwielbiam

Słońce, co patrzy na swoich czcicieli,

Lecz więcej o nich nie wie. Pani droga,

Niech nie zasłużę twojej nienawiści,

Że kocham, co ty. Jeżeli ty sama,

Której czcigodność dziś daje świadectwo

Cnocie młodości, kochałaś tak szczerze,

Tak czułym ogniem i tak nieskalanym,

Że miłość twoja była Dyaną sobie,

Miej miłosierdzie nad biedną dziewczyną

I taką dolą, że może jedynie

Dawać ze swego sama nie bogata

I wiedzieć, że ją zawsze czeka strata;

Że wie, iż czego pragnie, nie dokona

I jak w zagadce żyje tem, że kona.

Hrabina. Czyś nie myślała jechać do Paryża?

Mów prawdę?

Helena. Tak jest.

Hrabina. Po co? Mów mi prawdę.

Helena. Powiem, na niebo przysięgam, nie skłamię.

Wszak ci wiadomo, pani, że mój zmarły

Ojciec zostawił w mojem posiadaniu

Odkryte dzięki biegłości i wiedzy,

A skutecznością cudowną dowodne

Formuły leków i że mi polecił

Strzedz ich troskliwie w wielkiej tajemnicy,

Jak rzeczy, które więcej zawierały,

Niż miały pozór; pomiędzy innemi

Jest tam lekarstwo pewne, dowiedzione

Na ową straszną, beznadziejną słabość,

Która królowi grozi śmiercią.

Hrabina. Zatem

Ten jest jedyny cel podróży? Powiedz.

Helena. Mój pan a syn wasz, pani, był mi bodźcem

Takiego planu; bez niego by może

Myśl o lekarstwie, królu i Paryżu

Nie zaświtała nigdy w mem marzeniu.

Hrabina. Czy się doprawdy spodziewasz, Heleno,

Że gdy przyniesiesz te rzekome leki,

To ci je przyjmą? Wszak król i lekarze

Są jednej wiary; on, że go nie zbawią,

Oni, że próżno radzić. Zechcąż słuchać

Nieuczzonego, biednego dziewczęcia,

Gdzie szkoły, wszelką wyczerpawszy sztukę,

Pozostawiły groźę samej sobie?

Helena. Większą przeczucie jakies, niż rodzica

Rozgłośna biegłość, daje mi otuchę,

Że ta cudowna recepta, dziedzictwo

To moje, będzie pobłogosławiona

Od najszczęśliwszej gwiazdy. — Racz mi, pani,

Pozwolić próby; w zakład stawię życie,

Że królewskiego wyzdrowienia powiem

Dzień i godzinę.

Hrabina. Wierzysz w to tak święcie?

Helena. Najświęciej wierzę.

Hrabina. Ha, tedy ci daję

Me pozwolenie i uścisk życzliwy,

Służbę potrzebną i środki podróży

I pozdrowienie dla moich na dworze.
Możesz się jutro zaraz wybrać w drogę:
O ile w mocy mojej — dopomogę.
(*Wychodzą*).

AKT DRUGI.

SCENA I.

Paryż. Sala w pałacu królewskim.

(*Odgłos trąb. Wchodzi Król z młodem rycerstwem, idącym na wojnę florencką; Bertram, Parolles i dwór*).

Król. Żegnajcie, młodzi rycerze; w wojennej
Wytrwajcie chęci. I wy też, panowie,
Żegnajcie; radą moją się podzielcie,
Lub bierzcie każdy całą; raz przyjęta
Tak w objętości swojej się rozrośnie,
Że starczy obu.

Pierwszy szlachcic. Żywimy nadzieję
Po chlubnym boju, Najjaśniejszy Panie,
Wrócić i w dobrem obaczyć was zdrowiu.

Król. Trudno, niestety, choć się wzdraga serce
Uznać, że kryje śmiertelną chorobę,
Co dniom mym grozi. Żegnajcie, panowie!
Przetrwam czy umrę, bądźcie wy synami
Godnymi Francji; niech górna Italia,
(Owa rozbicia ostatniej monarchii
Spadkobierczyni) pozna, żeście przyszli
Nie ubiegać się o cześć, lecz ją zdobyć.
Gdy się najśmielszy wzdraga, bieście śmiało
Na światogłośną sławę. Bądźcie zdrowi.

Drugi szlachcic. Niech zdrowie stoi w twojej służbie, Królu!

Król. A przed włoskimi dziewczętami wara.
Mówią, że Francuz odmówić nie zdolny,
Gdy Włoszka prosi; strzeżcie się niewoli
Jeszcze przed wojną.

Obaj. W sercu zapiszemy
Waszą przestrożę, Najjaśniejszy Panie.

Król. Żegnaj was. — Chodźcie tu do mnie.
(*Odchodzi w głąb sceny na łożo*).

Pierwszy szlachcic. Młodzieńcze, żal nam odejść bez
[ciebie].

Parolles. Nie jego wina; — młokos.
Drugi szlachcic. Jaka piękna
Wyprawa!

Parolles. Piękna; widziałem podobne.

Bertram. Tu każą zostać, trzymają mię w kące,
Mówią mi: »Młodyś, za rok, jeszcze wcześniej«...

Parolles. Jeśliś zuch taki, chłopcze, pryśnij z dworu.

Bertram. Mam tutaj gnuśnieć, wieszać się spódnicy,

Aż w polu honor wszystkich rozprzedadzą

I nie będzie się więcej nosić szpady

Prócz w tańcu... Dalibóg, że się wykradnę.

Pierwszy szlachcic. Zaszczytna kradzież.

Parolles. Popętnij ją, hrabio.

Drugi szlachcic. Masz pomocnika we mnie; bywaj zdrowy!

Bertram. Do was przylgnąłem, więc gdy się rozstaję,

To jakby mię kto krajał na kawały.

Pierwszy szlachcic. Żegnaj cię, kapitanie!

Drugi szlachcic. Luby panie Parolles!...

Parolles. Szlachetni rycerze, wasze miecze i mój są po-
winowate. Dobrzy i żwawi chłopcy szczeroci, jeszcze
słowo: W pułku Spinejskim spotkacie tam niejakiego
kapitana Spuriona, z taką szramą, godłem wojny, na
lewym policzku; ten oto miecz mu ją zadał; powiedz-
cie mu, że żyję, i uważajcie, jakie to na nim robi
wrażenie.

Drugi szlachcic. Nie zapomnimy, zacy kapitanie.

Parolles. Niech Mars czuwa nad wami, fryce jego rze-
miosła. (*Szlachcice wychodzą*). Cóż hrabia postanawiasz?

Bertram. Zostać; król!...

Parolles. Okazuj hrabia staranniejszą uprzejmość tym dwom
młodym rycerzom; zamknąłeś się, hrabio, w granicach
zbyt chłodnego pożegnania; bądź dla nich grzeczny
z większą ostentacją; to są modele mody i dobrego
smaku; w chodzie, w jedzeniu, w mowie, w ruchach
kierują się panującą gwiazdą; choćby czart prowadził
taniec, takim ludziom trzeba chodzić w tropy. Śpiesz
hrabia za nimi i rozpraw się okazalszem pożegnaniem.

Bertram. Idę zrobić tak.

Parolles. Dzielną młodzież, materyał na zatwardziałych
wojowników.

(*Wychodzą Bertram i Parolles; wchodzi Lafeu*).

Lafeu (*klękając*). Racz przyjąć, władco, hołd mój i mych
[wieści.

Król. Wstań, tem ci płacę.

Lafeu. Tym sposobem stoi
Przed wami człowiek, co swą łaskę kupił.
Chciałbym, byś, Królu, klęczał tak przede mną,
Prosił o łaskę i wstał na wezwanie.

Król. Gdybym wstał rzeźki, skrzyłbym ci szyję,
Potem przeprosił.

Lafeu. Z przeproszeniem — pudło.
Ot co jest, Królu... Chcesz być uleczony,
Z niemocy?

Król. Hę? Nie.

Lafeu. Nie chcesz jeść winogron,
Królewski lisie? Owszem, jadłby grona
Moje szlachetne lis królewski, gdyby
Zdołał ich dostać. Lecz znam ja doktora,
Co umie życie obudzić w kamieniu,
Rozruszać skałę i do ognistego
Tańca namówić waszą mość królewską;
Króla Pepina palcem podnieść z grobu,
Karlomanowi w rękę podać pióro,
By do niej skreślił list miłośny.

Król. Do niej?

Lafeu. Tak, do doktorki, która tu w stolicy
Bawi; może ją pragniesz poznać, Królu?
Tak, na mój honor i wiarę, że zmienię
Ton żartobliwy w poważne zakłęcie;
Mówiłem dzisiaj z osobą, co wiekiem,
Płcią, powołaniem, wiedzą, stanowczością
Oczarowała mię tyle, że nie śmiem
Ganić zachwytu swego. Chcesz-li, Królu,
Puścić ją na dwór, o co ciągle prosi,
I spytać co za jedna? Potem możesz
Wyśmiać naiwność moją.

Król. Dobry Lafeu,
Sprowadź to cudo, byśmy mogli dzielić
Twój zachwyt, albo odczynić uroki
Wyśmianiem czarów.

Lafeu. Zanim zajdzie słońce,
Nawrócę ciebie, Miłościwy Panie. (*Wychodzi*).

Król. Do wielkiego «nic» zwykły jego prolog.
(*Lafeu wraca prowadząc Helenę*).

Lafeu. Wejdz, pani.

Król. Pośpiech, jak widzę, skrzydlaty.

Lafeu. Pójdź bliżej; oto

Jego Królewska Mość. Mów, czego życzysz.
Wchodzisz ze spiskiem, lecz spiskowców takich
Król się nie lęka. Zostawiam was zatem,
Jak wuj Kressydy. Cześć majestatowi.

(*Wychodzi*).

Król. Cóż, piękne dziecię? Prośbę nam przynosisz?

Helena. Tak, Najjaśniejszy Panie; jestem córką
Głośnego mistrza, Gerarda z Narbony.

Król. Znałem go.

Helena. Przeto zbytecznej oszczędzę pochwały;

Znać go wystarcza. Na śmiertelnem łożu
Recepty mi swe zwierzył, zwłaszcza jedną,
Najdroższy owoc swojej wielkiej sztuki,
Najulubieńsze swych doświadczeń dziecię.
Tego mi kazał strzedz, jak oka w głowie,
Pewniejszym sądząc, niż tych oczu dwoje.
Tak uczyniłam, a słysząc, że Wasza
Miłość na ową niemoc cierpi właśnie,
Której leczenie taki zaszczyt niesie
Mego rodzica cennemu darowi,
Lek mój i służbę u stóp waszych złożę
Śpieszę pokornie.

Król. Lecz nam nie wolno być łatwowiernymi,

Gdzie odstąpili nas mądrzy lekarze,
A ich zebrana rada już orzekła,
Że najtroskliwsza sztuka nie wybawi
Natury z pęt niecofniętych. Powtarzam,
Własnego hańbić nam nie wolno zdania,
Ni oszukiwać nadziei, zwierzając
Nieuleczalną niemoc empirykom;
Ani osłabiać królewskiej powagi,
Opierając się na nadziei chwiejnej,
Gdzieśmy uznali trud za beznadziejny.

Helena. Spełniam powinność; ta myśl trud mój spłaci;

Toż prośby mojej nie narzucam więcej,
Skromniejszą wnosząc: nie ceń złe mych chęci
I pozwól odejść, Miłościwy Panie!

Król. Nie mniej winienem ci wdzięczność, dziewczeczko,

Toż ci ją świadczę, z uciechą tak dużą,
Jak konający, gdy mu życie wróżą.

Lecz wiedza moja z twoją się nie spotka,
Bo ja znam stan swój, ty nań nie znasz środka.

Helena. Znam go; nie może oszukać człowieka,
Którego i tak, mówicie, śmierć czeka,
Bóg, który większych dokazuje rzeczy,
Najcięższą niemoc przez dłoń słabą zleczy.
Tak Pismo mądrość w usta dzieci kładzie,
Gdzie jako dzieci byli mędrzy w radzie.
Z dżdżu wyrósł potop, morzu brakło fali
Tam, gdzie najmędrsi cudów zaprzeczali.
Nadzieja często tem bardziej zawodna,
Im spodziewańsza, a za to spełniona,
Gdzie rozpacz wschodzi, a otucha kona.

Król. Bądź zdrowa; muszę trwać przy tem, co wprzód;
Sama spłać sobie nieprzyjęte trudy;
Podzięka będzie mą jedyną płacą.

Helena. Oto, jak Boże natchnienia się tracą!
Inaczej czyni Bóg, niż słabi ludzie,
Co nasze plany budujem na złudzie.
Zuchwalstwo to jest, gdy niebios natchnienia
Na równi z ludzką sztuką się ocenia.
Nie, nie odpychaj, Królu, mej pomocy,
Nie mojej, niebios chciej doświadczyć mocy.
Jam nie oszustka; nie jest mym zamiarem
W oczy wam świecić fałszywym towarem.
Wierzcie mi, czuję; głos mi nadczłowieczy
Mówi, że lek mój, Królu, was uleczy.

Król. Jakżeś to pewna? Jakiegoż potrzeba
Czasu tej próbie?

Helena. Jeśli łaska nieba
Wesprze mię, tuszę, nim rumaki słońca
Dwukroć obwiozą ogniściego gońca,
Nim dwukroć w ciemnej zachodu pomroczy
Wilgotny Hesper senną lampę zmoczy;
Dwadzieścia czterokroć nim na zegarze
Piasek żeglarzom bieg czasu ukaże:
Uleci niemoc z ciała wypędzona,
Zdrowie ożyje, a choroba skona.

Król. Tę pewność jakim warujesz zakładem?

Helena. Niech mię bezczesną zowią; niech mym śladem
Goni ładacznic wstyd; niech w pieśni rymie
Mą hańbę głoszą; me dziewicze imię

Będzie oplwane, a na domiar męki,
Niech ćwiertowana zginę z kata ręki.

Król. Zda mi się, jakiś duch przemawia święty
Z ust dziewczki słów tych gromkimi tętenty;
Co niemożliwe zda się do spełnienia,
Oczarowany zmysł na pewność zmienia.
Wszak życie swoje cenisz; co ozdobie
Bytu na ziemi służy, dane tobie;
Mądrość, uroda, honor, śmiałość, cnota,
Wszystko, co szczęście marzy dla żywota.
Stawiać to wszystko na hazard, to znaczy,
Żeś pewna sztuki, albo żeś w rozpacz.
Droga lekarko, poddaję się zatem:

Gdy chybisz, lek twój będzie twoim katem.

Helena. Jeśli się w czasie lub wyniku zmylę,
Niech, jak powiadam, odpłacę w mogile,
I zasłużenie; zakład mój jest życie;
Lecz jeśli wygram, czem mi odpłacicie?

Król. Mów, czego pragniesz.

Helena. Mamże zapewnienie?

Król. Klnę się na berło i duszne zbawienie.

Helena. A zatem, Królu, męża dasz mi w darze
Z zakresu władzy twej, którego wskażę.
Nie będę tyle pyszna i zuchwała,
Bym z królewskiego gniazda wybierała,
Aby zaszcześcić na mem drzewku nizkiem
Świetną latorośl z królewskim nazwiskiem.
Lecz ktoś, kogo znam, co jest twój poddany,
Niech mi z wyboru mego będzie dany.

Król. Tu moja ręka w zakład, że twe chęci
Władza ma spełnić gotowa najświęciej.
Czas swój dowolnie wybierz; ja, twój chory,
Zupełnie oddam ci się każdej pory.
Chciałbym, winienbym więcej pytać może,
Choć więcej wiedzieć — otuchy nie wzmóże;
Skąd tu przybywasz, kto cię przysłał, przecie
I tak mi jesteś pożądana, dziecię.
Ratuj mą nędzę! a jeśli mię zdrowiem
Obdarzysz, łaską za łaskę odpowiem.

(*Odgłos trąb. Wychodzą.*)

SCENA II.

Rousillon. Komnata w pałacu hrabiny.

(Wchodzą Hrabina i trefniś).

Hrabina. Chodź tu waść; muszę raz poznać, o ile jesteś dobrze wychowany.

Trefniś. Pokażę, że jestem dobrze odżywiony, ale źle odchowany; wiem, że z rzemiosła należę tylko na dwór.

Hrabina. Tylko na dwór! Patrzenie! Jakież to znasz godniejsze miejsce, że o tem odzywasz się z taką pogardą? Tylko na dwór!

Trefniś. Doprawdy, miłościwa pani, kiedy Bóg da człeku jakie takie obycie, to na dworze może się łatwo beżeń obejść. Taki, co nie umie skrobać nogą, szastać kapeluszem, całować własnej ręki i gadać o niczem, nie ma chyba ani nóg, ani ręki, ani ust, ani głowy; a taki, żeby rzecz sprawiedliwie, nie zda się na dwór; co się mnie tyczy, to mam jedną odpowiedź na wszystkie pytania.

Hrabina. W istocie, nadzwyczajna odpowiedź do wszystkich pytań.

Trefniś. Jak krzesło golarza dobrane do wszystkich pośladek: chudych, suchych, okrągłych, słowem do wszystkich pośladek.

Hrabina. Jedna odpowiedź, powiadasz, dobrana taka?

Trefniś. Tak dobrana, jak dziesięć groszy do dłoni prawnika, jak wasza francuska głowa do atlasowego czepca, jak pierścionek Kasi do palca Jasia, jak płacek do tłustego wtorku, jak hołupce do maja, jak śruba do mutry, jak rogal do rogów, jak swarliwa baba do kłótnika chłopca, jak wargi mniszki do ust mnicha, no jednym słowem, jak nadzienie do kiszki.

Hrabina. Jedna odpowiedź tak dobrana do wszystkich pytań?

Trefniś. A jakże; od księcia pana do pachółka dziada dobra dla każdego.

Hrabina. Musi to zatem być odpowiedź ogromnie rozciągnięta, kiedy wszystkie pytania przykrywa.

Trefniś. Gdzie tam! Drobnośtka; gdyby uczeni umieli ją ocenić. Oto jest, ze wszystkimi przyległościami. Na ten przykład spytaj mnie wasza miłość, czy jestem dworakiem; nie zaszkodzi się dowiedzieć.

Hrabina. Nie zaszkodzi dzieciennieć. Dobrze, zabawię się, może się przytem czegoś nauczę. Powiedz mi wasze, czy jesteś dworakiem?

Trefniś. O mój Boże!... Ot, prosta odprawa; więcej, więcej, choćby sto.

Hrabina. Wiesz waszmość, że kocham waćpana?...

Trefniś. O mój Boże!... Dalejże, nie oszczędzajcie.

Hrabina. Widzę, że waszmość nie znosi naszej domowej kuchni?...

Trefniś. O mój Boże!... No, przysadźcie mię, ręczę za siebie.

Hrabina. Czy prawda, że w tych dniach dostał waszmość różgą?...

Trefniś. O, mój Boże!... Nie żałujecie mnie!

Hrabina. Pod różgami wołasz wasze »O, mój Boże!« i »Nie żałujecie mnie!« Doprawdy, twoje »O, mój Boże!« dobrze różgom odpowiada; widzę, żeś waść pod różgi odpowiedni.

Trefniś. Dobryś! Nigdy w życiu tak się nie pokpiłem ze swem »O, mój Boże!«; widzę, że można czegoś używać długo, ale nie wiecznie.

Hrabina. Źle gospodarzę drogim czasem, że się tu z głupstwami bawię.

Trefniś. O, mój Boże!... Widzi wasza miłość? Znów mi służy.

Hrabina. Dość tej igraszki; nieś ten list Helenie,

Powiedz, że żądam prędkiej odpowiedzi;

Poleć mię krewnym moim i synowi.

Razem niewiele.

Trefniś. Niewiele dla nich polecenia?

Hrabina. Niewiele trudu dla ciebie; rozumiesz?

Trefniś. Skutecznie; śpieszę i wyprzedzam własne nogi.

Hrabina. Wracaj rychło. *(Wychodzą, każde w swoją stronę).*

SCENA III.

Paryż. Komnata w pałacu królewskim.

(Wchodzą Bertram, Lafeu i Parolles).

Lafeu. Powiadają, że czasy cudów już minęły, a mamy od tego panów filozofów, aby nadnaturalne i niewytłumaczone zjawiska przedstawiali jako proste i zwy-

czajne. Stąd wynika, że, opancerzeni rzekomą wiedzą, lekceważymy rzeczy pełne grozy, gdzieśmy powinni ukorzyć się przed tajemniczym strachem.

Parolles. Widzimy tu najrzadszy przykład cudu, jakie się zdarzyły w nowych czasach.

Bertram. Bez wątplenia.

Lafeu. Być opuszczonym od wszystkich biegłych w sztuce.

Parolles. Tak powiadam; od Galena i Paracelsa.

Lafeu. Od tych wszystkich uczonych i dyplomowanych doktorów...

Parolles. Właśnie, jak mówię.

Lafeu. Co ogłosili go nieuleczalnym.

Parolles. Otoż to i ja powiadam.

Lafeu. Bez ratunku...

Parolles. W istocie; jak człowieka pewnego...

Lafeu. Niepewnego życia i pewnej śmierci.

Parolles. Dobrze waszmość się wyrażasz; chciałem rzec to samo.

Lafeu. Można powiedzieć, że to zdarzenie w świecie jedyne.

Parolles. Niewątpliwie; gdybyście chcieli widzieć podobną rzecz na scenie, przeczytajcie ją w książce... Jaki to nosi tytuł ta książka?...

Lafeu. Reprezentacja niebieskiej siły w ziemskiej istocie.

Parolles. Właśnie, co miałem na języku; właśnie to samo.

Lafeu. Młody króliewicz nie jest żwawszy, mówiąc z przeproszeniem.

Parolles. Tak, to dziwne, to dziwne; historia razem krótka i rozwlekła i musiałby być przewrotny ten, coby nie uznał, że jest w tem...

Lafeu. Palec Boski.

Parolles. Jak powiadam.

Lafeu. W takim słabem...

Parolles. Narzędziu wielka siła, wielka moc wpływu, która powinna i na nas wyrzucić pewne skutki, poza uleczeniem króla, jak naprzykład obudzić...

Lafeu. Wdzięczność powszechną.

(Wchodzą Król, Helena, dworzanie).

Parolles. To samo myślałem; oto król.

Lafeu. *Lustig*, jak mówi Niemiec. Odtąd jeszcze bardziej będę lubił dziewczęta, póki mi ostatni ząb nie wypadnie. Hej, zdaje mi się, że mógłbym z nią wyciąć kurlanta.

Parolles. *Mort du Vinaigre!* wszak to Helena! **Lafeu.** Dalibóg, tak myślę.

Król. Idźcie, zwołajcie mi tutaj dwór cały.

(Dworzanie wychodzą).

Przy swoim chorem siadź, luba zbawczyni;

Z tej zdrowej ręki, której przywróciłaś

Czucie wygnaćce, odbierz po raz wtóry

Przyrzeczonego daru zapewnienie,

Które wyboru jeno twego czeka.

(Wchodzi grono szlachty).

Spójrz tutaj, piękne dziewczę; kwiat młodości

Widzisz, na moje gotowy skinienie;

Mam nad nim władzę i ojca i pana;

Słowo me wolność wyboru ci dawa,

Jak do odmowy im zabrania prawa.

Helena. Niech z was każdemu los piękną, cnotliwą

I sercu miłą wyznaczy kochankę,

Oprócz jednego, który będzie moim.

Lafeu. Oddałbym mego cisawego z rzędem,

Żeby mieć zdrowe zęby, jak ci chłopcy,

I rzadszą brodę.

Król. Rozpatrz się w nich dobrze;

Każdy jest synem szlachetnego rodu.

Helena. Niebo przeze mnie uleczyło króla.

Wszyscy. Niechaj ci niebo za niego odpłaci.

Helena. Prosta dziewczyna jestem, a bogata

Jedynie skarbem swojego dziewictwa.

Z twem pozwoleniem, Miłoścy Królu,

Jużem wybrała; rumieniec mi szepce:

•Płonę, że może zawód spotkać ciebie;

Błada śmierć wtedy lica niech odbarwi,

Ja już nie wrócę•.

Król. Mów, z kim chcesz wejść w śluby;

Ktoby cię wzgardził, mnie będzie nieluby.

Helena. Żegnam więc twoje ołtarze, Dyano,

I do Amora, najwyższego pana,

Śię modły.

(Do pierwszego szlachcica).

Chcesz mię wysłuchać, rycerzu?

Pierwszy szlachcic. I spełnić chęci.

Helena.

Dosyć, resztę zmilczcie.

Lafeu. Dalibóg, wolałbym teraz należeć do wybieranych, niż wyrzucić dwie jedyńki w tryktraku.

Helena (*do drugiego szlachcica*).

Duma, co w pięknych twych oczach zasiada,
Zanim spytałam, groźnie odpowiada.
Niech stokroć lepszą los tobie wyjedna
Dole, niż moja miłość może biedna.

Drugi szlachcic. Lepszej nie pragnę.

Helena. Przyjm podziękowanie
Za chęć łaskawą; żegnaj, młody panie.

Lafeu. Cóż to? Wszyscy odmawiają? Gdyby byli moimi
synami, kazałbym ich oćwiczyć, albo posłał do Turka,
żeby ich przemienił na eunuchów.

Helena (*do innego szlachcica*).

Nie bój się waszmość; ciebie też pominę,
Nie chcę, byś we mnie miał żalu przyczynę;
Niech samo niebo twych skłonności strzeże:
Los pokażniejszą żonę ci wybierze.

Lafeu. Ci młodzi ludzie są widocznie z lodu, że żaden
z nich się nie kwapi; chyba angielskie bękarty, bo
Francuzi nie mogli być ich ojcami.

Helena (*do drugiego szlachcica*).

Zbyt jesteś młody, zacny i szczęśliwy,
Byś chciał owocu z tak ubogiej niwy.

Lafeu. Pozostała jeszcze jedna jagoda; no, mój chłopcze,
przypuszczam, że twój ojciec pijał wino. Jeżeli nie je-
steś osłem, to ja jestem czternastoletnim wyrostkiem;
ale ja cię znam.

Helena (*do Bertrama*). Nie śmiem rzec: »biorę cię« — lecz
[ile staje

Życia, służbę mą, siebie oddaję
Pod twe rozkazy... Oto mój wybrany.

Król. Zatem, Bertramie, przyjmij ją za żonę.

Bertram. Za żonę moją? — Wasza Miłość raczy
Pozwolić, bym się w tym wypadku radził
Mych własnych oczu.

Król. Czy nie wiesz, Bertramie,
Co uczyniła dla mnie?

Bertram. Wiem, mój władco,
Lecz nie wiem, czemu ma być moją żoną.

Król. Wszak mnie dźwignęła z śmiertelnej pościeli.

Bertram. Aby mnie na nią zwalić? Wiem, kto ona;
Wychowała się na koszt mego ojca;
Żoną mą córka jakiegoś lekarza!...
Niechaj się raczej w hańbie strawię...

Król. O tytuł zatem chodzi, który przecie
Mogę ja nadać! Dziwna, iż krew nasza
Barwą, ciężarem, ciepłotą jednaka
I własnościami równa, tak przecież
Wyróżniać pragnie. To dziewczę ma wszystko,
Co się zwie cnotą; jeśli więc nią gardzisz,
Że jest lekarza córką, znać, że kładziesz
Tytuł nad cnotę; proszę, nie czyn tego.
Kiedy stan niski zacnych dzieł dokona,
Już nizkość jego będzie uzacniona.
Gdzie pycha dmie się, a cnota nieskora,
Tam cześć jest jakby na puchlinę chora.
Zło jest złem, dobro dobrem, bez imienia:
Wnętrzną wartością rzeczy się ocenia
A nie ich nazwą. Patrz: jest piękna, młoda,
Rozumna; wszystko dała jej przyroda;
To jej szlachectwo. Sława tym nie świeci,
Co się podają światu za jej dzieci,
A niepodobni matce; bujniej kwitnie
Honor, gdy go z dzieł wywiedziem zaszczytnie,
Niżeli z przodków; cześć, ta sama sobie
Niewolnicą jest, częstokroć na grobie
Hańbiona, trumien trofea kłamliwa;
Podczas gdy głośnym hymnem się odzywa,
Gdzie zapomniane w prochu i nicości
Leżą umarłe zacnych mężów kości.
Cóż rzec?... Jeśli ci podobać się może
Tak, jak tu stoi, resztę ja dołożę;
Siebie i cnotę ona niesie w wianie,
Tytuł i dobra ode mnie dostanie.

Bertram. Ja nie kocham jej, ani chcę próbować.

Król. Skoro się wahasz, twoja własna szkoda.

Helena. Żeś zdrów, dość na tem, Miłościwy Panie;
Reszty zaniechaj.

Król. Królewskiej broniąc czci w zakład stawionej,
Użyć mej władzy muszę. Weź jej rękę,
Zuchwalcze, skarbu takiego niegodny,
Co lekceważysz krnąbrnie miłość naszą
I jej zasługę, nie zważając na to,
Że, gdy zaciężym z nią na jednej szali,
Ty z drugą pomkniesz pod strop; nie chcąc wiedzieć,
Że nam jest wolno honor twój posadzić
Gdzie chcemy, aby rósł. Zaniechaj wzgardy;

Słuchaj nas, którzy chcemy twego dobra;
 Nie wierz swej próżnej pysze, lecz niezwłocznie
 Własnemu szczęściu przywróć swoje prawa,
 Jak chce powinność twa, a nasza wola,
 Lub cię na zawsze z łask naszych strącimy
 W wiry młodości, niepohamowane
 Upadki głupstwa i na łup wydamy
 Słusznej niechęci naszej i mściwości
 Bez miłosierdzia. — Mów i odpowiadaj.

Bertram. Racz już przebaczyć, Miłościwy Panie;
 Skłonność mą poddam twjej woli. Gdy bacze,
 Jaka zaszczytów pełnia i obfitość
 Płynie z twych dłoni, znajduję, że ona
 W mem rozumieniu szlacheckiem tak niska,
 Z pochwały tronu taki herb dostała,
 Jakby go niosła z rodu.

Król. Weź jej rękę,
 Powiedz jej, że jest twoja; przyrzekamy
 Jej wianem dobra twoje zrównoważyć,
 Jeśli nie więcej.

Bertram. Dobrze, już ją biorę.

Król. Niechaj fortuna i łaska królewska
 Świecą nad związkim waszym. Formalności
 Ślubne natychmiast, dzisiaj wieczorem
 Niech się wypełnią; sam obrzęd weselny
 Odtóńcie na czas przyszły, byśmy mogli
 Sprosić na dwór nasz dalekich przyjaciół.
 Kochaj ją; hołdem twoja miłość będzie
 Dla króla; gdy nie, dowiesz się, żeś w błędzie.
(Wychodzą Król, Bertram, Helena, panowie i dwór).

Lafeu. Słyszałeś *Monsieur*? Słódko z wami.

Parolles. Co waszmość rozkażesz?

Lafeu. Wasz pan i władca dobrze zrobił, że odwołał.

Parolles. Odwołał? — Mój pan? — Mój władca?...

Lafeu. A jakże. Czyż nie prostym językiem mówię?

Parolles. Rubaszny język i niezrozumiały bez krwawego
 rozświecenia. Mój pan?

Lafeu. Czy nie jesteś waśc towarzyszem hrabiego Rou-
 sillonu?

Parolles. Każdego hrabiego; wszystkich hrabiów; wszyst-
 kiego, co się zwie mężem.

Lafeu. Zatem wszystkich ludzi hrabiego; samego hra-
 biego, to już inny styl.

Parolles. Jesteś waszmość za stary; niech to wystarczy;
 jesteś za stary.

Lafeu. Muszę ci powiedzieć, mój chłopcze, że się pod-
 pisuję mężem; do takiego tytułu wiek ciebie nie do-
 prowadzi.

Parolles. Tam, gdzie śmiem zanadto, nie śmiem dać so-
 bie folgi.

Lafeu. Dwa razy znalazłszy się z tobą przy stole, miałem
 cię za rozsądnego chłopca; dąłeś nam wprawdzie
 w uszy podróżami, ale to jeszcze uszło; tymczasem
 twoje szarfy i wstążki ostrzegają mię, abym cię nie
 brał za statek zbyt ładowny. Teraz cię znalazłem; je-
 żeli znów cię zgubię, żałować nie będę; jesteś dobry
 jedynie do wymiatania i to jeszcze nie bardzo.

Parolles. Gdybyś nie miał po swej stronie przywileju sę-
 dziwości...

Lafeu. Nie dawaj tak głębokiego nura w złość, bo mógł-
 byś przyspieszyć wypadek; a gdyby... Boże, zmiłuj się
 nad tchórzem. Zatem bądź zdrowe, moje ty zakrato-
 wane okno; nie potrzebuję odmykać okiennicy, bo cię
 i tak przezieram. Podaj rękę.

Parolles. Wasza miłość podrażniła mię niepomiernie.

Lafeu. Tak, z całego serca, bo jesteś tego wart.

Parolles. Nie zasłużyłem, szanowny panie.

Lafeu. Owszem, każdy łut, a nie odejmę ci ani okru-
 szyny.

Parolles. Dobrze, będę rozsądniejszy.

Lafeu. I to jak najprędzej, bo masz dyabłą skłonność do
 czegoś przeciwnego. Jeśli cię kiedy obwiną w szarfę
 i wymłóca, poznasz, że słusznie byłeś dumny z takich
 powijkaków. Proszę nawiązać z tobą dalszą znajomość
 lub raczej prowadzić dalej poznanie, abym mógł rzec,
 gdy zajdzie potrzeba: Oto mąż, którego znam.

Parolles. Wasza miłość katuje mię nie do wytrzymania.

Lafeu. Radbym, żeby to było dla ciebie piekielną męką
 i żeby moje słabe różgi siekły wiecznie; co do sił, to
 tych mi już brakuje, ale zostało zawsze dosyć, żebym
 je na tobie zmierzył, póki wiek pozwoli.

(Wychodzi).

Parolles. Masz syna, który mi odptaci za ten despekt,
 obrzydliwy, stary, brudny panku! Ha, muszę być cier-
 pliwy, ale nie mam hamulca na gniew. Posiekę go,
 na me życie, kiedy go spotkam w stosownej chwili,

choćby był podwójnym i poczwórnym magnatem. Nie będę miał litości nad jego wiekiem, jakbym nie miał litości nad... wytlukę, jeśli go jeszcze raz obaczę.

(Wraca Lafeu).

Lafeu. Mój przyjacielu, twój pan i władca ożenił się, dla ciebie nowina: dostaniesz nową panią.

Parolles. Upraszam waszej miłości nieobłudnie, aby raczyła oszczędzić mi krzywdy; ten jest moim dobrym panem, tamten w górze, któremu jestem poddany, moim władcą.

Lafeu. Kto? Pan Bóg?

Parolles. Tak jest, mój panie.

Lafeu. Dyabelskim jesteś poddanym, nie boskim. Dlaczego tak zakładasz ramiona? Czy robisz pludry z rękawów? Czy reszta służby używa takich giestów? Lepiej-byś umieścił swoje dolne części w miejscu nosa. Na honor, osiekłbym cię, gdybym był tylko o dwie godziny młodszy; zdaje mi się, że jesteś powszechną zakałą, a każdy miałby prawo dać ci baty. Przypuszczam, że jesteś stworzony na to, aby ludziom nad tobą mdlała ręka.

Parolles. Okrutne i niezasłużone jest obejście waszej miłości.

Lafeu. Odejdź, mój kochany; we Włoszech wzięłeś chłostę za to, żeś ukradł granat z drzewa; jesteś obieżyświat, nie bywalec! wobec dobrze urodzonych i czi godnych ludzi zachowujesz się z mniejszą ceremonią, niżby pozwalała pieczęć twego urodzenia i uczciwości. Nie jesteś wart innej nazwy, jak hultaja. Żegnam wasana. *(Wychodzi. Wchodzi Bertram).*

Parolles. Dobrze, bardzo dobrze; niech tak będzie... Dobrze, bardzo dobrze, niech do czasu nikt o tem nie wie.

Bertram. Zgubili mię, wydali na wieki zgryzocie!

Parolles. Co się stało, najdroższy?

Bertram. Chociaż przysiągłem uroczyście przed księdzem, nie chcę jej mieć za żonę.

Parolles. Co? co? moje serce?

Bertram. O mój Parolles, ożenili mię;

Pójdę na wojnę tokańską, jej nie chcę.

Parolles. Na honor, Francya psia buda, niewarta Kopnięcia nogą szlachecką; na wojnę!

Bertram. Przyszły od matki mojej listy; nie wiem, Co zawierają.

Parolles. Jeszcze się dowiesz; na wojnę, chłopcze, na [wojnę!]

Zaprawdę, honor zamyka w pudełku,
Kto w domu czule pieści połowicę
I w jej ramionach męski wigor traci,
Stworzony raczej, by hamował skoki
Rumaków Marsa. Dalej, w cudze kraje!
Francya to stajnia, my tu — stare szkapy,
A więc na wojnę!

Bertram. Tak się i stanie; poślę ją do domu,
Uniewinnię się matce, że ze wstępu
Do niej uciekam; napiszę królowi,
Czego rzec nie śmiem; sumą posagową
Wyekwipuję się na wojnę włoską,
Gdzie walczą dzielni; wojna jest ucieczką
Przed smętnym domem i wstętną żoneczką.

Parolles. Czy tylko kaprys twój wytrzyma długo?

Bertram. Pójdź, daj mi radę. Żonę stąd wyprawię.
Jutro nam, jeśli nie zaśpimy pola,
Wojna się znaczy, a jej wdowia dola.

Parolles. Świst kul, ryk armat, to weselne tony,
Człek zaślubiony, nie jest zaś lubiony
Od sławy. W drogę; niech ją bierze lichy!
Król cię obraził, lecz sza... o tem cicho.

(Wychodzą).

SCENA IV.

Inna komnata w pałacu królewskim.

(Wchodzi Helena i trefniś).

Helena. Matka pozdrawia mię uprzejmie; czy ma się dobrze?

Trefniś. Nie ma się dobrze, choć jest zdrowa; jest nader wesoła, a jednak nie ma się dobrze; ale Bogu dzięki ma się bardzo dobrze i na niczem jej w świecie nie brakuje, a przecie nie ma się dobrze.

Helena. Jeżeli ma się zupełnie dobrze, cóż jej dolega, że się nie ma dobrze?

Trefniś. Prawdziwie, miałyby się zupełnie dobrze, gdyby nie dwie rzeczy.

Helena. Co za dwie rzeczy?

Trefniś. Pierwsza, że nie jest w niebie, dokąd niech ją Bóg jak najrychlej powoła; druga, że jest na ziemi, skąd niech ją Bóg jak najrychlej wyprawi.

(*Wchodzi Parolles*).

Parolles. Witam was, szczęśna pani!

Helena. Spodziewam się, mości panie, że mi waszmość pozwoli szczęścia?

Parolles. Wasza miłość może być pewna, że się modłę o zdobycie go, a jeszcze bardziej o zachowanie. — Ha, jak się masz, hultaju! Co porabia starsza pani?

Trefniś. Chciałbym, żebyś waszmość miał jej zmarszczki, a ja jej sakiewkę i żeby porabiała, co powiadasz.

Parolles. Jakto? Ja nic nie powiadam.

Trefniś. Tem lepiej, bo często język sługi jest nieszczęściem pana. Nic nie mówić, nic nie robić, nic nie wiedzieć i nic nie mieć, to najważniejsza część waszych tytułów, które zresztą równają się zeru.

Parolles. Idź precz; jesteś hultaj.

Trefniś. Powinienbyś waszmość powiedzieć: jesteś hultaj hultaja, to znaczy: jesteś moim; w tym razie powiedziałbyś prawdę.

Parolles. No, idź, idź sobie; odkrywam, że jesteś dowcipnym błaznem.

Trefniś. Odkryłeś mię waszmość sam w sobie; czy cię też tego uczono? Szukanie przyniosło ci korzyść; niejednego błazna mógłbyś odkryć w sobie na większy śmiech i uciechę świata.

Parolles. Wesoly hultaj i dobrze chowany. —

Pani, w dzisiejszą noc pan mój opuszcza Stoлицę, ważną zmuszony potrzebą.

Świadom jest, mówi, praw i przywilejów

Miłości, których uznania wymaga

Małżonka godność i dnia obowiązek,

Lecz z konieczności odłożyć je musi.

Brak i odwłoka mają też swe miody:

Czas je czekaniem przedłużonem syci,

By niemi kiedyś, gdy przyjdzie godzina,

Puhar przepętnić.

Helena. Cóż rozkaże jeszcze?

Parolles. Pragnie, byś pani pożegnała króla,

Jakoby idąc za własnym popędem,

I tłumaczyła ten odjazd powody

Niecofniętymi.

Helena. A nadto cóż jeszcze?

Parolles. Uczyniwszy to, byś czekać zechciała

Dalszych poleceń.

Helena. We wszystkim słuchać pragnę jego woli.

Parolles. To mu odniosę.

Helena. Proszę.

(*Do trefnisia*).

Chodź, mój chłopcze.

(*Wychodzą*).

SCENA V.

Tamże, inna komnata.

(*Wchodzą Lafeu i Bertram*).

Lafeu. Spodziewam się, że wasza miłość nie uważa go za rycerza.

Bertram. Owszem, mości panie — i to za wypróbowanego.

Lafeu. Sądźcie go wedle jego własnej oceny.

Bertram. I wedle kłamliwych, licznych świadectw.

Lafeu. W takim razie mój zegarek źle chodzi; wziąłem tego skowronka za trznadla.

Bertram. Zapewniam was, mości panie, że to człowiek wielkiej wiedzy i niemniejszej waleczności.

Lafeu. Zbłądziłem zatem przeciw jego rozsądkowi i uraziłem jego odwagę, a stan mój tem niebezpieczniejszy, że nie mogę przymusić serca do skruchy. — Oto nadchodzi: raczcie mnie z nim zaprzyjaźnić; pragnę wytrwać w tej przyjaźni.

(*Wchodzi Parolles*).

Parolles (*do Bertrama*). Wszystko się stanie.

Lafeu. Proszę waszej miłości, kto jest jego krawcem?

Parolles. Panie!...

Lafeu. Ha, znam go przecież; tak, panie, dobry krawiec, panie, wyborny rzemieślnik.

Bertram (*do Parollesa*). Poszła do króla?

Parolles. Poszła.

Bertram. Odjedzie wieczorem?

Parolles. Jak kazałeś.

Bertram. Wysłałem listy, zamknąłem pieniądze,

Kazałem siodłać konie i tej nocy
Miał w posiadanie wziąć oblubienicę
I zostać...

Lafeu. Bywalec dobrze bywa widziany na szarym końcu stołu; ale ktoś, co trzy trzecie kłamie i znany koncept rozwłóczy w nieskończoność, powinien być raz słuchany, a trzy razy bity. Niech cię Bóg strzeże, kapitanie.

Bertram. Czy zaszło jakie nieporozumienie między jego mością a tobą, *monsieur*?

Parolles. Nie wiem, czem zasłużyłem popaść w niełaskę jego gości pana.

Lafeu. Wpadłeś w nią waść z kretesem, w butach, ostrogach i kabacie, jak błazen, którego w pasztet pakują, i wolałbyś wyskoczyć i uciec, niż czekać, aby cię spytano, jak wpadłeś.

Bertram. Możeś go, mości panie, źle zrozumiał?

Lafeu. I nigdy go nie rozumiem, choćbym go zastał przy pacierzu. Zegnam waszą miłość; wierście mi, niema jądra w tym lekkim orzechu; duszą tego pana są jego suknie; nie ufajcie mu w sprawach większej doniości; utaskawiałem ja już takich i znam ich narowy. Bywaj zdrów, *monsieur*; mówiłem o wasanie lepiej, niżej mi zasłużył lub zasłużysz; ale trzeba dobrem za złe płacić. (*Wychodzi*).

Parolles. Zarozumiała jegomość.

Bertram. Tak się zdaje.

Parolles. Jakto, nie znasz go jeszcze?

Bertram. I owszem, znam go; jak słychać powszechnie, Godny człek. — Idzie mój kamień u nogi.
(*Wchodzi Helena*).

Helena. Byłam u króla, jakieś kazał, panie, I otrzymałam wolność niezwłocznego Odjazdu; przedtem jednak życzy sobie Król mówić z wami.

Bertram. Będę mu posłuszny. Niech cię, Heleno, zamysł mój nie dziwi, Choć wiem, jak bardzo nie licuje z porą Ni z obowiązkiem, jaki na mnie wkłada Dzisiejsza rola; zbyt niespodziewanie Ten mi wypadek zaskoczył, bym umiał Pozbierać myśli; to mię prosić zmusza, Abyś niezwłocznie jechała do domu.

Nie pytaj, rozważ raczej, o co proszę.
Powody moje głębsze, niż się zdają,
A moje sprawy równie donioślejsze,
Abyś je mogła odrazu ocenić,
Bliżej nie znając. Tu — list do mej matki;
Nie obaczmy się przed dwoma dniami.
Zaczem zlecam cię własnej roztropności.

Helena. Nie umiem, panie, więcej odpowiedzieć,
Jak, żem posłuszna twoja służebnica.

Bertram. Dość, dość, nie mówmy o tem.

Helena. I że wiernem
Poddaniem będę chciała uzupełnić
To, w czem mi skromny mój los nie pozwolił
Zrównać wielkiemu szczęściu.

Bertram. Dajmy pokój;
Pośpiech mię nagli; odjeżdżaj; bądź zdrowa.

Helena. Panie, przebac mi.

Bertram. Czego? czego jeszcze?

Helena. Niepewna skarbu, który pozyskałam,
Nie śmiem rzec, że jest moim — jest nim przecie.
Lecz, jak lękliwy złodziej, pragnę wykraść,
Co mojem z prawa jest.

Bertram. Ha! cóż takiego?

Helena. Drobiazg, a przecież wiele — nic, doprawdy.
Rzeczbym nie chciała, czego chcę, a jednak —
Wróg tylko żegna się bez pocałunku.

Bertram. Proszę, nie wstrzymuj mnie! Hej, na koń,
[żywo!]

Helena. Już nie sprzeciwiam się, łaskawy panie.

Bertram. Gdzie reszta służby? Hej!

(*Helena wychodzi*).

Bądźże mi zdrowa!

Ruszaj do domu, gdzie ja nie powrócę,
Póki miecz dźwigam i głos trąby słyszę.
Precz, uciekajmy!

Parolles. Wybornie, *coraggio!*
(*Wychodzą*).

AKT TRZECI.

SCENA I.

Florencya. Komnata w pałacu księcia.

(*Głos tręb. Wchodzi Księżę Florencyi w orszaku; dwaj panowie francuscy; dwór*).

Księżę. Tak punkt po punkcie znacie z mej powieści
Wszystkie przyczyny nieszczęśliwej wojny,
Która już tyle krwi z nas wysączyła,
A jeszcze pragnie.

Pierwszy szlachcic. Święta zda się sprawa
Po stronie waszej miłości, zaś niecna
U przeciwnika.

Księżę. Przeto nas też dziwi,
Że nasz francuski kuzyn w dobrej sprawie
Zamyka serce prośbom o posiłki.

Drugi szlachcic. Szlachetny księżę, nie znam racy stanu
Naszego króla, jako człowiek prosty,
Co politykę sobie wyobraża
Wedle zbyt ciasnych pojęć; nie śmiem przeto
Wyznać, co o tem myślę, tem-ci bardziej,
Żem zawsze chybiał, ilekroć zechciałem
Zgłębiać sekrety stanu.

Księżę. Jego wola.

Drugi szlachcic. Jednegom pewny, to, że młodzież nasza,
Z gnuśności chora, napływać tu będzie,
Aby ją leczyć.

Księżę. Powitam ją mile
I zaszczytami, jakie są w mej mocy,
Obdarzę. — Znacie swoje stanowiska:
Gdzie większy padnie, mniejszy rangę zyska.
Jutro więc w pole. (*Wychodzą*).

SCENA II.

Rousillon. Komnata w pałacu hrabiny.

(*Wchodzi Hrabina i trefniś*).

Hrabina. Wszystko zdarzyło się, jak pragnęłam, z wyjątkiem, że syn mój z nią nie przybywa.

Trefniś. Na mą wiarę, pan mój wygląda na człowieka pełnego melancholii.

Hrabina. Po czemże tak sądzisz?

Trefniś. Jakże: patrzy na koniec butów i śpiewa; skubie kołnierza i śpiewa; zadaje pytania i śpiewa; wykała zęby i śpiewa. Znałem człowieka, który miał tę samą melancholijną nawyczkę i sprzedał dobra ziemskie za śpiewkę.

Hrabina (*otwierając list*). Obaczmy, co pisze i kiedy zamysła wrócić?

Trefniś. Straciłem serce do Izabeli, odkąd przeszedłem się po dworze; nasze stare wiejskie sztorkfiszki i wiejskie Izabele nie są wcale podobne do waszych sztorkfiszów i waszych Izabel dworskich; mózg mego Kupidyna prysnął i zaczynam kochać, jak zgrzybiały człowiek kocha pieniądze: bez apetytu.

Hrabina. Co ja tu widzę?

Trefniś. Właśnie to, co napisano.

(*Wychodzi*).

Hrabina (*czyta*). »Posłałem ci, matko, synową; uleczyła króla, a mnie uczyniła nieszczęśliwym. Zaślubiłem ją, ale nie pojąłem za żonę i przysiągłem, że to »nie« będzie trwać wiecznie. Usłyszysz, że uciekłem; wiedz o tem, zanim cię wieść dojdzie. Jak świat jest długi i szeroki, taka odległość będzie między nami. Zostaję twym poddanym i nieszczęśliwym synem

Bertram«.

Nie było mądrze, prędki i szalony
Chłopcze, opuszczać tak dobrego króla
I ściągać sobie na głowę niełaskę,
Gardząc dziewczyną takich zalet pełną.

(*Wraca trefniś*).

Trefniś. O, pani, smutne nadchodzą wieści w towarzystwie dwu rycerzy i mojej młodej pani.

Hrabina. Cóż takiego?

Trefniś. Na szczęście jest pociecha w nowinach, niejaka pociecha; wasz syn nie będzie zabity tak prędko, jak myślałem.

Hrabina. Dlaczego miałby być zabity?

Trefniś. Właśnie nie będzie, skoro, jak słyszę, uciekł przed śmiercią; niebezpieczeństwo było stać blisko niej; małżeństwo to zguba mężczyzny, choć się i doczeka

dzieci. Tu idą, więcej powiedzą; co się mnie tyczy, słyszałem jedynie, że wasz syn czmychnął.

(Wchodzi Helena z dwoma szlachciami).

Pierwszy szlachcic. Witam was, miłościwa pani!

Helena. Ach, pani, odjechał, na zawsze odjechał!

Drugi szlachcic. Proszę, nie mówcie tak.

Hrabina. Dziecko, uspokój się. — Moi panowie,

Tylem zaznała w długiem życiu wstrząśnień

Smutku i szczęścia, że mnie już z nich żadne

Nie zdoła nagle przerazić zjawieniem,

Choć-iem kobieta. — Proszę, gdzie jest syn mój?

Drugi szlachcic. Pani, odjechał do księcia Florencyi.

Spotkał nas w drodze; od niego jedziemy,

A dokonawszy spraw naszych na dworze,

Tamże wracamy.

Helena. Spojrz na ten list, pani; to jego list pożegnalny.

(Czyta).

»Kiedy uda ci się zabrać mi pierścień, którego nigdy nie zdejmuję z palca, i kiedy pokażesz mi własne dziecko, którego ja będę ojcem, wtedy dopiero odzyskasz we mnie męża; ale pod tem »wtedy« ja zapisuję »nigdy«. To jest okrutny wyrok!

Hrabina. Waszmość przyniosłeś ten list?

Pierwszy szlachcic. Tak jest, pani;

Zważywszy jego treść, żałuję trudu.

Hrabina. Dziewczę, zaklinam cię, nabierz odwagi!

Jeśli zagarniesz sama wszystkie smutki,

Skradniesz część moją; on był moim synem;

Dziś z mych żył wypruć muszę jego imię...

Tyś me jedyne dziecko. — Do Florencyi

Zatem wyjechał?

Drugi szlachcic. Tak, pani.

Hrabina. W szeregi?

Drugi szlachcic. Ten był chwalebny jego plan i tuszę,

Ze księżę przyjmie go z przynależnymi

Temu nazwisku honory.

Hrabina. Czy waszmość

Wracasz tam?

Pierwszy szlachcic. Tak jest, pani, i to śpiesznie.

Helena *(czyta)*. »Dopóki mam żonę, niema dla mnie nic we Francyi«.

Hrabina. Tak napisano w liście?

Helena. Tak jest, pani.

Pierwszy szlachcic. Słów twardych winna może żywość
[ręki,

Serce inaczej czuje...

Hrabina. Póki ma żonę, nie ma nic we Francyi!

Nie ma nic, coby mogło go obchodzić,

Jak jedna żona; a ta godna męża,

Któremu takich dwudziestu młokosów

Powinno służyć i ją zwać swą panią!

Kto przy nim?

Pierwszy szlachcic. Sługa i jakowś szlachcic,

Którego mało znam.

Helena. Parolles, nieprawdaz?

Pierwszy szlachcic. Tak go wołano, miłościwa pani.

Hrabina. Człowiek zepsuty i hultaj wierutny;

Mój syn zatraci w jego towarzystwie

Dobre zasady.

Pierwszy szlachcic. Obawiam się, pani.

Ten ptaszek chowa nadmiar złych narowów

I będzie umiał ciągnąć z nich korzyści.

Hrabina. Mile was widzę w mym domu, panowie;

Kiedy mojego obaczycie syna,

Powiedzcie: nigdy on nie zyska szpada

Tego honoru, jaki tutaj traci.

Resztę z mym listem, proszę, mu zawieźcie.

Drugi szlachcic. Pani, do usług jesteśmy gotowi

I tu i zawsze.

Hrabina. Nie o więcej proszę,

Niż, ile sama odplącić wam zdołam.

Powtarzam: chciejcie u mnie się rozgościć.

(Wychodzą szlachcice i hrabina).

Helena. »Póki ma żonę, nie ma nic we Francyi!«

Niema dlań Francyi, dopóki ma żonę!

Więc kiedy już jej we Francyi nie będzie,

Odzyskasz znowu wszystko... Biedny hrabio!

Więc to ja ciebie wypędzam z ojczyzny,

Ja delikatne twe ciało narażam

Na hazard nic nie szanującej walki!

Ja trzymam zdala od jasnego dworu,

Gdzie do cię piękne strzelały oczęta,

Zamiast muszkietów!... Ołowiane posty,

Na szybkich skrzydłach ognia latające,

Omiijajcie cel i bijcie ze świstem

W powietrze, co wraz swe zabliźnia rany,

A szczędźcie mego kochanego pana!
 Kto się nań zmierzy, to ja go nastąlam;
 Kto go, Boże broń, trafi w dzielne łono,
 Ja morderczyni namówiłam zbójcę.
 Choć nie zabijam, okazyę przywodzę
 I hazard śmierci. Byłoby mi lepiej,
 Abym dzikiego naszła lwa, gdy ryczy
 Od głodu wściekły; byłoby mi lepiej,
 By na mnie wszystkie plagi przyrodzenia
 Razem runęły. Nie! wróc stamtąd, luby,
 Gdzie sława bierze z niebezpieczeństw szczyrby,
 A często z życiem ginie; ja odjadę.
 Moja obecność twój powrót wstrzymuje
 I mamże zostać? Nie, choćby w tym domu
 Oddychało się wonnościami rajy
 I miało w służbie anioły, odjadę.
 Niechaj litośny rozgłos twoje ucho
 Pocieszy, moją zwiastując ucieczkę.
 Zejdzdź dniu, przyjdź nocy! Oto pełna sromu,
 Jak złodziej, w cieniach wykradnę się z domu!
 (*Wychodzi*).

SCENA III.

Florencya. Przed pałacem księcia.

(*Odgłos trąb. Wchodzą Księżę Florencyi, Bertram, szlachta, oficerowie, wojsko*).

Księżę. Konnicy naszej czynimy cię wodzem
 I w szczęścia twego gwieździe młodocianej
 Składamy naszą miłość i ufanie.
Bertram. Księżę, nad moje siły jest to brzemię,
 Lecz chcę je dźwigać w waszej godnej sprawie
 Do ostatecznych hazardów.
Księżę. Idź zatem,
 Nad hełmem twoim niech szczęście polata,
 Jak dobra wróżba — kochanka.
Bertram. O Marsie!
 Od dziś dnia pod twój sztandar się zapiszę.
 Traf mi w myśl moją, a ja z tobą w lidze
 Wojnę ukocham, a miłość wyszydę.
 (*Wychodzą*).

SCENA IV.

Rousillon. Sala w pałacu hrabiny.

(*Wchodzi Hrabina i Ochmistrz*).

Hrabina. Czemużeś, czemu brał ten list nieszczęsny!
 Czyż nie odgadł, co zrobić zamierza,
 Śląc mi to pismo? Odczytaj raz jeszcze.
Ochmistrz (*czyta*). »Idę, świętego Jakóba pątnica,
 Odpokutować miłość swą zuchwałą;
 Świadoma swojej winy pokutnica,
 Boso, po ostrej drodze idę śmiało.
 Pisz, o pisz prędzej do mojego pana,
 A twego syna, niech powraca z bitwy;
 Niech go fortuna darzy nieprzebrana,
 Ja stąd za niego śląc będę modlitwy.
 Wygnania trudy niechaj mi przebaczy:
 Moja go pędzi Junonowa pycha
 Na hazard wojny i na los tułaczy,
 Gdzie śmierć na piętę bohaterów czyha;
 Ni ja, ni ona niech go nie posiędzie.
 Niech mnie śmierć bierze, on niech wolny będzie«.
Hrabina. Ciernie kolące w jej najczulszych słowach;
 Nigdyś większego nie popełnił błędu,
 Rinaldo, jak dziś, tak ją wypuszczając!
Ochmistrz. Przebac mi, pani! Tak; gdybym list wręczył
 Był w nocy, można było gonić jeszcze,
 Choć pościg byłby próżny — pisze sama.
Hrabina. Jaki stróż anioł dziś strzedz niegodnego
 Będzie małżonka? Szczęścia on nie zazna,
 Jeśli jej modły, które niebo chętnie
 Słyszy i spełnia, od Bożej go pomsty
 Nie uratują. Pisz, o pisz, Rinaldo,
 Do niegodnego takiej żony chłopca;
 Każdym spotęguj wyrazem jej wartość
 Niedocenioną i mój gniew, choć pewnie
 Chłodno go przyjmie, w ostrych wyraz słowach;
 Najpewniejszego wyslij z tem posłańca,
 Może przybędzie, słysząc, że nam zbiegła,
 A ja nadzieję znów żywię, że wtedy
 Ona, najczystsza wiedziona kochaniem,
 Powróci. Które z nich bardziej jest drogic

Mojemu sercu, prawie że uczuciem
Zmierzyć nie zdołam. Przygotuj posłańca.
Ciężkie me serce, słaba stara głowa:
Ból w łzy odmienia, a żałość we słowa.

SCENA V.

Poza murami Florencyi. W oddali słyhać muzykę wojskową.

(*Wchodzi stara wdowa, Dyana, Wioletta, Maryana i kilku mieszczan*).

Wdowa. Odejźmy, bo kiedy zbliżą się do miasta, stracimy ich z oczu.

Dyana. Powiadają, że francuski hrabia dzielnie się spisał.

Wdowa. Słyhać, że wziął w niewolę naczelnego wodza i że własną ręką zabił brata książęcego. Próżnośmy się trudziły, poszli inną drogą; słyszycie, można to poznać po głosie trąb.

Maryana. Wracajmy i miejmy dość na tem, cośmy słyszały. Dyano, pilnuj się tego francuskiego panicza; honor dziewczyny to jej dobre imię, a żadna scheda nie wyrówna uczciwości.

Wdowa. Opowiadałam sąsiadce, jak cię prześladowuje pewien szlachcic z jego orszaku.

Maryana. Znam tego obwiesia; Parolles go zowią: bezcny pośrednik hrabiego w takich brzydkich sprawkach. — Pilnuj się ich, Dyano; te ich obiecanki, wabiki, przysięgi, podarki, wszystko narzędzia pokusy, nie są tem, na co wyglądają; już niejedna dziewczyna poszła im na lep, a największe nieszczęście, że straszne przykłady upadków nie odstręczają dziewczątek od tego licha, aż same wpadną w podobne sidła. Myślę, że nie potrzeba powiadać ci więcej, i ufam, że własna cnota nie pozwoli ci zejść z drogi, choćby nie groziła inna szkoda, jak utrata niewinności.

Dyana. Możecie być spokojna, sąsiadko.

(*Wchodzi Helena w stroju pątniczym*).

Wdowa. Spodziewam się. — Patrzcie, idzie tu jakaś pątniczka; zechce pewnie stanąć u mnie; jedna drugą tu przysyła. Spytam, co za jedna.

Niech cię Bóg strzeże, pątnico; a dokąd?

Helena. Ot, do świętego Jakóba Wielkiego.

Proszę, gdzie tu jest gospoda pielgrzymów?

Wdowa. W pobliżu portu; pod świętym Franciszkiem.

Helena. Czy tędy?

Wdowa. Właśnie...

(*Słyhać głos bębnow*).

Słyszycie, tu idą.

Gdybyś zechciała poczekać, pątnico,
Aż przejdzie wojsko, sama zaprowadzę,
Gdzie będziesz mogła zamieszkać, tem bardziej
Że gospodynię znam, jak siebie samą.

Helena. Wy nią jesteście?

Wdowa. Do usług, pątniczko.

Helena. Dziękuję; jako każecie, zaczekam.

Wdowa. Zapewne z Francyi Bóg prowadzi?

Helena. Z Francyi.

Wdowa. Ziomka swojego tutaj obaczycie,
Dzielnego pana.

Helena. Proszę, jak się zowie?

Wdowa. Hrabia Rousillon. Znalście go może?

Helena. Jenó z nazwiska, tak, i z dobrej sławy;
Z twarzy mi obcy.

Wdowa. Jaki jest, niech będzie,
Ale zuch rycerz. Uciekł, mówią, z Francyi
Przeło, że król go wbrew woli ożenił.
Czy prawda?

Helena. Prawda; znam nawet hrabinę.

Dyana. Jest tutaj szlachcic pewien w służbie hrabi:
Nie dobrze o niej mówię.

Helena. Tak, przyznam z nim razem,
Pod względem zalet i rodu zacności
Wobec wielkiego hrabi jest niegodna
Nawet wspomnienia; jedyną jej chluba
Wielka cnotliwość; nigdy nie słyszałam,
By ją krzywdzono.

Dyana. Nieszczęsna kobieta!
Ciężka to dola być żoną człowieka,
Który nie kocha.

Wdowa. Biedna, dobra pani!
Gdziekolwiek dziś jest, musi cierpieć wiele.
Patrz, ta dziewczyna mogłaby jej zrządzić
Przykrość niemałą.

Helena. Jak to rozumiecie?

Czyli ją ściga hrabia zakochany
W nieskromnym może celu?

Wdowa. I jak jeszcze!
Wszystkich używa sztuczek, aby skusić
I uwieść kruchą cnotliwość dziewczyny,
Tylko że ona pilnie się go strzeże
I broni części.

Maryana. Niech Bóg złe odwróci!
(*Wchodzi z muzyką i sztandarami oddział wojska flo-*
renckiego. Bertram i Parolles.)

Wdowa. Już idą. To jest Antonio, syn księcia;
Tamto Escalus.

Helena. Gdzież jest Francuz owy?

Wdowa. Ten z pióropuszem; a co? rycerz chwacki.
Żal, że nie kocha żony; gdyby lepszy,
Byłby też miłszy. Dorodny młodzieniec?...

Helena. Podoba mi się bardzo.

Wdowa. Jaka szkoda,
Że niepoczciwy. Tam jest ów ładaco,
Co go zbuntował; byłabym hrabiną,
Otrułabym go.

Helena. Gdzież on? jak wygląda?

Dyana. Ot ten pajac we wstęgach. Czemu dziś melan-
choliżny?

Helena. Może raniony w bitwie?

Parolles. Stracić bęben! A to wyborne!

Maryana. Musi go coś bardzo niepokoić. Patrzą, spo-
strzegł nas.

Wdowa. Niech go licho porwie, obwiesia!

Maryana. No i waszą grzeczność także.

(*Wychodzą Bertram, Parolles, oficerowie i wojsko.*)

Wdowa. Wojsko już przeszło: pójdz ze mną, pątnico,
Na twą gospodę. Mam w domu kilkoro,
Wszystko pielgrzymi świętego Jakóba.

Helena. Z serca dziękuję. Gdybyście zechcieli
Wy i ta panna przyjąć mą wieczerzę,
Koszta i dzięki poniosę, a nadto
Lekarskich kilka rad udziele, godnych
Zapamiętania.

Oble. Przyjmijmy z ochotą.
(*Wychodzą.*)

SCENA VI.

Obóz pod murami Florencyi.

(*Wchodzą Bertram i dwaj panowie francuscy.*)

Pierwszy szlachcic. Zaklinam waszą miłość, weź go na
próbę; niech idzie, gdzie prosi.

Drugi szlachcic. Jeśli w nim, hrabio, nie odkryjesz tchó-
rza, niech przestanę być godny twego szacunku.

Pierwszy szlachcic. Na honor, to jest nadęty pęcherz.

Bertram. Sądźcie więc, że tak bardzo na nim się pomy-
liłem?

Drugi szlachcic. Niech mi wasza miłość da wiarę, po-
wiadam z własnego przekonania, bez krzty zawiści,
tak, jakbym mówił o krewniakui; to jest najsłynniejszy
tchórz, niepohamowany i bezgraniczny kłamca, prze-
niewierca łamiący słowo co godzina, posiadacz takich
przednich zalet, że każda czyni go niegodnym waszych
wysokich względów.

Pierwszy szlachcic. Dobrze, aby go hrabia raz poznał,
bo, ufając tak bardzo dzielności, której nie ma, mógł-
byś się na nim w stanowczej chwili gorzko zawieść.

Bertram. Radbym znaleźć sposób wystawienia go na próbę.

Drugi szlachcic. Każ mu więc zrobić wyprawę po stracony
bęben, której się tak zuchowato domaga.

Pierwszy szlachcic. Ja wpadnę nań z garścią Florentczy-
ków; znajdę już takich, których nie odróżni od nieprzy-
jaciela; skrępujemy go i zawiążemy mu oczy tak, iż
będzie przekonany, że go prowadzą do nieprzyjaciel-
skiego obozu, tymczasem ściągniemy go do namiotów.
Ale musisz, hrabio, być obecny przy jego przesłuchaniu;
a jeżeli za darowanie życia i pod gnębiącym wpływem
nędznego strachu nie przyrzecze zdradzić was i nie wy-
powie wszystkiego, co mu o was wiadomo, i nie za-
przysięże na zbawienie duszy, to mi już wasza miłość
w niczem i nigdy nie daj wiary.

Drugi szlachcic. Gwoli uciesze, pozwól mu, hrabio, iść na
poszukiwanie tego bębna. Chwali się, że wyruszy z for-
telem wojennym; kiedy obaczysz, hrabio, wynik tej wy-
prawy i poznasz, na jaki metal przetopi się ta bryła
fałszywego złota, i jeszcze wtedy nie uznasz go za

chłystka, to już chyba słabość, jaką doń czujesz, nigdy się nie wyleczy. (*Wchodzi Parolles*).

Pierwszy szlachcic. Dla miłości śmiechu, nie przeszkadzajcie wyprawie; niech rusza z wszystkimi fortelami po swój bęben.

Bertram. Cóż *Monsieur*? ten bęben leży ci zawsze na sercu?

Drugi szlachcic. Ot, głupstwo; dać pokój; wszak to tylko bęben!

Parolles. Tylko bęben? Nic więcej jak bęben? Ha! bęben tak stracić?... Pyszna komenda: wpaść własną konnicą na skrzydło własnej armii i zepchnąć własnego żołnierza!

Pierwszy szlachcic. Temu wcale niewinna komenda; wypadek zdarzający się w bitwach, którego sam Cezar by nie uniknął, gdyby był naszym wodzem.

Bertram. Bądź co bądź, nie możemy skarżyć się na niepowodzenie; jedyny dyshonor w stracie bębna, ale tego już się nie odzyska.

Parolles. Można go było odzyskać.

Bertram. Można było, ale teraz już nie można.

Parolles. Powtarzam, można go odzyskać; gdyby zastługę czynu częściej przyznawano prawdziwemu i właściwemu bohaterowi, poszedłbym po ten, czy po inny bęben, albo grób!

Bertram. No, jeżeli masz chętkę, mospanie, jeżeli ufasz, że misternym fortem zdołasz to narzędzie honoru sprowadzić do rodzinnej siedziby, bądź wspaniały w przedsięwzięciu i wyruszaj. Ja ci tę próbę jako bohaterски czyn wystawię; jeżeli się uda, książkę o nim usłyszysz i według swej godności, a twej zasługi, na jotę ściśle wynagrodzi.

Parolles. Na tę rycerską prawicę, wyruszam.

Bertram. Jenó nie odwlekaj długo.

Parolles. Jeszcze tego wieczora zabiorę się do dzieła; plan ukartuję, we własnej odwadze upewnię, na śmierć się przygotuję, a około północy więcej o mnie usłyszycie.

Bertram. Czy wolno mi uprzedzić jego książęcą mość o twej wyprawie?

Parolles. Nie wiem, jaki będzie wynik, mości panie; ale spróbować przyrzekam.

Bertram. Wiem, że jesteś dzielny; powodzenie twego bohaterstwa za ciebie podpisę. Bywaj zdrowy.

Parolles. Słów wielu nie lubię. (*Wychodzi*).

Pierwszy szlachcic. Jak ryba nie lubi wody. A co? czy nie zabawna sztuka? Z jaką pewnością siebie bierze się do rzeczy, o której przecież wie, że jest niepodobna do wykonania, i zaklina się, że jej dokaże, a wołałby z duszą być przeklęty, niż się zabrać do niej.

Drugi szlachcic. Nie znasz go, hrabio, jak my go znamy; prawda, że umie się wkraść w łaskę ludzką i że przez jaki tydzień umyka się z pod wielu odkryć; ale kiedy się go raz przejrzy, zna się go na zawsze.

Bertram. Jakto? sądzicie, że nawet nie zacznie sprawy, do której sam rwie się z taką stanowczością?

Pierwszy szlachcic. Za nic w świecie; wróci z jakąś wymówką swego wynalazku i wytoczy parę prawdopodobnych łgarstw. Na szczęście zastawiliśmy takie sidła, że tej nocy musi beknąć; doprawdy, nie jest godzien szacunku waszej miłości.

Drugi szlachcic. Poszczujemy trochę liska, zanim mu ściągniemy skórę przez uszy. Przewąchał go już dawniej jegomość Lafeu; kiedy mu zedrzymy maskę, powiesz sam, hrabio, jakiego pod nią znajdziesz kiełbka, a stanie się to nie później, jak tej nocy.

Pierwszy szlachcic. Idę obejrzeć potrzask; złapiemy ptaszka.

Bertram. Brat wasz niech zostanie ze mną.

Drugi szlachcic. Jak wasza miłość każe; ja odchodzę.

(*Wychodzi*).

Bertram. Pójdź waszmość, to ci pokażę dziewczynę, Którą wspomniałem.

Pierwszy szlachcic. Twierdzisz, że cnotliwa?

Bertram. To jej jedyny błąd; w naszym ostatniem

Spotkaniu nazbyt była lodowata,

Potem posłałem jej przez tego trutnia,

Co go szczujecie, listy i podarki.

Te odesłała; tyle mych zabiegów.

Pyszna istota; jeśli chcesz obaczyć,

To chodźmy do niej.

Pierwszy szlachcic. Jak najchętniej, hrabio.

(*Wychodzą*).

SCENA VII.

Florenoya. Izba w domu wdowy.

(*Wchodzi Helena i Wdowa.*)

Helena. Jeśli wątpicie, że nią jestem sama,
Sposobu nie mam, aby was przekonać,
Alboby plan mój zniweczyć musiała.

Wdowa. Uboga jestem wprawdzie, lecz szlachcianka
I w takich sprawach wcale nie uczona,
Anibym chciała plamić dobre imię
Niezacnym czynem.

Helena. Tego też nie pragnę.
Uwierzcie naprzód, że m żoną hrabiego
I że to wszystko, com wam w tajemnicy
Wyznała, prawdą jest, a wtedy pomoc,
Jakiej tu od was żądam w mojej sprawie,
Nie będzie z krzywdą waszą.

Wdowa. Wierzyć muszę;
Dowiodłaś pani wysokiego stanu
Wielką fortuną.

Helena. Przyjmijcież tę kieskę,
Pomoc mi waszą okupić pozwólcie.
Chętnie ja płacę i jeszcze nagrodzę,
Gdy udzielicie. — Hrabia córkę waszą
Kocha, przypuszcza szturmę do jej wdzięków,
Pewny poddania; kaźcie, niech przyzwoli,
My sprawę na jej dobro pokierujem.
W krwi uniesieniu hrabia zechce spełnić
Każdą jej prośbę. Na palcu on nosi
Sygnet, co w rodzie przechodzi dziedzictwem
Z ojca na syna; ten sygnet on ceni
Bardzo wysoko, lecz w niecierpliwości
Dopięcia celu będzie lekceważył,
Choć pożałuje później.

Wdowa. Już dostrzegam,
Którędy plan wasz zmierza.

Helena. Więc widzicie,
Że jest godziwy. Ale to nie wszystko.
Niech wasza córka, uległszy pozornie,
Sygnet odbierze i schadzkę naznaczy
I miejsce swoje mnie zająć pozwoli,

Sama przystojnie zostając na boku.
Za to w posagu koron trzy tysiące
Oprócz już danych ode mnie otrzyma.

Wdowa. Przystaję; córkę moją poucz pani,
Jak ma postąpić, aby czas i miejsce
W waszym uczciwym podstępie się zeszyły.
Co noc on tutaj przychodzi z muzyką
I uczonemi pieśniami opiewa
Proste zalety mej córki. Naprawdę
Łajem, z ulicy go to nie wystraszy,
Jakby w tem jego polegało życie.

Helena. Więc wykonamy plan dzisiejszej nocy.
Jeśli się uda, zamiar niegodziwy,
Ale postępek sam będzie uczciwy.
Lecz wraz cny zamiar w prawowitym czynie;
Grzech się popełni pozorny jedynie.
(*Wychodzą.*)

AKT CZWARTY.

SCENA I.

Za obozem florenckim.

(*Wchodzi pierwszy szlachcic z kilkoma żołnierzami
w odwodzie.*)

Szlachcic. Nie może przejść inną drogą, jeno koło tego
plotu. Kiedy na niego wpadniecie, mówcie do niego
jakimś wymyślonym, a przerażającym językiem; nic nie
szkodzi, że się nie będziecie rozumieć; trzeba, aby się
zdawało, że go nie rozumiemy, oprócz jednego, któ-
rego wysuniemy niby na tłumacza.

Pierwszy żołnierz. Mości kapitanie, pozwólcie mi być
tłumaczem.

Szlachcic. Czy przypadkiem cię zna? Nie pamięta twego
głosu?

Pierwszy żołnierz. Zapewniam, że nie, kapitanie.

Szlachcic. Ale jaką gwarą będziesz do nas mówił?

Pierwszy żołnierz. Taką samą, jaką wy do mnie.

Szlachcic. Trzeba, żeby nas wziął za bandę najemnych
cudzoziemców z tamtego obozu, ale że on zna potrosze

wszystkie języki cudzoziemskie, trzeba, żeby każdy mówił, co mu na język wpadnie, i nie dbał o to, co mówi drugi. Zrozumiemy-no dobrze nasz plan; język wroni albo jakibądź inny aż nadto wystarczy. Co do ciebie, tłómaczu, musisz być nader polityczny. Sza, już idzie; myśli przedrzemać się ze dwie godzinki, potem wrócić i zaprzysiądz kłamstwo, które drzemiąc wymyśli.

(*Wchodzi Parolles*).

Parolles. Dziesiąta; dość będzie wrócić za trzy godziny. Jaką im tu spleść historię; trzeba wymyślić coś prawdopodobnego, żeby się dało przemycić. Zaczynają mnie coś przewąchiwać, a niefortunność już parę razy pukała do moich drzwi. Uważam, że mam język bardzo zuchwały, ale serce czuje zawsze nad sobą strach Marsa i jego kompanów i nie waży się na to, co język zapowiedział.

Pierwszy szlachcic (*na str.*). To jest pierwsza prawda w życiu, którą twój język zgrzeszył.

Parolles. Co u licha mogło mię skusić, żebym ofiarował się przynieść ten bęben, skorom przecież wiedział, że to niemożliwe i skoro mi to w myśli nie powstało? Trzeba będzie zadać sobie parę ran i powiedzieć, że otrzymałem je w potyczce; ale lekkie zadraski nie wystarczą. Powiedzą: umknąłeś takim tanim kosztem? A wielkie zadawać się boję. Dlaczego? I po co? Języku, muszę cię oddać maślarce, a kupić sobie inny od Bajazetowej mulicy, skoro mię wywodzisz na takie hazardy!

Pierwszy szlachcic (*na str.*). Czy podobna, żeby znał się tak dobrze i był takim, jak jest?

Parolles. Wolałbym, żeby wystarczyło rozdarcie kabata lub złamanie mojej hiszpańskiej szpady.

Pierwszy szlachcic (*na str.*). Nie wypuścimy cię, bratku, takim tanim kosztem.

Parolles. Albo upalenie brody; powiedziałbym, że to w utarczce.

Pierwszy szlachcic (*na str.*). Nie uchodzi.

Parolles. Może zrzucić suknie i wytłómaczyć, że mię obrabowano?

Pierwszy szlachcic (*na str.*). Trudno będzie.

Parolles. Gdybym przysiągł, żem skoczył z okna fortecznego?...

Pierwszy szlachcic (*na str.*). Jak wysoko?

Parolles. Trzydzieści sążni.

Pierwszy szlachcic. Za mało trzech wielkich przysiąg, żeby uwierzono.

Parolles. Chciałbym znaleźć gdzieś nieprzyjacielski bęben: powiedziałbym, żem swój odbił.

Pierwszy szlachcic (*na str.*). Zaraz usłyszysz.

(*Uderzają na alarm*).

Parolles. Ha! bęben nieprzyjacielski!

Pierwszy szlachcic. *Troka mowousus, kargo, kargo, kargo!*

Wszyscy. *Kargo, kargo, willianda, par korbo, kargo!*

Parolles. Na pomoc! na pomoc!... Och, nie zawiązujcie mi oczu. (*Wiążą go i zastaniają mu oczy*).

Pierwszy żołnierz. *Boskos tromuldo boskos.*

Parolles. Wiem, że jesteście z Muska regimentu;

Umrzeć mi przyjdzie, nie znając języka!

Jest tu gdzie Niemiec, Duńczyk lub Holender,

Włoch, Francuz? Kaźcie, niech przemówi do mnie;

Odkryję sposób, jak zdobyć Florencję.

Pierwszy żołnierz. *Boskos wauwado...*

Rozumiem ciebie, bratku; znam twój język;

Kerelybonto... Ha, mój zuchu,

Żałuj za grzechy! Siedmnaście sztyletów

W piersi ci godzi.

Parolles. Och!

Pierwszy żołnierz Pacierz! mów pacierz!

Manka rewania dulsze.

Pierwszy szlachcic. *Oskorbi dulszos woliworka.*

Pierwszy żołnierz. Generał jeszcze oszczędzać cię każe;

Z zawiązanemi oczyma powiedzie,

Żeby wybadać; może co wyśpiewasz,

Czem uratujesz życie.

Parolles. O, pozwólcie

Żyć, wszystkie skrytki obozu pokażę,

Siły i plany; tyle wam wyjawię,

Że się zdziwicie sami.

Pierwszy żołnierz. Czy doprawdy?

Parolles. Niech zginę, jeśli nie.

Pierwszy żołnierz. *Akordo lintá.*

Pójdź, aż do czasu darując ci życie.

(*Wychodzi z Parollesem pod strażą*).

Pierwszy szlachcic. Śpiesz do hrabiego i mojego brata,

Powiedz im, żeśmy złowili kwiczofa

I zatrzymamy do dalszych rozkazów.

Drugi żołnierz. Dobrze, mój wodzu.
Pierwszy szlachcic. Powiedz, że nas zdradzić
 Gotów nam samym.
Drugi szlachcic. Słucham, kapitanie.
Pierwszy szlachcic. Aż dotąd będę trzymał go w ciemnicy.
 (*Wychodzą*).

SCENA II.

Florecya. Izba w domu wdowy.
 (*Wchodzi Bertram i Dyana*).

Bertram. Mówiono, że się zowiesz Fontibella?
Dyana. Nie, jasny panie, Dyana.
Bertram. Jak bogini.
 Godnaś imienia. Powiedz, moja piękna,
 Nie masz na miłość miejsca w pięknej duszy?
 Jeśli ci młodość serduszka nie grzeje,
 To nie dziewczyną jesteś, lecz posągiem.
 Nie wprzód, aż w grobie wolno ci być taką,
 Jaką dziś jesteś: zimną i surową.
 A być powinnaś, jak twa matka była,
 Gdy cię poczęła, lube dziewczę.
Dyana. Matka
 Była uczciwa.
Bertram. Wszak i ty nią będziesz.
Dyana. Nie, moja matka spełniała powinność,
 Jaką ty, panie, spełniać byś powinien
 Względem małżonki.
Bertram. Nie wspominaj, proszę
 I chęci mojej nie bądź już oporna.
 Tamta mi była narzucona; ciebie
 Kocham pod słodkiej miłości przymusem,
 Służbę mą tobie na wieki poświęcę.
Dyana. Tak, tak, służycie, póki my służymy
 Waszej rozrywce; lecz uszczknawszy różę,
 Zostawiacie nam ostre, nagie ciernie
 Na wyszydzenie naszej nędznej doli.
Bertram. Czyż nie przysięgłem?
Dyana. Nie w mnogich przysięgach
 Jest prawda, ale w prostym, szczerym ślubie.
 Na rzecz nieświętą nikt się nie zaklina,

A gdy przysięga, to na Najwyższego.
 Gdybym zaklęła się tu na Jowisza,
 Że ciebie kocham, panie, czyżbyś wierzył,
 Skoroby miłość nieprzystojna była?
 Głupstwem jest kląć się na coś ukochane
 A przeciw niemu działać. Więc przysięgi
 Wasze — cześć słowa, pakta bez pieczęci,
 Przynajmniej w mojem mniemaniu.
Bertram. O zmień je!
 Nie bądź tak święcie — sroga! Miłość sama
 Jest święta, a jam prostak, nie znam kunsztu,
 Który w nas każda z kobiet podejrzuwa.
 Nie zmudź, mej chorej oddaj się tęsknocie,
 A ozdrowieje; powiedz, żeś jest moja!
 Miłość ma wiecznie zostanie jednaka.
Dyana. Mężczyźni mają taką pewność siebie,
 Jakiej my nawet zamarzyć nie śmiemy.
 Daj mi ten sygnet.
Bertram. Na chwilę powierzę,
 Lecz mi pamiątki pozbyć się nie wolno.
Dyana. Nie chcesz dać zatem?
Bertram. To klejnot rodzinny,
 Po wielu przodkach mych odziedziczony;
 Cześć bym utracił, gdybym go uronił.
Dyana. I moja cnota jest takim sygnetem,
 Ma czystość skarbem matczynego dworu
 Po wielu przodkach też odziedziczona;
 Uroniwszy ją, cześć bym utraciła.
 Własny argument twój obrońcą staje
 Mego honoru przeciw twym atakom.
Bertram. Weź sygnet; mój dom, moją cześć, me życie
 Tobie oddaję; czyń z niemi, co zechcesz.
Dyana. Zapukaj w okno moje o północy;
 Urządzą tak, że matka nie usłyszy.
 Ale mi przysiądz musisz uroczyście,
 Kiedy posiędziesz me łożo dziewicze,
 Bawić nie długo i nie wyrzec słowa.
 Powody moje ważne poznasz później,
 Kiedy z powrotem sygnet ci przyniosę.
 Tej nocy inny pierścień wręcę tobie,
 Który na przyszłość i dla twej pamięci
 Świadkiem dzisiejszych zdarzeń się wyświęci.

Bądź zdrow, tej nocy znajdziesz żonę we mnie,
Choć nią pozostać chciałyby daremnie.

Bertram. Niebo na ziemi dziś biorę z twej ręki.

(*Wychodzi*).

Dyana. Żyj długo, byś miał, za co składasz dzięki.

A jednak będziesz jeszcze wdzięczny za to!...

Słowo do słowa matka go odgadła;

Podobno każdy przysięga jednako.

Przysiągł zaślubić, gdy mu umrze żona,

Niechże poczeka, aż ja będę w trumnie.

Jeśli Francuzi wszyscy z kłamstwa słyną,

Żeń się, która chce; ja umrę dziewczyną.

I tak rozumiem, że zbrodnią nie będzie,

Gdy własną żonę zamiast mnie posiędzie.

(*Wychodzi*).

SCENA III.

Obóz florencki.

(*Wchodzą dwaj szlachcice francuscy i kilku żołnierzy*).

Pierwszy szlachcic. Nie oddałeś mu jeszcze listu matki?

Drugi szlachcic. Oddałem przed godziną; zawierał coś,
co go mocno wzruszyło, bo czytając zmienił się, jak
nie ten sam człowiek.

Pierwszy szlachcic. Zarobił sam na własne wyrzuty, że
odtrącił taką dobrą żonę, taką czarującą istotę.

Drugi szlachcic. Zwłaszcza u króla musiał popaść w zu-
pełną niełaskę, choć mu jego dobroć rokowała for-
tunę. Powierzę ci sekret, ale musisz zatrzymać go przy
sobie.

Pierwszy szlachcic. Kiedy powiesz: sekret umrze, a ja
będę jego grobem.

Drugi szlachcic. Uwiódł tu we Florencji młodą pannę
najlepszej reputacji i tej nocy zadowoli swój kaprys
na ruinie jej dobrej sławy. Dał jej swój sygnet rodzinny
i chodzi bardzo uszczęśliwiony z tej brzydkiej sprawy.

Pierwszy szlachcic. Niech nas Bóg strzeże od namiętno-
ści; co się to robi z człowieka, kiedy jest zostawiony
sam sobie!

Drugi szlachcic. Stajemy się własnymi zdrajcami. A jak
się zwykle dzieje ze zdradą, że wykrywa się sama, za-

nim dojdzie wstrętnego celu, tak ten, co chce działać
przeciw własnej godności, wykrywa się przelaniem za
brzezi wezbranej żądy.

Pierwszy szlachcic. Przytem czy to stateczna rzecz tak
rozgłaszać własne nieuczciwe zamiary? Tej nocy zatem
nie będziemy korzystać z jego towarzystwa?

Drugi szlachcic. Aż do północy; później idzie na schadzke.

Pierwszy szlachcic. To już niedaleko; chciałyby zanato-
mizować mu dokładnie owego kochanego druha, ażeby
mógł dobrze zmierzyć zaślepienie, które mu pozwala
widzieć w gagatku własny portret.

Drugi szlachcic. Nie nachodźmy go, póki sam nie przy-
dzie; widok jego będzie tamtemu ostrym biczem.

Pierwszy szlachcic. Tymczasem powiedz, co słychać z tą
wojną?

Drugi szlachcic. Podobno czynią się pierwsze kroki po-
kojowe.

Pierwszy szlachcic. A ja zapewniam cię, że pokój już
zawarty.

Drugi szlachcic. Co pocznie teraz z sobą hrabia Rousil-
lon; pojedzie dalej, czy też wróci do Francji?

Pierwszy szlachcic. Spostrzegam po tem pytaniu, żeś
z nim niezbyt poufały.

Drugi szlachcic. Niechże Bóg broni! miałbym na sumie-
niu większą część jego sprawek.

Pierwszy szlachcic. Otóż wiedz, że dwa miesiące temu
jego żona opuściła dom pod pozorem pielgrzymki do
św. Jakóba Wielkiego, którą zresztą święcie odbyła;
tam pozostawszy, ze swoją czułą naturą uległa smut-
kowi i oddała ostatnie tchnienie, a teraz jest z aniołami
w niebie.

Drugi szlachcic. Gdzież jest pewność tej nowiny?

Pierwszy szlachcic. Wielka część w jej własnych listach,
opowiadających smutne dzieje aż do chwili śmierci;
śmierć, której sama poświadczyć nie mogła, jest stwier-
dzona świadectwem rektora klasztoru.

Drugi szlachcic. Czy hrabia wie o tem?

Pierwszy szlachcic. Aż do najdrobniejszych szczegółów
i do zupełnej pewności faktu.

Drugi szlachcic. Żal mi niezmiernie, że to będzie dla
niego uciechą.

Pierwszy szlachcic. Jakże często są dla nas uciechą wła-
sne straty!

Drugi szlachcic. A jakim smutkiem napełniają nas rzeczywiste korzyści! Te zaszczyty, które tu zdobył odwagą, w domu zamieniają się dlań na równie wielki wstyd.

Pierwszy szlachcic. Tkanina naszego życia jest pleciona z mieszanych nici: złych i dobrych; zalety nasze byłyby zbyt dumne, gdyby ich nie upokarzały błędy, a błędy nasze doprowadziłyby nas do rozpacz, gdybyśmy się nie pocieszali zaletami. (*Wchodzi sługa*). Cóż tam? Gdzie jest twój pan?

Sługa. Pan mój spotkał na drodze księcia i uroczyscie z nim się pożegnał; jego miłość odjeżdża jutro rano do Francji. Książę wręczył mu listy i polecenia do króla.

Drugi szlachcic. Będą tam co najmniej nieodzowne, choćby zawierały w dwójnasób polecenia.

(*Wchodzi Bertram*).

Pierwszy szlachcic. Nigdy nie będą dość słodkie przy rozgoryczeniu króla. Oto on sam. — Cóż, panie hrabio, jeszcze to nie po północy?

Bertram. Od wieczora załatwiłem szesnaście spraw, każdą długą na miesiąc i to przy pośpiechu. Pożegnałem króla i różne znakomite figury; pochowałem i optakałem żonę; doniosłem w liście pani matce, że wracam; spakowałem toboły, a pośród tylu różnorodnych interesów pełniłem pewne słodkie obowiązki; ostatni najważniejszy, ale jeszcze nie skończony.

Drugi szlachcic. Jeżeli sprawa przedstawia trudności, a jutro rano, hrabio, masz wyjechać, to trzeba może pośpieszyć?

Bertram. Powiedziałem, że sprawa nie skończona, bo obawiam się, że jeszcze o niej dojdą mnie słuchy... Ale czy to nie usłyszymy dialogu tego błazna z żołnierzami? Sprowadźcie tu ten lichy oryginał, który się wystawia za model; zwiódł mię, jak dwuznaczne proroctwo.

Drugi szlachcic. Przyprowadźcie go! (*Żołnierze wychodzą*). Całą noc przesiedział nicpoń w dybach.

Bertram. Nic nie szkodzi; napiętki jego zastrzyły na dyby, że tak długo stroiły się w ostrogi. Jak się miewa?

Pierwszy szlachcic. Jak mówiłem, raczej dyby go mają. Ale żeby odpowiedzieć zrozumiale, beczy jak dziewczka, kiedy rozleje mleko: przed Morganem, którego bierze za księdza, odbył generalną spowiedź od czasu jak

sięga pamięcią, aż do chwili zakucia w dyby; a wypowiedział... Co wasza miłość sądzi, że wypowiedział?

Bertram. Przecież nie o mnie?

Drugi szlachcic. Spowiedź jego odebrali i mają mu odczytać; jeżeli hrabia, jak mi się zdaje, także w niej występujesz, musisz znieść to cierpliwie.

(*Żołnierze wprowadzają Parollesa*).

Bertram. Niech go lichy! A to go ubrali. — O mnie nic złego nie mógł powiedzieć. Cicho! Sza!

Pierwszy szlachcic. Grajmy w ślepą babkę. *Porto tartarossa*.

Pierwszy żołnierz. Każe przynieść tortury. No, czy bez tortur nie wyznasz?

Parolles. Wyznam, co wiem, bez przymusu; jeżeli mnie upieczecie, jak pasztet, jakże wtedy co wyznam?

Pierwszy żołnierz. *Bosko szimurzo*.

Drugi szlachcic. *Boblibindo szikurmurko*.

Pierwszy żołnierz. Jesteś litościwy, panie generale. — Pan generał każe ci odpowiadać na pytania, które będą czytał.

Parolles. Będę sumiennie, tak jak pragnę życia.

Pierwszy żołnierz. Spytajcie go, jak silna jest konnica księcia. Cóż na to powiadasz?

Parolles. Pięć do sześciu tysięcy koni, ale wszystko holota i nieużytki; oddziały są rozproszone, a dowódcy słabe głowy, na mój honor i wiarę, jak pragnę życia.

Pierwszy szlachcic. Czy mam odpowiedź w ten sposób wypisać?

Parolles. Tak jest; przysięgnę na sakrament jak i gdzie zechcecie.

Bertram. Wszystko mu jedno. Co za łotr skończony!

Pierwszy szlachcic. Myli się wasza miłość: to monsieur Parolles, dzielny wojskowy (własne jego wyrażenie), który całą teorię wojenną chowa w węzle szarfy, a praktykę w rękojeści szpady.

Drugi szlachcic. Nigdy już nie będę wierzył w człowieka dlatego, że ma błyszczący pałasz, ani utrzymywał, że coś w nim siedzi, dlatego, że ma strojne ubranie.

Pierwszy żołnierz. Dobrze; to już zapisane.

Parolles. Powiedziałem pięć albo sześć tysięcy jazdy; powiem prawdę: około tej cyfry; napiszcie, chcę wyznać całą prawdę.

Pierwszy szlachcic. Jest rzeczywiście blizki prawdy.

Bertram. Ale tu nie mogę mu jej pochwalić.

Parolles. Słabe głowy, proszę, napiszcie.

Pierwszy szlachcic. Dobrze, już zapisane.

Parolles. Dziękuję pokornie waszej miłości; prawda jest prawdą; głowy mają doprawdy słabe.

Pierwszy żołnierz. Spytajcie go, jakie ma siły piechota. Cóż na to powiadasz?

Parolles. Na sumienie, miłościwy panie, choćbym miał żyć tylko godzinę, powiem prawdę. Policzmy: Spurio 150, Sebastyan tyleż, Corambus tyleż, Jakób tyleż; Julian, Kosma, Ludwik, Gracyan każdy po 250; moja własna kompania, Krzysztof, Valmont, Bentli po 250 — tak, że całego kramu, zdrowych i chorych, klnę się na życie, niema więcej nad 15.000, a połowa z nich nie śmie strzepywać śniegu z mundurów, żeby się nie roztrzepać.

Bertram. Co temu łotrowi zrobimy?

Pierwszy szlachcic. Nic; dziękujemy. Spytaj go o moje stosunki i moją wziętość u księcia.

Pierwszy żołnierz. Dobrze, już zapisane. Spytajcie go, czy niejaki kapitan Dumain, Francuz, znajduje się w obozie; jak jest widziany u księcia, jaka jego wartość, uczciwość, zdolność; czy znaczniejszą kieszka złota nie możnaby go przekupić i namówić do buntu? — Cóż powiadasz; cóż wiesz o tem?

Parolles. Pozwólcie odpowiadać na każde pytanie z osobna; pytajcie po szczególe.

Pierwszy żołnierz. Znasz kapitana Dumaina?

Parolles. Znam; był w Paryżu terminatorem u rzeźnika, który go wypędził za to, że głupia dziewczka sołtysa miała z nim dziecko; idyotka, niemowa, co nie umiała powiedzieć: nie.

Bertram (*do Dumaina, który podnosi rękę*). Daj pokój waszmość, przecież jego mózgownica należy się pierwszej dachówce, która spadnie z dachu.

Pierwszy szlachcic. Dobrze; czy ten kapitan znajduje się w służbie księcia?

Parolles. O ile wiem, tak; powtarzam, robaczywa figura.

Pierwszy szlachcic. No, nie przypatrujcie mi się; usłyszmy coś i o waszmości.

Pierwszy żołnierz. Jak jest widziany u księcia?

Parolles. Książę zna go jako jednego z moich niższych oficerów i niedawno pisał mi, żeby go wydalic ze służby. Zdaje mi się, że mam list w kieszeni.

Pierwszy żołnierz. Dobrze, poszukamy.

Parolles. Może się mylę; jeśli go nie mam przy sobie, musiał zostać z innymi listami księcia w moim namiocie.

Pierwszy żołnierz. Tu jest jakiś papier; mam odczytać?

Parolles. Nie wiem, czy to on, lub nie on.

Bertram. Nasz tłumacz dobrze się spisuje.

Pierwszy szlachcic. Wybornie.

Pierwszy żołnierz (*czyta*). »Dyano!
Hrabia jest pustak, ale pełny złota...«

Parolles. Czcigodny panie, to nie list księcia; to ostrzeżenie, które posyłam pewnej pannie we Florencyi, imieniem Dyana, aby się miała na bacności przed zalotami pewnego hrabi Rousillonu, młodego i płochego chłystka, a bardzo rozpustnego. Proszę waszej miłości włożyć to napowrót.

Pierwszy żołnierz. Nie, za pozwoleniem, wprzód przeczytam.

Parolles. Zapewniam, że miałem na oku dobro dziewczyny, wiedząc, że hrabia jest niebezpieczny i rozpustny młodzik, wieloryb na panieństwo, pożerający świeży zarybek, gdzie znajdzie.

Bertram. Przeklęty łotr! hultaj na obie strony!

Pierwszy żołnierz (*czyta*). Gdy ci przysięga, każ płacić [gotówką.

Bo szukać na nim długu — próżne trudy;
Dobry targ — zysku pół; rozumne słówko.
Nie płaci później — niechże płaci wprzód.
Żołnierz ci, Dyano, tę radę obwieści:
Mąż cię zaślubi, on tylko popieści.
Hrabia jest pustak, już ja coś wiem o tem:
Naprzód zapłaci, ale nigdy potem.
Twój, jak ci kiedyś powiedział do uszka,

Parolles.

Bertram. Powinno-by się go puścić po obozie przez różgi, z tym wierszem przybitym na czole.

Drugi szlachcic. Przecież to twój oddany przyjaciel, hrabio, biegły lingwista i dzielny wojownik.

Bertram. Znosiłem wszystkie zwierzęta oprócz kota; teraz on jest dla mnie kotem.

Pierwszy żołnierz. Uważam po spojrzeniach generała, że będziemy musieli powiesić waszmości.

Parolles. Błagam was o życie, o nic więcej; nie żebym się obawiał śmierci, ale winy moje są tak liczne, chciał-

bym pokutować za nie jak najdłużej; pozwólcie mi żyć, jaśnie panie, w więzieniu, w dybach, gdziekolwiek, byle żyć.

Pierwszy żołnierz. Obaczmy, co można będzie zrobić, jeżeli wyśpiewasz wszystko najsumiennie; zatem, powracając do kapitana Dumaina: odpowiedziałeś już na pytania o jego stosunki z księciem i jego śmiałość. Jak się ma rzecz z uczciwością?

Parolles. Panie, ukradłby jajko z klasztoru, a łapczywy i rabuś, istny Nessus. Rzemiosło jego jest łamanie przysiąg; sam Herkules by tak nie łamał. Łże z taką lubością, że przedstawi prawdę za waryatkę; opilstwo, to jeszcze najlepsza jego zaleta, bo lubi kłaść się w barłogu, a we śnie nie obraża nikogo, prócz prześciera-deł; znając jego wadę, każą mu spać na słomie. O jego uczciwości, panie, mogę powiedzieć niewiele więcej; ma wszystko, czego uczciwy człowiek mieć nie powinien, a co przystoi uczciwemu człowiekowi, tego mu brakuje.

Pierwszy szlachcic. Zaczynam lubić go za to.

Bertram. Za ten obraz waszej uczciwości? Niech go kaci! Coraz bardziej wygląda mi na kota.

Pierwszy żołnierz. Co powiesz o jego zdolnościach wojskowych?

Parolles. Doprawdy, jaśnie panie, wygrywał na trąbie przed angielskimi komedyantami; obmawiać go nie chcę, a o jego studyach wojskowych więcej nie wiem, chyba że u siebie w kraju, w pewnej przędzalni miał zaszczyt być podmajstrzym i uczył dublować szeregi naci. Chciałbym temu jegomości przyczynić jak największej zaszczytu, ale tego ostatniego nie jestem zupełnie pewny.

Pierwszy szlachcic. Jest tak wyuzdanym nędznikiem, że dla samej rzadkości wartoby go wypuścić.

Bertram. Niech go zaraza! Kot i kot!

Pierwszy żołnierz. Skoro jego zalety są tak niskie, nie potrzebuję nawet pytać, czy da się przekupić.

Parolles. Panie, za ćwierć talara sprzeda zbawienie duszne i swoje dziedzictwo w niebie, a nie tylko swoje, ale swego potomstwa, na wiek wieków.

Pierwszy żołnierz. Cóż za człowiek jego brat, drugi kapitan Dumain?

Drugi szlachcic. Po co znów o mnie go pyta?

Parolles. Kruk z tego samego gniazda, nie dorównywiający pierwszemu w dobrem, ale przewyższający go o wiele w złem. Wyprzedza brata w tchórzostwie, choć tamten jest sławnym tchórzem. W rejteradzie jest prędszy od każdego ciury, a w ataku dostaje kurczów.

Pierwszy szlachcic. Gdyby ci darowano życie, podjąłbyś się zdradzić księcia Florencyi?

Parolles. Rozumie się; jak równie kapitana jazdy, hrabiego Rousillonu.

Pierwszy żołnierz. Pomówię z generałem i dowiem się, co postanowił.

Parolles (na str.). Nie będę więcej bębnił; precz z bębnami. Ruszyłem na tę niebezpieczną wyprawę jedynie dlatego, żeby wydać się zuchem i zmylić domysły tego lekkoducha hrabiego; kto u licha mógł przewidzieć zasadzkę w miejscu, gdzie przechodził?..

Pierwszy żołnierz. Nic nie pomoże, mospanie, musisz umrzeć; generał powiada, że ten, co tak zdradziecko odkrył tajemnice własnego wojska i takie poczynił zjadliwe wyznania o bohaterach powszechnie szanowanych, nie zda się światu na nic uczciwego; dlatego musisz umrzeć. Przybliży się, kacie, zdejm mu głowę.

Parolles. Boże mój, miłościwy panie, pozwól mi żyć, albo przynajmniej własną śmierć oglądać.

Pierwszy żołnierz. To ci będzie dozwolone; możesz się pożegnać z przyjaciółmi. *(Zdejmuje mu opaskę z oczu).* Tak, obejrzyj się; znasz kogo z tych panów?

Bertram. Dzień dobry, szlachetny kapitanie.

Drugi szlachcic. Bóg z tobą, kapitanie Parolles.

Pierwszy szlachcic. Witaj, zacny kapitanie.

Drugi szlachcic. Kapitanie, co każesz powiedzieć jegomości panu Lafeu? Jadę do Francyi.

Pierwszy szlachcic. Drogi kapitanie, czy zechcesz dać mi odpis sonetu do Dyany, z pochwałą hrabiego Rousillonu? Gdybym nie był takim tchórzem, wziąłbym go przemocą; ale tak, bywaj zdrów.

(Wychodzą Bertram, panowie i t. d.)

Pierwszy żołnierz. Przepadłeś, kapitanie; z całego ciebie został jeno węzeł na wstążce.

Parolles. Jak można obronić się przeciw spiskowi?

Pierwszy szlachcic. Gdybyś znalazł taki kraj, gdzieby nie było mężczyzn tylko kobiety i to pozbawione wstydu, mógłbyś stać się patriarchą bezwstydne go narodu. Bądź

waszmość zdrowy; ja też odjeżdżam do Francji; jeszcze tam o tobie pomówimy.

(Wychodzi).

Parolles. Dzięki wam przecie; serce by mi pękło,
Gdybym miał większe. Furda z kapitaństwem!
I tak jeść będę, pić, sytać, jak lada
Kapitan; taki, jaki jestem dzisiaj,
Przecież żyć mogę. Kto jest fanfaronem,
Wyrośnie na to, na co ja wyrośłem:
Oto się każdy w końcu zdradzi osłem.
Rdzewiej mój mieczu, ochłodnij me czoło,
Ty żyj, Parolku, we wstydzie wesolo.
Zbłąźniony, szukaj chleba błazeńskiego:
Świat dość szeroki, pomieści każdego.

(Wychodzi).

SCENA IV.

Florecyja. Izba w domu wdowy.

(Wchodzą Helena, wdowa i Dyana).

Helena. Dla przekonania, żem was nie łudziła,
Jeden z największych książąt w chrześcijaństwie
Będzie mym świadkiem; u stóp jego tronu
Uklęknąć muszę, nim dokonam dzieła.
Niegdyś mu cenną oddałam usługę,
Cenną, jak życie; a nawet kamienne
Serce Tatara musiałoby płacić
Za to wdzięcznością. W tej chwili ja słyszę,
Że król jegomość przybył do Marsylii,
Tam tedy pójdziem w pielgrzymów orszaku.
Wiecie już, że mnie mają za umarłą;
Po rozpuszczeniu wojsk mój mąż powraca
Do domu, dokąd z niebieską pomocą
I za mojego króla pozwoleniem
Przed nim przybędę.

Wdowa. Miłościwa pani,
Nikt wam nie służył z większą gotowością,
Niż my służymy.

Helena. Ani też wam, pani,
Nikt z życzliwością większą i przyjaźnią
Zabiegów chętnych nie optaci. Niebo

Przeze mnie posag córce waszej zsyła,
Jak ją zesiła, by mi dopomogła
Odzyskać męża. Dziwni są ci ludzie,
Kiedy z istoty, której nienawidzą,
Dobyc potrafią tak słodkiej rozkoszy
W śmiałym ufaniu zaślepionej żądzy,
Której brzydota samą noc uczerni.
Tak zmysły karmią się przedmiotem wstrętu,
O pożądaniem myśląc. Ale o tem
Będziemy jeszcze kiedyś mówić. Dyano,
Czas pewien jeszcze musisz cierpieć dla mnie,
Moim wskazówkom posłuszna.

Dyana. O pani!
Choćby potrzeba cześć i życie stradać,
Dla ciebie ścierpię wszystko.

Helena. Jeszcze chwilę
Bo wkrótce niebo latem nas obdarzy,
Głogi wydadzą kwiecie obok cierni,
Ostrość się miodem umili. Ruszajmy;
Już wóz nasz czeka gotowy, czas nagli.
»Wszystko jest dobre, co kończy się dobrze.«
A koniec dzieło wieńcem opromienia;
Z wyniku wartość dzieła się ocenia.
(Wychodzą).

SCENA V.

Rousillon. Komnata w pałacu hrabiny.

(Wchodzą Hrabina, Lafeu i trefniś).

Lafeu. Nie, nie, nie, wasz syn, hrabino, był uwiedziony
od jedwabistego gałgana, który swoim podłym szafra-
nem gotów umalować wszystką niedopieczoną i miękką
młodzież; wasza synowa żyłaby dotąd, wasz syn byłby
w domu, a łaska króla byłaby go wyprowadziła na
coś lepszego, niż ten pstry truteń.

Hrabina. Bogdajbym go była nie miała! Sprowadził śmierć
najzacniejszej dziewczyny, jaką kiedy na swą chwałę
stworzyła natura; choćby była kością z mojej kości
i kosztowała mnie ból macierzyństwa, nie mogłaby
głębiej mieszkać w mem sercu.

Lafeu. To była dobra pani, to była dobra pani; mozem

tysiąc razy zbierać sałatę, a takiego drugiego ziela nie znajdziemy.

Trefniś. Rzeczywiście, mości panie; była jak słodki majeran w sałacie, albo, by tak rzec, ziółko wdzięku.

Lafeu. To nie są zioła do sałaty, hultaju; to są aromaty dla woni.

Trefniś. Nie jestem Nabuchodonozorem, mości panie; więc w ziołach nie biegły.

Lafeu. Za cóż sam się podajesz? za hultaja, czy głupca?

Trefniś. Za głupca, panie, do usługi dam, a za hultaja do usługi męskiej.

Lafeu. Jak to tłómaczysz?

Trefniś. Lubię zdmuchnąć mężowi żonę i zastąpić go na służbie.

Lafeu. W takim razie będziesz hultajem w jego służbie.

Trefniś. A żonie jego dać błazeńską czapeczkę, żeby jej użyła dla męża.

Lafeu. Podpiszę więc za ciebie, że jesteś razem hultaj i głupiec.

Trefniś. Do usług waszmości.

Lafeu. Nie, nie, nie.

Trefniś. Ejże, panie, jeżeli nie mam, to mogę służyć większemu od was księciu.

Lafeu. Co, za jeden? Francuz?

Trefniś. Dalibóg, nazwisko nosi angielskie, ale oblicze jego jest we Francyi czerwiesze, niż w Anglii.

Lafeu. Cóż to za książę?

Trefniś. Czarny książę, panie, *alias* książę ciemności, *alias* dyabeł.

Lafeu. Masz tu sakiewkę; daję ci ją nie po to, żeby cię odwieść od służby twego pana; służ mu wiernie.

Trefniś. Pochodzę z kraju lesistego, panie, gdzie lubią duże ogniska, a ten pan, o którym mówiłem, utrzymuje u siebie ogromne ognisko. Ale że on jest księciem świata, niech się go trzyma sama szlachta. Co do mnie, wolę dwór o małej bramie, którądy nie przeciśnąłby się przepych dworaków; ten i ów pokorniejszy mógłby, ale przeważnie będą to delikatni i wrażliwi, przekładający ukwiecony gościniec, który prowadzi do wielkiej bramy i wielkiego ogniska.

Lafeu. Idź sobie już; zaczynasz mię nudzić, a mówię ci to naprzód, żeby się z tobą nie skłócić. Ruszaj i każ opatrzyć moje konie; tylko się nie poszkap.

Trefniś. Już ja je tak opatrzę, że zejda na szkapy, co zresztą je czeka na mocy praw natury.

(*Wychodzi.*)

Lafeu. Swarliwy i przykry hultaj.

Hrabina. To prawda; nieboszczyk hrabia lubił jego koncepty; w ostatniej swej woli zastrzegł mu miejsce na dworze, stąd zdaje mu się, że otrzymał przywilej na zuchwalstwo; nigdy nie spocznie, istna postrzelona głowa.

Lafeu. Lubię go przecie; niezły chłopak. — Przychodzę powiedzieć wam, hrabino, że kiedy dowiedziałem się o śmierci tej dobrej pani i o tem, że syn wasz zamierza powrócić, skłoniłem jego królewską mość, mego władcę, że przyrzekł rzec słowo za moją córką; w czasie małoletności obojga król jegomość raczył sam powziąć plan połączenia ich i przyrzekł doprowadzić go do skutku: będzie to równie najlepszy sposób złagodzenia jego przeciw synowi waszemu niechęci. Jak się wam ta myśl podoba, miłościwa pani?

Hrabina. Cieszę się nią; rada będę, jeżeli się spełni.

Lafeu. Król jegomość wyjechał prędko z Marsylii, tak zwawy i krzepki, jakby liczył lat trzydzieści; jutro tu stanie, jeżeli nie omylił mię ktoś, pewnie rzeczy świadom.

Hrabina. Szczęśliwa jestem, że go jeszcze za życia obaczę. Otrzymałam i ja listy, że syn mój przybędzie dziś wieczorem; poproszę więc waszmości, abyś zechciał pozostać przy mnie aż do ich spotkania.

Lafeu. Pani, myślałem właśnie nad tem, w jaki sposób znaleźć do króla przystęp.

Hrabina. Wszak możesz waszmość skorzystać z należnych ci przywilejów.

Lafeu. Nadużywałem ich zbyt często, ale, dzięki Bogu, jeszcze trwają. (*Wraca trefniś.*)

Trefniś. O pani, za drzwiami stoi jaśnie pan, wasz syn, z aksamitnym plastrzem na policzku; czy nim jest pod blizną, to sam aksamit wie; ładny kawał aksamitu.

Lewy policzek ma dwa i pół włosa, a prawy jest łysy.

Lafeu. Chlubnie zdobyta blizna jest chlubną blizną, a ta musi być nie inna.

Trefniś. Za to oblicze wygląda, jak kotlet.

Lafeu. Śpieszmy powitać hrabiego; pragnę zobaczyć znów młodego dzielnego rycerza.

Trefniś. Jest ich tam z tuzin, w ładnych, greckich kapeluszach z grzeczniemi piórami, które kiwiają głową i biją pokłony.

(*Wychodzą*).

AKT PIĄTY.

SCENA I.

Ulica w Marsylii.

(*Wchodzą Helena, wdowa i Dyana z dwoma sługami*).

Helena. Ta nieustanna jazda dniem i nocą
Musiał was nużyć; nie znam na to rady.
Lecz żeście nocy i dni poświęcały
Na takie ciężkie trudy w mojej sprawie,
Trwajcie do końca, a tak wdzięczność moja
Wzmoczenie, że jej nic wyrwać nie zdoła
W czasach szczęśliwych.

(*Wchodzi dworzanin*).

Może mi ten szlachcic

Przystęp ułatwi do króla, zechce-li
Swojego wpływu użyć. — Mości panie!
Bóg z wami.

Dworzanin. Z wami wzajem, zacna pani!

Helena. Już was widziałam na francuskim dworze.

Dworzanin. Bawiłem niegdyś przy królu.

Helena. Jak tuszę,

Grzeczności waszej sława nie skłamała,
Przeżoż ja dzisiaj potrzebą zmuszona,
Co zaniehbuję etykiety, waszym
Zaletom odkryć się sposobność daję
Z dziek przyrzeczeniem.

Dworzanin. Zczego pragniesz, pani?

Helena. Byście raczyli pokorną suplikę
Wręczyć królowi i swym możnym wpływem
Dla nas wyrobić chcieli posłuchanie.

Dworzanin. Króla tu niema.

Helena. Niema?

Dworzanin. Tak, odjechał
Tej nocy z większym, niż zwykle, pośpiechem.

Wdowa. Boże mój, nasze zabiegi stracone!

Helena. »Wszystko jest dobre, co kończy się dobrze«,

Choć dziś przeciwnie są czas i wypadki. —

Dokąd wyjechał król? nie wiesz, panie?

Dworzanin. Ile wiadomo mi, do Rousillonu.

I ja tam jadę.

Helena. Proszę waszmość pana,
Skoro więc króla obaczysz przede mną,
W łaskawą jego dłoń złożę prośbę moją;
Wiem, nie przyniesie wam ona nagany,
Raczej król za trud wyrazi wam dzięki.
Ja tuż za wami pośpieszę, o ile
Siły pozwolą.

Dworzanin. Spełnię należycie.

Helena. Bądź waszmość pewny, że wam złożę dzięki,

Więcej niż dzięki. — Teraz dalej w drogę!

(*Wychodzą*).

SCENA II.

Rousillon. Podwórze pałacowe.

(*Wchodzą trefniś i Parolles*).

Parolles. Dobry panie Lawacz, oddaj ten list jegomości
panu Lafeu. Znaliśmy się dawniej lepiej, mospanie, kie-
dym się poufalił ze świeższym strojem; dzisiaj zbruka-
łem się w rynsztoku fortuny i cuchnę cokolwiek jej
niełaską.

Trefniś. Dalipan, niełaska fortuny musi być czemś obrzy-
dliwym, skoro z niej nabrałeś takiego fetoru. Odtąd
nie będę jadł ryb smażonych na maśle fortuny. Proszę,
nie stój mi przed wiatrem.

Parolles. Nie potrzebujesz, mój panie, zatykać nosa; po-
wiadam to w przenośni.

Trefniś. No, jeżeli przenośnie tak cuchną, będę zawsze
zatykał nos przed czymibądź przenośniami. Proszę,
stań nieco dalej.

Parolles. Mój przyjacielu, doręcz ten papier.

Trefniś. Pfu, powtarzam, stój z daleka; papier z wychodka
fortuny wręczać szlachcicowi!.. Patrz, sam tu nad-
chodzi. (*Wchodzi Lafeu*). Jest tu, panie, gagatek for-
tuny, czy kotek fortuny (ale nie piżmowy...), który
wpadł w bagno jej niełaski i, jak powiada, do dna

się zabagnił. Proszę waszej miłości użyć tego karpia, do czego chcecie; wygląda na biednego, parszywego, chytrego, głupkowatego, łotrowskiego hultaja. Łagodzę jego nieszczęście uśmiechem pociechy i zostawiam go waszej miłości. (*Wychodzi*).

Parolles. Łaskawy panie, jestem człowiekiem, którego fortuna mocno podrapała.

Lafeu. Cóż ja na to poradzę? teraz zapóźno obcinać jej pazury. Cóżes to fortunie przeszkrobał, że cię tak nazaczyła? Sama przez się, to dobra pani, tylko nie lubi, żeby hultajom w jej służbie długo się powodziło. Masz tu ćwierć talara; niech cię z nią pogodzi sędzia pokaju; ja mam co innego na głowie.

Parolles. Błagam waszej wielmożności wystuchać jednego słowa.

Lafeu. Żebresz jeszcze o jeden grosz; dostaniesz; swoje słowo zachowaj.

Parolles. Moje nazwisko, miłościwy panie, jest Parolles.

Lafeu. Zatem przedstawiasz więcej niż jedno słowo. Do licha, uniosłem się. Daj mi rękę. — Jak się miewa twój bęben?

Parolles. Miłościwy panie, byleś pierwszy, któryś mię odkrył.

Lafeu. Doprawdy? Czy także pierwszy, którym cię zgubił?

Parolles. Wasza miłość, która mię wysadziła z łaski, mogłaby wkręcić mię napowrót.

Lafeu. Wynos się, hultaju! Chcesz na mnie nałożyć naraz dwa urzędy: boski i dyabelski?... (*Słychać odgłos trąb*).

Król przybywa, poznają po haśle. — No, bratku, dopytaj się jeszcze do mnie; wczoraj o tobie była mowa. Choć jesteś głupcem i nicponiem, trzeba jednak, żebyś jadł. Pójdź ze mną.

Parolles. Bogu za was składam dzięki, łaskawy panie! (*Wychodzą*).

SCENA III.

Tamże. Sala w pałacu hrabiny.

(*Odgłos trąb. Wchodzą Król, Hrabina, Lafeu, panowie, szlachta, straż i t. d.*).

Król. Klejnot straciliśmy w niej i tem samym O cenną perłę zubożeli; syn wasz

W szaleństwie swoim ocenić nie umiał Skarbu.

Hrabina. Stało się, Najjaśniejszy Panie. Raczcie uważać to za przyrodzenia Bunt, podniesiony w gorące młodości, Której oliwą podsypany pożar Ogarnia władze rozsądku.

Król. Hrabino, Już zapomniałem i już przebaczyłem, Choć gniew mój silnie wezbrał, oczekując, Aby wybuchnąć.

Lafeu. I ja też, darujcie, Słowo mej prośby wtrąć. Młody hrabia Ciężko obraził, Miłościwy Panie, I Was i matkę i żonę, lecz sobie Najcięższą zrządził krzywdę, tracąc żonę, Której uroda wszystkie rwała oczy, A mowa wszystkim słuch brała w niewolę, Tak doskonałą, że ją krnąbrne serca Swą panią zwaly.

Król. Chwalać rzecz straconą, Droższą ją czynisz pamięci. Niech wejdzie; Już przebaczyłem, a pierwsze spotkanie Zabije resztę gniewu. Niech nie prosi; Przedmiot obraży jego minął, resztę Żalu grzebiemy w głębi zapomnienia. Niech wejdzie nie jak winowajca, ale Jak wcale obcy. Uprzedźcie hrabiego, Że taka moja wola.

Dworzanin. Na rozkazy!

Król. Rad córce waszej? mówiłeś z nim o tem?

Lafeu. Poddany Wam jest, Miłościwy Panie.

Król. Więc niech się żeni. Dostałem też listy O nim pochlebne.

(*Wchodzi Bertram*).

Lafeu. Chłopak ucieszony.

Król. Nie jestem, jak dzień letni jednostajny; W twarzy mi widzieć można równocześnie Słońce i burze; lecz dziś jasny promień Niechaj rozpędzi chmury. Przystąp bliżej, Niebo znów jasne.

Bertram. Winę żalowaną, Królu mój, przebacz!

Król. No, dobrze już, dobrze.

O tem, co było, ani słowa więcej.
Sposobność chwili chwytajmy obecnej.
Starzejemy się, a najszybsze plany
Na cichej stopie czas podszedłszy kradnie,
Ani go dognać zdołamy. — Wszak córkę
Zacnego pana Lafeu przypominasz?

Bertram. Zawsze z zachwytem, Miłościwy Panie.
Wszak to był pierwszy wybór mej skłonności,
Nim serce język za posła wybrało.
Odtąd pod tego zjawiska wrażeniem
Niechęć wzgardliwych szkieł mi użyczyła,
Innych mi kobiet przysłała wdzięki,
Różane lica jawiła sztuczniemi,
Zwężając, to znów rozszerzając postać
Na wstrętny obraz, i stąd to wynikało
Że tamta, którą każdy wielbi, którą
Ja sam zacząłem kochać, ledwom stracił,
Przedtem mi jak pył obrażała oczy.

Król. Dobrze się bronisz; że ją tak kochałeś,
To samo wielką część twej winy maże;
Ale spóźniona miłość jest podobna
Do spóźnionego pardonu skazańca,
Co łaskodawcy staje się wyrzutem
I woła: Szkoda tego, co zginęło.
Porywczosć skarby lekceważy sobie
I nie nauczy się cenić, aż w grobie;
Surowość często jest nam własnym katem,
Gubim przyjaciół i żałujem zatem.
Ockniona miłość na czyn srogi wzdycha,
A zawstydzona niechęć snem przycicha.
To dzwon pogrzebny Heleny; zapomnij,
Miłości zakład poślij Magdalenie.
Pozwalam zatem i proszę gościny,
Pragnąc oglądać wdowca zaślubiny.

Hrabina. Lepiej niż pierwszym niech im Niebo sprzyja,
Lub niech ich raczej za życia nie widzę.

Lafeu. Pójdź w me ramiona, synu, co krew moją
Czasom przechowasz; drobny upominek
Wybierz, abym go zaniósł córce mojej
I jej serduszko skłonił. Na tę brodę,
Helena była uroczą istotą;

Podobny pierścień, gdy m się raz ostatni
Z nią żegnał, u niej na palcu widziałem.

Bertram. To nie jej pierścień.

Król. Pozwól, niech obaczę.

Mówiąc z nią, często weń się wpatrywałem,
Moim był niegdyś; dałem go Helenie
Z tem upomnieniem, że jeśli niedoła
Zmusi ją kiedy szukać mej pomocy,
To będzie zakład mój. Czyżbyś podstępem
Wydarł skarb, dla niej tak cenny i drogi?

Bertram. Mimo, że raczysz tak mniemać, mój władco,
Pierścień ten nigdy do niej nie należał.

Hrabina. Synu, na życie moje, jam go równie
U niej widziała; wiem, że go ceniła
Wyżej nad życie.

Lafeu. Mnie on równie znany.

Bertram. Mylisz się waszmość; nigdy go nie miała.

Gdym we Florencji bawił, z okna mi go
W list zawinięty rzucono; list mieścił
Nazwisko damy szlachetnego rodu,
Która mię odtąd swym służą sądziła.
Lecz gdy poszedłem za głosem honoru
I oświadczyłem, że nie mogę słuszenie
Na jej łaskawe względy odpowiedzieć,
Wprawdzie przestała swych zabiegów, ale
Nie chciała przyjąć z powrotem pierścienia.

Król. Sam Plutus, biegły w mnożeniu metali,
Mniejszą posiada znajomość przyrody,
Niżli ja tego pierścienia; był moim,
Skądkolwiek go masz, masz go przez Helenę.
Jak znasz sam siebie, rzecz tę uznać musisz.
Wyznaj, że go jej okrutnie wydarłeś.
Wszak przysięgała na wszystkie świętości,
Że go nie zdejmie nigdy z palca, chyba
Że ci go odda w małżeńskie komnacie,
Gdzieżeś nie powstał przecie, lub mnie przysłał,
Będąc w niedoli.

Bertram. Nie miała go w ręku.

Król. Kłamiesz, na honor mój królewski, kłamiesz
I budzisz we mnie straszne podejrzenia,
Choć je odsuwam. Byłżebyś nieludzkim
Do tego stopnia? Nie, przypuścić nie śmiem.
A jednak, twoja śmiertelna nienawiść

I jej śmierć... Gdybym sam zamknął jej oczy,
Nie mógłbym pewniej w zejście jej uwierzyć,
Niż widząc pierścień ten. — Wziąć go pod straż!

(*Straż chwytła Bertrama*).

Na każdy sposób dawne podejrzenia
Zbytniej ufności wyrzutem się stają,
Winiąc mię, żem się obawiał za mało.
Weźcie go; rzecz tę wyświecimy koniecznie.

Bertram. Dowieść, że pierścień ten do niej należał,
To będzie dowieść, że mię we Florencji
Posiadła w swojej małżeńskiej komnacie,
Co jest szaleństwem.

(*Wychodzi pod strażą*).

Król. Trapią mię straszne myśli.

(*Wchodzi dworzanin*).

Dworzanin. Miłościwy

Panie, lękam się, czyli nie zaszłył
Nagany; proszę od florenckiej damy
Pewnej przynoszę, co o kilka stacy
Zapóźniła się, chcąc ją wręczyć sama.
Przyrzekłem, mową ujęty i wdziękiem
Biednej petentki, która już musiała
Przybyć; sprawa jej zda się wielkiej wagi,
A wedle słów jej, Najjaśniejszy Panie,
Zarówno dla Was, jak dla niej doniosła.

Król (*czyta*). »Po wielu zakłęciach, że mię pojmie za żonę,
skoro pierwsza jego małżonka umrze, wstydzę się wyznać,
posiadł mię. Dzisiaj hrabia Rousillonu jest wdowcem;
przyrzeczenie go wiąże, które czcią opłaciłam.
Umknął z Florencji bez pożegnania, więc przybywam
za nim szukać sprawiedliwości. Wymierz mi ją, Królu,
jesteś jej mocen: inaczej uwodziciel będzie triumfował,
a biedna dziewczyna będzie zgubiona. *Dyana Capulet*«.

Lafeu. Kupię sobie zięcia na jarmarku i jeszcze cto zapłacę,
ale takiego nie chcę.

Król. Same niebiosy, Lafeu, ci sprzyjają
Takim odkryciem. — Niech oskarżycielka
Wejdzie tu, a wy sprowadźcie hrabiego.

(*Wychodzi dworzanin i kilku ze straży*).

Hrabino, drzę, czy nie była Helena
Marnie zgładzona...

Hrabina. Kara na zbrodniarzy!

(*Wraca Bertram pod strażą*).

Król. Dziw mi, że tak się lękasz niewiast, hrabio,
Iż od nich pierzchasz, zaledwo przyrzekłeś,
Że je zaślubisz.

(*Wchodzą dworzanin, Dyana i wdowa*).

Kto jest ta kobieta?

Dyana. Jam, Miłościwy Królu, Florentynka
Biedna, z dawnego rodu Kapuletów;
Widzę, że wam już znana ma suplika,
Toż wiecie, ilem godna jest litości.

Wdowa. A ja jej matka; wiek i zacne imię
Od krzywdy takiej zarówno boleją
I bez pomocy waszej uledz muszą.

Król. Przystąp tu, hrabio. Czy znasz te kobiety?

Bertram. Nie chcę zaprzeczać, Najjaśniejszy Panie;
Znam je; o cóż mię tedy oskarżają?

Dyana. Czemu tak dziwnie patrzysz na swą żonę?

Bertram. Żonę? Nie jest nią, Najjaśniejszy Panie.

Dyana. Chcesz wstąpić w śluby?... zaprzędasz tę rękę,

Która jest moja; zaprzędasz przysięgi,
Które są moje; zaprzędasz mnie samą,
Co przecież jeszcze do siebie należę;
Bom jest ślubami tak z tobą związana,
Że kto zaślubi ciebie, to zaślubi
Dwoje lub żadne.

Lafeu. Twoje dobre imię, hrabio, jest za liche dla mojej
cóрки; nie byłbyś dla niej odpowiednim mężem.

Bertram. To jest szalona i płocha dziewczyna,
Z którą lubiłem żarty. O czci mojej
Masz chyba, Królu, zbyt dobre mniemanie,
Aby uwierzyć, żem się zniżył do niej.

Król. Nie licz na dobre o sobie mniemanie,
Aż je zasłużysz, a cześć swoją okaż
Lepszą, niż sądzę.

Dyana. Miłościwy Panie,
Niech zaprzysięże, iż nie ma pewności,
Że mię niewinną znalazł.

Król. Cóż powiadasz?

Bertram. Ta bezwstydnica, Najjaśniejszy Panie,
Była rozrywką całego obozu.

Dyana. O, jak mię krzywdzi! Wszak gdybym nią była,
To byłby kupił mię za marną cenę.
O, nie wiercie mu! spojrzcie na ten sygnet,
Którego zacność i wysoka cena

Nie znajdzie równych; i on sygnet taki
 Dałby dziewczynie, co była rozrywką
 Obozu?...

Hrabina. Patrzcie, rumieni się. Tak jest,
 To ten sam klejnot od sześciu pokoleń
 W dziedzictwie z ojca idący na syna;
 To jego żona; sygnet świadczy jawnie.

Król. Mówiłaś, zda się, że jest ktoś na dworze,
 Co prawdziwości faktu da świadectwo.

Dyana. Tak powiedziałam, lecz wstydzę się, Królu,
 Takiego świadka; zowie się Parolles.

Lafeu. Widziałem tego męża, jeśli mężem
 Zwać go się godzi.

Król. Sprowadzić go tutaj!

Bertram. Na co? Wszak to jest hultaj osławiony
 I występkami do szpiku przesiąkły,
 Który choruje, kiedy prawdę powie.
 Chcacie mię sądzić świadectwem, co będzie
 Jakie każecie?

Król. Wszak twój sygnet własny?

Bertram. Sądzę, że własny. Przyznaję: lubilem,
 Biegałem za nią, zapaleniec młody;
 Pojmując przedział, umiała mię wabić,
 Drażnić swym chłodem i powściągliwością.
 Każda przeszkoda w miłosnych zabiegach
 Żądę podwaja; w końcu te manewry
 Wzmocnione godną pościgu urodą
 Tak mię podbiły, że sygnet jej dałem
 I tak zdobyłem, co niższy ode mnie
 Kupił za cenę targu.

Dyana. Całą prawdę rzekłam.
(Wchodzi Parolles).

Bertram. Królu, przyznaję, od niej go dostałem.

Król. Płaczesz zeznania, drzysz przed lada piórkiem.
 O tym człowieku mówiłaś? *(Wskazuje Parollesa).*

Dyana. Tak, Panie.

Król. Powiedz-no waszmość, ale strzeż się skłamać,
 Nie bój się pana swojego niefaski,
 Przed którą my cię potrafił zasłonić:
 Co ci wiadomo o nim i tej damie?

Parolles. Za pozwoleniem waszem, Najmiłościwszy Panie,
 mój pan był zawsze honorowym szlachcicem; płatał
 czasem figle, jak każdy szlachcic.

Król. Do rzeczy, do rzeczy! Kochał tę kobietę?

Parolles. Zapewne, Najjaśniejszy Panie, kochał ją; ale jak?

Król. Jakże ją kochał?

Parolles. Kochał ją, jak szlachcic kocha podwikę.

Król. Jakże to?

Parolles. Kochał i nie kochał.

Król. Jak ty jesteś hultajem i nie jesteś. Cóż to za dwu-
 znaczny jegomość?

Parolles. Jestem ubogim człowiekiem, do usług Waszej
 Królewskiej Mości.

Lafeu. To jest wyborny dobosz, Najjaśniejszy Panie, ale
 lichey mówca.

Dyana. Wiesz o tem waszmość, że mię przyrzekł zaślubić?

Parolles. Zapewne; wiem więcej, niż zechcę powiedzieć.
Król. Ale nie powiesz wszystkiego, co wiesz?

Parolles. Owszem, za pozwoleniem W. K. Mości. Byłem,
 jak rzekłem, między nimi pośrednikiem; nadto kochał
 ją, bo w istocie szalał za nią, plótt o szatanie i czyściu,
 o furyach i nie wiem o czem jeszcze; ale nigdy nie
 miałem u nich takiego wzięcia, jak kiedy wiedziałem,
 że się pieścza w komnatce i kiedy znałem inne tajem-
 nice, jak, że jej obiecywał małżeństwo i tym podobne
 rzeczy, których wyjawienie byłoby na mnie sprowa-
 dziło nieszczęście; dlatego nie powiem, o czem wiem.

Król. Wszystko już powiedziałeś, chyba, że jeszcze masz
 wyjawić, że istotnie wzięli ślub; ale twoje zeznania są
 zbyt ostrożne: odejdz na stronę. *(Do Dyany).*

Więc to twój pierścień, mówisz?

Dyana. Tak jest, królu.

Król. Gdzieś go nabyła, lub kto dał go tobie?

Dyana. Nie był kupiony, nie był darowany.

Król. Pożyczył ci go ktoś?

Dyana. Bynajmniej, Królu.

Król. Gdzieś go znalazła?

Dyana. Nie był znaleziony.

Król. Gdyś go więc żadną drogą nie nabyła,

Jak go dać mogłaś?

Dyana. Jam go nie dawała.

Lafeu. Ta kobieta jest jak rękawiczka, Miłościwy Panie,
 da się dowoli wzuwać i zezuwać.

Król. Ten pierścień jam dał małżonce hrabiego.

Dyana. Czyli był Waszym, małżonku jej, ja nie wiem.

Król. Wyprowadźcie ją; gniewać mię zaczyna.

Zamknąć w więzieniu — on niech idzie sobie.
Jeśli w przeciągu godziny nie powiesz,
Skąd wzięłaś pierścień, umrzesz.

Dyana. Rzec nie mogę.

Król. Precz z nią!

Dyana. Postawię zakładnika, Panie.

Król. Teraz już mam cię za prostą nędznicę.

Dyana. Boże, nie znam męża jako żywo!

Król. Czemuż więc skargę na niego zanosisz?

Dyana. Bowiem jest winny, choć razem niewinny.

Żem mu oddała się, przysięgać będzie,
A ja przysięgnę na to, że jest w błędzie,
I tyle prawdy, żem z cześci obrana,
Jak to, że mężem zowią tego pana.

(Wskazuje na Lafeu).

Król. Już się nam przykrzy słuchać; do więzienia!

Dyana. Wprowadź tu mego zakładnika, matka!

(Wychodzi wdowa).

Wstrzymaj się jeszcze, Najjaśniejszy Panie!
Złotnik, pierścienia twórca, da świadectwo
W mojej obronie. Tego tu młodzieńca,
Który, jak mniemam, skrzywdził me panieństwo,
A jednak nie tknął mnie, ja się wyrzekam.
Wie, że mię pojął śluby małżeńskimi
I to, że żona jego zeń poczęła
I przy nadziei jest, chociaż nieżywa.
Patrzcież zagadkę: nieżywa zostanie
Matką; a oto macie wyjaśnienie.

(Wdowa powraca, prowadząc Helenę).

Król. Czy to czar jaki zmysł wzroku mi łudzi,
Czy prawdę widzę?

Helena. Nie, dostojny panie;
Cień tylko, imię żony widzisz we mnie,
Lecz nie istotę.

Bertram. Oboje! oboje!
O, przebaczenia!

Helena. Mój łaskawy panie,
Kiedy mię brałeś za to dziewczę, byłeś
Dziwnie uprzejmy. Oto jest twój sygnet,
A oto list twój, w którym powiedziano:
»Gdy z mego palca otrzymasz ten sygnet
I poczniesz ze mnie...« Patrz, ta rzecz się stała;
Chcesz być mój, gdym cię dwukrotnie wygrała?

Bertram. Niech cię, mój Królu, świadectwem przekona,
A miłość moja będzie nieskończona.

Helena. Jeśli dowody dam niedostateczne,
Niechaj zasłużę na rozstanie wieczne.

O, matka droga! Żywą cię znajduję?

Lafeu. Oczy mię pieką, zaraz płakać będę. *(Do Parollesa).*

Luby trombonie, pożycz mi chustki. Dziękuję. Pójdź z
mną do domu, rozerwiesz mię. Zostaw te grzeczności,
nie potrzeba!

Król. Chodźmy powieści wysłuchać dokładnie,
Niech z samej prawdy uciecha wypadnie.

(Do Dyany).

Ty, jeśli jesteś kwiatkiem zawsze świeżem,
Poszukaj męża, my posag dobierzem;
Twym, widzę, zacnym podstępem zwiedziony,
Ciebie nie plamiąc, własnej doszedł żony.
Skąd wszystko poszło, w jakich zdarzeń wątku,
Kiedyś wysłuchać chcemy od początku.
Dziś wszystko dobre; jeśli los nie zmyli,
Wspomnienie smutków stodycze umili.



WIECZÓR TRZECH KRÓLI,
LUB CO CHOCIECIE.

TLÓMACZENIE L. ULRICHA.

Klucza do daty komedyi *Twelfth Night, or What You Will*, z powodu braku wczesnych wydań i jakichkolwiek zewnętrznych świadectw długi czas usilnie szukano w ściśle chronologicznej interpretacji różnych drobnych aluzji samego tekstu; wyszczególnić wśród nich warto jedynie wzmiankę o »nowej mapie, z dodatkiem (a raczej powiększeniem — *augmentation*) Indyi« (III, 2): odnosi się to prawdopodobnie do mapy, ogłoszonej jako dodatek do »Podróży« Hakluyta w r. 1599. W latach 1599—1601 niektóre ze śpiewanych w komedyi piosenek bez nazwy Shakespeara, jako publiczna własność literacka, pojawiają się w popularnych śpiewnikach.

Wyciągany stąd prawdopodobny wniosek, że komedia powstała krótko przed końcem stulecia, w okresie największej potęgi komedyopisarskiego talentu Shakespeara, potwierdziło już w XIX wieku odkrycie ważnej notatki współczesnej: londyński praktykant prawniczy, Jan Manningham, w swym dzienniku zapisuje przedstawienie komedyi podczas uroczystości w sali kolegium prawniczego *Middle Temple*, na Matkę Boską Gromniczną roku 1601 czyli według naszego kalendarza w dniu 2 lutego 1602. Ta cenna wiadomość ogranicza datę oczywiście tylko z jednej strony; nie brakło też prób bardzo wczesnego datowania przynajmniej pewnych części utworu: Fleay twierdził, że sceny, przedstawiające losy Wioli i księcia, tak podobne w treści do fars młodocianych »Komedia omyłek«, i »Dwaj panowie z Werony«, w tym samym też, co one, czasie powstać musiały, a więc około roku 1593, zaś w późniejszej dopiero przeróbce splótł z niemi poeta akcyę w Malvolia, satyrę, z głębszego już doświadczenia płynącą. Na korzyść późniejszej daty także akcyi miłosnej znowuż zwracano uwagę na wzmianki w listach z czasów około r. 1600

o pobycie w Londynie księcia Bracciano, głowy sławnego rodu Orsinich, i o pogłoskach, że żyje i bawi w mieście pretendent portugalski, Don Sebastyan (w istocie poległy w walce przeciw Maurom w r. 1578): te wypadki kroniki stołecznej miały poddać Shakespearowi imioną Orsino i Sebastyan, któremi zastąpił znalezione w źródle nazwy Apollonius i Silvio.

To przenosi nas do kwestyi źródeł komedyi. Nowele podobne do niej treścią znajdując się we włoskich zbiorach Bandella (parafrazowanych po francusku przez Belleforestę) i Cinthia (*Hecatonmithi*). Bez wątplenia znane Shakespearowi było nowelistyczne opracowanie angielskie p. t. *Apollonius and Silla*, drukowane w roku 1581, którego autorem był Barnabe Rich; czy jednak ta opowieść, przesiąknięta żołnierską rubasznością autora, jest bezpośrednio podstawą komedyi, to stało się szczególnie wątpliwe, odkąd odkrycie notatki Manninghama o przedstawieniu utworu zwróciło uwagę na możliwość jakiegoś źródła w formie dramatycznej. Dodaje mianowicie Manningham od siebie uwagę, że komedyja podobna jest do »Omyłek« i plautyńskich »Menechmów«, ale najbardziej do komedyi włoskiej *Inganni*. Otóż istnieją dwa dzieła włoskie pod tym tytułem; jedno napisał Nicolo Seccho czy Secco, i było grane w r. 1547, drugie Curtio Gonzaga w r. 1592; to ostatnie zawiera nawet imię *Cesare*, podobne do pseudonimu Wioli u Shakespeara; ale bardziej od nich obu do »Wieczoru Trzech Króli« treścią zbliżona jest komedyja *Gl'Ingannati*, stworzona i grana przez akademię literacką pod nazwą *Gl'Intronati* w Sienie w r. 1531. We wstępie do tej komedyi chwala się jej autorzy, że treść pochodzi z ich głów a nie skądinąd, że tak jest wyciągnięta z ich wyobraźni, jak wyciąga się losy przy tradycyjnych grach towarzyskich na wieczór Trzech Króli (*notte di Beffana*); mamy tu więc nawet przed sobą wyrażenie, które mogłoby tłumaczyć sam tytuł shakespeareowski¹⁾. W jaki sposób treść tej ko-

¹⁾ Dużo się i niezależnie od tej aluzji nad tytułem komedyi naspikulowano. Treść jej ze świętem Epifanii istotnie nie ma nic wspólnego, prócz chyba podobieństwa między panującym w komedyi *qui pro quo* a zwykłemi w to święto u wszystkich ludów zachodniej Europy zabawami maskowemi. Drugi tytuł, po tak mało przystającym pierwszym, to może nawpół niechętnie wyznanie braku pomysłu na tytuł istotnie odpowiedni, a może wyraz tej samej genialnej nonszalancji szczęśliwie tworzącego poety, która podyktowała również wieloznaczny tytuł sielanki »Jak się wam podoba«.

medyi, wielokrotnie we Włoszech drukowanej, mogła się stać znaną w Anglii, na to zagadnienie pewne światło rzuca istnienie łańciskiej komedyi uniwersyteckiej *Laelia*, granej w Cambridge po roku 1590; okazała się ona jako bardzo ścisła parafraza dzieła włoskiego, a słyszeć o niej mógł Shakespeare od którego z pisarzy dramatycznych, co odbyli studia akademickie.

Prawdopodobnie jednak bezpośrednim źródłem poety był gotowy dramat angielski. Przypuszczenie to nasuwa utwór niemiecki, sam wprawdzie pochodzący z drugiej połowy XVII wieku, ale opracowany według jednego z dzieł w repertuarze owych komedyantów angielskich, co wędrowali po Niemczech już z początkiem stulecia. Dramat ten pod tytułem »Walka cnoty z miłością« (*Tugend- und Liebessreit*) zdaje się pochodzić w prostej linii od angielskiej noweli Richa; zachowuje z niej nawet nazwiska Apollonius i Sylla; ma jednak wspólne z komedią shakespeareowską pewne odmienne od noweli motywy, pochodzące widocznie ze stałego arsenału dramaturgii angielskiej okresu shakespeareowskiego: takim motywem jest wzbogacenie zawartych w temacie sposobności do *qui pro quo*, takim także sprawa pierścienia, przypominająca użycie tego narzędzia zawikłań w »Kupcu weneckim« i w dramacie »Koniec wieńczy dzieło«. Może więc wspólną podstawą i komedyi Shakespeara i niemieckiej był jakiś niezachowany nam dramat angielski.

Że przedmiot musiał się zalecać umysłom renesansowych pisarzy dramatycznych, dowodzą analogie z historyi dramatu hiszpańskiego: włoską komedię *Gl'Ingannati* dramatyzował już w połowie XVI wieku po hiszpańsku Lope de Rueda; inny jeszcze dramat hiszpański, podobny treścią do »Wieczoru Trzech Króli«, p. t. *La Española en Florencia*, prawdopodobnie jest późniejszy datą od shakespeareowskiego.

Mówiąc o źródłach i opracowaniach przedmiotu, wspomnieć wreszcie jeszcze należy, że sam główny motyw Shakespeara — dziewczyna przebrana za pania w służbie swego kochanka, posyłana przez niego do rywalki, i miłość tej rywalki do pania — spopularyzowany był w całej czytającej Europie Odrodzenia przez głośną powieść Montemayora *Diana*; stamtąd, pośrednio czy bezpośrednio, przejął pierwszą połowę tego motywu już raz przed »Wieczorem Trzech Króli« sam Shakespeare do młodocianej komedyi »Dwaj

panowie z Werony. Reminiscencją z Montemayora może jest fantastyczne umieszczenie akcji »Wieczoru Trzech Króli« w egzotycznej Illirii, która zresztą jest miejscem akcji także w noweli Cinthia. U Richa rzecz rozgrywa się w Konstantynopolu i na Cyprze, w *Gl'Ingannati* sceną są Włochy (Modena), a środowiskiem historycznym niedawne wypadki, mianowicie pamiętne zdobycie i splądrowanie Rzymu przez żołdaków francuskich w roku 1527. Shakespeare, jeżeli co o tem wiedział, świadomie zerwał te węzły z historią polityczną, tak samo jak usunął związek z nieszpornymi sycylijskimi z akcji komedii »Wiele hałasu o nic«; od początku poruszamy się u niego w świecie romantycznej wyobraźni, wyzwolonym od ścisłych określeń czasu i miejsca; tam gdzie jest więcej realizmu, mianowicie w scenach w domu Oliwii, które w całości za samodzielny pomysł Shakespeara uważać musimy, koloryt staje się wyraźnie angielski: całe gospodarstwo i życie codzienne Oliwii i jej domowników jest typowym obrazem ówczesnego życia zamożnej klasy średniej w ojczyźnie poety; z pierwszej rozmowy wuja Tobiasza z kawalerem Chudogębą dowiadujemy się o modnych wtedy w Anglii tańcach (I, 3¹); od sceny ich ordynarnej orgii pijackiej wieje czarowna woń piosenek ludowych, urywkami nuconych przez podochoconą trójkę (II, 3); inne jeszcze sceny (III, 2, 4) przez karykaturę — podobnie jak wywody błazna w sielance »Jak się wam podoba« (V, 4) — pouczają nas o kodeksie zwyczajów pojedynkowych w shakespeareowskiej Anglii.

Główną akcją komedii rozpoczyna rozdzielenie rodzeństwa przez burzę morską, motyw kilkakrotnie później postawiony na początku zmiennych losów rodzinnych w dramatycznych romancach ostatnich lat poety, — tutaj powtórzone z »Komedyi omyłek« i z rozmyślnym paralelizmem przedstawiony w podobnych do siebie scenach wyławiania najpierw siostry (I, 2), a potem jej sobowtóra brata (II, 1). Podobnie jak w »Kupcu weneckim« przez wzmiankę Porcy o Bassaniu, którego raz widziała (I, 2), poeta nas przygotowuje na jej uczucie dla niego, tak i tu Wiola wspomina, że słyszała o księciu Illiry od ojca, i że on wtedy »żony jeszcze nie miał« (I, 2). Czy te jej słowa

¹) *Galliard, coranto, jig, sink-a-pace* — w tłumaczeniu Ulricha spolszczone (»mazurek, krakowiak«, etc.).

chcemy z racjonalistą XVIII wieku Johnsonem tak tłómaczyć, że Wiola z nieprzystojną obcesowością odrazu wyrusza na zdobycie księcia, czy z rycerskim jej obrońcą w XIX wieku Speddingiem argumentować, że dla osamotnionej panienki jej dostojnego pochodzenia w obcym kraju dwór był naturalnym punktem oparcia, — to dla krytyki shakespeareowskiej właściwie obojętne: wyprawa na dwór nie należy do charakterystyki bohaterki, lecz jest podstawowym postulatem, umożliwiającym akcję dramatu. Zresztą w każdym razie Shakespeare i tutaj, jak w całym utworze, delikatnością i taktem nieskończenie przewyższa swych poprzedników w opracowaniu przedmiotu: w noweli Richa rozbiciu na morzu ulega sam książę; w kraju, gdzie wylądowuje, znajduje przeznaczoną dla siebie niewiastę jako córkę panującego monarchy, ale zachowuje się wobec niej obojętnie; potem dopiero, gdy on opuszcza kraj i wraca do swojej ojczyzny, ona z zupełnym rozmysłem i dokładną świadomością celu wyprawia się za nim, następuje druga burza na morzu i przebranie za pazią, jak w komedii. Całe te wielce rozległe antecedence były zapewne i w starym dramacie angielskim, bo są w jego parafrazie niemieckiej. Shakespeare je więc z własnej inicjatywy pominął, z wielką korzyścią i dla zwartości akcji i dla prawdopodobieństwa poetyckiego: jego bohaterka i bohater nie widzieli się nigdy przed początkiem dramatu. Podobnie pewną siebie i świadomą celu, jak bohaterka noweli Richa, jest także dama we włoskiej komedii *Gl'Ingannati*, gdzie zresztą zupełnie niema motywu burzy na morzu.

Druga dama, odpowiadająca shakespeareowskiej Oliwii, w noweli Richa jest wdową; całej galerii otaczających Oliwię zabawnych figur — wuja Tobiasza, kawalera Chudogęby, subretki Maryi, zarozumiałego majordoma — ani u Richa ani w innych opracowaniach niema ani śladu. W noweli pierwsze kilka spotkań damy z paziem opowiedziane są w kilku słowach¹); w komedii *Gl'Ingannati* także niema sceny, odpowiadającej pierwszemu spotkaniu

¹) Co prawda w tym krótkim ustępie jest jedna uderzająca koincydencja w wyrażeniu z komedią: dama w noweli wkrótce »tak bardzo upodobała sobie stugę, jak jego pan ją samą« (*she fell into as greate a liking with the man, as the maister was with her self*); u Shakespeara Oliwia (I, 5) sama do siebie woła: »Lecz nie tak przedko, powoli, powoli! — Ach, gdyby sługa w pana się przemienił!« (*Not too fast; soft, soft — unless the Master were the Man!*).

Wioli z Oliwią; są tylko dalsze stadya, przedstawione z właściwym Włochowi temperamentem: pani całuje pięknego paza na pożegnanie w bramie domu, co podpatrują i donoszą służący jego pana. Tak samo w niemieckim dramacie zakochana pani zachowuje się bardzo agresywnie: zaraz przy pierwszym spotkaniu wyznaje paziowi swe uczucia, ledwo je sobie sama uświadomiła, i te jej wyznania i dalsze objawy afektów stopniują się w kilku scenach, bezpośrednio po sobie następujących; pojawia się motyw podarunku pierścienia, zużytkowany i przez Shakespeara, z tą jednak różnicą, że w niemieckim (i zapewne w starym angielskim) dramacie pierścień przez *qui pro quo* od razu otrzymuje brat paza. W porównaniu z tymi wszystkimi poprzednikami Shakespeare w scenach wyznań miłosnych z kolei Wioli (II, 4) i Oliwii (III, 1), scenach płynących melodyjnym białym wierszem, owianych przejrzystą szalą poetyckiego fatalizmu miłosnego, zdobnych w cudne pieśni (może warianty ludowych), święci najwyższe w komedii — bodaj czy nie najwyższe we wszystkich swych romantycznych komedjach — tryumfy czysto lirycznego natchnienia. W miejsce ujmujących wynurzeń Wioli, ukrytych w opowiadaniu o losach jakiejś nieszczęśliwej siostry, u poprzedników mamy przeważnie dość kłótlive wyrzuty, czynione panu przez paza z powodu opuszczenia pierwszej kochanki — w komedii *Gl'Ingannati* nawet intrygę paza z nową wybranką, którą namawia, by amantowi okazywała obojętność.

Doprowadziwszy rzecz do kulminacji zarówno poezji i miłosnego nastroju, jak i komiki prozaicznej — w scenie oszukania Malvolia przez podrzucony list (II, 5), — poeta w przeważnej ilości scen III aktu ma tylko to dramaturgiczne zadanie, by obie akcje toczyć dalej przez coraz nowe zabawne i zajmujące sytuacje; to też czyni, a temat sobie wzbogaca, wymyślając poza ramami obu głównych spraw komedii sposobności do efektownych scen komicznych; sprawcą ich po subretnie z kolei staje się wuj Tobiasz, a ofiarą po Malvoliu kawaler Chudogęba; los ośmieszenia musi z nim dzielić sama bohaterka, która w scenie wymuszonego pojedynku (III, 4) według intencji poety — już dla kontrastu z późniejszą dzielnością brata (V, 1) — z pewnością ma się zachowywać równie tchórzliwie, jak przeciwnik, a nie okładać go płazem, jak to z miłości własnej czynią niektóre dzisiejsze artystki. Twierdzenie ry-

cerskich komentatorów, jak Spedding i Furness, że Wiola w żadnym punkcie dramatu nie miała widzów bawić, plynie z całkiem obcych Shakespearowi pojęć o godności bohaterki, utwierdzonych w umyśle nowoczesnego człowieka przez klasyczny dramat francuski.

Różnica w uczuciach także z konieczności zachodzi między stanowiskiem shakespeareowskiego a dzisiejszego audytorium wobec sceny błazeńskiego egzorcyzmu nad mniemanym waryatem (IV, 2): Shakespeare mógł tu liczyć u swej publiczności na silne wrażenie komiczne, nas szczególności tej sceny jeszcze przykrzej razić muszą, niż pierwszy szkie tego samego pomysłu w młodocianej »Komedii omyłek« (IV, 4).

W całym III i IV akcie sceny najświetniejszych efektów komicznych — w szczególności przygody brata Wioli — należą wyłącznie do Shakespeara¹⁾; z dalszemi fazami akcji u Richa i w *Gl'Ingannati* coś wspólnego mają jedynie sceny bardziej obojętne, powstawiane właściwie tylko dla wypełnienia luk w ciągłości akcji; do takich należą ponowne wynurzenia miłosne Oliwii wobec opornego paza (III, 4), — w dramacie niemieckim zresztą (a więc prawdopodobnie i w dawnym angielskim) daleko obfitsze i bardziej nużące. W przedstawieniu sposobu, jak wreszcie Sebastian zajmuje miejsce siostry u boku ukochanej damy (IV, 1, 3), Shakespeare znowu przewyższa poezją i delikatnością wszystkich swych poprzedników; u niego też jednego Oliwia sprowadza księdza i zawiera ślub. W *Ingannati* główny moment stanowi prosto zamknięcie młodzieńca i damy w jednej izbie przez jej zaślepionego ojca; u Richa pełno jest ordynarności w faktach i wyrażeniu; dużo też u niego miejsca zajmuje rozprawa między damą a paziem przed jego panem — długa i nudna wymiana przewlekłych argumentacji; paź uwalnia się w końcu od zarzutów w najelementarniejszy sposób, objawiając damie na osobności naocznie, że jest niewiastą. W niemieckim dramacie rozwiązanie przez konfrontację brata i siostry

¹⁾ Ufny we własną pomysłowość, rozmyślnie nawet nie korzysta z pewnych, teatralnie przydatnych elementów źródła: w dramacie niemieckim przebrana bohaterka przybiera nazwisko brata, którego potem ku wielkiemu jego zdumieniu obcy ludzie witają po imieniu: tego spotęgowania *qui pro quo* niema u Shakespeara. W »Komedii omyłek« podobną identyczność nazwisk nie tylko przejął, ale bardzo niedbale uzasadnił; tu już jest wybredniejszy.

dokonywa się bez wielkiego napięcia dramatycznego, słożone jest w jedną krótką scenę końcową, jakby obcinając dalszy bieg wypadków. Shakespeare, jak zwykle w swoich komedjach, skomponował obszerne zbiorowe *tableau* jako scenę ostatecznych sądów i wyjaśnień. W szczególności rozprawy jest pewne podobieństwo do Richa: i u niego książę chce zabić swego paza, — co prawda nie, jak u Shakespeara, za to, że go kocha uwielbiana przez księżniczkę dama, lecz za to, że paż uporczywie wypiera się ojcostwa dziecka, które dama w łonie nosi. Że u Shakespeara odbywa się tu także rozstrzygnięcie sprawy Malvolia wobec osób, którym ta rzecz jest obojętna, to, jak słusznie spostrzeżono, przerywa właściwie w połowie radosny nastrój końcowej fazy akcji miłosnej; by ten nastrój na nowo silnie obudzić, Oechelhäuser w swej wersji teatralnej kazał Wioli wychodzić podczas rozprawy z Malvoliem, a potem wracać już w ubiorze kobiecym, tak jak to według wyraźnej wskazówki w starym tekście czyni Rozalinda w ostatniej scenie sielanki »Jak wam się podoba«.

Akt końcowy rozpoczyna drobnym oderwanem intermezem błazen; on też kończy sztukę epilogiem w formie skocznej piosenki: niedorzeczna w układzie słów, jednak w przeświecającej przez nie treści reasumuje ona wszystkie poetyckie elementa komedyi; górujące nad twórczością komiczną młodego Shakespeara pojęcie, że całe życie jest igraszką silniejszych od nas władz przypadku — średniowieczno-katolickie *vanitas vanitatum*, jak to historycznie określił Courthope — tutaj już przybiera ton melancholijnej rezygnacji, zwiastującej pesymizm wielkich tragedii; piosenka, nastrojem godna nieśmiertelnego błazna w »Królu Lirze«, treścią przypomina pieśń grabarza w piątym akcie »Hamleta«.

Nie tylko zasadniczy fatalizm, lecz także wiele cech budowy dramatycznej i stylu łączy dzieło z najwcześniejszą grupą fars shakespeareowskich: w akcji wielokrotnie podobne do »Komedyi omyłek« i »Dwóch panów z Werony«, przez galerię dziwacznych figur w domu Oliwii reprezentuje poniekąd ten sam typ »komedyi humorów« w rodzaju Ben Jonsona, co »Stracone zachody miłosne« i »Wesołe kobiety windsorskie«. Jakby resztki naskórka niezłuszczonego, są jeszcze gdzieś ślady młodocianych afektacji w wystąpieniu; do nader mnogich w pierwszych utworach Shakespeara, koncettystycznych przenośni

na temat płaczu i westchnień godnie się przyłączają słowa o żalobie Oliwii: »Łzę będzie słońca codzień skrapiać izbę« (I, 2). Z drugiej strony i obfita w późniejszych latach u poety gnomika i czar melodyi lirycznych tu stoją na wysokości dojrzałego arcyzmu: słowa rozkochanego księcia o »duchu miłości« na wstępie dzieła siłą nastrojową prawie się równają sławnemu ustępowi w »Śnie nocy letniej« (I, 1) o tem, jak »rąco ginie wszystko, co się świeci«. Całego ducha komedyi także jakby streszcza piosenka błazna: »Czemuż uciekasz, kochanko droga?« (II, 3). Następna znowuż: »Przybadź śmierci, ukój serce!« (II, 4) to jeden z najdoskonalszych, a zarazem najbardziej typowych płodów renesansowej liryki angielskiej. Znamionem wreszcie jest, że w tej komedii równie często, jak w »Kupcu weneckim«, stara się Shakespeare o to, by na scenie rozlegała się muzyka, i by o jej uroku w pięknych wierszach mówiono.

To wszystko jednak tylko jakby spotęgowane wdzięki najwcześniejszych dzieł poety; bardziej stanowczym problemem postępu jest dojrzała pewność siebie w rysunku charakterów. Oliwia jest jakby słabszą kopią Porcyi z »Kupca weneckiego«, za to jej towarzyszą, Marya, żywsza w kolorach od Neryssy: i ta jednak mocą tradycyjnego przeznaczenia subretki służy głównie jako narzędzie do wprowadzenia w ruch akcji; w służbie akcji stoi także sama postać Oliwii, łącząc między sobą oba równoległe jej wątki, i dlatego może poeta mało energii jej charakterystyce poświęca. Serce jego jest przedewszystkiem przy Wioli. Najbliżej spokrewniona ze swą chronologiczną sąsiadką Rozalindą w sielance leśnej »Jak wam się podoba«, nie ma jednak jej »figlarnego upodobania we własnym *incognito*«, jak trafnie stwierdziła pani Jameson, choć wiele nowożytnych aktorek właśnie przelotne momenta żartobliwego usposobienia u Wioli silnie uwydatnia. W pojęciu Shakespeara i jego generacji przeważa w tej roli element wzruszający, melancholijna łagodność: świadectwem tego jej kopia, żeński paż Bellario w melodramacie Beaumonta i Fletchera »Philaster«, i zresztą u Shakespeara samego atmosfera poetyckiego smutku, owiewająca w młodocianej komedii »Dwaj panowie z Werony« Julię, która jest jakby pierwszym szkicem do Wioli, a w dramacie lat ostatnich, »Cymbelinie«, postać Imogeny, która powtarza wszystkie zasadnicze rysy bohaterki »Wieczoru Trzech Króli«.

Jaką kategorię ludzi ma satyrycznie przedstawiać Malvolio? Marya powiada o nim, że »zakrawa czasem na purytanina« (II, 3), i choć nikt w sztuce na seryo tego określenia nie podejmuje, chwyciła się go krytyka shakespearewska; systematycznie je wywiódł w r. 1845 Hunter, a dalsi jego następcy doszli do takich absurdów, jak twierdzenie Brandla, że w scenie egzorcyzmu przez błazna — niepotrzebnie co prawda przestrojonego za księdza, bo go ściana dzieli od więzienia¹⁾ — pocie chodziło o karykaturalne przeciwstawienie anglikańskiego Kościoła państwowego i purytanizmu. Wybornie zapewne do purytańskiego ducha stosuje się sławna apostrofa wuja Tobiasza: »Czy myślisz, iż dlatego, że jesteś cnotliwy, nie będzie już na ziemi ani kołaczy ani piwa?« Ale równie pewno brak Malvoliovi zupełnie głównej zewnętrznej cechy Purytan, miałowicie ich demonstracyjnej pobożności i biblijnego patosu w mowie.

Inny błąd popełniano, biorąc Malvolia zbyt poważnie, podobnie jak na ogół skłonni jesteśmy zbyt się przejmować tragizmem molierowskiego mizantropa. W scenach ostatecznego upokorzenia Malvolia Shakespeare umiejętnie uwydatnia jego zalety: na zapatrywania błazna-egzorcyzysty każe mu odpowiadać rozumnie (IV, 2), a Oliwii wyrażać niepokój o wiernego sługę (III, 4): na tem się opierając, wielu aktorów wymuszało na widzach szczere współczucie z krzywdą Malvolia; takiego *tragic interest* doznawał znakomity krytyk, Charles Lamb, wobec gry pana Bensley. Końcowe słowa Malvolia — groźbę zemsty »na całej bandzie« (V, 1) — porównywano ze »szlachetną dumą« zrujnowanego Shylocka, gdy opuszcza salę sądową: i jedno i drugie według intencji poety pono nie miało nic bohaterkiego w sobie. Moralizującą tendencją Shakespeara zapewne było poprostu podanie w pośmiewisko pospolitej i powszechnej próżności męskiej: tym samym iluzjom co Malvolio wielu z błogością się oddaje bez impulsu podzruczonych listów. Zarazem wypowiada poeta wyraźnymi słowami swe przekonanie o niezbędności zmysłu dla hu-

¹⁾ IV, 2 (Marya): »Mógłbyś zrobić to samo bez brody i rewerendy: nie widzi cię«. Podobnym objawem samokrytyki autora, ale już w ironiczniejszej formie, są słowa Fabiana w najzabawniejszej scenie akcji Malvolia (III, 4): »Odybym coś podobnego widział na scenie, potępiłbym sztukę jako wymysł niepodobny do prawdy«.

moru w szarzyźnie tego życia. Malvolio przez brak humoru okazuje się, jak to słusznie określili najlepszy z nowszych jego krytyków, William Archer, — nie purytaninem, lecz filistrem, i za swoje filisterstwo ściąga na siebie zemstę wesołej kompanii, zemstę samego poety; bo jego wrażliwej artystycznej naturze nienawistni być musieli ludzie niewyrozumiali na ekstrawagancje, które stanowią kłeskę, ale i urok tego życia, — ludzie przesadnie pewni, czy to, jak mistrz Denko w »Śnie nocy letniej«, swej rozumowej przewagi nad otoczeniem, czy to, jak Angelo w dramacie »Miarka za miarkę«, swej niepokonanej cnoty. Malvolio nie chce uznać żartów, i za karę nie poznaje się na żarcie, gdy jest przeciw niemu skierowany.

Narzędziem zemsty i kary staje się przedstawiciel przeciwnej zasady wesołego używania życia, jowialny opój Tobiasz. Jak Pistolet w »Henryku V« i Parolles w dramacie »Koniec wieńczy dzieło« kopiują Falstaffa od strony tchórzostwa, tak on powtarza go od strony epikureizmu. Repliką także jest pan Andrzej, odtwarzający gagatka Slendera z »Wesołych kumoszek windsorskich«; repliką wreszcie — tak samo, jak tamte dwie, samodzielnym twórczym blaskiem świecąca — jest zawodowy błazen Feste. Podobnie jak jego brat Probiereczyk w sielance »Jak wam się podoba«, stanowi on jakby komentarz do komedyi, jakby przewodnika przez poetę dostarczonego do własnego dzieła; jest jedyną krytycznie rozumującą osobą w utworze, jednem słowem jest dlań — jak powiedział Coleridge — tem, czem chór dla greckiej tragedii. Górująca mądrość tego błazna — przez jednego z komentatorów tak podziwiana, że chciał w nim koniecznie widzieć zbakierowanego studenta teologii — wyraża się przez bogatszą i głębszą, niż u innych pajaców młodego Shakespeara, gnomikę; kilkakrotnie przemawia ogólnikowo o społecznej misji błazeństwa — a zatem i komedyi; — trudno o piękniejszą jej apoteozę, niż w jego brzmiących słowach (III, 1): »Błazeństwo krąży nad światem, jak słońce: zarówno wszystkim przyświeca«.

Jako hołd krytyki dla wspaniałej galerii figur shakespearewskich raczej, aniżeli jako badania o wartości naukowej, na wzmiankę zasługują wysiłki nad utożsamieniem postaci komedyi z rzeczywistymi osobami epoki: Fleay, jak zwykle, widział w dziele produkt rywalizacji i polemiki literackiej: Malvolio to Marston, a Tobiasz — Ben

Jonson. Sarrazin znowuż na dworze królewskim szuka oryginałów: książe, w swej miłości do Oliwii podobny do Romea w stadyum miłości do Rozalindy, to ma być William Herbert hrabia Pembroke, znany nam z korespondencji współczesnych jako młodzieniec o melancholijnym zarazem i zmysłowym temperamencie; Malvolio to podstarzały a pretensjonalny intendent Elżbiety, Sir William Knollys, z którego damy dworu nieraz podobne stroiły sobie żarty, jak dowcipna subretka w komedyi.

Do publiczności teatralnej pokolefi potomnych komedya najsilniej zawsze przemawiała oczywiście nie tym poetyckim czarem scen miłosnych, którym się upaja czytelnik, lecz realistyczną komiką scen w domu Oliwii. Podobnie jak w »Śnie nocy letniej« największe wrażenie robiły próby i przedstawienie amatorskie rzemieślników ateńskich, najwięcej zajęcia wzbudzały losy ich oślogłowego reżysera, tak w środku tej komedyi dla audytorium od początku stanowczo stał Malvolio: jego nazwisko, zamiast shakespeareowskiego tytułu, nosi komedya w egzemplarzu bibliotecznym króla Karola I — tak samo jak tamże »Benedykt i Beatrice« zastępuje tytuł komedyi »Wiele hałasu o nic« — a i dziś przy przedstawieniach utworu rola majordoma zawsze jest głównym problemem aktorskim, właściwą rolą popisową, i na jej wykonawcy koncentruje się uwaga krytyki i widzów.

OSOBY:

Orsyno, książe Illiryi.
 Sebastyan, młody szlachcic, brat Wioli.
 Antonio, kapitan okrętu, przyjaciel Sebastyana.
 Kapitan okrętu, przyjaciel Wioli.
 Walentyn, } dworzanie księcia.
 Kuryo, }
 Sir Tobiasz Czkawka, stryj Oliwii.
 Sir Andrzej Chudogębski.
 Malvolio, intendent Oliwii.
 Fabian, } służy Oliwii.
 Pajac, }
 Oliwia, bogata hrabina.
 Włola, zakochana w księciu.
 Marya, dworska Oliwii.

Panowie, księża, majtkowie, urzędnicy, muzykanci, służba.

Scena częścią w pewnem mieście illiryjskiem, częścią nad brzegiem morza.

WIECZÓR TRZECH KRÓLI.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

Pokój w pałacu książęcym.

(Wchodzi Książę, Kuryo, panowie i muzyka).

Książę. Jeśli muzyka jest miłości strawą,
Dajcie mi waszej muzyki do zbytku,
Niechaj apetyt umrze z przesylenia.
Tę konającą powtórzcie kadencję.
Jak słodki wietrzyk, do uszu mych wbiegła,
Co się unosząc nad grzędą fiołków,
Zapachy razem kradnie i rozrzuca.
Skończcie. Już pierwszej nie ma pieśń słodyczy.
Duchu miłości szybki i polotny,
Chociaż jak w morzu wszystko w tobie tonie,
Wszystko, co połkniesz, choć wielkie i drogie,
Wartość swą całą w jednej traci chwili.
Tyle form zmiennych miłość w sobie chowa,
Że fantastyczność jej jednej jest cechą.

Kuryo. Idziem polować?

Książę. Na co?

Kuryo. Na jelenia.

Książę. Najpiękniejszego od dawna już gonię.

Kiedym Oliwię zobaczył raz pierwszy,

(Widok jej zdał się całą atmosferę

Czyścić z wyziewów śmiertelnej zarazy)

Czar mnie jej spojrzeń zmienił na jelenia,

A żądze moje odtąd, jak ogary,
Bez miłosierdzia po świetle mnie gonią.

(Wchodzi Walentyn).

Jakież nowiny przynosisz mi od niej?

Walentyn. Nie mogłem, książę, dostać posłuchania,

Tylko tę szatną przyniosła odpowiedź:

Powietrze nawet przez lat siedmiu przeciąg

Lic jej odkrytych zobaczyć nie zdoła;

Jak zakonnica, ciągle zakwefiona,

Łzą będzie słońca swoją skrapiać izbę,

Drogiemu brata optakując stratę,

Którego pamięć, w głębokiej żałobie,

Wieczną i świeżą chce w sercu przechować.

Książę. Kobieta, której serce tak jest czułe,

Co tak miłości płaci dług braterskiej,

Jak kochać będzie, kiedy złota strzała

Zabije wszystkich uczuć innych stada,

Dziś w niej żyjące!

Ody jej wątrobę, jej mózg i jej serce —

Ten tron cesarski — jeden król posiadzie! —

Idźmy w zielonej ochronie się altanie;

Wśród kwiatów słodsze miłości dumanie.

(Wychodzą).

SCENA II.

Wybrzeże morskie.

(Wchodzi Wiola, Kapitan i matkowie).

Wiola. Co to za kraj jest?

Kapitan. To Illirya, pani.

Wiola. Co mi z Illiryi? Mój brat jest w Elizyum.

A przecie — kto wie — może nie utonął.

Co o tem myślisz?

Kapitan. Cud nas uratował.

Wiola. Czy cud podobny nie mógł uratować

Biednego brata?

Kapitan. Cieszymy się nadzieją,

Bo jestem pewny, że w chwili rozbicia,

Kiedy szalupa z rozbitków tych garstką

Niosła nas, pani, ku skalistym brzegom,

Widziałem dobrze, jak brat twój roztropny,

Pod natchnieniami męstwa i nadziei,
Do strzaskanego masztu się przywiązał,
I, jak Aryon, na grzbiecie delfina,
Walczył z falami i zniknął w oddali.

Wiola. Przyjmij to złoto za pociechy słowo.

Własny ratunek, mową twą poparty,
Budzi w mem sercu niepłoną nadzieję,
Że i on żyje. — Czy znasz tę krainę?

Kapitan. O, znam ją dobrze, bo się urodziłem
I wychowałem, trzy godzin stąd drogi.

Wiola. Kto krajem rządzi?

Kapitan. Pan dostojny rodem,
A dostojniejszy przymiotami duszy.

Wiola. Imię?

Kapitan. Orsyno.

Wiola. Orsyno? Pamiętam,

Ojciec mój często imię to wspominał.
Księżę podówczas żony jeszcze nie miał.

Kapitan. I dziś jej nie ma; przynajmniej jej nie miał,

Miesiąć jest temu, gdym brzeg ten opuścił.
Biegały wieści w dniu mego odjazdu,
(O sprawach panów chętnie lud gawędzi),
Że miłość pięknej chciał zyskać Oliwii.

Wiola. Kto ta Oliwia?

Kapitan. Cnotliwa dziewica,

A córka hrabi zmarłego przed rokiem.
Zostawił on ją pod opieką syna,
Jej brata, który wkrótce także umarł.
Z żalu po stracie uciekła, jak mówią,
Od towarzystwa i widoku ludzi.

Wiola. O gdybym mogła pani tej być sługą!

Gdybym się mogła przed światem utaić,
Póki zamiary moje nie dojrzeją!

Kapitan. To rzecz nie łatwa, żadnej bowiem prośby,

Nawet księżących słuchać nie chce błagań.

Wiola. Na twej się twarzy uczciwość maluje;

Choć wiem, że nieraz zwodnicza natura
Szatą piękności szpetność osłoniła,
Śmiem jednak wierzyć, że i dusza twoja
Z twojem szlachetnem w zgodzie jest obliczem;
A więc cię proszę — a nie pożałujesz —
Ufaj, kto jestem, i bądź mi pomocą,
Abym, przebrana, celów mych dosięgła.

Chcę księciu służyć; na dwór mnie poprowadź,
Przedstaw mnie panu twemu jak eunucha,
A dobre znajdziesz u niego przyjęcie,
Bo moja biegłość w muzyce i śpiewie
Będzie kosztownym dla niego nabytkiem.
Co stąd wypadnie, to przyszłość odłoni:
Dziś twe milczenie niech planów mych broni.

Kapitan. Bądź więc eunuchem, ja twym będę niemym,
A jeśli język mój wypaple słowo,
Niech moje oczy zagasną!

Wiola. Dziękuję!
Prowadź mnie teraz, dobry kapitanie.
(*Wychodzą*).

SCENA III.

Pokój w domu Oliwii.

(*Wchodzą Sir Tobiasz Czchawka i Marya*).

Sir Tobiasz. Co do kaduka myśli moja synowica, że tak
wzięta do serca śmierć swojego brata? Najmniejszej
nie mam wątpliwości, że troska jest nieprzyjacielem
życia.

Marya. Na uczciwość, panie Tobiaszu, musisz trochę wczesniej
wracać do domu; twoja synowica, a moja pani,
bardzo się gorszy tak niezwykłymi godzinami.

Sir Tobiasz. Lepiej, że się gorszy mojemu godzinami, niż
żeby sama innych gorszyła.

Marya. Wszystko to bardzo dobrze, ale mój panie Tobia-
szu, musisz koniecznie przywdziać szaty skromności
i przyzwoitości.

Sir Tobiasz. Przywdziać szaty? Ani myślę innych szat
przywdziewać, jak te, które na mnie teraz widzisz;
szaty te dość są dobre, aby w nich kufle wychylać;
buty te także dobre na to, a jeśli nie są, to niech się
za własne uszy powieszają.

Marya. Te hulanki i te pijatyki zabiją cię, panie Tobiaszu.
Wczoraj właśnie mówiła o tem moja pani; napomknęła
też o niedowarzonem szlachcicu, którego tu jednego
wieczora sprowadziłeś, niby jako jej konkurenta.

Sir Tobiasz. Kogo masz na myśli? Czy pana Andrzeja
Chudogębskiego?

Marya. Zgadłeś, panie Tobiaszu.

Sir Tobiasz. Nie znajdziesz w całej Illiryi barczystsze go szlachcica.

Marya. I cóż stąd?

Sir Tobiasz. Czy nie wiesz, że ma trzy tysiące dukatów rocznej intraty?

Marya. Prawda, tylko, że wszystkie swoje dukaty w jednym roku przepuści, bo wielki z niego paliwoda i rozpustnik.

Sir Tobiasz. Fe, wstydz się tak o nim mówić! Czy nie wiesz, że gra na basetli, mówi trzema lub czterema językami, słowo w słowo a bez książki i posiada wszystkie dary przyrodzenia?

Marya. To prawda, że posiada prawie wszystkie, bo prócz tego, że jest głuptak, jest także wielkim burdą, a gdyby nie miał daru tchórzstwa na złagodzenie przyrodzonego daru swarliwości, wszyscy roztropni ludzie nie wątpią, że niedługo miałby także i dar mogliki.

Sir Tobiasz. Na tę rękę, łotr jest i potwarca, kto tak o nim mówi. Powiedz, kto to?

Marya. Ci, którzy prócz tego dodają, że się co noc upija w twojem towarzystwie, panie Tobiaszu.

Sir Tobiasz. Pijąc zdrowie mojej synowicy. Nie przestanę pić za jej pomyślność, póki mam dziurkę w gardle i póki nie zabraknie wina w Illiryi. Tchórz to i zajac, który nie chce pić za zdrowie mojej synowicy, aż mu się znacznie głowa kręci, jak parafialna fryga ¹⁾. No, dziewczyno, *castiliano volto*, nastrój kastylijską powagę; widzę zbliżającego się pana Andrzeja Chudogębskiego.
(*Wchodzi Sir Andrzej Chudogębski*).

Sir Andrzej. Panie Tobiaszu Czkawko, co tam nowego, panie Tobiaszu Czkawko?

Sir Tobiasz. Słodki panie Jędrzeju!

Sir Andrzej (*do Maryi*). Daj ci Boże zdrowie, piękna sekutnico!

Marya. I tobie, panie Jędrzeju.

Sir Tobiasz. Nacieraj, panie Jędrzeju, nacieraj!

Sir Andrzej. Co to za jedna?

Sir Tobiasz. Szatna mojej synowicy.

¹⁾ W każdej angielskiej parafii, za czasów Elżbiety, a może i dawniej, była publiczna fryga, którą podczas zimy wieśniacy bez roboty pędzili batożkami, żeby się rozgrzać, jak utrzymuje Stevens, a niewinną zabawą od złego się uchronić.

Sir Andrzej. Dobra panno Nacieraj, pragnę bliższej z tobą znajomości.

Marya. Moje imię jest Marya.

Sir Andrzej. Dobra panienko, Marysiu Nacieraj...

Sir Tobiasz. Mylisz się, panie Jędrzeju, »nacieraj« znaczy się: atakuj, oblegaj, jednym słowem, umizgaj się, szturmu!

Sir Andrzej. Na honor, nie chciałbym rzucić się na to przedsięwzięcie w kompanii. Czy to ma się znaczyć »nacieraj«?

Marya. Żegnam was, panowie.

Sir Tobiasz. Jeśli ją tak puścisz, panie Jędrzeju, bodaję nigdy więcej szabli z pochwy nie wyciągnął!

Sir Andrzej. Jeśli cię tak puszczę, panienko, bodajem nigdy więcej szabli z pochwy nie wyciągnął! Piękna moja dziewczynko, czy myślisz, że dudków w rękę trzymasz?

Marya. Nie trzymam cię jeszcze w rękę, panie Jędrzeju.

Sir Andrzej. Lecz będziesz trzymała, to rzecz nietrudna; oto moja ręka.

Marya. Myśleć wolno, jak się podoba, panie Jędrzeju. Ra-dzę ci, włóż tę rękę w masłnicę, niech się napije.

Sir Andrzej. Dlaczego, kochaneczko? Co to za metafora?

Marya. Bo sucha, panie Jędrzeju ¹⁾.

Sir Andrzej. Tak myślę. Nie taki ze mnie osieł, żebym nie potrafił rąk trzymać sucho. Ale co żart ten znaczy?

Marya. Suchy żart, panie Jędrzeju.

Sir Andrzej. Czy masz ich więcej na rozkaz?

Marya. Mam ich teraz dostatkem na końcu palców, ale ledwo twoją puściłam rękę, wszystkie naraz uciekły.
(*Wychodzi*).

Sir Tobiasz. Panie Jędrzeju, trzeba ci wychylić szklenicę węgryna. Kiedyż cię tak powalonego widziałem?

Sir Andrzej. Nigdy jeszcze, jak myślę, chyba, że widziałeś, jak mnie węgryzn pod stół powalił. Zdaje mi się czasami, że nie mam więcej dowcipu, niż lada chrześcijanin, lub niż lada człowiek pospolity. Aleć bo ogromnie lubię wołowinę, i być może, że wołowina robi krzywdę mojemu dowcipowi.

Sir Tobiasz. Niema wątpliwości.

¹⁾ Może chce powiedzieć, że ręka pana Jędrzeja nie objawia zakochanego, bo znakiem romansowego temperamentu ma być wilgotna ręka.
Johnson.

Sir Andrzej. Gdybym tego był pewny, wyrzekłbym się wołowiny. Odjeżdżam jutro do domu, panie Tobiaszu.

Sir Tobiasz. *Pourquoi*, kochany panie Jędrzeju?

Sir Andrzej. Co znaczy się *pourquoi*? Czy znaczy się: zostań, czy znaczy się: odjeżdżaj? Jak żałuję, że nie poświęciłem językom czasu, który zmarnowałem na fechtach, tańcu i niedźwiedzich hecach! O, czemu nie oddałem się wyzwolonym naukom!

Sir Tobiasz. O, niezawodnie, miałbyś przepyszną czuprynę.

Sir Andrzej. Dlaczego? Czy to przydałoby się na co moim włosom?

Sir Tobiasz. Trudno wątpić; wszak widzisz, że naturalnie nie chcą się zwijać.

Sir Andrzej. Alboż tak jak są, nie są mi do twarzy?

Sir Tobiasz. I bardzo; wiszą, jak konopie na kądzieli. Spodziewam się, że jeszcze zobaczę, jak cię jaka prządka weźmie między nogi i wszystko wyprzędzie.

Sir Andrzej. Daję słowo, że jutro do domu wyruszam, panie Tobiaszu. Synowica twoja nie chce się na oczy pokazać, a choćby się i pokazała, założyłbym się cztery przeciw jednemu, że mnie nie zechce, boć sam hrabia tu w sąsiedztwie zamieszkały idzie do niej w konkury.

Sir Tobiasz. Ale ona nie chce hrabiego; nigdy nie weźmie ona za męża wyższego od siebie rodem, wiekiem lub dowcipem; słyszałem, jak na to przysięgła. Jest nadzieja.

Sir Andrzej. Więc miesiąc jeszcze zostanę. Dziwny jednak ze mnie człowiek; są czasy, w których szaleję za maskaradą i balem.

Sir Tobiasz. Czy możesz przydać się na co w tego rodzaju błazeństwach?

Sir Andrzej. W całej Illiryi nie znajdziesz mi równego, byleś nie szukał między lepszymi ode mnie; nie chcę się jednak porównywać ze starszymi.

Sir Tobiasz. A z twoim tańcem jak stoją rzeczy?

Sir Andrzej. Na uczciwość, mogę doskonale wywinąć kominka.

Sir Tobiasz. Ognisty, widzę, z ciebie człowiek.

Sir Andrzej. A zdaje mi się, że w prysiadach nie znajdziesz lepszego w Illiryi.

(Tańczy fantastycznie.)

Sir Tobiasz. Czemu kryjesz swoje talenta? Czemu swoje przymioty trzymasz pod zasłoną? Czy boisz się kurzu,

jak portret Maryi Rzezimieszek? ¹⁾). Czemu nie idziesz do kościoła mazurkiem, a nie wracasz krakowiakiem? Na twojem miejscu, moim zwyczajnym krokiem byłby kozak; nawetbym na trzy tempa wodę odlewał. Co ty myślisz, człowieku? Alboż to świat jest na to, żeby na nim cnoty ukrywać? Zawsze mi się zdawało, patrząc na formę twoich łydek, że się rodziłeś pod gwiazdą kozaka.

Sir Andrzej. Nie przeczę, że dobrze utoczone i niezgorzej wyglądają pod czerwoną pończochą. A gdybyśmy na przykład jaki kulig urządzili?

Sir Tobiasz. A cóż lepszego moglibyśmy zrobić? Wszak rodziliśmy się pod Bykiem.

Sir Andrzej. Pod Bykiem? Kto się rodził pod tą gwiazdą, silne ma boki i serce.

Sir Tobiasz. Nie, panie Jędrzeju, silne łydki i golenie. Zobaczymy twoje kominki. — Ha! wyżej! ha, ha! — Wybornie! *(Wychodzą.)*

SCENA IV.

Pokój w pałacu książęcym.

(Wchodzą Walentyn i Wiola w męskim ubiorze.)

Walentyn. Jeśli książę i nadal te same łaski dla ciebie zachowa, Cezaryo, śpieszny twój awans niewątpliwy. Ledwo trzy dni temu, jak cię poznał, a już dla niego obcym nie jesteś.

Wiola. Złe masz wyobrażenie albo o jego charakterze, albo o mojej gorliwości, jeśli wątpisz o trwałości jego łaskawych dla mnie względów. Czy książę zmienny jest w swoich uczuciach?

Walentyn. O nie, możesz mi wierzyć.

Wiola. Dzięk ci, panie. Lecz nadchodzi książę.

(Wchodzą Książę, Kuryo i dwór.)

Książę. Gdzie jest Cezaryo? Czy go z was kto widział?

Wiola. Jestem gotowy, książę, na twój rozkaz.

¹⁾ Mistress Mall Cutpurse (Pani Marya Rzezimieszek) była sławną w swoim czasie osobą. Była jednocześnie kurtyzana, rajfurką i złodziejką. Portret jej, zapewne trochę wątpliwej skromności, zwykle był zakryty pod pozorem, że pył mógłby go uszkodzić. *Charles Knight.*

Ksiązę. Odejdźcie, proszę, na stronę. Cezaryo,
Znane ci wszystkie moje tajemnice,
Boś w skrytej księdze duszy mojej czytał.
Idź teraz do niej, żądaj posłuchania,
A gdyby wrota przed tobą zamknięto,
Powiedz, że w ziemię u progę jej wrośniesz,
Jeśli nie wpuszczą cię do jej komnaty.

Wiola. Jeśli to prawda, że całą jej duszę
Tak czarny smutek kirem swym ostonił,
Daremne będą wszystkie me błaganie.

Ksiązę. Zgwałć raczej wszystkie wprzód grzeczności prawa,
Nim do pałacu bez skutku powrócisz.

Wiola. Przypuśćmy, ksiązę, że dokaze cudu,
Że stanę przed nią, co mam jej powiedzieć?

Ksiązę. Opisz jej całą uczuć mych gwałtowność,
Zadziw ją mojej miłości potęgą;
Ust młodych powieść o mojem cierpieniu
Łatwiejsze u niej znajdzie posłuchanie,
Niż zimne słowa dojrzałego posta.

Wiola. Nie myślę, ksiązę.

Ksiązę. Wierz mi, drogi chłopcze,
Bo ktoby pragnął mężem cię nazywać,
Tylkoby młode twe szkalował lata.
Twarz twoja gładka, usta koralowe,
Jak u Dyany; głos dźwięczny i srebrny,
Jakby z gardziołka dziewicy wybiegał,
I wszystko w tobie urok ma kobiecy:
Ty się rodziłeś na miłości posta.
Weź z sobą czterech lub pięciu mych ludzi,
Zabierz i wszystkich, bo tylko samotny
Jestem szczęśliwy. Niech ci Bóg poszczęści,
A całą pana twojego fortuna
Będziesz mógł wolno, tak jak ja, rozrządzać.

Wiola. Zrobię, co mogę, dla twojej miłości.
(*Na str.*) Poselstwu temu jak trudno mi sprostać,
Gdy sama pragnę żoną jego zostać!
(*Wychodzą.*)

SCENA V.

Pokój w domu Oliwii.

(*Wchodzi Marya i Pajac.*)

Marya. Albo mi powiedz, gdzie byłeś, albo na twoją
obronę nie otworzę ust, choćby na szerokość włoska.
Moja pani każe cię powiesić za twoją nieobecność.

Pajac. Niech mnie powiesi. Kto raz dobrze powieszony
na tym świecie, nie potrzebuje zwiąć chorągiewki.

Marya. Dowiedz mi tego.

Pajac. Bo niczego się już nie boi.

Marya. Dobra postna odpowiedź. Czy chcesz, żebym ci
powiedziała, skąd poszło przysłowie: nie potrzebuje
zwiąć chorągiewki?

Pajac. Skąd, dobra panno Maryanno?

Marya. Z wojny; możesz to twierdzić bez obawy w two-
ich błazeństwach.

Pajac. Niech i tak będzie. Daj Boże mądrość tym, którzy
ją mają, a głuptasy niech własnym posługują się ta-
lentem.

Marya. Będziesz z tem wszystkiem wisiął za tak długą
nieobecność, a przynajmniej dostaniesz odprawę; a od-
prawa czy dla ciebie nie to samo, co szubienica?

Pajac. Niejedno dobre powieszenie salwuje od złego mał-
żeństwa, a co do odprawy, zaradzi temu lato.

Marya. Jesteś więc na wszystko zdecydowany?

Pajac. Uchowaj Boże! Wszystkie moje nadzieje na dwóch
trzymają się haftkach.

Marya. Tak, że jeśli jedna się urwie, druga będzie trzy-
mać, a jeśli się urwą obie, to i szarawary opadną.

Pajac. Dobrze, na uczciwość, bardzo dobrze! Wybornie!
Idź tą samą drogą dalej! Gdyby pan Tobiasz szklenicy
się wyrzekł, nie byłoby w całej Illiryi dowcipniejszej
od ciebie córki Ewy.

Marya. Cicho, hultaju! Ani słowa o tem więcej. Zbliża
się moja pani, wyttómacz się przed nią roztropnie;
usłuchaj mojej rady.
(*Wychodzi. Wchodzi Oliwia i Matwolio.*)

Pajac. Dowcipie, natchnij mnie, jeśli łaska, jakim szczę-
śliwym błazeństwem! Ludzie, którym się zdaje, że cię
posiadają, wystrychają się nieraz na błaznów, ja przeto

który jestem pewny, że cię nie mam, mogę za mądrego uchodzić; bo cóż powiada Quinapalus? »Lepszy dowcipny błazen, niż błażniwy dowcipniś«. — Bóg z tobą, pani!

Oliwia. Wyprowadźcie stąd błazna.

Pajac. Czy nie słyszycie, nicponie? Wyprowadźcie panią.

Oliwia, Precz mi z oczu! suchy z ciebie błazen; nie chcę cię trzymać dłużej; prócz tego zaczynasz być nieuczciwym.

Pajac. Dwie wady, które trunek i dobra rada naprawią, bo dodaj suchemu błaznowi trunku, a błazen suchym być przestanie; kaź się nieuczciwemu naprawić, a byle się naprawił, przestanie być nieuczciwym. Jeśli nie może się naprawić, daj go jakiemu partaczowi, niech go załata, bo wszystko, co naprawione, jest tylko załatane: cnota przekraczająca łataną, jest grzechem, a grzech naprawiony łataną, jest cnotą. Jeśli prosty ten sylogizm przyda się na co, tem lepiej; jeśli nie, jakie na to lekarstwo? Jak niema prawdziwego rogała, tylko nieszcześnie, tak piękność jest tylko kwiatem. Pani kazała wyprowadzić stąd błazna, więc powtarzam: wyprowadźcie stąd panią.

Oliwia. Mopanku, kazałam im ciebie stąd wyprowadzić.

Pajac. Omyłka pierwszego stopnia! Pani, *cucullus non facit monachum*, co się znaczy: mózg mój pstrokacizny nie nosi. Dobra madonno, pozwól mi, żebym ci dowiódł, że ty moje zajęłaś miejsce.

Oliwia. Czy potrafisz?

Pajac. Bardzo łatwo, dobra madonno.

Oliwia. Słucham.

Pajac. Muszę cię więc katechizować, madonno. Dobra moja myszko cnoty, odpowiadaj.

Oliwia. Chętnie; nie mam nic lepszego do roboty, słucham twoich dowodów.

Pajac. Dobra madonno, po kim ta żałoba?

Oliwia. Po moim bracie, dobry błazenuku.

Pajac. Więc przypuszczam, że dusza jego w piekle, madonno.

Oliwia. Jestem pewna, że dusza jego w niebie, błazenuku.

Pajac. Tem większe błazeństwo, madonno, nosić żałobę po bracie, którego dusza jest w niebie. — Wyprowadźcie błazna, panowie.

Oliwia. Co myślisz o tym błaznie, Malwolio, czy nie robi postępów?

Malwolio. I będzie je robił, póki na niego śmiertelne poty nie uderzą: niemoc wieku, która mądrymu odbiera rozum, ulepsza dowcip błazna.

Pajac. Niechże ci Bóg, dobry panie, ześle co prędzej niemoc starości na powiększenie twego błazeństwa! Pan Tobiasz przysięgnie bez wahania, że nie jestem lisem, ale się nie założy o dwa grosze, że ty, panie, nie jesteś błaznem.

Oliwia. Co ty na to, Malwolio?

Malwolio. Dziwię się, pani, że cię tak jałowy hultaj może bawić. Byłem niedawno świadkiem, jak mu w głowę zabił człowieka błazen, który nie więcej miał mózgu od kamienia. Patrz tylko, już się zaczyna mącić, i gdybyś mu śmiechem nie dodawała okazji, zakneblowaną miałby gębę. Przysięgam, że mądrzy ludzie, których tak zachwycają słowa podobnego rodzaju błaznów, nie są w mych oczach niczem lepszem, niż błaznów błaznami.

Oliwia. Chorujesz na miłość własną, Malwolio, i chorem smakujesz podniebieniem. Szlachetny, niewinny i spokojny umysł bierze za bżowe gałki, co tobie się wydaje armatnią kulą. Niema oszczerstwa w słowach uprzywilejowanego błazna, choćby się ciągle natrząsał, jak niema natrząsał w słowach roztropnego człowieka, chociażby ciągle ganił.

Pajac. Niech cię Merkury kłamać nauczy, skoro tak dobrze mówisz o błaznach! (*Wchodzi Marya*).

Marya. Jest, pani, u bramy młody szlachcic, który bardzo pragnie z tobą mówić.

Oliwia. Czy nie od hrabiego Orsyno?

Marya. Nie wiem, pani. Piękny to młokos i w pięknym orszaku.

Oliwia. Który z moich ludzi u wrót go zatrzymał?

Marya. Sir Tobiasz, pani, twój krewny.

Oliwia. Oddal go, proszę cię, bo plecie jak na mękach; aż wstyd mi za niego. (*Wychodzi Marya*). Idź, Malwolio, i zobacz. Jeśli to poselstwo od hrabiego, powiedz, że jestem chora, lub że mnie niema w domu, lub co ci się podoba, byle go odprawić. (*Wychodzi Malwolio*). Przekonałeś się teraz, że twoje błazeństwa starzejają się i nie przypadają już ludziom do smaku.

Pajac. Mówiłaś o nas, pani, jakby twój syn najstarszy miał

zostać błaznem; niech mu więc Jowisz czaszkę mózgiem wypełni! Widzę, że zbliża się jeden z twoich krewnych, którego *pia mater* opłakanej jest słabości.
(*Wchodzi Sir Tobiasz Czkawka*).

Oliwia. Na honor, napóć pijany. — Kto tam u bramy, kuzynie?

Sir Tobiasz. Szlachcic.

Oliwia. Szlachcic? Co za szlachcic?

Sir Tobiasz. Szlachcic, który — a niech czart weźmie te przekłętę śledzie marynowane! — A, to ty, błazenuku...

Pajac. Dobry panie Tobiaszu...

Oliwia. Kuzynie, kuzynie, jak mogłeś tak rano głowę sobie zaproszyć?

Sir Tobiasz. Co się zaproszyło, to się wyprószy. Ale jest ktoś u bramy.

Oliwia. Wiem o tem; ale kto taki?

Sir Tobiasz. Niech będzie sam dyabeł, jeśli taka jego wola, drwię z niego, daję słowo; wszystko mi to jedno.
(*Wychodzi*).

Oliwia. Do kogo najpodobniejszy pijany człowiek, błazenuku?

Pajac. Do topielca, pajaca i waryata. Jeden łyk za wiele robi z niego pajaca, drugi waryata, a trzeci topielca.

Oliwia. Idź więc po koronera, niech zobaczy mojego kuzyna, bo jest w trzecim stopniu pijactwa, utonął. Idź i miej na niego oko.

Pajac. Dopiero owaryował, madonno; pajac będzie pilnował waryata. (*Wychodzi. Wchodzi Malwolio*).

Malwolio. Młody ten panicz przysięga, pani, że gwałtem chce z tobą mówić. Powiedziałem mu, że jesteś chora; odrzekł, że wie o tem dobrze i dlatego przychodzi z tobą mówić. Powiedziałem mu, że śpisz; zdaje się, że i to nie było dla niego nowiną, bo odpowiedział, że dlatego właśnie mówić z tobą przychodzi. Co mam mu teraz powiedzieć, pani? bo zdaje się, że jest zbrojny przeciw wszelkiej odprawie.

Oliwia. Powiedz, że mówić z nim nie chcę.

Malwolio. Już mu to powiedziałem, ale on oświadcza, że będzie stał przy twoich wrotach jak słup szeryfa, wkopany jak noga ławy, bo chce i musi z tobą mówić.

Oliwia. Co to za człowiek?

Malwolio. Ot sobie człowiek!

Oliwia. A jego manieri?

Malwolio. Bardzo złe manieri, bo, chcesz czy nie chcesz, chce z tobą mówić.

Oliwia. Jaka jego postać? jego wiek?

Malwolio. Za młody na męża, za stary na chłopca, jak strączek, nim zostanie strąkiem, jak jabłuszko, nim zostanie jabłkiem; na rozstajnej drodze między chłopcem a mężem. Piękną ma minę i mówi rezolutnie; powiedziała by kto, że ma jeszcze mleko matki na wargach.

Oliwia. Przeprowadź go, ale zawołaj wprzódy moją garderobianę.

Malwolio. Garderobiano, pani cię woła.

(*Wychodzi. Wchodzi Marya*).

Oliwia. Daj mi zasłonę; rzuć mi ją na głowę:

Raz jeszcze słucham poselstwa Orsyna.

(*Wchodzi Wiola*).

Wiola. Gdzie dostojna pani domu?

Oliwia. Mów do mnie, odpowiem za nią. Czego żądasz?

Wiola. Najpromienistsza, najdoskonalsza, nieporównana piękności, powiedz mi, proszę, czy jesteś panią tego domu, bo nie widziałem jej nigdy, a nie chciałbym zmarnować mojej oracyi, bo doskonale napisana, a nie mała kosztowało mnie pracy nauczenie się jej na pamięć. Dobrze, piękne panie, nie szycie tylko ze mnie, bo na lada szyderstwo nadzwyczaj jestem czuły.

Oliwia. Skąd przychodzisz, młody panie?

Wiola. Niewiele więcej mogę powiedzieć, niż to, czego się nauczyłem, a pytanie twoje, pani, nie należy do mojej roli. Dobra, uprzejma damo, daj mi uczciwe zapewnienie, że jesteś panią tego domu, abym ci mógł moją oracyę wydeklamować.

Oliwia. Czy jesteś komedyantem?

Wiola. Nie, moje serduszko, a jednak przysięgam na szpony złośliwości, że nie jestem, za co uchodzę. Czy jesteś panią tego domu?

Oliwia. Jestem, jeśli nie uzurpuję sama siebie.

Wiola. Jeśli nią jesteś, to bez żadnej wątpliwości uzurpujesz sama siebie, bo co jest twoje do dania, nie jest twoje do zatrzymania. Ale to nie należy do mojego zlecenia. Zaczynam więc mowę od twoich pochwał, a skończę wyłożeniem treści mojego poselstwa.

Oliwia. Zacznij od treści; uwalniam cię od pochwał.

Wiola. Ach, pani, tyłem sobie zadał pracy, aby się na pamięć nauczyć! a przytem, poetyczny to kawałek.

Oliwia. A więc tem fałszywszy; proszę cię, zachowaj go dla siebie. Mówiono mi, że się pokazałeś krnąbrnie przy bramie, a kazałam cię wpuścić raczej, żeby moją ciekawość zaspokoić, niż żeby cię słuchać. Jeśliś tylko szalony, odejdz z Bogiem; jeśli jesteś przy zmysłach, tłómacz się krótko, bo to nie kwadra, w którejbym się chciała mieszać do szalonego dyalogu.

Marya. Jeśli łaska rozwinąć żagle, tędy droga.

Wiola. Nie, dobry majtku, zamierzam trochę dłużej zostać w tej przystani. Udobruchaj troszkę twojego wielkocuda, słodka pani.

Oliwia. Powiedz, czego żądasz?

Wiola. Jestem postem.

Oliwia. To masz jakieś straszne poselstwo do powiedzenia, skoro tak trwożliwie poczynasz. Powiedz, co przynosisz?

Wiola. Co przynoszę, dla twojego tylko przeznaczone jest ucha. Nie przychodzę wypowiadać wojny, ani wymagać hołdu; noszę oliwną różdżkę w ręku; słowa moje tak pełne pokoju jak treści.

Oliwia. Zaczęłeś jednak cierpko. Kto jesteś? Czego żądasz?

Wiola. Cierpkości, którą pokazałem, nauczyło mnie znalezione przyjęcie. Kto jestem i czego żądam, to tajemnica jak miłość dziewicy, to dla twoich uszu świętością, ale dla wszystkich innych profanacją.

Oliwia. Zostaw nas samych; ciekawam tej świętości. (*Wychodzi Marya*). Powiedz mi teraz, jaki jest tekst twojego kazania?

Wiola. Najśłodsza pani...

Oliwia. Pocięszająca nauka i wiele można o niej powiedzieć. Gdzie tekst twój stoi?

Wiola. W Orsyna sercu.

Oliwia. W jego sercu? A w którym rozdziale jego serca?

Wiola. Aby odpowiedzieć metodycznie, w rozdziale pierwszym jego serca.

Oliwia. Ten rozdział dawno już czytałam, — to kacerstwo. Czy nie masz nic więcej do powiedzenia?

Wiola. Dobra pani, pozwól mi twarz twoją zobaczyć.

Oliwia. Czy masz jakie zlecenia od twojego pana do mojej twarzy? Odstępujesz teraz od tekstu. Odsunę jednak zasłonę i pokażę ci portret. (*Podnosi na chwilę i spuszcza zasłonę*). Przypatrz się, paniczku; taką byłam przed chwilą; czy portret dobrze zrobiony?

Wiola. Cudownie, jeśli zrobiony Bożą ręką.

Oliwia. Rdzenisty; wytrzyma wiatry i burze.

Wiola. Ręka natury słodka i uczona,

Mleko z różami wdzięcznie ożeniła:

Najokrutniejszą z wszystkich będziesz dziewic,

Jeśli do grobu piękność tę poniesiesz,

A żadnej kopii świata nie zostawisz.

Oliwia. O, mój paniczku, nie będę miała tak twardego serca. Porozdzielam moje piękności, ułożę dokładny ich inwentarz i testamentem każdą cząstkę legataryuszom przekażę, jak naprzykład: item dwoje ust z lichego koralu; item dwoje siwych oczu z powiekami; item jedna szyja, jeden podbródek, i tam dalej. Czy cię tu przysłano, aby mnie oszacować?

Wiola. Widzę, kto jesteś; nazbyt jesteś dumną,

Lecz jesteś piękną, choćbyś dyabłem była.

Mój pan cię kocha, miłość jest namiętna,

Nagrody godna, choćby twoją postać

Nieporównana piękność uwieńczyła.

Oliwia. Jakże mnie kocha?

Wiola. Jak kochamy bóstwo;

Miłość jak piorun w jego grzmi westchnieniach,

Jak błyskawica, w jego oczach świeci.

Oliwia. Pan twój wie dobrze, kochać go nie mogę,

Choćby przypuszczam, że ma wszystkie cnoty,

Choć wiem, że młody, że wielkiego rodu,

Szczodry, zamożny, nieposzlakowany,

Mądry, waleczny, między ludźmi słynny,

Że obdarzony wdziękiem i urodą;

Wiem to, — a jednak kochać go nie mogę:

Nie raz mu pierwszy daję tę odpowiedź.

Wiola. Gdybym cię kochał ogniem mego pana,

Tak jak on cierpiał, tak jak on umierał,

W twoich wyrazach myślałbym nie znalazł,

Twojej odmowie nie chciałbym uwierzyć.

Oliwia. Więc cóżbyś zrobił?

Wiola. U wrót twoich, pani,

Zlepiłbym chatę z wierzbowych gałązek,

A duszę moją w tym zamknąłbym domu,

Pieśń o wzgardzonej pisałbym miłości,

Potem żałośnie nucił ją wśród nocy,

Twojebym imię bez końca powtarzał,

Żeby je góry echem odbijały,

Żeby powietrze nawet gadaliwe
Szemrało ze mną: Oliwio! Oliwio!
Śród dwóch żywiołów, ziemi i powietrza,
Jednejbym chwili pokoju ci nie dał,
Pókiabyś dla mnie litości nie czuła.

Oliwia. A mógłbyś wiele. — Jaki ród twój? powiedz.

Wiola. Nad mą fortunę: biedny, lecz uczciwy —
Jestem szlachcicem.

Oliwia. Wróć do twego pana,
Powiedz, że nigdy kochać go nie będę,
Niech darmo nowych poselstw nie wyprawia,
Chyba, że jeszcze raz jeden tu wrócisz,
Aby mi donieść, jak odpowiedź przyjął.
Bądź zdrow; za trudy przyjmij ten podarek.

Wiola. Nie jestem, pani, płatnym jurgielnikiem;
Zatrzymaj kieskę; nie ja, piękna pani,
Lecz pan mój dobry na nagrodę czeka.
Niech miłość w kamień zmieni tego serce,
Którego kiedyś pokochasz; twój ogień
Niech on z tą samą przyjmuje pogardą,
Z jaką ty mego przyjmujesz dziś pana.
Żegnaj mi, piękna, z głazu uciosana!

(*Wychodzi*).

Oliwia. »Jaki ród twój? powiedz.«
»Nad mą fortunę: biedny, lecz uczciwy —
Jestem szlachcicem.« O, jesteś, przysięgam!
Twarz twoja, postać, język, ruchy, dowcip,
Pięćkroć herbowym zdobiją cię klejnotem. —
Lecz nie tak prędko — powoli — powoli!
Ach, gdyby sługa w pana się przemienił! —
Także jest łatwo dżumą się zarazić?
Czuje, jak jego cała doskonałość,
Niby subtelny duch i niewidzialny,
Przez moje oczy wkrada się do duszy.
Niech i tak będzie. — Malwolio, Malwolio!
(*Wchodzi Malwolio*).

Malwolio. Przybiegam, pani; czekam na rozkazy.

Oliwia. Goń mi bez zwłoki za hrabi posłańcem,
I ten pierścionek, który tu zostawił,
Mimo mej woli, oddaj mu natychmiast.
Powiedz, niech swemu panu nie pochlebia,
Niech go daremną nie łudzi nadzieją,
Niechaj mu powie, żem nie jest dla niego.

Jeżeli młodzik chce jutro tu wrócić,
Wszystkie mu tego wyłożę przyczyny.
Idź, idź, Malwolio.

Malwolio. Nie stracę i chwili.
(*Wychodzi*).

Oliwia. Nie wiem, co robić, lecz odkryć się boję,
Że moje oczy serce zwodzą moje.
Z ludzkich się planów przeznaczenie śmieje:
Niech się i ze mną, jak chcą losy, dzieje!
(*Wychodzi*).

AKT DRUGI.

SCENA I.

Wybrzeże morskie.

(*Wchodzą Antonio i Sebastyan*).

Antonio. I dłużej tu zostać nie chcesz i nie chcesz, żebym
ci towarzyszył?

Sebastyan. Przebac, jeśli ci odmawiam, ale gwiazdy moje
świecą ciemno, złe moje przeznaczenie i ciebie mo-
głoby dotknąć. Pozwól więc, abym sam nieszczęścia
moje znosił. Żlebym ci zapłacił twoją miłość, gdybym
zwałił ich część na ciebie.

Antonio. Powiedz mi przynajmniej, gdzie udać się zamie-
rzasz?

Sebastyan. Nie, nie, nie mogę. Podróż, którą przedsię-
biorę, jest szalonym wybrykiem. Ale gdy widzę w to-
bie tyle dyskrecyi, że nigdy nie zechcesz wyrwać gwał-
tem, co chciałyby w tajemnicy zachować, tem jestem
pochopniejszy do wyjawienia ci wszystkiego. Wiedz
przeto, Antonio, że imię moje jest Sebastyan a nie
Roderigo. Moim ojcem był ów sławny Sebastyan z Me-
teliny, o którym, wiem, że słyszałeś. Umierając, zosta-
wił nas dwoje, mnie i siostrę, urodzonych w jednej
godzinie. Ach, czemuż niebo nie było dosyć łaskawe,
abyśmy w jednej także godzinie umarli! Ale ty, panie,
przeszkodziłeś temu; godziną pierwej, nim mnie z mor-
skiej przepaści wyrwałeś, moja siostra utonęła.

Antonio. Niestety! co za dzień oplotany!

Sebastyan. Choć, jak powiadają, bardzo podobna była do mnie, uchodziła za piękną. Ale jeżeli pod tym względem nie mógłbym bez zrozumiałości zdania mojego objawić, to przynajmniej to mogę śmiało przed światem ogłosić, że duszę jej zazdrość nawet sama musiałaby nazwać piękną. Ale utonęła w słonych falach, a ja zdaję się pamięć jej topić w potoku moich łez słonych.

Antonio. Przebacz mi moją lichą gościnność.

Sebastyan. A ty, dobry Antonio, przebacz mi wszystkie kłopoty, których cię nabawiłem.

Antonio. Jeśli nie chcesz mnie zamordować za moją miłość, pozwól mi twoim być sługą.

Sebastyan. Jeśli nie chcesz odrobić tego, co zrobiłeś, to jest zabić tego, którego uratowałeś, nie żądaj tego ode mnie. Bądź zdrow, Antonio! Serce moje przepętnione jest uczuciem, a jeszcze tak wiele mam tkliwości mojej matki, że jeszcze jedno słowo więcej, a moje oczy wszystko wypowiedzą. Zamiarem jest moim udać się na dwór hrabiego Orsyno. Bądź zdrow! (*Wychodzi*).

Antonio. Niechaj ci bogów łaska towarzyszy!

Mam nieprzyjaciół na książęcym dworze,

Inaczej wnetbym spotkał się tam z tobą.

Niech co chce będzie; dla twojej przyjaźni

Wszędzie pobiegnę, śmiejąc się z bojaźni.

(*Wychodzi*).

SCENA II.

Ulica.

(*Wchodzi Wiola, za nią Malwolio*).

Malwolio. Czy nie byłeś przed chwilą z hrabiną Oliwią?

Wiola. Zgadłeś, panie; idąc powoli, od czasu jak ją opuściłem, tu zaszedłem.

Malwolio. Odsyła ci ten pierścionek. Mógłbyś mi był oszczędzić fatygi, mój panie, gdybyś go sam był zabrał. Dodaje do tego hrabina, żebyś twojemu panu dał stanowcze zapewnienie, że go nie chce. Uprzedza cię nakoniec, żebyś się więcej nie ważył przychodzić w jego sprawie, chyba że stawisz się, aby donieść, jak pan twój przyjął ostatnią jej odpowiedź. A teraz odbierz pierścionek.

Wiola. Przyjęła go ode mnie, nie myślę go odbierać.

Malwolio. Słuchaj, paniczku, rzucisz go jej ze złością, a jej jest życzeniem, aby ci był zwrócony. Jeśli wart jest schylenia, masz go pod nogami; jeśli nie wart, niech będzie własnością tego, który go znajdzie.

(*Wychodzi*).

Wiola. Cóż to? Ja przecież nie dałam pierścienia.

Ach, czy ją postać ma oczarowała?

Bo tak wlepiła we mnie swe zreniece,

Że, zda się, język w ustach jej zbezwładniał!

Słowa jej były przerywane, ciemne.

Ona mnie kocha, a chytra namiętność

Przez tego gburę daje mi wezwanie.

Nie chce pierścionka od mojego pana!

On go jej nie dał. — Ha! ona mnie kocha;

A jeśli tak jest, zrobiłaby lepiej,

Gdyby we własnym śnie się zakochała.

Zbyt późno widzę, przebranie jest grzechem,

Z którego ludzki wróg ciągnie korzyści:

Bo jakże łatwo pięknej jest obłudzie

W woskowym sercu kobiet piętno wybić!

To wina naszej słabości, nie nasza:

Jesteśmy takie, jak nas Pan Bóg stworzył.

Jak się to skończy? Mój pan tak ją kocha,

Jak ja, szalona, kocham go szalenie;

Ona, w obłudzie, za mną zda się szaleć.

Co stąd wypadnie? Kiedy jestem mężem,

Z mojego pana żegniam się miłością;

Kiedym kobietą, o, biedna Oliwio,

Jak bezowocne twoje są westchnienia!

Czas niech wypadków rozwikła bieg smutny,

Bo dla mnie węzeł to za bałamutny.

(*Wychodzi*).

SCENA III.

Pokój w domu Oliwii.

(*Wchodzi Sir Tobiasz Czkwarka i Sir Andrzej Chudołębski*).

Sir Tobiasz. Zbliż się, panie Jędrzeju. Kto nie w łóżku po północy, ten wstał rano, *diluculo surgere* — wiesz resztę.

- Sir Andrzej.** Nie, na uczciwość, nie wiem, ale wiem, że kto późno spać się kładzie, ten późno spać się kładzie.
- Sir Tobiasz.** Fałszywa konkluzya, i brzydę się nią, jak próżnym kuflem. Kto czuwa do północy, a po północy spać się kładzie, to ranny jest ptaszek, stąd wnoszę, że kłaść się spać po północy, jest to kłaść się spać wcześniej. Czy życie nasze nie składa się z czterech żywiołów?
- Sir Andrzej.** Tak powiadają. Mnie się jednak zdaje, że życie składa się raczej z jedzenia i picia.
- Sir Tobiasz.** Mądra z ciebie sztuka; jedzmy więc i pijmy. Marysiu, hej tam! przynieś nam garniec wina.
(*Wchodzi Pajac.*)
- Sir Andrzej.** To błazen, na uczciwość.
- Pajac.** Co tam nowego, serduszka? Czy nie widzieliście jeszcze obrazu: Trzech nas teraz? ¹⁾
- Sir Tobiasz.** Witaj, osielku! — A teraz zaśpiewaj nam jaką piosneckę.
- Sir Andrzej.** Na uczciwość, błazen ten doskonałe ma gardziółko. Wolałbym raczej jego mieć łydki i jego wdzięczny głoszek, niż czterdzieści złotych w kieszeni. Daję słowo, że ostatniej nocy przednią miałeś wenę błazeństwa, kiedy nam opowiadałeś o Pigrogromitusie, o Wapianach, jak przebywali równonocną linię Kwibusu. Doskonała to była historia, na honor, posłałem ci też półzłotka dla twojej kochanki; czy go odebrałeś?
- Pajac.** Wścibiłem pańską gratyfikację do kieszeni, bo nos Malwolia to nie biczyisko; moja pani białą ma rękę, a Mirmidony to nie szynkwasy.
- Sir Andrzej.** Wybornie! wybornie! najlepsze błazeństwo na końcu. A teraz zaśpiewaj nam jaką piosneckę.
- Sir Tobiasz.** Dalej, masz półzłotka, śpiewaj tylko!
- Sir Andrzej.** Z mojej strony dodaję trojaka; gdy jeden rycerz daje...
- Pajac.** Czy chcecie pieśń miłosną, czy wolicie pieśń moralną?
- Sir Tobiasz.** Miłosną, miłosną!

¹⁾ Za czasów Elżbiety niejedna gospoda miała za szyld dwa osły, a na dale napis: »Jest nas trzech teraz«. Biedny podróżny, który na swoje nieszczęście chciał się przyjrzeć obrazowi, dawał gościom przedmiot »rozmowy na chwilę, śmiechu na miesiąc, a dobry żart na zawsze«. C. Knight.

- Sir Andrzej.** Miłosną, ani kwestyi. A mnie co po moralności?
- Pajac** (*śpiewa*). Czemu uciekasz, kochanko droga?
To twój kochanek; stój, stój, przez Boga!
Z sercem i pieśnią on leci.
Wszak tam podróży miłosnej szranki,
Gdzie swej kochanek dobiegł kochanki,
To wiedzą starce i dzieci.
- Sir Andrzej.** Przewybornie! na honor.
- Sir Tobiasz.** Dobrze, bardzo dobrze!
- Pajac** (*śpiewa*). Miłość, o droga, jutra nie czeka,
Bo śmiech i radość dzisiaj ucieka,
Kto wie, co jutro urodzi.
Kto wciąż ucieka, umiera z głodu,
Więc daj mi, droga, ust twoich miodu,
Bo młodość jak kwiat przechodzi.
- Sir Andrzej.** Głos miódopłynny, jakim szlachcie.
- Sir Tobiasz.** Zараźliwy oddech.
- Sir Andrzej.** Słodki i zaraźliwy, na honor.
- Sir Tobiasz.** Słyszeć nosem, to słodycz zarażająca. Ale czy mamy trąbić, dopóki niebo nie zacznie się kołem obracać? Czy mamy obudzić puszczyka piosenką zdolną wyrwać trzy dusze z jednego tkacza? Powiedzcie.
- Sir Andrzej.** Śpiewajmy, o, proszę, śpiewajmy! Gdzie chodzi o śpiewanie, jestem jak kundel ciekawy.
- Pajac.** Są też między kundlami śpiewaki.
- Sir Andrzej.** Niewątpliwie. Zaśpiewajmy »Ty hultaju!«
- Pajac.** »Siedz mi cicho, ty hultaju!« rycerzu? To będę musiał, mój panie, w piosneckce hultajem cię nazwać.
- Sir Andrzej.** Nie po raz pierwszy zdarzy mi się zmusić kogo do nazwania mnie hultajem. Zaczekaj, błazenku; pierwsze słowa są »Siedz mi cicho!«.
- Pajac.** Jeśli mam siedzieć cicho, trudno, żebym zaczął.
- Sir Andrzej.** Przewybornie, na uczciwość! Ale zaczynaj.
(*Śpiewają chórem. Wchodzi Marya.*)
- Marya.** Cóż to za wycie, panowie? Niech zgine, jeśli moja pani nie posłała po intendenta Malwolia i nie kazała mu z domu was wygonić.
- Sir Tobiasz.** Twoja pani to czysta Chińczyczka, a my jesteśmy ludzie polityczni. Malwolio to kapcan. »My trzej zuchy, my trzej chwaty!« Alboż nie jestem jej przyrodnim? Alboż nie z jednej krwi pochodzimy? Tere fere, moja pani!

(*Śpiewa*). Mieszkał człowiek w Babilonie,
Moja pani!

Pajac. Bodajem przepadł, jeśli pan Tobiasz nie dobrze
błaznuje.

Sir Andrzej. Niezgorzej, kiedy jest w dobrym humorze;
ale i ja także, byłem był przy wenie; jego błazeństw
więcej mają wdzięku, lecz moje są naturalniejsze.

Sir Tobiasz (*Śpiewa*). Dwunastego grudnia rano...

Marya. Przez Boga! panowie, skoficzcie!

(*Wchodzi Malwolio*).

Malwolio. Panowie, czyście powarywali? Co wam się
zrobiło? Gdzieście podzieli rozum, maniery i uczciwość?
Czy się nie wstydzicie wrzeszczeć jak kotlarze o tak
późnej godzinie? Czy bierzecie dom mojej pani za
szynkownię, że wrzeszczycie szewskie piosenki, jakby
was ze skóry odzierano? Czy nie macie żadnego
względu na miejsce, osoby, czas i na was samych?

Sir Tobiasz. Kto ci powiedział, że na czas nie mamy
względu? Czy nie zachowaliśmy *tempo*? Na szubienicę!

Malwolio. Panie Tobiaszu, muszę się z tobą rozmówić bez
obwijania w bawełnę. Pani moja dała mi zlecenie, aby
ci powiedzieć, że choć cię w swoim domu podejmuje
jak swego krewnego, nie ma powinowactwa z twoim
nierządem. Jeśli możesz się rozstać z hulatyką, dom
jej zawsze dla ciebie otwarty; w przeciwnym razie,
gdymy ci się pożegnać ją spodobało, chętnie poda ci
rękę na pożegnanie.

Sir Tobiasz (*Śpiewa*). »A kiedy odjeżdżasz, bywaj zdrów!«

Malwolio. Ależ, panie Tobiaszu...

Pajac (*Śpiewa*). »A o naszej przyjaźni dobrze mów«.

Malwolio. Czy doprawdy?

Sir Tobiasz (*Śpiewa*). »Ale nic mnie nie zabije«.

Pajac. To kłamstwo, panie Tobiaszu.

Malwolio. Słowa te robią ci zaszczyt.

Sir Tobiasz (*Śpiewa*). »Mamże wygnąć go do kata?«

Pajac (*Śpiewa*). »Niewielka to będzie strata«.

Sir Tobiasz (*Śpiewa*). »Mamże z domu go wypędzić, bez
litości, panie?«

Pajac (*Śpiewa*). »Nigdy, nigdy na czyn taki serca ci nie
stanie«.

Sir Tobiasz. Na czas nie mamy wzglądu? Kłamiesz bez-
czelnie, mości panie. Alboż jesteś czem więcej, jak

intendentem? Czy myślisz, iż dlatego, że jesteś cnotliwy,
nie będzie już na ziemi kołaczy i piwa?

Pajac. Nigdy ich nie braknie, klnę się na świętą Annę!
I imbier będzie zawsze palił podniebienie.

Sir Tobiasz. Masz w tem rację. Ruszaj, mości panie! Szoruj
twój łańcuch osrodkiem!). Hej, Marysiu, kufel wina!

Malwolio. Panno Maryanno, jeśli łaskę twej pani nad
gniew jej przenosisz, nie pomagaj im do przedłużenia
tej grubiańskiej zabawy. Opowiem jej wszystko, na tę
rękę! (*Wychodzi*).

Marya. Idź, a otrząśnij sobie uszy.

Sir Andrzej. Byłoby tak dobrym uczynkiem, jak pić, kiedy
człowiek jest głodny, wyzwać go na pojedynek, a po-
tem na placu nie stanać, żeby go wystrychnąć na błazna.

Sir Tobiasz. Zrób tak, panie Jędrzeju, napiszę ci wyzwanie,
albo mu ustnie twoje oburzenie wypowiem.

Marya. Słodki panie Tobiaszu, miej jeszcze przez noc tę
cierpliwość. Od czasu, jak młody paż hrabięgo miał
z moją panią rozmowę, dziwny ją ogarnął niepokój.
Co do musye Malwolio, zostaw mi go, proszę. Jeśli
go tak w pole nie wyprowadzę, że będzie pośmiewi-
skiem całego świata, powiedz, że nie mam dość sprytu,
żeby się w łóżku wyciągnąć. Wiem, że to mogę zrobić.

Sir Tobiasz. Przypuść nas do tajemnicy; przypuść nas do
tajemnicy; opowiedz nam co o tym paniczu.

Marya. Otóż zakrawa czasem na purytanina.

Sir Andrzej. Gdybym był o tem wiedział, jak psabym go
wychłostał.

Sir Tobiasz. Za co? Za to, że jest purytaninem? Powiedz
mi twoje wyśmienite powody, panie Jędrzeju.

Sir Andrzej. Nie mam wyśmienitych powodów, ale mam
dość dobre powody.

Marya. Czy przekłety z niego purytanin, czy co innego,
wiem, że nudna z niego sztuka, nadęty osieć, który
roztrząsa sprawy stanu bez książki i z wielką uroczy-
stością wyroki swoje ogłasza. Tak wysokie ma o sobie
rozumienie, zdaje mu się, że tak jest nadziany wszel-
kiego rodzaju doskonałościami, iż najsilniej wierzy, że
kto na niego spojrzy, zakochać się w nim musi. Na
tej jego wadzie ugruntuję moją zemstę.

) Oznaką godności intendenta był łańcuch pozłacany, a zdaniem
Stevensa osrodek chleba czyścił najlepiej pozłacane rzeczy.

Sir Tobiasz. Co myślisz zrobić?

Marya. Podrzucę mu ciemny list miłosny, w którym po kolorze swojej brody, po kształcie nogi, ruchu ciała, wyrazie oka, po formie czoła i cerze, musi własny swój portret rozpoznać. Umiem naśladować rękę mojej pani, twojej synowicy, tak, że częstokroć o zapomnianym przedmiocie nie możemy naszych pism rozpoznać.

Sir Tobiasz. Przewybornie! Zwąchałem resztę.

Sir Andrzej. I ja też nosem ją czuję.

Sir Tobiasz. Z podrzuconego listu wpadnie na myśl, że go pisała zakochana w nim moja synowica.

Marya. Projekt mój jest w rzeczy samej koniem tej sierści.

Sir Andrzej. A koń ten chciałby go teraz zmienić na osła?

Marya. I zmieni na osła, ani wątpię.

Sir Andrzej. Cudowne to będzie widowisko.

Marya. Królewska zabawa, możecie mi wierzyć. Wiem, że moje lekarstwo zrobi na nim swój skutek. Was dwóch, a trzeciego błaznika zasadzę niedaleko od miejsca, gdzie list mój znajdzie; zważajcie dobrze, jak go wytlómaczy. Na tę noc do łózka! Niech wam się marzy o tej sprawie. Żegnam! (*Wychodzi*).

Sir Tobiasz. Dobranoc, Pentezyleo.

Sir Andrzej. Zdaniem mojem, rozkoszna to dziewczka.

Sir Tobiasz. Dobrego rodu charcica; a szaleje za mną. Co ty na to?

Sir Andrzej. I za mną też pewnego razu jedna dziewczyna szalała.

Sir Tobiasz. Idźmy spać, panie Jędrzeju. Trzeba, żebyś posłał po więcej pieniędzy.

Sir Andrzej. Jeśli nie dostanę twojej synowicy, będzie ze mną krucho.

Sir Tobiasz. Poślij po więcej pieniędzy, panie Jędrzeju! Jeśli jej w końcu nie dostaniesz, nazwiesz mnie szkapą.

Sir Andrzej. Jeśli tego nie zrobię, będziesz miał prawo na przyszłość słowu mojemu nie wierzyć i gniewać się, jak chcesz.

Sir Tobiasz. Dobrze, dobrze. Chodź tylko ze mną; każę zagrzać parę butelek wina, bo już za późno kłaść się łózka. Za mną, panie Jędrzeju, za mną!

(*Wychodzą*).

SCENA IV.

Pokój w pałacu książęcym.

(*Wchodzą Ksiązę, Wiola, Kuryo i inni*).

Ksiązę. Dzień dobry wszystkim! — Dobry mój Cezaryo, Chciałbym raz jeszcze pieśń usłyszeć starą, Którą ostatniej śpiewano mi nocy, Bo większą ulgę przyniosła mej duszy, Niż skoczne arye w wielkiej teraz modzie. Choć jedną zwrotkę.

Kuryo. Niema tu osoby, mój ksiązę, któraby ją mogła odśpiewać.

Ksiązę. Któż to ją śpiewał?

Kuryo. Feste, śmieszek, mój ksiązę, który wielkim był faworytem ojca Oliwii; nie trudno będzie go znaleźć.

Ksiązę. Więc go przyprowadź. (*Wychodzi Kuryo*).

Zagrajcie mi nutę.

(*Muzyka*).

Zbliż się tu, chłopcze. Jeśli i ty kiedyś Pokochasz dziewczę, wśród stokich boleści Pamiętaj na mnie; wszyscy kochankowie Do mnie podobni: niespokojni, zmienni, Prócz wiernych uczuć dla drogiej istoty. Jak ci się pieśń ta podoba, Cezaryo?

Wiola. Echem w głębinach odbija się serca — Tronu miłości.

Ksiązę. Mówisz po mistrzowsku. Choć jesteś młody, jestem przecie pewny, Że już twe oko spadło na oblicze, Któreś pokochał; czy myślę się, chłopcze?

Wiola. Trochę w tem prawdę.

Ksiązę. Cóż to za kobieta?

Wiola. Twej cery, panie.

Ksiązę. Więc niegodna ciebie. Ile wiosn liczy?

Wiola. Twojego jest wieku.

Ksiązę. Przysięgam, chłopcze, za stara dla ciebie. Zona, od której starszy jest małżonek, Łatwiej nad jego sercem zapanuje; Bo choć nie szczędzim pochwał samym sobie, Wierzaj mi, chłopcze, uczucia są nasze

Lżejsze, chwiejniejsze, łatwiej przemijają,
Brak im niewieścich uczuć głębokości.

Wiola. I ja tak myślę.

Książę. Więc weź młodszą żonę,

Jeśli na zawsze pragniesz wiernym zostać.

Kobieta bowiem wonnej róży wzorem,

Rozkwita rano, więdnije wieczorem.

Wiola. Umierać przecie jak gorzka jest żałość,

Ody w całym blasku świeci doskonałość!

(*Wchodzą Kuryo i Pajac*).

Książę. Śpiewaj nam teraz wczorajszą piosenkę.

Zważaj, Cezaryo, pieśń stara i prosta,

Którą kobiety stare przy kądzieli,

A młode dziewczki przy czółenku nucą;

Ze starych wieków niewinną prostotą

Niewinną miłość wiernie nam maluje.

Pajac. Czy jesteś już gotowy, książę?

Książę. Zaczynaj. (*Muzyka*).

PIEŚŃ.

Pajac (*śpiewa*). Przybądź, śmierci! ukój serce.

Rzuc do trumny moje kości!

Uleć, duszo! bo w pasterce

Niema dla ciebie litości.

Na grób gałązki świerczane

Siej w żałobie!

Ja jej wierny pozostanę

Nawet w grobie.

Na śmiertelnej mej pościeli

Niechaj kwiatków nikt nie sieje,

Ani oko przyjacieli

Na mój popiół łez nie leje.

Grób wykopcie zdala ludzi,

Złóćcie tam!

Niech westchnienie mnie nie budzi,

Niech śpię sam!

Książę. Przyjm to za fatywę.

Pajac. Nie było w tem fatygi, mój książę, śpiew jest dla
mnie rozkoszą.

Książę. Płacę ci więc za twoją rozkosz.

Pajac. Wielka prawda! Prędzej lub później trzeba za każdą
rozkosz zapłacić.

Książę. Możesz się teraz oddalić.

Pajac. Niech ci więc bóg melancholii błogosławi, a kra-
wiec niech ci uszyje suknię z mieniącej się kitajki, bo
myśl twoja jest prawdziwym opalem. Pragnąłbym, żeby
ludzi takiej stałości na morze wyprawiano, żeby inte-
resem ich było wszystko, a cele ich były wszędzie, bo
to najlepszy sposób zrobienia dobrej podróży z ni-
czego. Bądźcie zdrowi. (*Wychodzą*).

Książę. Odejdźcie wszyscy.

(*Wychodzą Kuryo i służba*).

Raz jeszcze, Cezaryo,

Idź do tej pani okrutnego serca;

Mów, że ma miłość, nad świat szlachetniejsza,

Z pogardą patrzy na włości rozległe;

Powiedz, że wszystko, co ma od fortuny,

Nie wyżej cenię niż samą fortunę;

Lecz wdzięk i piękność, te perły natury,

Jedynie do niej duszę moją ciągną.

Wiola. Lecz, panie, jeśli nie może cię kochać?

Książę. Nie mogę przestać na tej odpowiedzi.

Wiola. A musisz jednak. Przypuść — co być może —

Że jest kobieta, co dla twej miłości

Tyle w swem biednym cierpi teraz sercu,

Co w twem ty, panie, cierpisz dla Oliwii;

Jeśli jej powiesz: nie mogę cię kochać,

Nie musisz przestać na tej odpowiedzi?

Książę. Niema kobiety, której pierś jest zdolna

Wytrzymać serca tak gwałtowne bicia,

Jak te, co miłość w moich sprawia piersiach.

Kobiety serce zanadto jest małe,

Aby tak wiele objąć w sobie mogło;

Jej miłość można nazwać apetytem —

Tam dusza niczem, wszystkim podniebienie —

Miłość tę kończy przesyć i odraza,

Gdy miłość moja głodna jest, jak morze,

I zdolna tyle, co morze, pochłonać:

Nie równaj moich uczuć dla Oliwii

Z tem, co kobieta zdolna jest czuć dla mnie.

Wiola. Wiem jednak...

Książę. Co wiesz?

Wiola. Zbyt dobrze wiem, panie,

Jaka miłości kobiecej potęga.

Ich serce, panie, wierne jest, jak nasze.

A wiem, co mówię. Ojciec mój miał córkę,
Która kochała męża tak namiętnie,
Jak jabym może, gdybym był kobietą,
Kochał cię, panie.

Książę. Jakie są jej dzieje?
Wioła. Jej dzieje? — blankiet. Cicha i milcząca,
Nigdy mu uczuć swych nie wyjawiała,
A tajemnica, jakby robak w pączku,
Toczyła skrycie różę jej oblicza,
W duszy cierpiała, w czarnej melancholii,
Jak cierpliwości posąg na mogile,
Słoniła boleść żalosnym uśmiechem.
Czy to nie była miłość? powiedz, panie.
My więcej mówim, więcej przysięgamy,
Lecz więcej u nas pozorów, niż prawdy,
Wiele obietnic, lecz miłości mało.

Książę. Czy siostra twoja umarła z miłości?
Wioła. Mojego domu wszystkie we mnie siostry
I braci widzisz — a jednakże nie wiem —
Czy mam iść teraz?

Książę. O, idź, idź bez zwłoki!
Daj jej ten klejnot, powiedz, że w mej duszy
Żadna odmiana miłości nie skruszy.
(*Wychodzą.*)

SCENA V.

Ogród Oliwii.

(*Wchodzi Sir Tobiasz Czławka, Sir Andrzej Chudo-
gębski i Fabian.*)

Sir Tobiasz. Przybywaj, mości Fabianie!

Fabian. Lecę; a jeśli stracę jeden skrupuł tej krotofili,
niech mnie na śmierć ugotują w melancholii.

Sir Tobiasz. Czy nie byłbyś kontent, gdybyśmy jak należy
zdetonowali tego łotra liczykrupę, tego kundla?

Fabian. Myślałbym, panie Tobiaszu, że w siódmym je-
stem niebie. Wszak wiesz, że on mnie pozbawił łaski
mojej pani z powodu owych hec niedźwiedzich.

Sir Tobiasz. Na złość mu raz jeszcze sprowadzimy tu
niedźwiedzia, a wystrychniemy go na dudka. Czy nie,
panie Jędrzej?

Sir Andrzej. Jeśli nie, to tem gorzej dla nas, panie To-
biaszu. (*Wchodzi Marya.*)

Sir Tobiasz. Ale nadchodzi nasza malutka hultajka. Co
tam nowego, złote moje serduszko?

Marya. Skryjcie się wszyscy trzej w bukszpanowej altanie,
bo Malwolio zbliża się tą aleją. Od pół godziny stał
na słońcu i na własnym cieniu praktykował dobre ma-
niery. Miejcie na niego oko choćby dla zabawy, bo
wiem, że list zrobi z niego zadumanego durnia. Przez
Boga, schowajcie się co prędzej! (*Kryją się w altanie.*)
A ty, czekaj tu na niego, (*rzuca list na ziemię*) bo nad-
plywa pstrąg, którego musimy złapać łaskotaniem.

(*Wychodzi. Wchodzi Malwolio.*)

Malwolio. To tylko szczęście — wszystko jest szczęście.
Powiedziała mi raz Marya, że ona mnie kocha, a na-
wet ja sam słyszałem z ust jej własnych wyrazy, które
prawie otwarcie mówiły, że gdyby się przyszło jej za-
kochać, to chyba w podobnym do mnie człowieku.
Prócz tego, traktuje mnie z głębszem poważaniem, niż
któregokolwiek ze swoich ludzi. Co ja mam myśleć
o tem wszystkim?

Sir Tobiasz. A to mi łotr zarozumiały!

Fabian. Cicho! Zadumanie przemieniło go w zabawnego
indyka. Patrzcie tylko, jak pióra najeżył!

Sir Andrzej. Okrutną mam chętkę wygarbować skórę temu
kapcanowi.

Sir Tobiasz. Cicho! powtarzam.

Malwolio. Zostać hrabią Malwolio...

Sir Tobiasz. A hajdamaku!

Sir Andrzej. Zastrzel go! zastrzel go!

Sir Tobiasz. Cicho! cicho!

Malwolio. Widziano tego przykłady. Księżniczka astrachań-
ska wzięła za męża swojego szatnego.

Sir Andrzej. O, hańbo! O, Jezabelo!

Fabian. Cicho! Zatopił się sam w sobie; patrzcie, jak go
wydyma wyobraźnia.

Malwolio. Po trzech miesiącach małżeństwa, zasiadłszy na
mojem hrabiowskim krześle...

Sir Tobiasz. O, dajcie mi kuszę, żebym mu oko wystrzelił!

Malwolio. Odziany moim aksamitnym płaszczem w kwiaty,
rzucam sofę, na której zostawiłem uśpioną Oliwię i przy-
wołuję wszystkich moich oficjalistów.

Sir Tobiasz. Na siarkę piekielną!

Fabian. Cicho! cicho!

Malwolio. Przybrawszy uroczystą minę, powiodę surowem okiem naokoło, aby im dać poznać, że znam własne miejsce, a pragnę, żeby wszyscy tak dobrze znali swoje, poczem zapytam, gdzie krewny mój Tobiasz...

Sir Tobiasz. Dyby i kajdany!

Fabian. Cicho! cicho! cicho! Teraz to słuchajcie!

Malwolio. Siedmiu z moich ludzi, z posłuszną gorliwością, wybiegnie, żeby go zawołać. Ja tymczasem brwi marszczę, może nakręcę zegarek, może bawię się jaką kosztowną pieczętką. Wchodzi Tobiasz, kłania się pokornie...

Sir Tobiasz. Czy łotrowi temu karku nie ukręcę?

Fabian. Choćby z nas milczenie za uszy wyciągano, cicho!

Malwolio. Podaję mu rękę — tak — studząc poufałość uśmiechu surowem spojrzeniem wyrzutu...

Sir Tobiasz. A czy cię za to Tobiasz w papę nie gruchotnie?

Malwolio. I mówię: »kuzynie Tobiaszu, fortuna zrobiła mnie mężem twojej synowicy, nie bierz mi przeto za złe mojej otwartości, ale...«

Sir Tobiasz. Co? co?

Malwolio. »Ale musisz się poprawić z twojego nałogu pijactwa.«

Sir Tobiasz. A psie parszywy!

Fabian. Cierpliwość! lub sami porwiemy nasze siła.

Malwolio. »Prócz tego, tracisz skarb twojego czasu z głupowatym szlachcicem...«

Sir Andrzej. To ja, zaręczam!

Malwolio. »Niejakim panem Jędrzejem.«

Sir Andrzej. Wiedziałem, że o mnie myślał; nie on jeden nazywa mnie głupowatym szlachcicem.

Malwolio. A to co takiego? (*Podnosi list*).

Fabian. Teraz bekas blisko samolówki.

Sir Tobiasz. Cicho! O, gdyby duch radości natchnął go chętką głośnego czytania!

Malwolio. Na moje życie, to ręka mojej pani. Ani wątpliwości; to jej C, jej U i jej T; wielkie P właśnie ona tak pisze. Ani kwestyi, to jej ręka.

Sir Andrzej. Jej C i jej U i jej T, dlaczego?

Malwolio (*czyta*). »Nieznanemu kochankowi list ten i dobre życzenia«. — To styl jej. Pozwól, panie, laku. Po-

zwoli! Na pieczętce Lukrecya, którą zwykle listy swoje pieczętuje. Do kogo list ten może być adresowany?

Sir Andrzej. Ugrzązł z duszą i ciałem.

Malwolio (*czyta*). Kocham, Bóg wie;

Lecz drogi gdzie?

Języku, stój!

To sekret mój.

»To sekret mój«. — Co dalej? Zmiana wiersza. — »To sekret mój!« a gdyby to był Malwolio?

Sir Tobiasz. Powieś się wprzód, borsuku!

Malwolio (*czyta*). Tam ubóstwiam, gdzie mogę wydawać [rozkazy,

Lecz milczenie, jak sztylet Lukrecyi bez skazy,

Krew mą pije, w mem sercu utopione skrycie:

M, O, A, J, to gwiazda moja, moje życie.

Fabian. Tak mi gadaj! to mi zagadka!

Sir Tobiasz. Rozkoszna dziewczka! powtarzam.

Malwolio. »M, O, A, J, to gwiazda moja, moje życie.«

Ale najprzód zobaczmy — zobaczmy — zobaczmy...

Fabian. Co za półmisek trucizny mu zastawiła!

Sir Tobiasz. A jakim skrzydłem maż się na nią rzuca!

Malwolio. »Tam ubóstwiam, gdzie mogę wydawać rozkazy«. — Toć ona mnie może rozkazywać: jestem jej

ślugą, ona moją jest panią. To rzecz jasna dla najtępszej nawet głowy. W tem żadnej niema trudności.

Zobaczmy teraz koniec. Co mogą znaczyć te alfabetyczne kombinacje? Gdyby i tu udało mi się odkryć

jakie zastosowanie do mojej osoby. Powoli! M, O, A, J.

Sir Tobiasz. He, he, zgadnij teraz! Zaciera nasz ogar.

Fabian. Znów się zaczyna zławiać, choć jeszcze lisa nie powąchał.

Malwolio. M — Malwolio; M — to pierwsza litera mojego nazwiska.

Fabian. Czy nie powiedziałem, że znajdzie tłómaczenie? Wyborny to goniec za omylnym śladem.

Malwolio. M — ale to nie kwadruje z tem, co idzie potem — tu pewna trudność zachodzi — powinno A następować, a ja tu O widzę.

Fabian. Mam też nadzieję, że wszystko na O! się także skończy.

Sir Tobiasz. Choćby mi przyszło kijem go wygrzmocić, żeby krzyczał O! w niebogłosy.

Malwolio. Nakoniec czytam A, J.

Fablan. Co się znaczy, że czeka na ciebie więcej Aj! niż fortuny.

Malwollo. M, O, A, J, to nie tak jasne, jak początek — a przecie — byle zadać sobie trochę mozolu, można wszystko do mnie zastosować, bo każda z tych liter wchodzi do mojego nazwiska. Powoli! Zobaczmy teraz, co mówi proza. *(Czyta)*. »Jeśli to wpadnie w twoje ręce, rozważaj! Moje gwiazdy postawiły mnie wyżej ciebie, lecz niech cię wielkość nie trwoży. Jedni rodzą się wielkimi; inni w pocie czoła do wielkości przychodzą; innych wielkość szuka sama. Twoje przeznaczenie otwiera ci rękę, schwyć ją ze wszystkich sił twojego ciała i twojej duszy. Aby się przyzwyczaić do tego, czem będziesz zapewne, zmień skromną powłokę, a wystąp w całej świeżości. Bądź sprzecliwy z krewnym, swarliwy ze sługami; niech twój język brzmi rozprawami o polityce; zakrawaj na dziwaka; to są rady tej, która wzdycha do ciebie. Przypomnij sobie, kto podziwiał twoje żółte pończochy, kto pragnął widzieć zawsze twoje podwiązki na krzyż związane? powtarzam, przypomnij sobie! Los twój od ciebie teraz zależy; byleś chciał, będziesz szczęśliwy; jeśli nie chcesz, zostań intendentem na zawsze, zostań sług kolegą, bo jesteś niegodny dotknąć palca fortuny. Bądź zdrow! Ta, która by chciała pomieniać się z tobą na służbę, Szczęśliwa Nieszczęśliwa«. — W południe, na otwartem polu, trudno więcej widzieć: to rzecz jasna. Będę więc dumny, wezmę się do czytania politycznych autorów, będę lekcewał paną Tobiasza, omyję ręce z brudnych znajomości, będę nowym, jakby dopiero z igły zdjętym człowiekiem. Teraz przynajmniej nie robię sam z siebie durnia, własną nie zwodzę się wyobraźnią; bo wszystko się sprzysięga, aby mi dowieść, że pani moja zakochała się we mnie. Ona przed kilku dniami podziwiała moje żółte pończochy, ona chwaliła moją nogę z podwiązkami na krzyż zawiązanymi; w tych słowach miłość mi swoją objawia i prawie rozkazuje, żebym się ubierał wedle jej gustu. Dziękuję moim gwiazdom za moje szczęście. Będę dziwakiem, będę dumnym, wdzieję żółte pończochy, zwiążę na krzyż moje podwiązki, a to natychmiast, bez straty jednej minuty. Jowiszu i gwiazdy moje, dzięki wam! Ale jest, widzę, jeszcze *post scriptum*. »Trudno, żebyś się nie domyślił, kto jestem.

Jeśli podzielasz moją miłość, pokaż mi to twoim uśmiechem. Do twarzy ci uśmiech; dlatego w mojej przytomności uśmiechaj się ciągle, drogi mój cukierku, proszę cię«. Jowiszu! dziękuję ci! Będę się uśmiechał, zrobię wszystko, czego ode mnie żadasz.

(Wychodzi).

Fablan. Nie oddałbym mojej części tej krotofili za pensję tysiąca talarów, płaconych ze skarbu samego Sofi.

Sir Tobiasz. Gotówbym ożenić się z tą dziewczką za ten jej concept.

Sir Andrzej. I ja też.

Sir Tobiasz. A za cały posag, przestać na drugim podobnym figlu.

Sir Andrzej. I ja to samo.

(Wchodzi Marya).

Fablan. Zbliża się moja szlachetna dudko-łowczyni.

Sir Tobiasz. Czy chcesz postawić nogę na moim karku?

Sir Andrzej. Albo na moim?

Sir Tobiasz. Czy chcesz, żebym o moją wolność w warcaby się rozegrał i został twoim niewolnikiem?

Sir Andrzej. Albo ja też?

Sir Tobiasz. W takie go wprowadziłaś marzenia, że, jeśli się z nich przebudzi, musi owaryować.

Marya. Dobrze, dobrze, powiedzcie mi tylko otwarcie, czy skutkowało lekarstwo?

Sir Tobiasz. Jak wódka na akuszerce.

Marya. Jeśli więc pragniecie widzieć owoce mojego figla, miejcie na niego oko, gdy się po raz pierwszy zbliży do pani. Przyjdzie do niej w żółtych pończochach, a to jest kolor, którego ona znieść nie może; z podwiązkami na krzyż zawiązanymi, a to jest moda, do której ona czuje wstręt niezwycony; będzie się do niej uśmiechał, co tak jest sprzeczne z terażniejszym jej usposobieniem i głęboką melancholią, że tylko jej oburzenie i pogardę wywoła. Kto chce to wszystko widzieć, niech idzie za mną.

Sir Tobiasz. Choćby do bram piekielnych, ty szatanie dowcipu.

Sir Andrzej. I ja też.

(Wychodzą).

AKT TRZECI.

SCENA I.

Ogród Oliwii.

(Wchodzi Wiola, Pajac z tamburynem).

Wiola. Niech cię Bóg błogosławi i twoją muzykę, przyjacielu. Czy żyjesz z twojego tamburyna?

Pajac. Nie, panie, ja mam chleb przy kościele.

Wiola. Jesteś więc duchowną osobą?

Pajac. Bynajmniej. Mam chleb przy kościele, bo go jem w domu, a dom mój stoi przy kościele.

Wiola. Mógłbyś równie dobrze powiedzieć, że król żyje przy żebracze, jeśli żebraczka mieszka przy królewskim pałacu, i że kościół żyje przy twoim tamburynie, jeśli twój tamburyn stoi przy kościele.

Pajac. Powiedziateś, panie. Patrzcie, co za czasy! Słowo jest tylko zamszową rękawiczką dla przenikliwego dowcipu; jak ją łatwo na złą stronę przewrócić!

Wiola. To prawda; kto zbyt igra ze słowami, łatwo je może puścić na rozpuszę.

Pajac. Dlatego też pragnąłbym, żeby siostra moja nie miała nazwiska.

Wiola. A to dlaczego?

Pajac. Bo nazwisko, to słowo, a granie z tem słowem mogłoby zrobić z mojej siostry rozpusznicę. Uczciwie mówiąc, słowa to wierutne łotry od czasu, jak je zbezczeszczyli zaręczenia.

Wiola. A to znów dlaczego?

Pajac. Bez słów nie mogę tego dowieść, a że słowa są dziś kłamliwe, nie mam ochoty słowami prawdy dowodzić.

Wiola. Widzę, że krotofilna z ciebie sztuka i o nic się nie troszczysz.

Pajac. Z przeproszeniem, mości panie, są rzeczy, o które się troszczę; ale sumiennie wyznaję, że nie troszczę się o ciebie, jeśli to znaczy o nic się nie troszczyć; chciałbym, żeby to mogło zrobić cię niewidzialnym.

Wiola. Czy nie jesteś czasem błaznem hrabianki Oliwii?

Pajac. Nie, panie, hrabianka Oliwia nie ma błazeństwa, i nie będzie miała na dworze błazna, dopóki za mąż

nie pójdzie, bo błazny tak są do mężów podobne, jak serdele do śledzi: większy z nich, to mąż. Nie, mości panie, nie jestem błaznem, jestem tylko słów jej fałszerzem.

Wiola. Widziałem cię niedawno na dworze hrabiego Orsyno.

Pajac. Błazeństwo, mój panie, krąży nad światem, jak słońce, i zarówno wszystkim przyświeca; byłoby mi smutno, gdyby błazeństwo równie często gościło u twojego pana, jak na dworze mojej pani. Zdaje mi się, że widziałem tam twoją mądrość.

Wiola. Jeśli i mnie myślisz wziąć na fundusz, zawczasu kapituluję. Przyjmij to na szklanek piwa.

Pajac. Niechże ci za to Jowisz, przy pierwszej ekspedycji włosów, przyśle brodę.

Wiola. Powiem ci do ucha, że wzdycham za brodą, choć nie chciałbym, żeby rostała na moim podbródku. Czy pani twoja jest w domu?

Pajac *(poglądając na pieniądze)*. Czy ta para nie mogłaby się rozmnożyć?

Wiola. Bardzo łatwo, byłeś ją trzymał razem, a używał roztropnie.

Pajac. Chętnie podjąłbym się roli frygijskiego Pandara, żeby sprowadzić Kressydę do tego Troila.

Wiola. Pojmuję; umiesz żebrać.

Pajac. Niewielka to sprawa, mój paniczku, żebrać o żebraczkę. Kressyda była żebraczką. Pani moja jest w dom i Powiem jej, skąd przychodzisz; ale kto jesteś i czego żądasz, to nie należy do mojego firmamentu, mógłbym powiedzieć elementu, ale to wyraz od dawna już użyty. *(Wychodzi)*.

Wiola. Dość to czełek mądry, by grać błazna rolę,

A na to trzeba dowcipu niemało:

Na czas mieć baczność, na charakter osób,

Z którymi pragnie żarty swoje stroić;

Jak głupi maź, ślepo się nie rzucać

Na pierwsze pióro, co mu w oko wpadnie.

Rzemiosło błazna potrzebuje wprawy

Równie mozolnej, jak mądrego sztuka.

Jego błazeństwo mądrą myśl pokrywa;

Błazeństwo mądrych na głupstwo zarywa.

(Wchodzi Sir Tobiasz Czkwarka i Sir Andrzej Chudołębski).

Sir Tobiasz. Pozdrawiam, mości panie.

Wiola. Dzień dobry.

Sir Andrzej. *Dieu vous garde, monsieur.*

Wiola. *Et vous aussi; votre serviteur.*

Sir Andrzej. Tak myślę, że jesteś; i ja też jestem twoim.

Sir Tobiasz. Czy chcesz wejść do domu? Moja synowica pragnie cię widzieć, jeśli masz do niej interes.

Wiola. Mam zlecenie do twojej synowicy, panie; chcę powiedzieć, że ona jest celem mojej podróży.

Sir Tobiasz. Więc nogi zapas, mości panie, i ruszaj!

Wiola. Moje nogi rozumieją mnie lepiej, niż ja twój rozkaz, mój panie, żebym wziął moje nogi za pas.

Sir Tobiasz. Chciałem powiedzieć: wejdź do domu.

Wiola. Najlepiej na to odpowiem, gdy drzwi otworzę i wejdę. Ale widzę, że niepotrzebna fatyga. (*Wchodzi Oliwia i Marya*). Najdostojniejsza, najdoskonalsza pani, niech niebo wonny deszcz na ciebie zleje!

Sir Andrzej. Rzadki dworak z tego młodzika. Deszcz wonny! wybornie!

Wiola. Moje poselstwo nie ma języka, tylko dla twojego dostojnego i łaskawego ucha.

Sir Andrzej. Deszcz wonny! Dostojnego i łaskawego ucha! Zanoतuję wszystko na przypadek.

Oliwia. Każ zamknąć drzwi ogrodu. Zostawcie nas samych. (*Wychodzą Sir Tobiasz, Sir Andrzej i Marya*).

Daj mi rękę, młody panie.

Wiola. Daję ci, pani, moje posłuszeństwo i moje pokorne służby.

Oliwia. Powiedz mi twoje nazwisko.

Wiola. Cezaryo jest nazwisko twojego sługi, piękna księżniczko.

Oliwia. Mojego sługi! Świat stracił wesele, Odkąd nazwano kłamstwo komplementem; Wszak jesteś sługą hrabiego Orsyna?

Wiola. Hrabia Orsyno sługą jest twym, pani, A sługa sługi twego twym jest sługą.

Oliwia. Nie myślę o nim, a gorąco pragnę, By imię moje z myśli swych wymazał.

Wiola. Właśnie przychodzę, żeby w myślach twoich Odnowić pana mojego pamiętkę.

Oliwia. Wszak zabroniłam ci wspominać o nim.

Lecz gdybyś inną pragnął prośbę zanieść,

Słów twoich chętnem słuchać będę uchem,
Jak sfer harmonii.

Wiola. Droga moja pani...

Oliwia. Daruj mi, proszę, że ostatnim razem,
Pod wpływem czarów twej słodkiej wizyty,

Za tobą pierścień mój wysłałam, zwodząc
Mojego sługę, siebie, może ciebie.

Może w tej chwili surowo mnie sądzisz
Za to, że chciałam zmusić cię podstępem

Przyjąć, co twoją własnością nie było.

Co mogłeś myśleć? Czy biedny mój honor

Nie był przedmiotem tysiącznych przypuszczeń,
Które okrutne spłodzić może serce?

Dość wyjawiałam dla twojej bystrości,

Krepa, nie ciało ośłania me serce:

Mów więc.

Wiola. Lituję się nad tobą, pani.

Oliwia. Litość jest pierwszym do miłości stopniem.

Wiola. O nie, nie, pani; wszak często, jak mówią,
Dla nieprzyjaciół naszych litość mamy.

Oliwia. Już więc czas uśmiech na usta przywołać:

Jak często biedny pychą się nadyma!

Kto ma być łupem, lepiej niech upadnie

Pod lwa pazurem, niż wilka zębami.

(*Bije zegar*).

Zegar mnie łaje, że czas darmo tracę.

Lecz bądź spokojny, — niczego nie żądam, —

Lecz gdy twój dowcip i młodość dojrzeją,

Dla żony twojej piękne będzie żniwo.

Tam droga twoja!

Wiola. Żegnaj cię więc, pani!

Niech niebo łaskę i dobre uczucia

Zleje na ciebie! Czy nie dasz mi, pani,

Żadnych do pana mego zleceń?

Oliwia. Czekaj.

Powiedz mi, proszę, co ty myślisz o mnie?

Wiola. Ty myślisz, pani, żeś nie jest, czem jesteś.

Oliwia. I ja o tobie podobne mam myśli.

Wiola. Myśl twoja słuszna: nie jestem, czem jestem.

Oliwia. Gdybyś mógł zostać tem, czem cię mieć pragnę!

Wiola. Gdyby mi zmiana na lepsze wyjść mogła,

Chętnie, bo teraz twą jestem igraszką.

Oliwia. O, jaki urok twarzy jego daje

Ten wyraz gniewu i gorzkiej pogardy!
 Miłość, jak zbrodnia, zdradza sama siebie,
 Bo noc miłości jest jak dzień na niebie.
 Na róże wiosny tchnieniem rozwinięte,
 Honor i wszystko, co ludziom jest święte,
 Mimo twej dumy, kocham cię bez granic,
 A rozum, dowcip i skromność mam za nic!
 Nie bądź okrutny, choć pierwsza, tak śmiało,
 Duszy namiętność odkryłam ci całą,
 Mów raczej: słodką miłość jest szukana,
 Lecz stokroć słodsza będzie miłość dana.
Wiola. Na moją młodość, pani, wyznać muszę,
 Jedną mam wiarę i jedną mam duszę,
 Lecz nigdy żadna kobieta na ziemi,
 Prócz mnie, panować nie będzie nad niemi.
 Żegnam cię, pani! Odtąd nigdy więcej
 Nie będę posłem boleści książęcej.
Oliwia. Wróc jednak; może wymową namiętną
 Zjednasz mu duszę dzisiaj obojętną. (*Wychodzą*).

SCENA II.

Pokój w domu Oliwii.

(*Wchodzą Sir Tobiasz Czkawka, Sir Andrzej Chudogębski i Fabian*).

Sir Andrzej. Nie, na uczciwość, nie zostaję jednej chwili dłużej.

Sir Tobiasz. Twoje powody, droga trutko, powiedz mi twoje powody!

Fabian. Musisz mu wyjawić twoje powody, panie Jędrzeju.

Sir Andrzej. Jeśli tylko o to chodzi, widziałem, jak twoja synowica miała więcej względów dla sługi hrabiego, niż kiedykolwiek raczyła mi okazać; widziałem to w ogrodzie.

Sir Tobiasz. A ona, czy widziała cię, staruszku? powiedz.

Sir Andrzej. Tak dobrze, jak ja was teraz widzę.

Fabian. A toć jest najwyraźniejszy dowód jej miłości ku tobie, panie Jędrzeju.

Sir Andrzej. Brednie! Czy chcesz zrobić ze mnie osła?

Fabian. Dowiodę ci, panie Jędrzeju, prawdy słów moich pod przysięgą sądu i rozumu.

Sir Tobiasz. A to byli przysięgli, nim jeszcze Noe został żeglarzem.

Fabian. Okazywała względy młodzikowi w twojej przytomności, żeby cię rozjątrzyć, rozbudzić twoją uśpioną dziarskość, dodać ognia twojemu sercu, a siarki twojej wątrobie. Należało ci natychmiast zbliżyć się do niej, a jakim sprytnym żarcikiem, świeżo z mennicy, zamknąć gębę młokosowi. Tego spodziewała się po tobie; ale zawiodłeś jej oczekiwania, pozwoliłeś czasowi zmyć podwójną pozłotę dobrej sposobności. Żeglujesz teraz ku północnemu biegunowi względów mojej pani, do którego przyłgniesz, jak soplek do brody Holendra, jeśli nie naprawisz interesów jaką mistrzowską sztuką odwagi, lub polityki.

Sir Andrzej. Jeśli gwałtem mam zrobić jaką sztukę, to chyba sztukę odwagi, bo brzydzą się polityką, i tyle mam ochoty zostać brownistą¹⁾ co politykiem.

Sir Tobiasz. Buduj więc pałac twojej fortuny na gruncie odwagi. Wyzwij mi tego hrabiowskiego niedorośtka na rękę, pokieruj go w jedenastu miejscach, zwróci to uwagę mojej synowicy, bo możesz być przekonany, że niema dziewoszlęba na ziemi, któryby zdołał lepiej zalecić kawalera kobiecie, niż słowa odwagi.

Fabian. Niema innej drogi, panie Jędrzeju.

Sir Andrzej. Który z was podejmie się zanieść mu moje wyzwanie?

Sir Tobiasz. Napisz je rycerską ręką: ostro a krótko. Mniejsza o dowcip, byle nie brakło na wymowie i imaginacyi; lżyj go z całą swobodą atramentu; jeśli mu tykniesz dwa lub trzy razy, tem lepiej; a kłamstw, ile się może zmieścić na arkuszu papieru, choćby ten arkusz był wielki jak prześcieradło. Do roboty! Dolej żółci do atramentu, a nie zważaj wcale, że będziesz pisał gęsiem piórem. Do roboty!

Sir Andrzej. Gdzie was znajduję?

Sir Tobiasz. Przyjdziemy do twojego *cubiculum*. Do roboty!
 (*Wychodzi Sir Andrzej*).

Fabian. Drogi to dla ciebie człowiek, panie Tobiaszu.

Sir Tobiasz. I ja też dla niego nie tani; wychodzę mu okrągło na jakie dwa tysiące talarów.

¹⁾ Robert Brown był pierwszym fundatorem sekty Independentów.

Fabian. Będziemy mieli list nielada; ale myślę, panie Tobiaszu, że go nie wręczysz?

Sir Tobiasz. Miej mnie za wierutnego kłamcę, jeśli go natychmiast nie oddam i wszystkich nie użyję sposobów, aby skłonić młodzika do odpowiedzi. Zdaje mi się tylko, że linami i sprzęgiem wołów nie ściągniemy ich do kupy. Co do pana Jędrzeja, gdybyś go otworzył, a znalazł w jego wątrobie więcej krwi, niż coby się przylepiło do pchlej nogi, to ja się podejmuję zjeść go całego.

Fabian. Jego też przeciwnik, młodzieniaszek, nie nosi na twarzy znaków okrucieństwa.

Sir Tobiasz. Ale patrz, zbliża się dziewiąty, najmłodszy królik z całego gniazda. (*Wchodzi Marya*).

Marya. Jeśli pragniecie zabawy, a chcecie dostać kolek od śmiechu, idźcie za mną. Ten dudek Malwolio wyszedł na czystego poganina, na renegata, bo trudno znaleźć chrześcijanina, pragnącego dostąpić wiecznego żywota prawdziwą wiarą, któryby mógł uwierzyć w podobne brednie. Wdział żółte pończochy.

Sir Tobiasz. I na krzyż je powiązał?

Marya. W sposób najobrzydliwszy, jak bakalarz pilnujący studentów w kościele. Szłam za nim w tropy, jak rozbójnik; wykonał co do joty wszystko, co mu przepisałam w liście na jego zgubę. Uśmiechem tak sobie twarz pomarszczył, że więcej na niej krzyżujących się linii, niż na nowej mapie z dodatkiem Indyi. Nie widzieliście nigdy nic podobnego. Ledwo się mogę wstrzymać od rzucenia mu na głowę pierwszego, który się nadarzy, sprzętu. Jestem pewna, że pani da mu szturchańca, a on się będzie uśmiechał i weźmie to za dowód wielkiej łaski.

Sir Tobiasz. Prowadź nas, prowadź nas co prędzej tam, gdzie go spotkamy. (*Wychodzą*).

SCENA III.

Ulica.

(*Wchodzi Antonio i Sebastyan*).

Sebastyan. Sam cię kłopotać nigdybym nie pragnął,
Lecz skoro rozkosz znajdujesz w cierpieniu,
Nie chcę cię tajać.

Antonio. Po twem oddaleniu,
Nie miałem chwili spokoju, bo żądza,
Ostra jak sztylet, gnała mnie za tobą.
Nie tyle jednak chęć, by cię zobaczyć,
(Choć i to byłby dostateczny powód
Do przedsięwzięcia dalekiej podróży)
Co niespokojność o twe bezpieczeństwo
Moją troskliwą rozbudziła miłość,
Kazała w pogoń puścić się za tobą,
Boś podróżował w ziemi ci nieznanej,
Gdzie na pielgrzyma gościnność nie czeka,
Któremu przyjaźń drogi nie pokaże.

Sebastyan. O, mój Antonio, za dobroci tyle
Mogę ci tylko: Bóg zapłać! powiedzieć.
Wiem, że fałszywą tą monetą nieraz
Splacają ludzie największe usługi;
Nie takie u mnie przyjęciebys znalazł,
Gdyby fortuna sprostała uczuciu.
Co teraz robić? Czy chcesz, byśmy razem
Poszli pamiątki miasta tego zwiedzać?

Antonio. Idź dziś wypocząć; odłóż to na jutro.

Sebastyan. Dzień jeszcze jasny; nie czuję znużenia,
Idźmy więc oczy nasycić widokiem
Licznych pomników, którymi to miasto
Stynie u ludzi.

Antonio. Przebacz, lecz tych ulic
Nie mogę zwiedzać bez niebezpieczeństwa.
Raz, w bitwie morskiej z księcia tego flotą,
Oddałem pewnej wartości usługi,
A gdybym teraz w ręce mu się dostał,
Pojmujesz, jakie znalazłbym przyjęcie.

Sebastyan. Czyś majtków jego wielką zabił liczbę?

Antonio. Nie, nie tak krwawą jest moja obraza,
Choć czas i miejsce i sprawy natura
Mogłyby krwawe pociągnąć następstwa.
Wyznaję, spór ten można było skończyć
Zwrotem zaboru, jak to już zrobiła
Większa część moich współobywateli,
Aby handlowe odnowić stosunki;
Ja tylko jeden część mą zatrzymałem;
Schwyłtany, drogo zapłaciłbym upór.

Sebastyan. Więc się publicznie nie pokazuj w mieście.

Antonio. To mój jest zamiar. Przyjmij moją kieskę;

Na południowem przedmieściu, pod Słoniem,
Idę mieszkanie i obiad zamówić.

Gdy dostatecznie napasiesz twe oczy
Widokiem wszystkich ciekawości miasta,
Wracaj, ja czekam na ciebie w gospodzie.

Sebastyan. W jakimże celu kieskę mi twą dajesz?

Antonio. Może przypadkiem piękna jaka fraszka

W oczy ci wpadnie i zechcesz ją nabyć,
A nie przypuszczam, byś mógł twe zasoby
Na niepotrzebne cacka marnotrawić.

Sebastyan. Kieski twej będę stróżem na godzinę.

Antonio. Czekam pod Słoniem.

Sebastyan.

Pamiętam i wrócę.

(*Wychodzą*).

SCENA IV.

Ogród Oliwii.

(*Wchodzą Oliwia i Marya*).

Oliwia. Posłałam za nim; powiedział, że przyjdzie.

Jak mam go przyjąć? co mu ofiarować?

Wiem to, że łatwiej młodego jest kupić,

Niż go wyżebrać, albo niż pożyczyć. —

Mówię za głośno. — Lecz gdzie jest Malwolio?

Jego surowa, uroczysta postać

Dziwnie do mojej fortuny przystaje.

Gdzie jest Malwolio?

Marya. Zbliża się, pani, ale w najdziwniejszym stroju;
ani wątpię, że go jakiś dyabeł opętał.

Oliwia. Dlaczego? Co mu się zrobiło? Czy gada od rzeczy?

Marya. Nie, pani, on tylko ciągle się uśmiecha. Radziła-
bym, pani, żebyś miała jakąś straż przy sobie, gdy przy-
dzie, bo niewątpliwie w głowie mu się pomieszało.

Oliwia. Niech przyjdzie — szalem nie różnim się wiele —
Równem szaleństwem smutek, jak wesele.

(*Wchodzi Malwolio*).

Co mi nowego przynosisz, Malwolio?

Malwolio (*uśmiechając się fantastycznie*). Słodka pani, ho, ho!

Oliwia. Uśmiechasz się? Dla smutnych jednak powodów
posłałam po ciebie.

Malwolio. Smutnych, pani? Mnie też nie byłoby trudno
być smutnym; podwiązki, tak na krzyż związane, obieg
krwi tanują; ale mniejsza o to. Jeśli się to podoba
oczom jednej, powtórzę słowa pięknego sonetu: Po-
dobałem się jednej, podobam się wszystkim.

Oliwia. Co się to wszystko znaczy, człowieku? Co ci się
stało?

Malwolio. Nie czarno mi w głowie, choć żółto na nogach.
List do właściwych rąk się dostał i rozkazy będą skru-
pulatnie wykonane. Myślę, że znamy dobrze śliczną
rzymską rękę.

Oliwia. Czy nie chcesz się położyć, Malwolio?

Malwolio. Położyć? O tak, kochanko, przyjdę do ciebie.

Oliwia. Niech się Bóg nad tobą zmiłuje! Dlaczego się tak
uśmiechasz? Dlaczego swoją rękę całujesz tak często?

Marya. Co ci jest, Malwolio?

Malwolio. Na twoje pytanie odpowiadać? O tak, jak sło-
wiki odpowiadają wronom.

Marya. Jak śmiesz stawiać się przed panią z tak śmiesznym
zuchwalstwem?

Malwolio. »Niech cię wielkość nie trwoży« — pięknie to
było napisane.

Oliwia. Co przez to rozumiesz, Malwolio?

Malwolio. »Jedni rodzą się wielkimi«...

Oliwia. Ha?

Malwolio. »Inni w pocie czoła do wielkości przychodzą«...

Oliwia. Co mówisz?

Malwolio. »Innych wielkość szuka sama«.

Oliwia. Niech ci Bóg wróci rozum!

Malwolio. »Przypomnij sobie, kto podziwiał twoje żółte
pończochy«...

Oliwia. Twoje żółte pończochy?

Malwolio. »Kto pragnął zawsze widzieć twoje podwiązki
na krzyż związane«.

Oliwia. Na krzyż związane?

Malwolio. »Byłeś chciał, będziesz szczęśliwy«...

Oliwia. Co to wszystko znaczy?

Malwolio. »Jeśli nie chcesz, zostań służą na zawsze«.

Oliwia. Człowiek ten cierpi wyraźnie na kanikule.

(*Wchodzi Sługa*).

Sługa. Młody paż hrabiego Orsino powrócił, ledwo go
skłonić do tego potrafiłem; czeka na twoje rozkazy,
pani.

Oliwia. Pójdę do niego za chwilę. (*Wychodzi Sługa*). Dobra Maryo, dopilnuj, żeby na tego nieboraka miano oko. Gdzie krewny mój Tobiasz? Powiedz jednemu z moich sług, żeby szczególną miał nad nim czujność; nie chciałabym za połowę mego posagu, żeby go jakie nieszczęście spotkało. (*Wychodzą Oliwia i Marya*).

Malwolio. Ho, ho, zaczynasz zbliżać się do mnie? Nie gorszy człowiek, niż pan Tobiasz, czuwać ma nade mną? To w zupełności do listu przypada; umyślnie go przysyła, żebym go z góry traktował, jak mi to w swoim piśmie zaleciła. »Zmień skromną powłokę«, powiada, »bądź sprzecliwy z krewnym, swarliwy ze sługami; niech twój język brzmi rozprawami o polityce, zakrawaj na dziwaka« — a następnie wskazuje do tego sposobu, jak naprzykład: twarz uroczystą, poważne ruchy, powolne wystowienie, zwykłe ludziom wysokiego stanu, i tam dalej. Złowiłem ją na lep mój; ale to sprawa Jowisza, więc dzięki ci, Jowiszu! A teraz, wychodząc, »dopilnuj, żeby na tego nieboraka miano oko«, nieboraka! nie Malwolia, nie intendenta, ale nieboraka! Tak jest; wszystko się zgadza; tu niema grama skrupułu, niema skrupułu skrupułu, niema cienia zawady, niema jednej wątpliwej, niebezpiecznej okoliczności. Nic już, nic teraz nie może stanąć między mną a ziszczeniem się wszystkich moich nadziei. Co na to wszystko powiedzieć? Tak jest, to nie moje, ale Jowisza dzieło; jemu należą się dzięki.

(*Wchodzą Marya, Sir Tobiasz i Fabian*).

Sir Tobiasz. Gdzie on, przez Boga żywego? Choćby wszystkie piekielne dyabły w jedną kupę się zebrały, choćby go cały ich pułk opętał, muszę z nim mówić.

Fabian. Widzisz go? widzisz go? Co ci jest, dobre panisko? co ci jest, człowieku?

Malwolio. Precz stąd! precz mi z oczu! Zostawcie mnie mojej samotności. Precz stąd!

Marya. Słuchajcie, jak grobowym głosem przemawia z niego dyabeł. Czy wam nie powiedziałam? Panie Tobiaszu, pani cię prosi, abyś szczególną miał nad nim opiekę.

Malwolio. Ha! ha! czy pani prosi?

Sir Tobiasz. Dobrze, dobrze! Cicho, cicho! Trzeba się z nim łagodnie obchodzić, zostawcie nas samych. Jak się masz, Malwolio? Co ci się stało? Człowieku, staw dyabłu czoło, pamiętaj, że to nieprzyjaciel ludzkiego rodu.

Malwolio. Czy wiesz ty, co mówisz?

Marya. Patrzenie, jak on bierze to do serca, że źle mówisz o dyabłach. Daj Boże, żeby nie był zaczarowany!

Fabian. Ponię jego wodę do wróżki.

Marya. Zrobię to jutro rano, byłem dożyła. Pani moja nie chciałaby go stracić za więcej, niż mogę powiedzieć.

Malwolio. Co mówisz, mościa panno?

Marya. O, Boże!

Sir Tobiasz. Proszę cię, daj mu pokój; zły to sposób. Czy nie widzisz, że go rozdrażniasz? Zostaw nas samych.

Fabian. Jedynym tu lekarstwem jest łagodność. Delikatnie! Dyabeł jest szorstki i nie chce, żeby go szorstko traktowano.

Sir Tobiasz. No i cóż ci tam, mój gaszku? jak ci jest, moje kurczątko?

Malwolio. Mości panie?

Sir Tobiasz. Tylko śmiało, kochaneczku; chodź tylko ze mną. Człowieku, nie przystoi ludziom twojej powagi grać w pliszki z szatanem; wypędź na rozstajne drogi obrzydłego węglarza!

Marya. Namów go, żeby pacierz odmówił; dobry panie Tobiaszu, skłoń go do modlitwy.

Malwolio. Pacierz, szurgotko?

Marya. Czy widzicie? Ani chce słuchać o nabożeństwie. Malwolio. Idźcie wszyscy na złamanie szyi! bo wszyscy należycie do jednej bandy nicponiów. Nie jestem z waszej gliny; niedługo usłyszycie o mnie więcej.

(*Wychodzi*).

Sir Tobiasz. Czy być może?

Fabian. Gdybym coś podobnego widział na scenie, potępiłbym sztukę, jako wymysł niepodobny do prawdy.

Sir Tobiasz. Trucizna przeciekła do samego dna jego duszy.

Marya. W pogoń za nim, żeby trucizna nie straciła mocy na wolnem powietrzu.

Fabian. Aleć on gotów naprawdę owaryować.

Marya. Tem spokojniej będzie w domu.

Sir Tobiasz. Idźmy! Zamknijemy go w ciemnicy i zwiążemy. Moja synowica jest już przekonana, że owaryował, możemy więc rzecz przeciągnąć, jemu na karę, a nam na rozrywkę, aż zmęczeni zabawą ulitujemy się nad nim, stawimy cię u krętek i uwieczymy jako wyanalazyczny waryatów. Ale patrzcie, patrzcie!

(*Wchodzi Sir Andrzej Chudogębski*).

Fabian. Nowa zabawa na majówkę.

Sir Andrzej. Przynoszę wyzwanie; odczytaj; możesz mi wierzyć, że mu nie zbywa ani na occie, ani na pieprzu.

Fabian. Czy tak zapalczywe?

Sir Andrzej. Bądź spokojny; sam zobaczysz; odczytaj tylko.

Sir Tobiasz. Pokaż. *(Czyta)*. »Młodziku, ktokolwiek jesteś, jesteś tylko urwis i nic więcej«.

Fabian. Dobrze i walecznie.

Sir Tobiasz *(czyta)*. »Niech cię to nie dziwi i nie zdumiewa, że cię tak kwalifikuję, bo ci nie powiem dlaczego«.

Fabian. Chwalebna ostrożność, która cię zaślania od wszystkich prawnych kruczków.

Sir Tobiasz *(czyta)*. »Przychodzisz do hrabianki Oliwii, a ona w moich oczach uprzejmie cię traktuje; ale jak pies szczekasz, bo nie dlatego cię wyzywam«.

Fabian. Krótko, ale doskonale nie do sensu!

Sir Tobiasz *(czyta)*. »Zaczaję się na ciebie, jak będziesz wracał do domu, jeśli ci się uda zabić mnie«...

Fabian. Dobrze!

Sir Tobiasz *(czyta)*. »Zabijesz mnie jak łotr i opryszek«.

Fabian. Doskonale! zawsze trzymasz się pod wiatr od prawa; doskonale!

Sir Tobiasz *(czyta)*. »Bądź zdrow! a niech Bóg będzie miłosierny dla jednej z dusz naszych! Może to dla mojej, ale mam lepsze nadzieje; miej się więc na baczności. Twój przyjaciel, jak zastugujesz, a twój przysięgły nieprzyjaciel,
Andrzej Chudogębski«.

Sir Tobiasz. Jeśli go ten list nie poruszy, to chyba, że nóg nie ma. Wręcę mu go.

Marya. Doskonała nastęrcza się do tego sposobność; młodzik konferuje właśnie teraz z moją panią i wyjdzie za chwilę.

Sir Tobiasz. Dalej, panie Jędrzeju, czatuj na niego na rogu ogrodu, jak żandarm, a jak tylko go zobaczysz, doładź szerpenty, a dobywając klnij, jak bisurmanin, bo zdarza się nieraz, że straszne klęcia, z różnym wypłute akcentem, uchodzą za lepsze świadectwo waleczności, niż najniewątpliwsze dowody. Ruszaj!

Sir Andrzej. Jeśli tylko chodzi o klęcie, możesz na mnie rachować. *(Wychodzi)*.

Sir Tobiasz. Po namyśle, nie oddam tego listu. Postępowanie tego młodzika dowodzi, że mu nie zbywa na

sprycie i wychowaniu; pośredniczenie między jego panem a moją synowicą nowym jest tego dowodem. List ten, takie zdradzający nieuctwo, nie przestraszy go wcale, bo pozna, że pisał go bałwan. Ale wyzwę go ustnie; będę mu prawitł niestworzone rzeczy o waleczności Sir Andrzeja Chudogębskiego, a korzystając z młodych lat mojego szlachcica, potrafię łatwo dać mu najstraszniejsze wyobrażenie o jego wściekłości, szermierskiej sztuce, zapalczywości i krewkości, a to tak obu ich przestraszy, że spojrzaniem zabije jeden drugiego, jak bazyli szek. *(Wchodzą Oliwia i Wiola)*.

Fabian. Zbliża się z twoją synowicą. Czekaj, póki jej nie pożegna, a potem dalej na niego!

Sir Tobiasz. Tymczasem wykoncypuję jakie przestraszające wyzwanie. *(Wychodzą Sir Tobiasz, Fabian i Marya)*

Oliwia. Zbyt wiele, z krzywdą mojego honoru, Do kamiennego mówiłam już serca.

Głos mnie wewnętrzny za ten błąd mój karci;
A jednak, błąd ten w sercu tak potężny,
Że się z przymówek i nagany śmieje.

Wiola. Tą samą drogą, co twoja namiętność,
Pana mego idą także smutki.

Oliwia. Przyjmij ten klejnot; portret mój tam znajdziesz;

Nie ma języka, dręczyć cię nie będzie,
Więc nie odmawiaj; noś go przez wzgląd na mnie.

Wróć jutro; proś mnie, o co tylko zechcesz,
Otrzymasz wszystko, na co będę mogła
Bez krzywdy mego honoru przyzwolić.

Wiola. Pani, jedynie proszę cię o miłość
Dla pana mego.

Oliwia. To, co tobie dałam,
Dać mu nie mogę bez ujmy honoru.

Wiola. Przebaczę wszystko.

Oliwia. Powróć tylko jutro.

Pod twą postacią, szatan, wyznać muszę,
Do piekła z sobą powiodłby mą duszą.

(Wychodzi. Wchodzą Sir Tobiasz i Fabian).

Sir Tobiasz. Bóg z tobą, młody szlachcicu.

Wiola. I z tobą, mój panie.

Sir Tobiasz. Jeśli masz broń jaką, chwyć ją do ręki. Jaką wyrządziłeś mu krzywdę, nie wiem, ale twój wróg, zajądły, chciwy na krew jak strzelec, czeka cię na końcu

ogrodu. Dobądź szabli, przygotuj się żwawo, bo twój napastnik dziarski, ćwiczony i niebezpieczny.

Wiola. Jestem pewny, że się mylisz, mój panie. Z nikim nie mam kłótni, a darmo szukam w pamięci obrazu krzywdy komukolwiek wyrządzonej.

Sir Tobiasz. Wkrótce się o twoim błędzie przekonasz, damę ci słowo. Jeśli więc do życia jaką cenę przywiązujesz, miej się na baczności, bo twój nieprzyjaciel ma wszystko, co może dać człowiekowi młodość, siła, ćwiczenie i wściekłość.

Wiola. Powiedz mi, proszę, kto to?

Sir Tobiasz. Jest to rycerz nieposiekanego rapira, rycerz drążkowy¹⁾, ale wcielony dyabeł w prywatnej burdzie; trzy już dusze rozwiódł z trzema ciałami, a zapalczliwość jego jest w tej chwili tak nieubłagana, że niema innej dla niego satysfakcyi jak śmierć i trumna. Bij, zabij! to jego hasło; jeden z was musi zdrzeć nogi.

Wiola. Wróć więc do domu i będę prosił panią o eskortę. Nie jestem zawadyaka. Słyszałem, że są ludzie, którzy kłótni szukają, aby swoje męstwo pokazać; być może, że to jest człowiek tego kalibru.

Sir Tobiasz. Bynajmniej, jego oburzenie jest skutkiem krzywdy niewątpliwej; idź więc i daj mu należną satysfakcyę. Nie myśl o reje radzie do domu, jeśli nie chcesz mieć ze mną do czynienia, bo ci to wyjdzie na jedno, jak z nim się rozprawić. Więc naprzód! albo dobądź szerpenty, bo musisz się złożyć, lub inaczej wyrzec się na zawsze oręża.

Wiola. Sprawa to tak dziwna, jak niegrzeczna. Proszę cię, zrób mi tę łaskę, zapytaj rycerza, w czym go obraziłem; to musi być jaka z mojej strony omyłka, bo wierzę mi, nie było złej chęci.

Sir Tobiasz. Zrobię chętnie, o co prosisz. Panie Fabianie, zostań przy tym szlachcicu, póki nie wróć. (*Wychodzi*).

Wiola. Powiedz mi, proszę, mój panie, czy wiesz co o tej sprawie?

Fabian. Wiem, że rycerz ma śmiertelną do ciebie urazę, ale nie wiem powodów.

Wiola. Co to za człowiek?

¹⁾ Rycerzy spokojnego powołania (sędziów, merów, doktorów) nazywano *carpet-knights*, rycerzami drążkowymi, dla odróżnienia od rycerzy pasowanych na placu boju.

Fabian. Nie powiedziałbyś, sądząc z miny, że tak waleczny, jak się o tem przekonasz niebawem, ale możesz mi wierzyć, że to najbieglejszy, najkrwawszy, najmniejbezpieczniejszy nieprzyjaciel, jakiego mógłbyś znaleźć w całej Illiryi. Czy chcesz pójść ze mną do niego? Zrobię, co będzie można, aby was pogodzić.

Wiola. Będę ci za to nieskończony obowiązany, mój panie. Należę do liczby ludzi, którzy chętniej przestają z księdzem, niż rajtarem. To najmniejsza moja troska, co mogą myśleć ludzie o mojej odwadze.

(*Wychodzą. Wchodzą Sir Tobiasz i Sir Andrzej*).

Sir Tobiasz. Toć to wcielony dyabeł, człowieku; jak żyję, nie widziałem takiego zawadyaka. Próbowałem się z nim na rapiry, na pałasze, na wszystko; każdy jego sztych był nieomylny, a w odwecie prowadził rękę z taką pewnością, z jaką ty stawiasz na ziemi twoje nogi. Powiadają, że był fechtmistrzem na dworze wielkiego Sofi.

Sir Andrzej. A do kroćset beczek! Nie chcę z nim mieć do czynienia.

Sir Tobiasz. Ale on teraz ani chce słyszeć o zgodzie, Fabian ledwo go tam może utrzymać.

Sir Andrzej. Do kroćset batalionów! Gdybym był myślał, że tak jest waleczny i tak ćwiczony w szermierce, wprzódbym go był na złamanie szyi wyprawił, nimby go wyzwał na rękę. Namów go, żeby całą tę sprawę puścił mimo, a ja mu dam mojego konia, mojego siwosza Kapileta.

Sir Tobiasz. Zrobię mu ten wniosek. Czekaj tu na mnie; nastroj tylko minę, a skończymy wszystko bez krwi rozlewu. (*Na str.*). Czekaj tylko, a wsiałę na twojego konia, jak wsiałem na ciebie. (*Do Fabiana, który wchodzi z Wiolą*). Daje mi konia, żeby tę sprawę zafagodzić; wmówiłem w niego, że wcielony dyabeł z tego młodzika.

Fabian. On równie straszne ma o nim wyobrażenie; zięje, błednieje, jakby mu już nad karkiem niedźwiedz stawał drabinę.

Sir Tobiasz (*do Wioli*). Niema lekarstwa, panie, chce gwałtem bić się z tobą, żeby dotrzymać przysięgi. Po namyśle jednak przekonał się, że cała ta kłótnia nie warta torby sieczki; dobądź więc szabli tylko dla formy,

żeby danego słowa nie pogwałcił, a on zaręcza, że cię nie draśnie.

Wiola (*na str.*). Panie, zmiłuj się nade mną! Mało trzeba, abym im wyznała, jak wiele mi brakuje, żebym była mężem.

Fabian (*do Wioli*). Jeśli będzie zbyt natarczywie nacierał, rejteruj.

Sir Tobiasz (*do Sir Andrzeja*). Dalej, panie Jędrzeju, niema lekarstwa. Szlachcic ten chce dla honoru zmierzyć się z tobą, to mu nakazują prawa pojedynku; przyrzekł mi jednak na szlacheckie i żołnierskie słowo, że nic złego ci nie zrobi. Dalej więc, do korda!

Sir Andrzej. Daj Boże, aby dotrzymał przysięgi!

(*Dobywa szablę. Wchodzi Antonio*).

Wiola. Daję słowo, że robię to mimo woli.

(*Dobywa szablę*).

Antonio. Stój! Jeśli młody szlachcic ten cię skrzywdził,

Ja ci za jego odpowiedź obrazę;

Jeśli z twej strony wina, to za niego

Ja cię wyzywam. (*Dobywa szablę*).

Sir Tobiasz. Ty? a kto ty jesteś?

Antonio. Jestem ten, który dla jego miłości
Więcej dokona, niżli on mógł grozić.

Sir Tobiasz. Skoro się cudzych kłótni podejmujesz, jestem na rozkazy. (*Dobywa szablę*).

(*Wchodzą dwaj żandarmi*).

Fabian. Stój! stój! panie Tobiaszu. Czy widzisz zbliżających się żandarmów?

Sir Tobiasz (*do Antonia*). Co się odwlecze, to nie uciecze.

Wiola (*do Sir Andrzeja*). Proszę cię, włóż szablę do pochwy.

Sir Andrzej. Bardzo chętnie. A co do obietnicy, bądź spokojny, dotrzymam słowa; lekkiego ma kłusa i w pysku nie twardy.

Pierwszy Żandarm. To on; dopełń twojej powinności.

Drugi Żandarm. Wskutek rozkazów hrabiego Orsyna, Więźniem mym jesteś.

Antonio. Pewno przez omyłkę

Bierzesz mnie, panie, za kogo innego.

Pierwszy Żandarm. Niema tu myłki, znam dobrze twe rysy, Choć nie masz czapki majtka na twej głowie.

Wiedz go do turmy; on wie doskonale,

Że znam go dobrze.

Antonio. Trudno się opierać.

Szukałem ciebie, znalazłem więzienie;

Niema lekarstwa; poddaję się losom.

Co teraz poczniesz? Konieczność mnie zmusza,

Abym cię prosił o zwrot mojej kieski.

Mniej ubolewam nad własną niedolą,

Niż nad tem, że ci pomódz już nie mogę.

Stoisz jak wryty, nie trać jednak serca.

Drugi Żandarm. Idźmy!

Antonio. Raz jeszcze prośbę mą powtarzam,

Choć drobną cząstkę daj mi tych pieniędzy.

Wiola. Jakich pieniędzy? Za szlachetną pomoc

Przez wzgląd na twoje obecne kłopoty,

Którą w potrzebie nieść mi zamierzałeś,

Chętnie z mych szczupłych pożyczam ci skarbów;

Skarb to niewielki, lecz się podzielimy;

Weź, to połowa mojej jest szkatuły.

Antonio. Jakto? więc pragniesz wszystkiemu zaprzeczyć?

O, nie kuś, proszę, nie kuś mej niedoli,

Bym się do tego nie poniżył stopnia,

Żebym ci mnogie przyjaźni dowody

Wyrzucać musiał.

Wiola. Nie znam tych dowodów,

Jak rysów twoich, głosu twego nie znam.

Ja więcej duszą niewdzięczną się brzydzę,

Niż kłamstwem, pychą, pijaństwem, junactwem,

Niż jakąkolwiek wadą, co swym jadem

Zatruwa słabe w piersiach ludzkich serce.

Antonio. O, wielki Boże!

Drugi Żandarm. Idźmy, bo czas nagli.

Antonio. Pozwól mi jedno słowo jeszcze dodać:

Młodzieńca, który przed wami tu stoi,

Wyrwałem z paszczy śmierci własną ręką,

Świętej miłości otoczyłem strażą,

Postaci jego oszukany wdziękiem,

Która się zdała cnotę zapowiadać.

Pierwszy Żandarm. Nic nam do tego. Idźmy, czas mój [drogi.

Antonio. W jak szpetne bóg się przemienił bożyszczce!

O, Sebastyanie, niegodnym postępkiem

Zadajesz kłamstwo pięknemu obliczu!

Szpetność jedynie w duszy jest człowieka,

Z niewdzięcznej twarzy uroda ucieka:

Zły a urodny, to szafa drewniana,
Dyabelską ręką pięknie wyrzynana.

Pierwszy Żandarm. Człek ten szaleje; prowadź go co
[prędzej!]

Antonio. Posłuszny pójdę, gdzie rozkażesz.
(*Wychodzi Antonio z Żandarmami*).

Wiola. Człowiek ten z taką mówił namiętnością,
Że niewątpliwie własnym wierzy słowom,
Choć ja nie mogę. O! moje przeczucia,
Bodaj was raczył sprawdzić Bóg litosny,
Że on za ciebie wziął mnie, drogi bracie!

Sir Tobiasz. Zbliź się, panie Jędrzeju, i ty także, Fabianie,
mam wam coś mądrego na ucho powiedzieć.

Wiola. Wszak Sebastyana nazwał mnie imieniem;
Ja brata mego jestem powtórzeniem,
Ubiór jednaki, jednakowa postać;
Chciałam we wszystkim podobną mu zostać.
Więc miłosierne morskie są bałwany,
I litość mogą uczuć uragany.

(*Wychodzi*).

Sir Tobiasz. Podły to i nieuczciwy wyrostek, a tchórz-
liwszy od zająca. Nieuczciwości swojej dowiódł, gdy
w naszych oczach przyjaciela opuścił w potrzebie,
i wyrzekł się jego znajomości; a co do jego tchórz-
stwa, zapytaj się tylko Fabiana.

Fabian. Tchórz, tchórz najpobożniejszy, bo tchórzostwo
jego jest religią.

Sir Andrzej. A poczekaj! Biegnę za nim i porządnie mu
kijem grzbiet wyłożę.

Sir Tobiasz. Bij, nie żałuj ręki, szabli tylko nie do-
bywaj!

Sir Andrzej. Jeśli tego nie zrobię...

(*Wychodzi*).

Fabian. Śpieszmy za nim; zobaczymy, jak się to skończy.

Sir Tobiasz. O zakład, że wszystko skończy się na niczem.
(*Wychodzą*).

AKT CZWARTY.

SCENA I.

Ulica przed domem Oliwii.

(*Wchodzi Sebastian i Pajac*).

Pajac. Chcesz więc we mnie wmówić, że to nie po ciebie
mnie posłano?

Sebastyan. Widzę, że nie masz do zbycia rozumu,
Odczep się, proszę.

Pajac. A w to mi graj, paniczu! Nie, ja cię nie znam,
i nie do ciebie wyprawiła mnie pani, żeby cię do niej
wezwać, bo ma ci coś do powiedzenia; i twoje imię
nie jest Cezaryo, i to nie jest mój nos, bynajmniej,
i wszystko co jest, nie jest, ani wątpliwości.

Sebastyan. Komu innemu idź ziej twe błazeństwa;
Nie znasz mnie wcale.

Pajac. Ziej twe błazeństwa! Słyszał zapewne wyraz od
jakiego wielkiego człowieka i stosuje go teraz do bła-
zna. Ziej twe błazeństwa! Boję się bardzo, żeby świat,
ten wielki wałkoń, nie wystrychnął się na gapia. Pro-
szę cię teraz, odpasz twoje dziwactwo, a powiedz mi,
co mam zionąć mojej pani: czy jej zionę, że przy-
dziesz?

Sebastyan. Odczep się, proszę, głupowaty Greku;
Przyjmij ten darek, idź, lub ci zapłacę
Gorszą monetą.

Pajac. Na uczciwość, paniczu, otwartą masz rękę. Mądry
ludzie, co dają głuptasom pieniądze, przychodzą do
dobrej sławy w czternastym roku po zapłacie.

(*Wchodzi Sir Andrzej, Sir Tobiasz i Fabian*).

Sir Andrzej. Ha, spotkałem cię nakoniec! Przyjmij to ode
mnie w prezencie. (*Uderza go*).

Sebastyan. Prezent za prezent, a i to w przydatku.
To kraj waryatów. (*Bije Sir Andrzeja*).

Sir Tobiasz. Stój, mości panie, albo twój sztylet przez dach
przerzucę!

Pajac. Idę natychmiast wszystko to pani opowiedzieć.
W żadnego z nich skórze bychym nie chciał, choćby
za trojaka. (*Wychodzi*).

Sir Tobiasz (*zatrzymując Sebastyaną*). Dość tego, paniczu, stój!

Sir Andrzej. Nie, daj mu pokój, mam ja inny na niego sposób. Wytoczę mu proces o pobicie i gwałty, jeśli są jeszcze prawa w Illiryi. Choć pierwszy uderzyłem, nic to nie znaczy.

Sebastyan. Puść mnie!

Sir Tobiasz. Nie, nie puszczę. Młody panie żołnierzu, tęga z ciebie sztuka, ale dość tego.

Sebastyan. Puść mnie! Lub jeśli dłużej chcesz mnie kusić, Dobądź twej szabli. Powiedz, czego żądasz?

(*Dobywa szabli*).

Sir Tobiasz. Skoro chcesz koniecznie, muszę ci upuścić parę uncyi twojej krwi gorącej.

(*Dobywa szabli. Wchodzi Oliwia*).

Oliwia. Stój, Tobiaszu! Jeśli cenisz twoje życie, rozkazuję ci, stój!

Sir Tobiasz. Pani!

Oliwia. Zawszeż tak będzie? Surowy prostaku, Godny w jaskiniach dzikich mieszkac ludzi, Gdzie nikt nie słyszał słowa przystojności, Precz z moich oczu! Przebac mi, Cezaryo! Precz mi stąd, gburze!

(*Wychodzą Sir Tobiasz, Sir Andrzej i Fabian*).

Dobry przyjacielu,

Słuchaj rozumu, a nie namiętności

W tej na twój pokój napaści szalonej.

Chodź tylko ze mną; opowiem ci w domu

Tego prostaka tysiące wybryków,

Byś wszystko przyjął z uśmiechem pogardy.

Chodź tylko ze mną; nie możesz odmówić.

Szablę, co podniósł na ciebie morderca,

Skierował także do mojego serca.

Sebastyan. Cóż to za ziemia? Co się ze mną dzieje?

Czy słodko marzę? czy słodko szaleję?

Kapany w falach zapomnienia rzeki,

Jeśli to sen jest, niech marzę na wieki!

Oliwia. Chodź! Czy na moje zgodzić się chcesz zdanie?

Sebastyan. O, chętnie, chętnie!

Oliwia.

Chodź! niech się tak stanie!

(*Wychodzą*).

SCENA II.

Pokój w domu Oliwii.

(*Wchodzi Marya i Pajac*).

Marya. Proszę cię, włóż tę rewerendę i przyczep tę brodę; wmów w niego, że się nazywasz Topas, że jesteś plebanem; śpiesz się tylko, ja tymczasem zawołam pana Tobiasza. (*Wychodzi*).

Pajac. Przebiorę się więc w rewerendę, a dałby Bóg, że- bym był pierwszym w niej pajacem! Nie jestem dość otyły, żeby mej godności jak należy odpowiedzieć, ani dość chudy, żeby ujść za uczonego; ale pocziwim być człkiem i dobrym ojcem rodziny, to tytuł tak dobry, jak imię przebiegłego męża i doskonałego klasyka. Ale zbliżają się sprzymierzeńcy.

(*Wchodzi Sir Tobiasz i Marya*).

Sir Tobiasz. Niech ci Jowisz błogostawi, księżę plebanie!

Pajac. *Bonos dies*, panie Tobiaszu; bo jak stary pustelnik praski, który nigdy ani pióra ani atramentu nie widział, bardzo dowcipnie powiedział synowicy króla Gorboduka, że to co jest, jest, tak ja, który jestem plebanem, jestem plebanem, bo cóż jest to, jeśli nie to, a co jest, jeśli nie jest?

Sir Tobiasz. Przemów do niego, mości Topasie.

Pajac. Hej tam, ho! Pokój temu więzieniu!

Sir Tobiasz. Urwiesz wybornie udaje, doskonały urwiesz!

Malwolio (*za sceną*). Kto mnie woła?

Pajac. Książd pleban Topas przychodzi odwiedzić lunatyka Malwolia.

Malwolio. Księżę Topasie, księżę Topasie, dobry księżę Topasie, idź do mojej pani!

Pajac. Precz stąd, hiperboliczny szatanie! Czemu tak dręczysz tego człowieka? Czy nie możesz o niczem innym mówić jak o paniach?

Sir Tobiasz. Dobrze powiedziano, mości plebanie.

Malwolio. Księżę Topasie, nie widziała ziemia bardziej ode mnie pokrzywdzonego człowieka. Dobry księżę Topasie, nie myśl, żebym był waryatem. Zamknęli mnie w tej szpetnej ciemnicy.

Pajac. Wstydź się, nieuczciwy szatanie! Daję ci jak można najłagodniejsze nazwisko, bo należę do liczby tych po-

tulnych ludzi, co nawet do dyabła przemawiają z uprzejmością; i ty utrzymujesz, że dom ten jest ciemny?

Malwolio. Jak piekło, księżu Topasie.

Pajac. Ma jednak łąkowe okna, przejrzyste jak barykady, a kratki od strony południowo-północnej są jasne jak heban; żalisz się mimo tego na brak światła?

Malwolio. Nie jestem waryatem, księżu Topasie, i powtarzam, że izba ta jest ciemna.

Pajac. Mylisz się, szaleńcze, ja ci powiadam, że niema ciemności jak niewiadomość, w której bardziej zagrzałeś, niż w swojej mgle Egipcyanie.

Malwolio. Ja ci powiadam, że izba ta jest ciemna, jak niewiadomość, choćby niewiadomość była tak ciemna, jak piekło; ja ci także powiadam, że nie było człowieka bardziej ode mnie pokrzywdzonego. Nie jestem większym od ciebie waryatem, a na próbę zadaj mi, jakie chcesz, byle rozsądne pytanie.

Pajac. Co trzyma Pitagores o dzikim ptactwie?

Malwolio. Że dusza naszej prababki może przypadkiem w ptaku przemieszkiwać.

Pajac. A ty, co myślisz o jego zdaniu?

Malwolio. Szlachetniejsze mam wyobrażenie o ludzkiej duszy, i wcale nie pochwalam jego zdania.

Pajac. Bądź więc zdrow! Zostań w ciemnościach. Musisz wprzód podzielać zdanie Pitagoresa, nim przyznam ci rozum; musisz lękać się zabić cietrzewia, żeby nie wygonić duszy twojej prababki. Bądź zdrow!

Malwolio. Księżu Topasie, księżu Topasie...

Sir Tobiasz. Mój najrozkoszniejszy księżu Topasie!

Pajac. Widzisz, że w każdej wodzie mogę pływać.

Marya. Mógłbyś zrobić to samo bez brody i rewerendy; nie widzi cię.

Sir Tobiasz. Rozmów się z nim teraz naturalnym twoim głosem, a nie omieszkać donieść mi, jak go znalazłeś. Pragnę, żeby te figle skończyły się co prędzej. Chciałbym wypuścić go natychmiast, jeżeli to można zrobić bez niedogodności, bo synowica moja tak na mnie teraz zagniewana, że nie mogę bez niebezpieczeństwa posunąć tego żartu do ostateczności. Przyjdź za chwilę do mojej komnaty. (*Wychodzą Sir Tobiasz i Marya*).

Pajac (*Śpiewa*). »Przyjacielu, mów, przez Boga:

Jak się twa kochanka ma«.

Malwolio. Błazenku...

Pajac (*Śpiewa*). »Ma kochanka dla mnie sroga«.

Malwolio. Błazenku...

Pajac (*Śpiewa*). »Skąd jej przyszła srogość ta?«

Malwolio. Błazenku, słuchaj...

Pajac (*Śpiewa*). »Bo się w innym zakochała«.

Kto woła, hę?

Malwolio. Błazenku, jeśli wielką chcesz oddać mi usługę, przynieś mi świecę, pióro, atrament i papier, a jakim szlachcic, będę ci za to wdzięczny do śmierci.

Pajac. To ty, panie Malwolio?

Malwolio. Ja, dobry błazenku.

Pajac. Ach, dobry panie, z jakich powodów swoje pięć zmysłów straciłeś?

Malwolio. Błazenku, nie było człowieka jak ja pokrzywdzonego. Wierzaj mi, błazenku, jestem tak dobrze jak ty przy zmysłach.

Pajac. Tylko jak ja dobrze? Jesteś więc szalony bez wątpienia, nie masz więcej serca, niż błazen.

Malwolio. Zamknęli mnie w tym domu, trzymają mnie w tej ciemnicy, nasyłają na mnie księży, ośłów, robią wszystko, co mogą, żeby mi rozum odebrać.

Pajac. Daj baczność na to, co mówisz; ksiądz jest tu jeszcze. (*Głosem Topasa*). Malwolio, niech ci Bóg rozum przywróci! Uśnij, jeśli możesz, nie bzdurz darmo trzy po trzy.

Malwolio. Księżu Topasie...

Pajac (*głosem Topasa*). Nie gadaj do niego, dobry przyjacielu. (*Głosem naturalnym*). Kto, ja, panie? Ja do niego nie gadam. Bóg z tobą, dobry księżu Topasie. (*Głosem Topasa*). Co daj Boże, Amen. (*Głosem naturalnym*). Chętnie, mój panie, chętnie.

Malwolio. Błazenku, błazenku, błazenku, słuchaj tylko...

Pajac. Niestety, uzbrój się w cierpliwość! Co mówisz, panie? Łają mnie za to, że gadam do ciebie.

Malwolio. Dobry błazenku, przynieś mi tylko świecę i ćwiartkę papieru, a wierzaj mi, że jestem przy zmysłach tak dobrze, jak ktokolwiek w Illiryi.

Pajac. Bodaj to była prawda, mój panie!

Malwolio. Przysięgam ci, że jestem. Dobry błazenku, przynieś mi kałamarz, papier i świecę, a co napiszę, wręcz mojej pani; bądź pewny, że dostaniesz za to zapłatę, jakiej nigdy jeszcze bryftregier za przyniesienie listu nie dostał.

Pajac. Przyniosę ci, czego żądasz, ale powiedz mi szczerze, czy naprawdę owaryowałeś, czy tylko udajesz?

Malwolio. Wierzaj mi, jestem przy zmysłach; mówię ci prawdę.

Pajac. Nie, nie uwierzę waryatowi, póki jego mózgu nie zobaczę. Idę po świecę, papier i atrament.

Malwolio. Dobry błazenku, zapłacę ci sownie za tę usługę. Proszę cię, śpiesz się tylko.

Pajac (*Śpiewa*). Idę, lecę,

A z powrotem

Dam ci świecę.

Szybkim lotem

Jak w komedii stary grzech,

Co z drewnianą swą szabelką

Wpadł na scenę z furją wielką,

Straszy dyabła, że aż śmiech.

Ty tymczasem, mój kochany,

Gryź paznokcie zagniewany,

Mój dyabełku, bądź mi zdrów,

O przyjaźni dobrze mów!

(*Wychodzi*).

SCENA III.

Ogród Oliwii.

(*Wchodzi Sebastyan*).

Sebastyan. To jest powietrze, to jasne jest słońce,

Widzę i czuję perlę, dar jej ręki,

A choć to wszystko dziwne, niepojęte,

Nie jest szaleństwem. Ach, gdzież jest Antonio!

Próżnom go szukał w gospodzie pod Słoniem;

Był tam, lecz wyszedł, a jak mi mówiono,

Wyszedł do miasta, aby mnie tam szukać.

Radaby jego miała cenę złota;

Bo chociaż dusza, zmysłem na przekorę

Widzi w tem jakiś błąd lecz nie szaleństwo,

To przecież wielkość szczęścia niespodziana,

Tak wszystkie znane prześciga przykłady,

Żem gotów własnym oczom mym nie wierzyć,

Przyjść do otwartej wojny z mym rozumem,

Który się uparł i chce mnie przekonać,

Żem nie jest waryat, ona nie waryatka.

Trudno jest bowiem, ażeby szalona

Rządziła domem, załatwiała sprawy

Z taką rozwagą, taktem, łagodnością,

Jakiej sam byłem świadkiem w jej pałacu.

W tem wszystkim jakaś panuje ułuda.

Lecz widzę, że się pani do mnie zbliża.

(*Wchodzi Oliwia i Książę*).

Oliwia. Nie chcesz przyganiać memu pośpiechowi;

Jeśli uczciwe masz w tej duszy myśli,

Ze mną, z tym świętym chodź teraz kapłanem,

I tam w kaplicy, u stopni ołtarza,

Wieczną mi przysiąż wiarę, jak twej żonie,

Mojej zazdrosnej przywróc pokój duszy.

Ślub nasz dla świata będzie tajemnicą,

Póki rozgłosić sam go nie zapragniesz;

Gdy czas ten przyjdzie, wyprawim wesele,

Jakie przystoi memu urodzeniu.

Sebastyan. Idźmy! Przysięga, którą ci tam złożę,

W sercu mem wiecznie wyrta zostanie.

Oliwia. Na śluby nasze, modły tve, kapłanie,

Błogostawieństwo niechaj ściągną boże!

(*Wychodzą*).

AKT PIĄTY.

SCENA I.

Ulica przed domem Oliwii.

(*Wchodzi Pajac i Fabian*).

Fabian. Jeśli mnie kochasz, list mi jego pokaż.

Pajac. I ty z twojej strony, dobry panie Fabianie, daj mi dowód przyjaźni.

Fabian. Co tylko zechcesz.

Pajac. Nie nalegaj, abym ci list pokazał.

Fabian. To jakgdybyś mi psa darował, a potem prosił, żebym ci mojego psa dał w prezencie.

(*Wchodzi Książę, Wiola i Stuzba*).

Książę. Czy należycie do domu hrabiny Oliwii, przyjaciele?

Pajac. Tak jest, panie, jesteśmy częścią jej klejnotów.

Książę. O, znam cię dobrze. Jak się masz, poczcwiwce!

Pajac. Aby nie kłamać, mam się tem lepiej, dzięki moim nieprzyjaciołom, a tem gorzej, dzięki przyjaciółom.

Książę. Przeciwnie; tem lepiej, dzięki twoim przyjaciółom.

Pajac. Nie, panie, tem gorzej.

Książę. Jak to być może?

Pajac. Nic naturalniejszego, panie. Przyjaciele chwają mnie i robią ze mnie osła; gdy moi nieprzyjaciele wręcz mi powiadają, że jestem osłem; tak więc dzięki moim nieprzyjaciołom, przychodzę do poznania samego siebie, a słuchając moich przyjaciół, sam się oszukuję. Jeśli więc wnioski z rozumowania są jak całusy, gdzie cztery przeczenia stanowią dwa twierdzenia, powiem: tem gorzej dzięki moim przyjaciółom, a tem lepiej dzięki moim nieprzyjaciołom.

Książę. Doskonale!

Pajac. Nie, panie, choć ci się spodobało być jednym z moich przyjaciół.

Książę. Nie stracisz nic na mojej przyjaźni; weź tego dukata.

Pajac. Gdyby to nie zakrawało na dwuznaczność, pragnąłbym, panie, żebyś to mógł podwoić.

Książę. Złą dajesz mi radę.

Pajac. Schowaj twoją cnotę do kieszeni, mój panie, niech na ten raz słucha podszeptów krwi i ciała.

Książę. Niech i tak będzie; dopuszczę się na ten raz grzechu dwuznaczności; masz drugi.

Pajac. *Primo, secundo, tertio*, piękny to rachunek, a jak stare mówi przysłowie: trzeci płaci za wszystkich. *Triplex*, panie, skoczna to miara, a i dzwony świętego Benedykta powtórzą ci także raz, dwa, trzy.

Książę. Na teraz nie wyłudźsz więcej ode mnie. Jeśli jednak powiesz twojej pani, że czekam tu na nią i pragnę z nią mówić, i jeśli ją tu przyprowadzisz, kto wie, czyli to znowu mojej wspaniałomyślności nie obudzi.

Pajac. Więc dobranoc twojej wspaniałomyślności, panie, aż do mojego powrotu! Idę, panie, nie chciałbym jednak, abyś myślał, że moja chęć nabytku jest grzechem łakomstwa; ale, jak sam powiadasz, niech twoja wspaniałomyślność utnie szpaka, obudzę ją niebawem.

(*Wychodzi. Wchodzi Antonio pod strażą.*)

Wiola. Oto jest człowiek, który mnie ocalił.

Książę. Pamiętam dobrze rysy jego twarzy.

Gdy ją ostatni jednak raz widziałem,
Jak wulkan, czarna była dymem wojny;
Małego statku był on kapitanem.

Łódź, jak orzecha łupina z pozoru,
Z pierwszą mej floty mierzyla się nawą,
A straty moje, zazdrość nawet sama
Sławę jej wodza głosiły przed światem. —
O co tu idzie?

Pierwszy strażnik. Książę mój i panie,

To jest Antonio, co zabrał Fenixa,
W powrocie z Kandyi, z bogatym ładunkiem,
Wpadł na Tygrysa, a przy abordażu
Utracił nogę Tytus, twój synowiec;
Tu, na ulicy, zuchwały bezwstydnik
W prywatnej burdzie dostał się nam w ręce.

Wiola. Człowiek ten wielką oddał mi usługę,

Dobyl oręża dla mojej obrony,
Choć później prawil rzeczy niepojęte,
Które budziły we mnie myśl szaleństwa.

Książę. Ha! słonej wody złodzieju, korsarzu,
Jak mogłeś liczyć na tych miłosierdzie,
Których nienawiść krwiąś ich kupił drogą?

Antonio. Pozwól mi, panie, odrzucić nazwisko,

Które mi dajesz; nie, nigdy Antonio
Ani korsarzem, ani był złodziejem,
Choć, nie zaprzeczam, dla słusznych powodów
Musiał być wrogiem hrabiego Orsyna.

Czary mnie jakieś przyciągnęły tutaj.
Niewdzięczny młodzik, co przy tobie stoi,
Mnie winien życie, jam go wyratował

Z pniącej paszczy szalonego morza,
Dałem mu życie, miłość mą dodałem
Szczera, zupełną, bezinteresowną;
Dla niego głowę mą na szwank stawiłem,
Nieprzyjacielskie nawiedzając miasto;
W jego obronie szabli mej dobyłem,

A kiedy twoje pojmały mnie strażę,
On, by nie dzielić moich niebezpieczeństw,
Mej znajomości przebiegle się wyrzekł,
I w mgnieniu oka tak został mi obcy,
Jakby nie widział mnie od lat dwudziestu,

Nie chciał mi nawet sakiewki mej zwrócić,
Którą mu dałem, pół temu godziny.

Wiola. Jak to być może?

Książę. Jak dawno tu przybył?

Anonlo. Przybył tu dzisiaj, lecz od trzech miesięcy

W mem towarzystwie dnie i noce pędził,

I nie opuścił mnie na jedną chwilę.

(Wchodzi Oliwia i Służba).

Książę. Widzę hrabiankę; anioł zbiegł na ziemię.

Lecz co do ciebie, w każdym twojem słowie

Widać szaleństwo, bo od trzech miesięcy

W mej służbie młodzian ten na mym jest dworze.

Lecz później o tem: weźcie go na stronę!

Oliwia. Na służby moje zawsze rachuj, książę,

Jeśli w mej mocy spełnić twe rozkazy. —

Cezaryo, czemuś słowa nie dotrzymał?

Wiola. Pani...

Książę. Oliwio...

Oliwia. Co mówisz, Cezaryo?

Dobry mój panie...

Wiola. Pan mój chce coś mówić,

Powinność każe milczeć mi na teraz.

Oliwia. Jeśli ta piosnka na starą jest nutę,

To pieśń ta w uszach tak twardo brzmi moich,

Jak po muzyce wycie.

Książę. Zawsze sroga?

Oliwia. Nie, zawsze wierna.

Książę. Własnej przewrotności.

Okrutna pani, na której ołtarzu

Dusza ma wierne paliła ofiary

Dla okrutnego, niewdzięcznego bóstwa,

Mów, co mam robić?

Oliwia. Co ci się podoba,

Co twej książęcej przystoi godności.

Książę. Czemużbym nie miał w śmierci mej godzinie,

Gdybym miał serce jak egipski złodziej,

Zabić, co kocham? Okrutna to zazdrość,

Ale ma jakieś szlachetności piętno.

Śłuchaj, co zrobię, skoro twa oziębłość

Z pogardą moje odrzuca ofiary,

Gdy wiem po części, co mnie w twojem sercu

Z przynależnego mi ruguje miejsca.

Ty żyj, tyranko, z sercem twem kamiennem,

Lecz tego gaszka, którego tak kochasz,
Który, Bóg świadkiem, i dla mnie jest drogi,

Ta ręka wyrwie z okrutnych twych oczu,

W których króluje na przekór mej woli.

Pójdź ze mną, chłopcze, w myśli mej grzech dojrzał;

Niech krucze serce w gołębiczy łonie

To, co ja, cierpi po baranka zgonie.

(Chce odejść).

Wiola. A mnie i tysiąc śmierci nie zasmuci,

Jeśli twej duszy mój zgon pokój wróci.

(Chce iść za nim).

Oliwia. O, stój! Gdzie idziesz?

Wiola. Za drogim mi panem,

Bo on mi droższy nad moje źrenice,

Nad wszystkie świata całego dziewice,

A jeśli kłamię, niebieskie potęgi,

Wymażcie imię me z żyjących księgi!

Oliwia. On mnie nie kocha! O, ja oszukana!

Wiola. Kto śmiał cię, pani, skrzywdzić, śmiał ci kłamać?

Oliwia. Mógłżeś tak prędko słowo dane złamać? —

Przywołał księdza.

(Wychodzi Sługa).

Książę *(do Wioli)*. Idź za mną bez zwłoki.

Oliwia. Cezaryo! mężu! Książę, wstrzymaj kroki!

Książę. Mężu?

Oliwia. Czy temu przeczyłby się ważył?

Książę. Jesteś jej mężem?

Wiola. Anim o tem marzył.

Oliwia. Nikczemna trwoga zatyka ci usta;

Ale się pokaż fortuny twej godnym,

Bądź tem, czem jesteś, a będziesz tak wielkim,

Jak ten, przed którym drżysz teraz nikczemnie.

(Wchodzi Sługa z Księdzem).

O, witaj, ojcze! Zbieg okoliczności

Zmusza mnie, ojcze, wyjawić przed czasem,

Co tajemnicy chciałam okryć płaszczem.

Więc na twe święte wzywam cię kapłaństwo,

Opowiedz wszystko, co z twą zaszło wiedzą

Między mną, ojcze, między tym młodzianem.

Ksiądz. Ślub uroczysty, ślub wiecznej miłości,

Wzajemnem ręki podaniem stwierdzony,

Świętym całunkiem przypieczętowany,

I waszych ślubnych obrzączek wymianą.

- Odkądem aktu tego ceremonię
 Uświęcił moją kapłańską powagą,
 Lewo mi zegar dwa razy powiedział,
 Żem się do grobu o dwie godzin zbliżył.
Książę. Obludne szczenię, ach, co z ciebie będzie,
 Kiedy czas włosy twe przyprószy śniegiem!
 Lecz może, może po czasie niedługim,
 Sam wpadniesz w dołki, które kopiesz drugim.
 Weź ją, lecz uchodź za ziem tych granice,
 Gdzie cię me nigdy nie ujrzą żrenice.
Wiola. Niebo mi świadkiem...
Oliwia. Bój się niebios kary;
 Śród morza trwogi, miej choć kroplę wiary.
(Wchodzi Sir Andrzej z zakrwawioną głową).
Sir Andrzej. Przez miłość Boga, zawołajcie doktora! Przy-
 ślijcie mi co prędzej pana Tobiasza.
Oliwia. Co się to znaczy?
Sir Andrzej. Potrzaskał mi czaszkę, a i panu Tobiaszowi
 dał się także we znaki. Przez miłość Boga, ratujcie
 mnie! Wolałbym teraz być w domu, niż mieć czter-
 dzieści talarów w kieszeni.
Oliwia. Kto to zrobił, panie Jędrzeju?
Sir Andrzej. Paź hrabiego, niejaki Cezaryo; wzięliśmy go
 za tchórze, a to był dyabeł wcielony.
Książę. Mój paź, Cezaryo?
Sir Andrzej. Do kroćset beczek, to on jest! Strzaskałeś
 mi czaszkę za nic, bo com zrobił, to zrobiłem na pod-
 szczuwania pana Tobiasza.
Wiola. Nigdy nic złego nie zrobił ci, panie;
 Dobyłeś na mnie szabli bez powodu,
 Lecz ja cię dobrem słowem odprawiłem,
 Bez żadnej krzywdy.
Sir Andrzej. Jeśli potrzaskać komu czaszkę nie jest krzy-
 wdą, to mnie nie pokrzywdziłeś. Zdawałoby się, że
 potrzaskać czaszkę niczem nie jest w twoich oczach.
(Wchodzi Pajac, prowadząc pijanego pana Tobiasza).
 Ale zbliża się pan Tobiasz kulejąc, dowiecie się od
 niego więcej. Gdyby nie był pijany, byłby ci inaczej
 boki pojechał.
Książę. Co tam nowego, panie Tobiaszu, jak się masz?
Sir Tobiasz. Wszystko mi jedno — rąbnął mnie i na tem
 koniec. Błaźnie, czy widziałeś doktora Rysia, błaźnie?

- Pajac.** Pijany, jak sztok, panie Tobiaszu, od godziny; już
 o ósmej rano białkiem mu zaszczyły oczy.
Sir Tobiasz. To łotr z niego wierutny. Po menuecie i po-
 lonezie, brzydę się najbardziej pijakiem.
Oliwia. Odprowadźcie go. Kto im się tak przysłużył?
Sir Andrzej. Ja ci pomogę, panie Tobiaszu, bo razem nas
 opatrzą.
Sir Tobiasz. Ty mi pomożesz, dardański ośle? ty kpie, ty
 kapcanie? Ty mi pomożesz, wymoczek? ty gąsiątko?
Oliwia. Poprowadź go do łóżka, a dopilnuj, żeby go do-
 ktor opatrzył.
*(Wychodzi Pajac, Sir Tobiasz i Sir Andrzej. Wchodzi Se-
 bastyan).*
Sebastyan. Żal mi, żem twego porąbał krewnego!
 Lecz gdyby bratem moim był rodzonym,
 Dla mej obrony musiałbym to zrobić.
 Dziwne spojrzenie, które na mnie rzucasz,
 Świadczy, że jesteś na mnie zagniewana.
 Przebac mi, droga, przez wzgląd na te śluby,
 Które przed chwilą z tobą wymienilem.
Książę. Twarz jedna, jeden głos, a dwie osoby,
 Złudzenie oczu, które jest i nie jest!
Sebastyan. O, mój Antonio, drogi mój Antonio,
 Jak mi bolesną każda była chwila,
 Gdy cię straciłem!
Antonio. To ty, Sebastyanie?
Sebastyan. Czy cię to smuci?
Antonio. Jakże się zdwoiłeś?
 Dwie te istoty podobniejsze sobie,
 Niż dwie połowy rozciętego jabłka.
 Któryż Sebastyan?
Oliwia. Cuda niepojęte!
Sebastyan. Czy ja tam stoję? Nigdy nie miał brata;
 Nie jestem bóstwem, nie posiadam daru
 Wszechobecności. Miałem jedną siostrę,
 Którą połknęły szalejące fale.
(Do Wioli). Przez litość, jesteś jakim krewnym moim?
 Twe imię? dom twój? Kto twoi rodzice?
Wiola. Jestem z Metliny, mym ojcem Sebastyan,
 Sebastyan także brata mego imię,
 Jak ty ubrany, w mokrym zasnął grobie;
 Jeśli duch może wziąć ciało i szaty,
 Aby nas straszyć, ty jesteś tym duchem.

Sebastyan. Tak, jestem duchem, obieczonym glina,
Ziemskości szata, w łonie mojej matki.
Z pozorów sądząc, gdybyś był niewiastą,
Łzami radości twarzbym twoją oblał,
I wołał: witaj! po trzykroć mi witaj,
Siostró Wiolo! siostró utopiona!

Wiola. Mój ojciec znak miał na czole.

Sebastyan. Mój także.

Wiola. A w dniu tym umarł, w którym lat trzynaście
Miała Wiola.

Sebastyan. Pamiętna mi data!
Tak, prawda, skończył śmiertelny swój zawód,
Ody lat trzynaście siostra ma skończyła.

Wiola. Jeśli do szczęścia naszego zawadą
Tylko ten męski ubiór przywłaszczony,
Nie oddaj wprzódy siostrze twej uścisku,
Póki nie powiesz po ścisłej rozwadze
Czasu i miejsca, wydarzeń, wszystkiego,
Żem jest Wiolą. Na dowód, w tem mieście
Do kapitana powiodę cię domu,
Gdzie są me szaty; on mnie uratował,
Pomógł wejść w służbę dostojnego księcia,
A odtąd między panem tym i panią,
Jak to zaświadcza, byłam pośrednikiem.

Sebastyan (*do Oliwii*). Pozór cię uwiódł, ale w oszukań-
[stwie

Natura była wierną swym instynktom.
Chciałaś dziewicy rękę twoją oddać,
I w tem, przysięgam, nie znajdziesz zawodu,
Bo mąż dziewicze przynosi ci serce.

Książę. Nie troszcz się, pani, szlachetna krew jego.
(*Do Wioli*). Gdy tak jest, z tego szczęsnego rozbicia
I ja też moją wyratuję cząstkę.
Chłopcze, po tysiąc mówięs mi razy,
Że mnie nad wszystkie kochałes niewiasty.

Wiola. A słowa moje potwierdzę przysięgą,
I tę przysięgę tak wiernie zachowam,
Jak sklep niebieski wiernie światło chowa,
Co dzień od nocy przedziela.

Książę. Daj rękę.

Niech cię zobaczę w twych niewieścich szatach.

Wiola. Szaty są moje w domu kapitana,
Który mnie zbawił, ale który teraz

W wieży zamknięty, za sprawą Malwolia,
A tej dostojnej pani dworzanina.

Oliwia. Wróćę mu wolność. Przywołaj Malwolia.

Ale, niestety! przypominam sobie,
Że, jak mówiono, stracił biedak rozum.

(*Wchodzi Pajac z listem*).

Własne szaleństwo wyгнаło mi z myśli

Pamięć o jego nieszcześnieściwym stanie.

Jak ma się teraz?

Pajac. Zaprawdę, pani, trzyma Belzebuba na długość kija,
tak dobrze, jak to może zrobić człowiek w jego poło-
żeniu. Napisał ten list do pani; należało mi wręczyć go
dziś rano, ale że list waryata, to nie ewangelia, mniej-
sza o to, kiedy oddany.

Oliwia. Otwórz go i czytaj.

Pajac. Nie omieszkaj tylko, pani, budować się, gdy błazen
recytuje pismo waryata. (*Czyta, robiąc dziwne gesty*).

»Przez Boga, pani...»

Oliwia. Co? Czy i ty oszalałes?

Pajac. Nie, pani, tylko czytam szaleństwo, a jeśli chcesz,
pani, abym je odczytał jak należy, musisz mi pozwolić,
abym przybrał ton odpowiedni.

Oliwia. Czytaj, proszę, bez błażeństwa.

Pajac. To moja intencja, pani; ale żeby czytać bez bła-
żeństwa, tak czytać należy. A więc, książniczko, ba-
czność, nadstaw ucha!

Oliwia (*do Fabiana*). Weź list i czytaj.

Fabian (*czyta*). »Przez Boga, pani, krzywdzisz mnie, a świąt
się o tem dowie. Choć zamknęłaś mnie w ciemnicy,
choć oddałaś mnie pod straż pijanego kuzyna, jestem
jednak tak dobrze przy zmysłach, jak ty sama, pani.
Posiadam własnoręczny twój list, który mnie skłonił
do wszystkiego, co zrobiłem, a nie wątpię, że listem
tym mojej dobrej sprawy dowiodę, a ciebie, pani, za-
wstydzę. Myśl o mnie, jak ci się podoba. Zapominam
trochę o mojej powinności, a mówię jedynie o mojej
krzywdzie. *Szalenie traktowany Malwolio*...»

Oliwia. Czy on to pisał?

Pajac. Tak jest, pani.

Książę. To wcale nie trąci szaleństwem.

Oliwia (*do Fabiana*). Puść go na wolność i przyprowadź
tutaj. (*Wychodzi Fabian*).

Jeśli byś raczył, książę, po namyśle,

Nie żonę we mnie, ale siostrę widzieć,
To dzieńby jeden dwa uświęcił związki,
W moim tu domu, własnym moim kosztem.

Książę. Pani, przyjmuję chętnie twą ofiarę.
(*Do Wioli*). Twój pan, Wiolo, wolność ci powraca,
A za usługi, które mu oddałaś,
Z twą płcią tak sprzeczne, twego wychowania
I delikatnych uczuć twych niegodne,
Gdy mnie tak długo nazywałaś panem,
Przyjmij mą rękę i odtąd, na zawsze,
Bądź panią pana.

Oliwia. I siostrą bądź moją.
(*Wchodzi Fabian i Malwolio*).

Książę. Czy to jest waryat?

Oliwia. Tak jest, to on, książę.

Co ci, Malwolio?

Malwolio. Pani, wyrządziłaś

Ciężką mi krzywdę.

Oliwia. Krzywdę? Ja, Malwolio?

Malwolio. Tak jest, ty, pani; rącz list ten odczytać;

Czyli chcesz przeczytać, że to twoja ręka,
Twój styl, twój pomysł i twoja pieczęćka?

Nie, nie, nie możesz przeczytać temu, pani,
Gdy tak jest, powiedz, a powiedz sumiennie,
Czemu tak jasne dałaś mi zachęty,
Podwiązki na krzyż kazałaś mi wiązać,
Wciąż się uśmiechać, żółte wdziac pończochy,
Z góry traktować całą służbę czeredę,
Nawet Tobiasza? Gdym, pełny nadziei,
Wiernie wykonał wszystkie twe rozkazy,
Jak mogłaś, pani, pozwolić mnie zamknąć
W ciemnym więzieniu? księdza na mnie nastać?
I zrobić ze mnie śmieszniejszego dudka,
Niż kiedykolwiek drwin ludzkich był celem?

Oliwia. Biedny Malwolio, to nie moja ręka,
Chociaż nie przeczę, podobna do mojej;
Nie wątpię wcale, że to pismo Maryi,
Bo jak to sobie teraz przypominam,
Ona to pierwsza zrobiła mi wzmiankę,
Żeś stracił rozum. Wszedłeś wystrojony,
Jak list zaleca, z uśmiechem na twarzy.
Lecz bądź spokojny, byleśmy odkryli,
Kto jest autorem tej mistyfikacji,

A w jakim celu tak sprytnie uknutej,
Ciężkiej tej krzywdy ty sam będziesz sędzią.

Fabian. Łaskawa pani, daj mi posłuchanie:

Nie chciej, by kłótnia smutny cień rzuciła

Na pełne dziwu dnia tego wypadki.

W tej słodkiej, pani, nadziei wyznaję,

Że ja i Tobiasz jesteśmy sprawcami

Całej komedii, by się na nim pomścić

Za jego upór i za grubijaństwo.

List ten napisać Marya się podjęła

Na długie prośby pana Tobiasza,

Który w nagrodę za żonę ją pojął.

Ja myślę, pani, że cały ten figiel

Godniejszy śmiechu aniżeli kary,

Zwłaszcza, jeżeli na wagę wziąć raczysz

Dwóch stron wzajemne krzywdy i urazy.

Oliwia. Biedne głupiątko, jak cię wystrychnęli!

Pajac. Bo widzisz: »Jedni rodzą się wielkimi, inni w pocie
czoła do wielkości przychodzą, innych wielkość szuka
sama«. I ja też byłem aktorem w tej komedii, niejakim
księdzem Topasem. Ale to wszystko jedno: »na Boga,
błazenku, nie jestem szalony«. A to, czy pamiętasz:
»Dziwię się, pani, że cię tak jałowy hultaj może ba-
wić; byleś mu śmiechem nie dodała okazji, zakneblo-
wałbym mu gębę«. A tak, tocząc się, koło fortuny
przytoczyło nam zemstę.

Malwolio. Potrafię jeszcze zemścić się na całej waszej
bandzie. (*Wychodzi*).

Oliwia. Wyznaję, słuszny ma urazy powód.

Książę. Zróbmy, co można, by go udobruchać.

O kapitanie nic nam nie powiedział;

Ody to wyjaśni, a błogi dzień przyjdzie,

Ślub uroczysty dusz związek potwierdzi;

Tymczasem, siostró, przy tobie zostaniem.

Idźmy, Cezaryo, bo jesteś Cezaryo,

Dopóki rolę męża tu odgrywasz;

Zostań kobietą, wdziej suknię godową,

Będziesz Orsyna żoną i królową.

(*Wychodzą*).

PIEŚŃ.

Pajac. Bo kiedym ja jeszcze dzieciątkiem był małym,
Hej dana! czy deszcz czy wiatry,

Bawiłem się wszystkim, z wszystkiego się śmiałem,
Bo deszcz, oj! deszcz leje się co dzień.

A kiedy z chłopców urosłem w młodzika,
Hej dana! czy deszcze czy wiatry,
Na widok złodzieja, drzwi każdy zamyka,
Bo deszcz, oj! deszcz leje się co dzień.

A kiedy wziąłem żonę, przez wielki gniew Boży,
Hej dana! czy deszcze czy wiatry,
Co wprzódy źle było, to stało się gorzej,
Bo deszcz, oj! deszcz leje się co dzień.

A kiedy do łóżka iść miałem w noc ciemną,
Hej dana! czy deszcze czy słoty,
Jak fryga się wszystko kręciło przede mną,
Bo deszcz, oj! deszcz leje się co dzień.

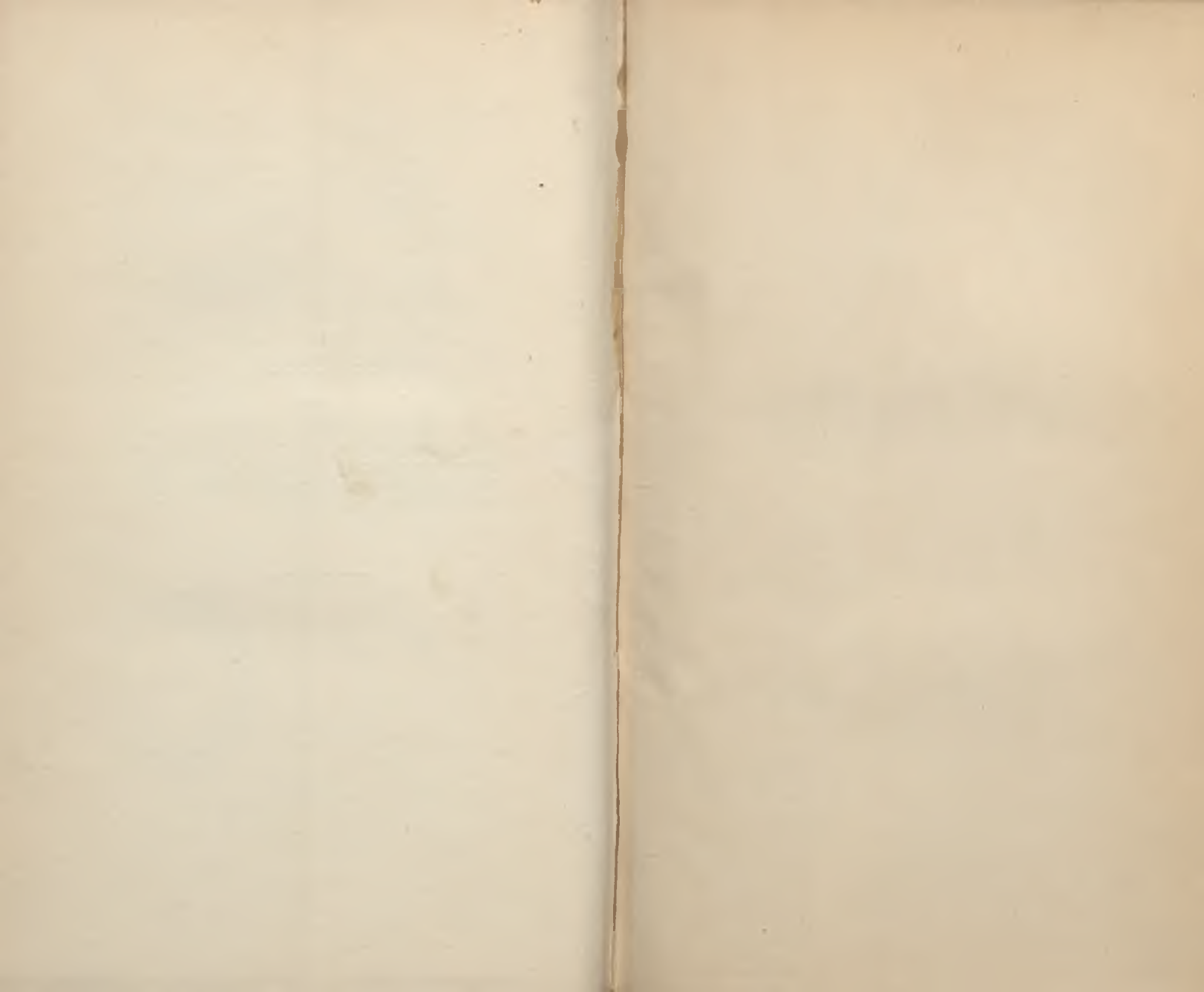
Już stare to czasy, jak ziemia stworzona,
Hej dana! czy deszcze czy słoty;
Lecz wszystko to jedno — komedia skończona,
A bawić pragniemy was co dzień.
(Wychodzi).

SPIS RZECZY.

	Str.
Jak wam się podoba	1
Ugłaskanie sekutnicy	91
Wszystko dobre, co kończy się dobrze .	181
Wieczór Trzech Króli	271



57270







THE
MUSEUM
OF
ARTS
AND
CRAFTS

100
MUSEUM
STREET
LONDON
E1 6JH

THE
MUSEUM
OF
ARTS
AND
CRAFTS

THE
MUSEUM
OF
ARTS
AND
CRAFTS

THE
MUSEUM
OF
ARTS
AND
CRAFTS

THE
MUSEUM
OF
ARTS
AND
CRAFTS

THE
MUSEUM
OF
ARTS
AND
CRAFTS

THE
MUSEUM
OF
ARTS
AND
CRAFTS

